

CATHERINE COULTER

LABIRYNT

Labirynt
to młodsza siostra
Milczenia owiec

Świat Książki

Rozdział 1

*San Francisco, Kalifornia
15 maja*

To się nigdy nie skończy.

Nie mogła oddychać. Umierała. Siedziała wyprostowana, dysząc chrapliwie, usiłując opanować strach. Włączyła lampę obok łóżka. Niczego nie dostrzegła. Tylko cienie, które zalegały w kątach, ciemne i złowrogie. Ale drzwi były zamknięte. Zawsze w nocy zamykała je na klucz i podpierała klamkę oparciem krzesła. Na wszelki wypadek.

Wpatrywała się w drzwi. Nieruchome. Klamka się nie obróciła. Nikt po drugiej stronie nie próbował wejść.

Nie tym razem.

Zmusiła się, żeby spojrzeć w stronę okna. Chciała założyć w nich kraty, kiedy się tutaj wprowadziła przed siedmioma miesiącami, ale w ostatniej chwili doszła do wniosku, że to jak dobrowolne zamknięcie w więzieniu. Zamiast tego zamieniła się na mieszkanie na trzecim piętrze.. Wyżej były tylko dwa piętra, a mieszkania nie miały balkonów. Nikt nie mógł wejść przez okno. I nikt nie pomyślał, że zwariowała. To był dobry pomysł. Za żadne skarby nie mogła dłużej mieszkać w domu, gdzie przedtem mieszkała Belinda. Gdzie przedtem mieszkał Douglas.

Obrazy tkwiły w jej mózgu, zawsze wyblakłe, zawsze zamazane, ale wciąż obecne i wciąż przerażające: krwawe, lecz tuż poza granicą postrzegania. Stała w rozległej mrocznej przestrzeni, ogromnej, nie widziała początku ani końca. Ale widziała światło, wąski, skupiony promień światła, i słyszała głos. I krzyki. Głośne, tuż obok. I była tam Belinda, zawsze Belinda.

Wciąż dławiła się strachem. Nie chciała wstawać z łóżka, ale się przemogła. Musiała iść do łazienki. Dzięki Bogu, że łazienka była połączona z sypialnią. Dzięki Bogu, że nie musiała przekreślać klucza, wyciągać krzesła spod klamki i otwierać drzwi na ciemny korytarz.

Zapaliła światło, zanim tam weszła, potem zamrugowała szybko w ostrym blasku. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Strach ścisnął ją za gardło. Obróciła się gwałtownie: tylko jej własne odbicie w lustrze.

Popatrzyła na swoją twarz. Nie rozpoznała tej szalonej kobiety. Widziała jedynie strach: drgające powieki, lśnienie potu na czole, zmierzwione włosy, wilgotna, przepocona koszula nocna.

Nachyliła się bliżej do lustra. Wpatrywała się w żalostną kobietę o twarzy wciąż pełnej napięcia. W tej chwili uświadomiła sobie, że jeśli nie dokona radykalnych zmian, kobieta w lustrze umrze ze strachu.

Powiedziała do swojego odbicia:

– Siedem miesięcy temu miałam studiować muzykę w Berkeley. Byłam najlepsza. Kochałam muzykę, całą muzykę... od Mozarta do Johna Lennona. Chciałam wygrać konkurs Fletchera i pójść do szkoły Juilliarda. Ale nie wygrałam. Teraz boję się wszystkiego, nawet ciemności.

Powoli odwróciła się od lustra i wróciła do sypialni. Podeszła do okna, przekreśliła trzy zamki, które mocno przytrzymały ramę, i pchnęła do góry dolną połowę. To nie było łatwe. Nie otwierała okna, odkąd się tutaj wprowadziła.

Wyjrzała w noc. Na niebie wisiał sierp księżyca. Gwiazdy błyszczały jasno. Powietrze było chłodne i czyste. Widziała stąd Alcatraz, a dalej Wyspę Anioła. Widziała nawet nieliczne światła Sausalito, dokładnie po drugiej stronie zatoki. Budynek Transamerica był rzęsiście oświetlony, niczym latarnia morska w śródmieściu San Francisco.

Odwróciła się i podeszła do drzwi sypialni. Stała tam przez bardzo długą chwilę. W końcu wyciągnęła krzesło spod klamki i odstawiła do kąta, obok

lampki do czytania. Przekręciła klucz w zamku. Nigdy więcej, pomyślała, nigdy więcej.

Szeroko otworzyła drzwi. Wyszła na korytarz i przystanęła. Lód w jej krwi zwarzył wątłe kielki odwagi, kiedy usłyszała skrzypienie desek podłogi. Dźwięk rozległ się znowu. Nie, nie skrzypienie, jakiś cichszy odgłos. Dochodził z małego holu przy drzwiach wejściowych. Kto urządzał sobie zabawę jej kosztem? Ze świstem wypuściła powietrze. Dygotała, tak przerażona, że czuła w ustach smak miedzi. Miedź? Przygryzła wargę do krwi.

Jak długo jeszcze mogła żyć w ten sposób?

Ruszyła przed siebie zapalając po drodze wszystkie światła. Znowu rozległ się ten dźwięk, tym razem jakby coś lekko uderzyło o mebel - coś znacznie mniejszego od niej, co przed nią uciekało. Potem zobaczyła, jak drobiąc łapkami, umyka do kuchni. Wybuchnęła śmiechem i powoli osunęła się na podłogę. Ukryła twarz w dłoniach, szlochając.

Rozdział 2

*Siedem lat później
Akademia FBI
Quantico, Wirginia*

Wdrapie się po tej linie na samą górę, choćby miała zdechnąć. Zresztą niewiele brakowało. Czuła, jak dosłownie każdy mięsień jej ramion napina się, naciąga, czuła palący ból, skurcze atakujące z coraz większą siłą. Jeśli zdrętwieją jej ręce, zwali się na matę w dole. Mózg już zdrętwiał, ale to nie przeszkadzało. Mózg się nie wspinał. Tylko wrobił ją w ten koszmar. A to dopiero druga runda. Miała wrażenie, że wspina się od wieków.

Jeszcze sześćdziesiąt centymetrów. Da radę. Za plecami słyszała równy, niespieszny oddech MacDougala. Kątem oka widziała jego wielkie pięści

obejmujące linę. Metodycznie przekładał jedną pięść nad drugą, nie pędził w górę jak zwykle. Nie, dotrzymywał jej tempa. Nie zamierzał jej zostawić. Miała wobec niego dług. To był ważny test. Taki, który naprawdę się liczył.

– Widzę tę twoją żalną minę, Sherlock. Skamlesz, chociaż nic nie mówisz. Ruszaj tymi cherlawymi rękami, ciągnij!

Chwyła linę nad lewą dłoń i podciągnęła się ze wszystkich sił.

– Dalej, Sherlock! - zawołał MacDougal, kołysząc się obok i szczerząc do niej zęby, drań jeden. - Nie pękaj mi teraz. Pracowałem z tobą przez dwa miesiące. Ćwiczyłaś z ciężarkami. No dobrze, możesz zrobić tylko dziesięć pompek na bicepsach, ale dwadzieścia pięć na tricepsach. Dalej, do roboty, nie zwisaj jak mokra szmatka.

Skamlesz? Brakowało jej tchu, żeby skamleć. MacDougal prowokował ją i robił to całkiem dobrze. Próbowwała się rozzłościć. Nie znalazła w swoim ciele ani odrobiny gniewu, tylko ból, głęboki i palący. Jeszcze dwadzieścia centymetrów, no, może trochę więcej. Dwa lata zabierze jej pokonanie tej odległości. Zobaczyła, że jej prawa dłoń puszcza linę i chwyta drążek, na którym zamocowano węzeł, z pewnością za wysoko, żeby podźwignęła się za jednym zamachem, ale trzymała drążek w prawej dłoni i wiedziała, że nie ma wyboru.

– Dasz radę, Sherlock. Pamiętasz w zeszłym tygodniu w Alei Hogana, kiedy ten facet cię wkurzył? Próbował cię skuć kajdankami i wziąć jako zakładniczkę? Mało go nie zabiłaś. To wymagało więcej siły niż teraz. Myśl negatywnie. Myśl o morderstwie. Zabij tę linę. Ciągnij!

Nie myślała o facecie z Alei Hogana; nie, myślała o tym potworze, skupiła się na twarzy, której nigdy nie widziała, skupiła się na przytłaczającej rozpacz, jaką kazał jej dźwigać przez siedem lat. Nawet nie zauważyła, kiedy pokonała te ostatnie centymetry.

Zawisła na górze, dysząc ciężko, oczyszczając umysł z okropnych wspomnień. MacDougal śmiał się obok, nawet nie zdyszany. Ale mówiła mu

wiele razy, że został stworzony wyłącznie z brutalnej siły; nawet urodził się w sali gimnastycznej, za stosem hantli.

Dokonała tego.

Pan Petterson, instruktor, stał na dole, mogła przysiąc, że co najmniej dwa piętra pod nimi. Podniósł głos:

– Dobra robota, wy dwoje. Zejdźcie na dół. MacDougal, mogłeś trochę przyspieszyć, na przykład dwukrotnie. Myślisz, że jesteś na wakacjach?

MacDougal odkrzyknął do Pettersona, ponieważ jej brakowało tchu:

– Już schodzimy, sir!

Odwrócił się do niej, uśmiechnięty tak szeroko, że widziała złotą plombę w trzonowcu.

– Dobrze się spisałaś, Sherlock. Nabrałaś siły. Złe myśli też pomogły. Schodzimy na dół i niech dwóch następnych frajerów włązi na to draństwo.

Nie potrzebowała zachęty. Uwielbiała schodzić po linie. Ból zniknął, kiedy jej ciało wiedziało, że już prawie koniec. Dotarła na dół niemal tak szybko jak MacDougal. Pan Petterson pomachał do nich ołówkiem, potem zapisał coś w notesie. Podniósł wzrok i kiwnął głową.

– Nieźle, Sherlock. Zmieściłaś się w limicie czasu. Za to ty, Mac, wlokłeś się jak ślimak, ale karta mówi, że zdałeś, więc zdałeś. Następny!

– Łatwizna - oświadczył MacDougal i podał jej ręcznik, żeby wytarła twarz. - Tylko popatrz, jak się spociałaś.

Walnęłyby go, gdyby zostało jej trochę sił.

Była w Alei Hogana, w mieście o najwyższym wskaźniku przestępczości w Stanach Zjednoczonych. Znała dosłownie każdy centymetr każdego budynku w tym mieście, z pewnością lepiej niż aktorzy, którym płacono osiem dolarów na godzinę, by odgrywali złych facetów, lepiej niż wielu pracowników biura, którzy grali bandytów i świadków. Aleja Hogana wyglądała jak prawdziwe

amerykańskie miasto: miało nawet burmistrza i poczmistrzynię, chociaż tutaj nie mieszkali. Nikt naprawdę tutaj nie mieszkał ani nie pracował. To było własne miasto FBI, pełne przestępców do złapania, sytuacji do rozwiązania, najlepiej bez żadnych trupów. Instruktorzy nie lubili, kiedy strzelano do niewinnych przechodniów.

Dzisiaj ona i trzech innych kursantów zamierzali złapać faceta, który obrabował bank. Przynajmniej miała taką nadzieję. Poradzono im, by trzymali oczy otwarte, nic więcej. Był to dzień parady w Alei Hogana. Świąteczna okazja, więc tym bardziej niebezpiecznie. Ludzie tłoczyli się, popijali gazowane napoje i zajadali hot dogi. Nie zapowiadało się na łatwą robotę. Może ten facet będzie próbował wmieszać się w tłum, wyglądać niewinnie jak zwykły obywatel; stawiała na taką szansę. Dałaby wszystko, żeby mogli chociaż zerknąć na złodzieja, ale to było niemożliwe. Zaaranżowano krytyczną sytuację: mnóstwo niewinnych cywilów i wśród nich bandyta, który prawdopodobnie wybiegł z banku, zapewne bardzo niebezpieczny.

Zobaczyła Buzza Alporta, całonocnego kelnera na postoju ciężarówek przy szosie 1-95. Pogwizdywał beztrosko, jakby niczym się nie przejmował. Nie, Buzz nie był dzisiaj przestępcą. Zbyt dobrze go znała. Czerwienił się ogniście, kiedy odgrywał złego faceta. Próbowała zapamiętać wszystkie twarze, żeby zauważyć złodzieja, gdyby nagle się pojawił. Powoli przeczesywała tłum, spokojnie i bez pośpiechu, tak jak ją uczono.

Zobaczyła kilku gości ze Wzgórza stojących na bocznych liniach, obserwujących agentów, którzy odgrywali swoje role. Kursanci muszą uważać. Nie będzie dobrze widziane, jeśli któryś z nich zastrzeli wizytującego kongresmana.

Zaczęło się. Ona i Porter Forge, południowiec z Birmingham, który mówił pięknym francuskim bez śladu zaciągania, zobaczyli pracownika banku wybiegającego z frontowych drzwi, wrzeszczącego co sił w płucach, machającego gorączkowo do mężczyzny, który właśnie czmychnął bocznymi

drzwiami - zdążyli tylko przelotnie rzucić na niego okiem. Pobiegli za nim, ale przestępca zanurkował w tłum i zniknął. Ze względu na cywilów nie mogli wyciągnąć broni. Gdyby któreś z nich zraniło cywila, dostaliby za swoje.

Zgubili go trzy minuty później.

Właśnie wtedy zobaczyła Dillona Savicha, agenta FBI i geniusza komputerowego, który od czasu do czasu wykladał tutaj w Quantico. Stał obok mężczyzny, którego nigdy przedtem nie widziała. Obaj nosili ciemnoniebieskie garnitury, szaro-błękitne krawaty i ciemne okulary.

Poznałaby Savicha wszędzie. Ciekawe, skąd się tu wziął akurat teraz? Czyżby właśnie prowadził zajęcia? Nigdy nie słyszała, żeby działał w Alei Hogana. Spojrzała na niego twardo. Czy możliwe, że to on był podejrzanym, na którego machał pracownik banku? Tym, który uciekał i zniknął w tłumie? Kto wie. Spróbowała go zlokalizować w tamtej króciutkiej zapamiętanej chwili. Możliwe. Tylko że wcale nie był zdyszany, a przecież bandyta wybiegł z banku, jakby się paliło. Savich wydawał się chłodny i obojętny.

Niee, to nie Savich. Savich nie wziąłby udziału w ćwiczeniach, prawda? Nagle zauważyła, że stojący niedaleko mężczyzna powoli wsuwa rękę pod marynarkę. Dobry Boże, sięgał po broń. Wrzasnęła na Portera.

Podczas gdy inni kursanci próbowali się połapać w sytuacji, Savich nagle odsunął się od mężczyzny, z którym rozmawiał, i zanurkował pomiędzy trzech cywilów. Trzech innych w pobliżu tamtego faceta krzyczało i szamotało się, żeby zejść mu z drogi.

Co się tu dzieje?

– Sherlock! Dokąd on poszedł?

Zaczęła się uśmiechać, kiedy jeszcze inni agenci miotali się w ścisku i rozpaczliwie usiłowali ustalić, kto jest kim. Ani na chwilę nie straciła z oczu Savicha. Wśliznęła się w tłum. Po niecałej minucie znalazła się za plecami Savicha.

Obok niego stała kobieta. Istniała możliwość, że stanie się zakładniczką. Zobaczyła, że Savich powoli wyciąga rękę w stronę kobiety. Nie mogła ryzykować. Wyjęła broń, stanęła tuż za nim, wcisnęła mu w nerki lufę pistoletu SIG 9 mm i szepnęła do ucha:

- Nie ruszać się. FBI.
- Panna Sherlock, jak przypuszczam?

Na chwilę stropiła się, ale szybko stłumiła niepewność. Złapała złodzieja. Najwyraźniej próbował ją zagadać.

- Słuchaj no, kolego, to nie należy do scenariusza. Nie powinieneś mnie znać. No już, ręce do tyłu, bo możesz wpakować się w duże kłopoty.
- Raczej nie - odparł i zaczął się odwracać.

Kobieta obok nich zobaczyła broń, zapiszczała i wrzasnęła:

- O mój Boże, złodziej jest kobietą! To ona! Zabije tego człowieka. Ona ma broń! Na pomoc!
- Ręce do tyłu!

Ale jak miała mu założyć kajdanki? Kobieta wciąż wrzeszczała. Inni ludzie oglądali się na nich, zdezorientowani. Miała niewiele czasu.

- Zrób to, bo cię zastrzelę.

Poruszył się tak szybko, że nie miała żadnych szans. Wytrącił jej pistolet kantem prawej dłoni, od czego zdrętwiało jej całe ramię, walnął ją bykiem w żołądek i przewrócił do tyłu. Wylądowała na plecach, rozpaczliwie łapiąc oddech, w gęstwinie petunii na klombie przed urzędem pocztowym Alei Hogana.

Śmiał się. Ten drań się z niej śmiał. Wzięła głęboki oddech. W żołądku ją paliło. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

- Jesteś aresztowany - oznajmiła i wyjęła małego damskiego colta .38 z kabury na kostce nogi. Obdarzyła go szerokim uśmiechem. -Nie ruszaj się, bo pożałujesz. Jeśli wlażłam na tę linę, to jestem zdolna do wszystkiego.

Przestał się śmiać. Spojrzał na broń, potem na nią, opartą na łokciach wśród petunii. Kilka osób obserwowało ich z zapartym tchem. Krzyknęła na nich:

- Odsuńcie się wszyscy. Ten człowiek jest niebezpieczny. Właśnie obrabował bank. On, nie ja. Ja jestem z FBI. Odsunąć się!
- Ten colt nie należy do wyposażenia Biura.
- Zamknij się. Spróbuj tylko mrugnąć, a cię zastrzelę.

Bardzo nieznacznie przysunął się do niej, ale tym razem nie zamierzała pozwolić, żeby ją załatwił. Znał sztuki walki, tak? Wiedziała, że gniecie petunie, lecz nie miała innego wyjścia. Pani Shaw zmyje jej głowę, bo klomby kwiatowe stanowiły jej dumę i radość, ale przecież ona tylko wykonywała zadanie. Nie pozwoli, żeby znowu ją pokonał.

Cofała się przed nim, wciąż mierząc w jego klatkę piersiową. Wstała powoli, zachowując dystans.

- Odwróć się i złącz ręce za plecami.
- Raczej nie - powtórzył.

Nawet nie widziała jego nogi, ale usłyszała trzask rozdzieranych spodni. Colt poszybował na chodnik.

Dała się zaskoczyć. Bandyta z pewnością zwałby z podkulonym ogonem, zamiast stać i patrzeć na nią. Nie zachowywał się tak, jak powinien.

- Jak to zrobiłeś? Gdzie jej partnerzy?

Gdzie pani Shaw, poczmistrzyni? Raz zatrzymała wyznaczonego złodzieja bankowego, grożąc mu patelnią.

Potem zaatakował. Tym razem ruszała się równie szybko jak on. Wiedziała, że nie zrobi jej krzywdy, tylko ją obezwładni, rozłoży na łopatki i upokorzy na oczach wszystkich, co będzie nieskończenie gorsze od prawdziwych obrażeń. Przetoczyła się na bok, wyprysnęła w górę, kątem oka dostrzegła Portera Forge'a, wyrwała mu siga, odwróciła się i strzeliła. Trafiła go w pół skoku.

Czerwona farba zalała przód jego białej koszuli, stonowany krawat i ciemnoniebieską marynarkę.

Zamachał rękami na boki, ale nie stracił równowagi. Wyprostował się, zmierzył ją wzrokiem, popatrzył na swoją koszulę, stęknął i z rozłożonymi ramionami runął do tyłu na klomb kwiatowy.

– Sherlock, ty idiotko, właśnie zastrzeliłaś nowego trenera drużyny futbolowej ze szkoły średniej!

To był burmistrz Alei Hogana i nie wydawał się zadowolony. Staął nad nią i wrzeszczał:

– Nie czytałaś gazety? Nie widziałaś jego zdjęcia? Mieszkasz tutaj i nie wiesz, co się dzieje? Trenera Savicha zatrudniono dopiero w zeszłym tygodniu. Właśnie zabiłaś niewinnego człowieka.

– I w dodatku podarłem przez nią spodnie - odezwał się Savich, podnosząc się z wdziękiem. Otrząsnął się i wytarł brudne ręce o brudne nogawki.

– Próbował mnie zabić - odpowiedziała i wstała powoli, wciąż celując do niego z siga. - I nie powinien gadać. Miał udawać martwego-

– Racja. - Savich ponownie położył się na plecach, z rozrzuconymi ramionami i zamkniętymi oczami.

– On tylko się bronił - oświadczyła kobieta, która wcześniej narobiła wrzasku. -Jest nowym trenerem, a ty go zabiłaś.

Wiedziała, że postąpiła słusznie.

– Nic o tym nie wiem - wtrącił Porter Forge, przeciągając tak mocno, że zdążyłaby powiedzieć to samo co najmniej trzy razy, zanim dokończył zdanie. - Psze pana - zwrócił się do burmistrza, który stał obok - chyba widziałem list gończy za tym wielkim facetem. Gościu rabował banki na całym południu. Taak, tam widziałem jego zdjęcia, na policyjnym plakacie w Atlancie, psze pana. Sherlock dobrze zrobiła. Skasowała bardzo złego faceta.

Kłamstwo na medal, które da jej czas, żeby coś zrobić, cokolwiek, by ratować własną skórę.

Potem zrozumiała, co ją w nim zaniepokoiło. Ubranie nie leżało na nim dobrze. Nachyliła się, przeszukała kieszenie Savicha i wyciągnęła pliki fałszywych studolarowych banknotów.

- Pewnie znajdziecie bankowe numery seryjne na tych banknotach, psze pana. Jak myślisz, Sherlock?
- O tak, na pewno, agencie Forge.
- Proszę mnie zabrać, panno Sherlock-powiedział Dillon Savich, wstał i wyciągnął ręce.

Oddała Porterowi jego siga. Stała przed Savichem szeroko uśmiechnięta, z rękami na biodrach.

- Dlaczego mam pana skuć, sir? Pan nie żyje. Przyniosę worek na zwłoki. Savich śmiał się, kiedy odeszła w stronę czekającej karetki pogotowia.
- Dobra robota - powiedział do burmistrza Alei Hogana. - Ona ma nosa do przestępców. Wywęszyła mnie i dopadła. Nie namyślała się w nieskończoność. Ciekawiło mnie, czy ma ikrę. Ma. Przepraszam, że na końcu zmieniłem ćwiczenia w farsę, ale na widok jej miny po prostu nie mogłem się powstrzymać.
- Nie mam do pana pretensji, ale wątpię, czy jeszcze kiedyś pana wykorzystamy. Mam przecucie, że ta historyjka długo będzie krążyła na kursach. Żaden z przyszłych kursantów nie uwierzy, że pan jest jednocześnie nowym trenerem i złodziejem.
- Raz się udało i widzieliśmy wspaniały wynik. Wymyślę następne, całkiem inne ćwiczenia.

Savich odszedł, nieświadomy, że pokazuje swoje ciemnobłękitne bokserki co najmniej pięćdziesięcioosobowej publiczności.

Burmistrz parsknął śmiechem, potem dołączyli ludzie stojący wokół niego. Wkrótce cały tłum ryczał ze śmiechu i pokazywał go palcami. Nawet złodziej na drugim końcu miasta, który trzymał zakładniczkę za gardło i przykładał jej

pistolet do ucha, obejrzał się, szukając przyczyny zamieszania. Przez to przegrał. Agent Wallace rąbnął go w łeb i rozłożył na łopatki.

To był dobry dzień na zwalczanie przestępczości w Alei Hogana.

Rozdział 3

Spotkała się z Colinem Pettym, inspektorem w Dziale Personalnym, znanym w Biurze pod przewiskiem Łysy Orzeł. Petty był chudy, nosił gęsty czarny wąs i miał bardzo błyszczącą czaszkę. Powiedział jej prosto z mostu, że zrobiła wrażenie na kilku ważnych osobach, ale to było w Quantico. Nie tutaj. W Centrali będzie musiała harować w pocie czoła. Przytaknęła, wiedząc, gdzie ją przydzielono. Ciężka sprawa, lecz zdobyła się na odrobinę entuzjazmu.

- Cieszę się z wyjazdu do biura terenowego w Los Angeles -oznajmiła i pomyślała: Nie chcę mieć do czynienia z żadnymi napadami na banki. Wiedziała, że tam mają najwięcej napadów bankowych ze wszystkich oddziałów Biura. Pewnie to lepsze niż Montana, ale w Montanie mogła przynajmniej jeździć na nartach. Jak długo trwa obowiązkowy przydział? Musiała tu wrócić, tak czy inaczej.
- LA. to korzystny przydział dla nowego agenta świeżo po Akademii - oświadczył pan Petty, wertując jej akta osobiste. -Widzę, że najpierw chciała pani dostać się do centrali, do Wydziału Dochodzeń Kryminalnych, ale postanowili wysłać panią do Los Angeles. - Podniósł na nią wzrok znad dwuogniskowych okularów. - Ma pani licencjat z kryminologii i magisterium z psychologii kryminalnej w Berkeley - ciągnął. - Widać, że to panią naprawdę interesuje. Dlaczego nie zażądała pani przydziału do Jednostki

Służb Dochodzeniowych? Przy takich wynikach przyjęliby panią z pocałowaniem ręki. Zakładam, że zmieniła pani zdanie?

Wiedziała, że w jej aktach umieszczono notatki na ten temat. Dlaczego udawał, że o niczym nie wie? Oczywiście. Chciał, żeby mówiła, żeby się otworzyła, ujawniła swoje najskrytsze myśli. Powodzenia, stary. To prawda, że dostała przydział do Los Angeles wyłącznie ze swojej winy, a powód nie stanowił żadnej tajemnicy.

Zmusiła się do uśmiechu i wzruszyła ramionami.

- Chodzi o to, że po prostu jestem za mało twarda do tego, co ci ludzie robią dzień w dzień i pewnie nawet we śnie. Ma pan rację, że przygotowałam się do takiej pracy, że właśnie to chciałam robić w życiu, ale... - Ponownie wzruszyła ramionami, przełknęła ślinę. Poświęciła tyle lat na przygotowania i w końcu zaważyła. -Wszystko sprowadza się do jednego: za mało twarda.
- Zawsze chciała pani Zostać profilerem?
- Tak. Czytałam książkę Johna Douglasa *Mindhunter* i pomyślałam, że coś takiego chcę robić. Właściwie od dawna interesowała mnie walka z przestępczością, stąd specjalizacja w college'u i na studiach podyplomowych. Skłamała, lecz to nie miało znaczenia. Wypowiedziała kłamstwo gładko, bez wahania. Sama w nie uwierzyła przez ostatnie lata.
- Chciałam pomóc pozbyć się tych potworów ze społeczeństwa. Ale po wykładach ludzi z JSD, kiedy przez tydzień oglądałam to, co oni oglądają na co dzień, wiedziałam, że nie wytrzymam tych okropności. Profilerzy muszą patrzeć na potworne jatki. Życ z tą świadomością. Każdy z tych potworów odciska na nich głębokie piętno. A ofiary, ofiary... - Odetchnęła głęboko. - Wiedziałam, że nie dam rady.

Więc teraz będzie łapała bandytów i kasiarzy, a on pozostanie na wolności. Płakać jej się chciało. Tyle czasu, tyle poświęcenia i niewiarygodnie ciężkiej pracy, żeby łapać bandytów. Powinna po prostu złożyć rezygnację, ale tak

naprawdę nie miała dosyć energii, żeby od nowa się samookreślić, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Petty powiedział tylko:

- Ja też nie mogłem wytrzymać. Mało kto może. W tej jednostce ludzie wypalają się w zastraszającym tempie. Małżeństwa też się rozpadają. A więc miała pani świetne wyniki w Akademii. Dobrze pani strzela, zwłaszcza na średnie dystanse, jest pani świetna w samoobronie, przebiega pani trzy i pół kilometra w niecałe szesnaście minut oraz posiada ponadprzeciętną zdolność oceny sytuacji. Tutaj jest krótki dopisek, że położyła pani Dillona Savicha podczas ćwiczeń w Alei Hogana, co jeszcze się nie udało żadnemu kursantowi. - Spojrzał na nią, unosząc brwi. - Czy to prawda?

Wspomniała swoją wściekłość, kiedy dwukrotnie ją rozbroił. Potem równie nagle przypomniała sobie swój śmiech, kiedy odszedł z bokserkami widocznymi przez wielkie rozdarcie w spodniach.

- Tak - powiedziała - tylko że to mój partner Porter Forge rzucił mi swojego sigę, żebym mogła go zastrzelić. Inaczej zginęłabym podczas wypełniania obowiązków.
- Ale to Dillon oberwał - mruknął Petty. - Żałuję, że tego nie widziałem.

Obdarzył ją najbardziej radosnym uśmiechem, jaki dotąd widziała. Nawet bujny wąs nie zdołał go ukryć. Z tym nieodpartym uśmiechem nagle nabrał cech ludzkich.

- Piszą też, że wyjęła pani na niego damskiego colta .38, kiedy wytrącił pani sigę z ręki. Ma pani jeszcze tę broń?
- Tak, sir. Nauczyłam się nią posługiwać, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Bardzo mi odpowiada.
- Chyba jakoś to przeżyjemy. Och, wszyscy na pewno żartują z pani nazwiska, agentko Sherlock.
- O tak, sir. Nie przepuścili żadnej okazji, przez te wszystkie lata. Zdążyłam się przyzwyczać.

- W takim razie nie zaproponuję pani fajki.
- Dziękuję, sir.
- Opowiem pani o nowym przydziale - powiedział, a ona pomyślała: Będę łapać świrów, którzy napadają na banki, bo jestem za miękka. - Przestępca, którego pani zastrzeliła w Alei Hogana, niejaki Dillon Savich, prosił, żeby przydzielono panią do jego jednostki.

Serce zabiło jej mocniej.

- Tutaj, w Waszyngtonie?
- Tak.

W jednym z tych wielkich pokojów wypełnionych komputerami? O Boże, tylko nie to. Wolałaby już napady na banki. Nie chciała bawić się komputerami. Znała się na programowaniu, ale daleko jej było do intuicyjnego geniusza w rodzaju Savicha. W całej Akademii opowiadano, co on potrafi zrobić z komputerem. Był legendą. Nie wyobrażała sobie współpracy z legendą. Z drugiej strony pewnie miał dostęp do wszystkiego. Więc może...

- Co to za jednostka?
- Jednostka Badań Kryminalnych, w skrócie JBK. Opracowują życiorysy i profile psychologiczne wspólnie z Jednostką Służb Dochodzeniowych, uczestniczą w dochodzeniu, tego typu sprawy. Potem współpracują bezpośrednio z miejscowymi władzami, kiedy przestępca wyrusza w trasę... czyli kiedy przemieszcza się z jednego stanu do drugiego. Agent Savich opracował odmienne podejście do wykrywania przestępców. Sam pani o tym opowie. Wykorzysta pani swoje akademickie kwalifikacje, agentko Sherlock. Staramy się dopasować przydziały do zainteresowań agentów i zakresu ich umiejętności. Chociaż mogłaby pani w to poważnie zwątpić, gdyby wysłano panią do Los Angeles.

Chciała przeskoczyć przez biurko i uścisnąć pana Petty. Na chwilę odebrało jej mowę. Myślała już, że sama się pograżyła, odkąd zrozumiała, że po prostu nie nadaje się na profilerę. Po tygodniu spędzonym w JSD czuła się dosłownie

chora, znowu przeżywała po nocach dawne koszmary w jaskrawych, ohydnych barwach, przesycone zgrozą, równie świeże jak siedem lat wcześniej. W głębi duszy wiedziała, że nigdy do tego nie przywyknie, a pracownicy JSD przyznawali, że niektóre osoby po prostu nie mogły tego wytrzymać, choćby bardzo się starały. Nie, nie przeżyłaby okropnej pracy w połączeniu z okropną przeszłością.

Teraz jednak poczuła przyływ silnego podniecenia. Nie wiedziała o jednostce Savicha - dziwne, ponieważ w Akademii zawsze o wszystkim plotkowano. Taka jednostka stanowi doskonały punkt obserwacyjny, a przynajmniej zapewnia dostęp do wszystkich plików, do wszelkich zgromadzonych informacji, których nie poznałaby w inny sposób. I nikogo nie zdziwi jej ciekawość, przynajmniej dopóki będzie ostrożna. Och tak, i będzie dysponowała wolnym czasem. Z ulgą zamknęła oczy.

Nigdy przedtem nie czuła, że ktoś troszczy się o nią. Trochę przerażające uczucie, ponieważ nie wierzyła w nic takiego od tamtej odległej nocy sprzed siedmiu lat. Miała cel, nic więcej, tylko cel. A teraz otrzymała poważną szansę realizacji tego celu.

- Jest dwadzieścia po drugiej - powiedział Petty. - Agent Savich czeka na panią za dziesięć minut. Mam nadzieję, że poradzi pani sobie z tą pracą. To nie profile, ale na pewno czasem będzie trudno, w zależności od rodzaju sprawy i stopnia pani zaangażowania. Przynajmniej nie wylądaje pani sześć pięter niżej, w Quantico, w schronie przeciwbombowym bez okien.
- Pracownicy JSD zasługują na podwyżkę.
- I na znacznie większą pomoc, dlatego między innymi utworzono jednostkę agenta Savicha. On sam pani o tym opowie. Potem podejmie pani decyzję.
- Czy mogę zapytać, sir, dlaczego agent Savich wystąpił o mnie? Znowu ten uśmiech.
- Moim zdaniem, nie potrafi do końca uwierzyć, że pani go pokonała, agentko Sherlock. Niech pani sama go zapyta.

Wstał i podszedł do drzwi małego gabinetu.

- Oczywiście żartuję. Jednostka znajduje się trzy zakręty dalej tym korytarzem i na prawo. Skręcić w lewo za czwartymi drzwiami, po minięciu dwóch sal konferencyjnych. Zaraz po lewej stronie. Przyzwyczaiła się pani do Pałacu Tajemnic?
- Nie, sir. Ten budynek to labirynt.
- To jakieś miliony metrów kwadratowych. Normalny umysł broni się przez tym. Ciągłe się gubię, a żona mi powtarza, że bynajmniej nie jestem normalny. Niech pani zaczeka dziesięć lat, agentko Sherlock.

Pan Petty podał jej rękę.

- Witamy w Biurze. Mam nadzieję, że praca spełni pani oczekiwania. Aha, czy ktoś wspominał o tweedowym kapeluszu?
- Tak, sir.
- Szkoda, agentko Sherlock.

Ledwie się powstrzymała, żeby nie wybiec z gabinetu. Nawet nie wstąpiła do damskiej toalety.

Savich podniósł wzrok.

- Znalazłaś mnie w dziesięć minut - rzekł, spoglądając na zegarek z Myszka Miki. - To dobrze, Sherlock. Słyszałem od Colina Petty'ego, że zastanawiasz się, dlaczego zmieniłem ci przydział na moją jednostkę.

Nosił białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, granatowy krawat i granatowe spodnie. Granatowy blezer wisiał na wieszaku w kącie pokoju. Mówiąc, powoli wstał zza biurka. Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu - ciemny i bardzo muskularny. Oprócz sztuk walki na pewno regularnie ćwiczył kondycję. Słyszała, że niektórzy kursanci nazywali go prawdziwym mężczyzną, nie urzędasem. Przekonała się na własnej skórze, jaki jest silny i szybki, kiedy ją powalił podczas ćwiczeń w Alei Hogana. Żołądek ją bolał przez

trzy dni po tym uderzeniu bykiem. Gdyby nie wiedziała, że jest agentem, wzbudzałby w niej strach. Wydawał się twardy jak skała, z wyjątkiem oczu o bardzo łagodnym odcieniu letniego nieba. Marzycielskie oczy, jak mawiała jej matka. Ale nie miałyby racji. Ten facet wcale nie wyglądał na marzyciela. Patrzył na nią cierpliwie. O czym on mówił? Ach tak, dlaczego załatwił jej przydział do tej jednostki.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Tak, sir.

Dillon Savich obszedł biurko i podał jej rękę.

– Usiądź i pogadamy o tym.

Naprzeciwko biurka stały dwa krzesła, najwyraźniej wyposażenie FBI. Na biurku stał przydzielony komputer. Obok szumiał otwarty laptop, z pewnością nie należący do wyposażenia. Ekran był lekko przechylony w jej stronę i widziała zielony wzór na czarnym tle, chyba jakiś graf. Czy właśnie ten mały komputer Savich potrafił zmusić do tańca, jak wszyscy opowiadali?

– Kawy? Pokręciła głową.

– Znasz się na komputerach, Sherlock?

Samo „Sherlock”, bez „pani” czy „agentki” przed nazwiskiem. To jej odpowiadało. Spoglądał na nią wyczekująco. Nie chciała go rozczarować, ale nie miała wyboru.

– Nie bardzo, sir, tylko tyle, żeby pisać raporty i podłączać się do baz danych, których potrzebuję w pracy.

Ku jej niewymownej uldze skwitował to uśmiechem.

– Doskonale, nie życzę sobie konkurencji we własnej jednostce. Słyszałem, że chciałeś zostać profilerem, ale ostatecznie doszłeś do wniosku, że nie poradzisz sobie z okropieństwami, które bez przerwy napływają do jednostki we dnie i w nocy.

– Zgadza się. Skąd pan wie? Wyszłam od pana Petty'ego przed niecałym kwadransem.

- Nie przez telepatię. - Wskazał telefon. - Przydaje się, chociaż osobiście wolę pocztę elektroniczną. W zasadzie zgadzam się z tobą. Ja też nie mogłem tam wytrzymać. Profilerzy bardzo szybko się wypalają, jak na pewno słyszałaś. Ponieważ przez tyle czasu skupiają się na najgorszych ludzkich cechach, później nie potrafią nawiązać kontaktu z normalnymi ludźmi. Tracą właściwą perspektywę. Nie znają własnych dzieci. Niszczą swoje małżeństwa.

Usiadła na krawędzi krzesła, lekko wychylona do przodu, wygładziła granatową spódniczkę.

- Spędziłam z nimi tydzień. Wiem, że widziałam tylko małą część tego, co robią. Wtedy zrozumiałam, że nie nadaję się do takiej pracy. Miałam uczucie, że zawiodłam.
- Każde zadanie, Sherlock, wymaga mnóstwa różnorodnych talentów. Nie zostałam profilerem, ale to jeszcze nie znaczy, że zawiodłam. W gruncie rzeczy uważam, że to, co my robimy, jest bardziej normalne. A więc prosiłem, żeby cię przydzielono do mnie, ponieważ w sensie akademickim chyba masz to, czego potrzebuję. Twoje wyniki naukowe są imponujące. Chociaż jedno mnie zastanawia. Dlaczego wzięłaś roczny urlop pomiędzy pierwszym a drugim rokiem studiów?
- Byłam chora. Mononukleozą.
- A tak, tutaj jest wpis. Nie rozumiem, dlaczego to przeoczyłem.

Patrzyła, jak wertuje kolejne kartki. Wcale tego nie przeoczył. Podejrzewała, że nigdy niczego nie przeoczył. Powinna przy nim zachować ostrożność. Czytał szybko. Raz zmarszczył brwi. Podniósł na nią wzrok.

- Nie wiedziałem, że mono może przykuć człowieka do łóżka na cały rok.
- Niekoniecznie. Po prostu przez następne dziewięć czy dziesięć miesięcy byłam w złej formie, osłabiona, naprawdę wyczerpana.

Zerknął na kartkę leżącą na wierzchu.

- Właśnie skończyłaś dwadzieścia siedem lat i przyszałaś prosto do Biura po obronie magisterium.
- Tak.
- To twoja pierwsza praca.
- Tak.

Wiedziała, że chciał od niej uzyskać obszerniejsze odpowiedzi, ale nie zamierzała ulegać. Proste pytanie, prosta odpowiedź, tylko tyle z niej wyciągnie. Słyszała o jego reputacji. Był nie tylko bystry, ale umiał przejrzeć człowieka na wylot. Nie chciała, żeby ją przejrział. Od dawna przywykła do ostrożności. Teraz też nie przestanie się pilnować. Nie mogła sobie na to pozwolić.

Zmierzył ją chmurnym wzrokiem. Rzucił akta na biurko. Nosila praktyczny ciemnoniebieski kostium o surowym kroju i białą bluzkę. Ciemnokasztanowe włosy ciasno ściągnęła do tyłu i spięła na karku złotą klamrą. Przypomniat sobie, jak wyglądała, kiedy przewrócił ją na klomb petunii w Alei Hogana. Wtedy miała włosy zaczesane do tyłu. Prawie za chuda, o zanadto wystających kościach policzkowych. Ale pokonała go, nie straciła opanowania, nie zapomniała o wyszkoleniu.

- Czy wiesz, czym się zajmuje ta jednostka? - zapytał.
- Pan Petty powiedział, że kiedy przestępca wyrusza w trasę, miejscowa policja często wzywa nas na pomoc.
- Tak. Nie zajmujemy się porwaniami. Inni załatwiają to śpiewająco. Nie, my ograniczamy się do tych potworów, które nie przestają zabijać, dopóki ich nie powstrzymamy. I podobnie jak JSD współpracujemy z miejscowymi agencjami, które uważają, że przydaje się spojrzenie z zewnątrz na wypadek, gdyby coś przeoczyli w miejscowej zbrodni. Zwykle to zabójstwo. - Przerwał, odchylił się do tyłu i patrzył na nią, i znowu widział ją leżącą na plecach wśród petunii. –I tak jak JSD, wkraczamy tylko na żądanie. W naszej pracy musimy być bardzo otwarci, intuicyjni, obiektywni. Nie tworzymy profili jak JSD. Opieramy się na komputerach. Używamy

specjalnych programów, które pomagają nam patrzeć na zbrodnię z wielu różnych punktów widzenia. Te programy korelują dane o dwóch lub więcej zbrodniach, popełnionych prawdopodobnie przez tę samą osobę, żeby wydobyć każdy istotny szczegół, każdą zbieżność. Główny program nazywamy PAP, Predykcyjny Analogowy Program.

– Pan napisał te programy, prawda, sir? I dlatego kieruje pan jednostką?

Wyszczrzył do niej zęby.

– Aha. Pracowałem na prototypach przez długi czas, zanim powstała ta jednostka. Lubię łapać facetów, którzy żerują na społeczeństwie, i prawdę mówiąc, komputer, przynajmniej moim zdaniem, jest najlepszym narzędziem do ich wykrywania. Ale niczym więcej, Sherlock, tylko narzędziem. Może ujawnić wzorce, dziwaczne korelacje, lecz musimy wprowadzić dane, żeby uzyskać wzorce. Potem oczywiście trzeba zobaczyć te wzorce i odczytać je prawidłowo. Wszystko sprowadza się do tego, w jaki sposób postrzegamy możliwości i alternatywy przedstawione przez komputer; w jaki sposób decydujemy, które dane wprowadzić. Zobaczysz, że PAP ma zdumiewającą ilość programów. Jeden z moich ludzi nauczy cię tego. Przy odrobinie szczęścia twoje akademickie przygotowanie z kryminologii i psychologii pozwoli ci dodać więcej parametrów, więcej programów, więcej metod wykrywania znaczących danych i korelowania informacji, które rzucą nowe światło na zbrodnię, wszystko w celu schwytania przestępcy.

Chciała natychmiast złożyć podpis na kropkowanej linii. Chciała nauczyć się wszystkiego w ciągu następnych pięciu minut. A najbardziej chciała go zapytać, kiedy otrzyma dostęp do wszystkiego, co dotąd zrobił. Udało jej się nie otworzyć ust.

– Dużo podróżujemy, Sherlock, często musimy wyjechać bez uprzedzenia. Pracy przybywa, bo coraz więcej gliniarzy dowiadyuje się o nas i chce się przekonać, co daje nasza analiza. Jakie jest twoje życie osobiste? Widzę, że

nie jesteś mężatką, ale czy masz chłopaka? Kogoś, z kim zwykle spędzasz czas?

– Nie.

Czuł się tak, jakby próbował otworzyć puszkę paznokciami.

– Czy żadasz obecności swojego adwokata? Zamrugła.

– Nie rozumiem, sir.

– Jesteś oszczędna w słowach, Sherlock. Żartowałem.

– Przepraszam, jeśli pana zdaniem za mało mówię.

Chciał jej powiedzieć, że wkrótce będzie mówiła mu wszystko. Był dobry. Właściwie najlepiej szło mu z komputerami, ale potrafił również rozwiązać język każdemu w Biurze. Na razie jednak dostosuje się do niej. Nic, tylko fakty.

– Nie mieszkasz z nikim? - zapytał.

– Nie, sir.

– Gdzie mieszkasz, agentko Sherlock?

– W tej chwili nigdzie, sir. Myślałam, że wyślą mnie do Los Angeles. Ponieważ zostanę w Waszyngtonie, muszę sobie znaleźć mieszkanie.

Trzy zdania. Zrobiła się prawie gadatliwa.

– Pomożemy ci w tym. Masz rzeczy na składzie?

– Niewiele, sir.

Rozległo się słabe „bip”.

– Chwileczkę. - Savich spojrział na ekran laptopa. Potarł szczękę, czytając. Potem wpisał coś szybko, zerknął na ekran, postukał palcami w biurko i kiwnął głową. Podniósł na nią wzrok. Szczerzył zęby jak wariat.

– E-mail. Nareszcie, nareszcie mamy szansę złapać Tostera.

Rozdział 4

Savich sprawiał wrażenie, że zaraz wskoczy na biurko i zatańczy. Nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu i zacierania rąk.

– Toster, sir?

– O tak. W tej sprawie wszędzie zapuściłem macki. Przepraszam, agentko Sherlock.

Podniósł słuchawkę telefonu i zaczął wystukiwać numer. Potem przerwał i zaklął cicho.

– Zapomniałem. Żona Ellisa właśnie rodzi. Przed godziną pojechała do szpitala, więc on nie wchodzi w grę. Nie, nie poproszę go. Będzie chciał przyjechać, ale powinien zostać z żoną. To ich pierwsze dziecko. Choć będzie strasznie wkurzony, że go to ominie... Nie, po prostu nie mogę. On musi być przy żonie. - Przez chwilę wpatrywał się we własne dłonie, potem znowu podniósł na nią wzrok z lekko zmartwioną miną. - Co powiesz na chrzest bojowy?

Serce jej szybciej zabiło. Była całkiem zielona, a Savich dawał jej szansę.

– Jestem gotowa, sir.

Mało nie wyskoczyła z krzesła. Nie pamiętał, żeby wykazywał taką gorliwość w swoim pierwszym dniu. Wstał.

– Dobrze. Po południu lecimy do Chicago. Streszczenie: Mamy faceta, który zabił czteroosobową rodzinę w Des Moines. To samo zrobił w St. Louis trzy miesiące później. Po St. Louis media ochrzciły go Toster. Opowiem ci o tym w samolocie. Dzwonił kapitan Brady z Departamentu Policji Chicago, wydział zabójstw, który wierzy, że możemy mu pomóc. Właściwie modli się o to. Media chcą czegoś w antrakcie, a on nie da im nawet tańczącego

niedźwiedzia. Ale my damy. - Spojrzał na zegarek. - Spotkamy się na lotnisku za dwie godziny. Zostaniemy tam najwyżej trzy dni.

Opuścił rękawy białej koszuli i sięgnął po marynarkę.

– Naprawdę chcę złapać tego faceta, Sherlock.

Toster. Też o nim słyszała. Wyszukiwała takie potwory we wszystkich większych gazetach. Tak, znała szczegóły, przynajmniej te, które trafiły do prasy.

Otworzył przed nią drzwi gabinetu. Oczy miała roziskrzzone, jak po prochach.

– To znaczy, że wiecie, jak go złapać?

– Tak. Tym razem go dostaniemy. Kapitan Brady powiedział, że ma kilka tropów, ale potrzebuje nas do pokierowania akcją. Idź się spakować. Muszę zawiadomić kilku ludzi w jednostce. Ollie Hamish mnie zastępuje.

Lecieli liniami United w klasie biznesu.

– Myślałam, że Biuro pozwala agentom latać tylko w klasie turystycznej.

Savich wepchnął teczkę pod fotel przed sobą i zajął miejsce.

– Awansowałem nas. Pozwolisz, że usiądę przy przejściu?

– Pan jest szefem.

– Tak, ale teraz możesz mi mówić Dillon albo Savich. Reaguję na jedno i drugie. Jak cię nazywają?

– Sherlock, sir. Po prostu Sherlock.

– Spotkałem raz twojego tatę, jakieś pięć lat temu, zaraz jak go mianowali sędzią. Wszyscy w siłach porządkowych ucieszyli się z jego nominacji, bo nie był pobłażliwy dla skazanych przestępców. Pamiętam, że liberałowie w twoim rodzinnym stanie nie bardzo pochwalali ten wybór.

– Nie - przyznała, wyglądając przez okno, kiedy 767 rozpędzał się na pasie startowym. - Nie bardzo. Dwukrotnie próbowano go odwołać... oczywiście w

obu przypadkach bez powodzenia. Pierwszy raz po tym, jak podtrzymał karę śmierci dla mężczyzny, który zgwałcił i torturował dwóch małych chłopców, a potem ukrył ich ciała na śmietniku w Palo Alto. Za drugim razem nie chciał wypuścić za kaucją nielegalnego meksykańskiego imigranta, który porwał i zamordował miejscowego biznesmena.

- Trudno uwierzyć, że ludzie rzeczywiście stają w obronie takich morderców.
- Owszem, stają. W pierwszym przypadku argumentowali, że mój ojciec nie okazał współczucia, bo temu człowiekowi żona zmarła na raka, a synek zginął przejechany przez pijanego kierowcę. Facet zasługiwał, by dać mu szansę. Rozpacz popchnęła go do torturowania tych chłopców. Okazał skruchę, przysięgał, że sam nie wiedział, co robi, ale tato powiedział: „Bzdura” i podtrzymał karę śmierci. Co do nielegalnego Meksykanina, obwołali tatę rasistą, twierdzili, że nie ma dowodu, że ten człowiek ucieknie ze Stanów. Poza tym twierdzili, że Meksykanin porwał biznesmena, ponieważ tamten nie chciał mu dać pracy i zagroził, że zadzwoni do Biura Imigracyjnego, jeśli facet nie wyjedzie. Nieważne, że biznesmen był imigrantem... legalnym. Również poważnie wątpię w tę groźbę.
- Nie udało im się go odwołać.
- Nie, ale mało brakowało. Trzeba przyznać, że Bay Area to fascynujące miejsce na dorastanie. Jeśli tylko można się do czegoś przyczepić, jakaś grupa miejscowych na pewno skorzysta z okazji.
- Co twój tato powiedział, kiedy wstąpiłaś do FBI?

Stewardesa przemówiła przez system głośników, przypominając o pasach i maskach tlenowych. Zobaczył coś w jej oczach - czujność, ulgę, że nareszcie mogła skupić się na czymś innym zamiast na jego pytaniach. Stanowiła prawdziwą zagadkę. Bardzo sobie cenił zagadki. Trudne go fascynowały. Postanowił zadać jej ponownie to pytanie. Może kiedy będzie zmęczona lub rozproszona.

Usiadł wygodnie i nie powiedział już nic więcej. Kiedy znaleźli się w powietrzu, otworzył swoją teczkę i podał jej grubą aktówkę.

- Mam nadzieję, że czytasz szybko. Tu jest wszystko o trzech różnych zbrodniach. Wiem, że nie masz laptopa, więc kazałem to ściągnąć i wydrukować dla ciebie. Przeczytaj uważnie i postaraj się jak najwięcej zapamiętać. Jeśli będziesz miała pytania, zapisz je i zapytaj mnie później.
- Delikatnie ustawił laptop na rozkładanym blacie i zabrał się do pracy.

Zaczekał, aż podano im obiad, zanim znowu się odezwał.

- Przeczytałaś wszystko?
- Tak.
- Szybka jesteś. Pytania? Pomysły?
- Tak.

Tym razem nic nie mówił, tylko przeżuwał i czekał. Patrzył, jak od-kroiła mały kawałeczek sałaty na swoim talerzu. Nie zjadła go, tylko się nim bawiła.

- Czytałam już o tym człowieku w gazetach. Ale tutaj jest dużo więcej.

Mówiła z uniesieniem, jakby dopuszczono ją do klubu wtajemniczonych. Przyjrzał się jej, marszcząc brwi. Nagle odchrząknęła i przybrała neutralny ton głosu.

- Rozumiem, że on ma niską samoocenę, pewnie jest niezbyt inteligentny, wykonuje nisko płatną pracę, jest samotnikiem i niełatwo nawiązuje stosunki z ludźmi...

Czekał, bo był w tym dobry.

- Zawsze się zastanawiałam, dlaczego szlachtował rodziny. Dokładnie czteroosobowe rodziny.
- Powiedziałaś: szlachtował. Interesujące.

Nie zamierzała tak powiedzieć. Nabiła sałatę na widelec i przeżuwała powoli. Powinna bardziej uważać.

- Zwykle przejęzyczenie.
 - Nie, to nie było przejęzyczenie, ale zostawmy to na razie, Sherlock. Ta sprawa z rodzinami... ludzie z JSD, jak czytałaś w ich profilu, uważają, że on mieszkał w tym samym bloku co pierwsza rodzina, którą zabił w Des Moines, znał ich, nienawidził, chciał ich zniszczyć, czego w końcu dokonał. Jednakże w najbliższym otoczeniu pierwszej zbrodni w Des Moines nie znaleźli nikogo pasującego do tego opisu. Więc doszli do wniosku, że w tym przypadku stworzyli niewłaściwy profil. Wszyscy byli skonsternowani, kiedy znowu zabił w St. Louis. Podczas rozmowy z kapitanem Bradym z Chicago zapytałem go, czy policja w St. Louis szukała w okolicy ewentualnego podejrzanego. Owszem, lecz nie znaleźli nikogo, kto by im pasował.
 - Ale pan już wcześniej rozmawiał z policją w St. Louis, prawda?
 - Tak.
 - Dużo pan wie.
 - Myślałem o tej sprawie, Sherlock, myślałem i myślałem, i starałem się ją zrekonstruować. W przeciwieństwie do glin jestem przekonany, że profil trafił w dziesiątkę.
 - Chociaż nie znaleźli nikogo pasującego do profilu ani w Des Moines, ani w St. Louis?
 - Właśnie.
 - Pan mnie podpuszcza, sir.
 - Tak, ponieważ chciałem się przekonać, co wymyślisz. Zobaczmy, czy ruszasz głową równie szybko jak tym damskim coltem.
- Rozłożyła palce, długie, smukłe palce z krótko przyciętymi paznokciami.
- Przecież pan mi go wykopał z ręki. To nie miało znaczenia.
 - Ale potrafisz dobrze łapać. Nie spodziewałem się tego ruchu Portera.

Uśmiechnęła się do niego, chwilowo rozbrojona.

- Ćwiczyliśmy to. Podczas innego treningu on został zakładnikiem. Rzuciłam mu broń, ale chybił. Bandyta tak się wściekł, że zastrzelił Portera. Wyobraża pan sobie, jak na nas wrzeszczeli instruktorzy. Ćwiczyliśmy - powtórzyła.

Powoli powiedział, zamykając laptop:

- Raz zawałem, kiedy byłem kursantem w Akademii. Szkoda, że nie nauczyłem się tego sposobu. Mój partner, James Quinlan, odgrywał rabusia bankowego w Alei Hogana i FBI go zgarnęło. Musiałem tam stać i patrzeć, jak go zabierają. Gdybym mu rzucił broń, miałby szansę. Chociaż Bóg wie, co się mogło stać. - Westchnął. - Quinlan sypnął mnie w śledztwie. Pewnie się spodziewał, że go odbiję, a kiedy się nie zjawilem, zaczął śpiewać. Zresztą nie miałem pojęcia, jak miałbym go odbić. W każdym razie złapali mnie godzinę później, kiedy wyjeżdżałem z miasta kradzionym samochodem, niebieskim buickiem burmistrza.
- Quinlan?
- Tak. - Nic więcej, tylko potwierdzenie. Niech się trochę pomęczy.
- Kto to jest Quinlan?
- Agent i dawny przyjaciel. A więc jak myślisz, Sherlock, co znajdziemy w Chicago?
- Mówił pan, że chicagowska policja jest blisko. Jak blisko?
- Sama czytałaś. Świadek zeznał, że widział mężczyznę wybiegającego z domu ofiary. Mają opis. Zobaczymy, jak dokładny.
- Co pan wie, sir, czego nie ma w raporcie?
- Większość to domysły - odparł - i trochę świetnych kawałków z mojego komputerowego programu.

Skinął na stewardesę, żeby zabrała filiżankę. Ostrożnie zamknął laptop i wsunął do utwardzonej teczki.

- Jesteśmy prawie nad O'Hare - powiedział, oparł się wygodnie i zamknął oczy.

Zrobiła to samo. Nie pokazał jej komputerowej analizy sprawy. Może myślał, że dostała już wystarczająco dużo, i chyba miał rację. Nie chciała oglądać zdjęć z miejsca zbrodni, ale musiała. To było trudne. Gazety nie zamieściły żadnych zdjęć. Teraz prawdziwe fotografie rzuciły jej tę grozę prosto w twarz. Nie mogąc się powstrzymać, zaczęła mówić na głos:

- We wszystkich trzech przypadkach rodzice byli przed czterdziestką; dwoje dzieci - zawsze chłopiec i dziewczynka - miało dziesięć i dwanaście lat. W każdym przypadku ojciec został postrzelony w klatkę piersiową i po raz drugi w brzuch, drugi strzał oddany po śmierci, jak ustaliła autopsja. Matka została przywiązana do kuchennego stołu, zbita po twarzy, następnie uduszona sznurem od toster, stąd przywisko Toster. Dzieci zostały związane, zakneblowane, wepchnięte głowami do piekarnika. Jak Jaś i Małgosia. To gorzej niż okropne. Ten facet jest ciężko chory. Zastanawiałam się, co by zrobił, gdyby rodzina nie miała toster.
- Tak, ja też się zastanawiałem - przyznał, nie otwierając oczu. -Widocznie odwiedził każdy dom przed morderstwem i sprawdził, czy w kuchni stoi toster.
- Albo przynosił tostery ze sobą.
- Możliwe, ale wątpię. Za bardzo rzuca się w oczy. - Ustawił oparcie fotela prosto. - Ktoś mógł zobaczyć, że facet coś niesie. Kolejna sprawa: w wielu domach piecyki są umieszczone wysoko i wbudowane w ścianę. Jak wtedy zabiłby dzieci? Na fotografiach są tylko staroświeckie duże kuchenki.
- Musiał sprawdzić dużo rzeczy, kiedy odwiedzał te rodziny, prawda?

Zerknęła na jego profil. Nie odpowiedział. Powoli wsunęła zdjęcia do koperty, każde oznaczone. Powoli złożyła kartki, wyrównała i starannie umieściła z powrotem w folderach. On długo o tym myślał. Ale przecież ona też myślała. Wciąż chciała zobaczyć analizę komputerową, lecz nie wysunęła takiego żądania.

Stewardesa ogłosiła, że rozpoczynają schodzenie nad Chicago i wszyscy muszą wyłączyć sprzęt elektroniczny. Savich zapiął pas.

- O tak, nasz chłopiec sprawdził dużo rzeczy.
- Jak pan zapamiętał moje pytanie? Zadałam je pięć minut temu.
- Jestem w FBI. Jestem dobry. - Znowu zamknął oczy.

Miała ochotę go kopnąć. Odwróciła się i wyrzała przez okno. W dole jaśniały gęste światła. Serce jej uderzyło szybciej. Pierwsze zadanie. Chciała spisać się jak najlepiej.

- Ty też jesteś teraz w FBI, Sherlock.

Rzucił jej kość, prawie bez mięsa, ale w każdym razie kość, więc uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Zapięła pas. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od świateł Chicago. Alleluja! Nie będzie łąpała bandytów rabujących banki.

Rozdział 5

Osiemnastego października w Chicago było pochmurnie i chłodno, najwyżej dwanaście stopni. Lacey nie była w Chicago, odkąd skończyła dwadzieścia jeden lat i przez cały rok odwiedzała kolejne departamenty policji, śledząc trop, który prowadził donikąd. . Co do Savicha, nawet nie całkiem zdawał sobie sprawę, że jest w Chicago; myślał wyłącznie o tym chorym łajdaku, który brutalnie zamordował trzy rodziny. Oficer Alonso Ponce odebrał ich z lotniska i zaprowadził do nie oznakowanego jasnoniebieskiego forda crown victoria.

- Kapitan Brady myślał, że nie chcecie przyjeżdżać na posterunek patrolowym wozem. To prywatny ford kapitana.

Po czterdziestu pięciu minutach lawirowania w gęstym ruchu, wśród trąbiących nieustannie samochodów, Ponce wysadził ich przy komisariacie w Jefferson Park, w miłej, spokojnej dzielnicy, zamieszkaney wyraźnie przez klasę

średnią. Kwadratowy, jednopiętrowy budynek komisariatu stał na West Gale, przy skrzyżowaniu dwóch głównych ulic, Milwaukee i Higgins. Miał piwnice, powiedział im Ponce, ponieważ zbudowano go w 1936 roku. Siedem lat temu przeszła tędy trąba powietrzna, więc wszystkich upchnięto w piwnicach, razem z więźniami. Jeden czubek próbował uciec. Niewiele tu zmodernizowano od lat siedemdziesiątych. Przed frontem stała niewielka skrzynka z kilkoma przywiewdłymi kwiatami i gołym masztem flagowym.

W środku wyglądało równie znajomo jak na wszystkich komisariatach, które widział Savich - beżowe linoleum na podłodze, pewnie wymienione w ciągu ostatnich dziesięciu lat, chociaż kto wie? Wyglądało na czterdziestoletnie. Kwiatowy odświeżacz powietrza nie tłumił smrodu uryny. Kilka osób człapało korytarzem lub siedziało na długiej ławie pod ścianą, ponieważ była ósma wieczorem. Przynajmniej połowa to byli nastoletni chłopcy. Zaciekawilo go, co przeskrobali. Pewnie prochy.

Savich zapytał dyżurnego sierżanta, gdzie znajdzie kapitana Brady'ego. Funkcjonariusz, czujny na widok odznak FBI, zaprowadził ich do sali odpraw z kilkoma oszklonymi biurami w głębi. Pokój został podzielony na moduły, nowe usprawnienie, którego nikt nie lubił, powiedział im funkcjonariusz. O tej porze panował względny spokój, tylko od czasu do czasu dzwoniły telefony. W sali odpraw znajdowało się około tuzina ludzi, wszyscy po cywilnemu.

Kapitan Brady był Murzynem w wieku około czterdziestu pięciu lat, z silnym południowym akcentem. Chociaż nie miał ani jednego siwego włosa, wyglądał staro na swoje lata, zmęczony, z głębokimi bruzdami wokół ust. Na ich widok rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu. Wszedł zza zagraconego biurka i wyciągnął rękę.

- Agent Savich?
- Tak, kapitanie. - Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.
- A to jest agentka Lacey Sherlock.

Kapitan Brady podał jej rękę i obdarzył krzywym uśmiechem.

– Daleko pani zawędrowała od Londynu, co?

Odwzajemniła uśmiech.

– Tak, sir. Zapomniałam kapelusza, ale fajkę mam w torebce. Nawet nie wiedziała, że Savich zna jej imię.

Savich oglądał komputer na biurku kapitana.

Brady wskazał im dwa fotele stojące naprzeciwko sofy. Fotele okazały się nadspodziewanie wygodne. Kapitan zajął miejsce na sofie. Pochylił się do przodu, splótł dłonie między kolanami.

– Bud Hollis w St. Louis powiedział, że śledzicie sprawę, odkąd ten facet zabił pierwszą rodzinę w Des Moines i tamtejsza policja poprosiła FBI o sporządzenie profilu. Powiedział, że powinienem tu pana ściągnąć, dlatego wysłałem e-maila. Bardzo cenił pana pomysły, chociaż do niczego go nie doprowadziły. Ale pan o tym wie. Ten morderca to tajemnica. Niczym się nie zdradza. Jest jak duch.

Odkasznął w dłoń, niski, szarpiący kaszel.

– Przepraszam, jestem skonany. Żona zmyła mi głowę dzisiaj rano. -Wzruszył ramionami. - Lecz cóż możemy zrobić? Harujemy po godzinach, odkąd ten facet wymordował rodzinę przed trzema dniami. Zrobił to dokładnie o szóstej, dokładnie w czasie obiadu, dokładnie o tej samej porze, jak w przypadku poprzednich morderstw. Ale pan już to wie, przepraszam. Dostał pan wszystkie raporty policyjne, które panu wczoraj przesłałem?

– O tak - potwierdził Savich. - Miałem nadzieję, że pan skontaktuje się ze mną.

– Kapitan kiwnął głową.

– Bud Hollis powiedział też, że pan ma łeb na karku, nie goni za rozgłosem i prowadzi śledztwo za pomocą komputera. Nie rozumiem tego, ale chętnie spróbuję. Do ostatniej chwili nie byłem pewien, czy powinienem was tutaj sprowadzać. Dziękuję, że przyjechaliście tak szybko. Pomyślałem, że powinienem z wami pogadać przez chwilę, zanim przedstawię was

detektywom prowadzącym sprawę. Hm, nie są zachwyceni, że was wezwałem.

- Nic nie szkodzi - oświadczył Savich i założył nogę na nogę. -Miał pan rację, kapitanie. Ani agentce Sherlock, ani mnie nie zależy na rozgłosie. Chcemy tylko przymknąć tego faceta.

Lacey bardzo tego chciała. Chciała jego śmierci.

- Niestety, nie mamy nic więcej niż po południu, kiedy do pana napisałem. Biuro burmistrza wywiera spory nacisk; wszyscy chowają się w toaletach, bo media szaleją od tamtego pierwszego wieczoru, kiedy to się stało. Nie dają nam spokoju. Czy pan wie, że jedna stacja zdobyła fotografie miejsca zbrodni i pokazywała je w wiadomościach o dziesiątej wieczorem? Cholerne sępy. Wiedzą wszystko o Des Moines i St. Louis, i że tamtejsza prasa nazwała faceta Toster. Wystraszyli ludzi na śmierć. W komisariacie krąży dowcip, że wszyscy wyrzucają przybory kuchenne. Czytał pan raporty o morderstwach, prawda?

- Tak. Wszystkie. Były bardzo dokładne.

- Więc chyba czas przejść do rzeczy, agencie Savich. Czy możecie nam pomóc?

- Agentka Sherlock i ja mamy kilka pytań. Chcielibyśmy spotkać się z pana ludźmi i otrzymać odpowiedzi. Tak, kapitanie, nie mam żadnych wątpliwości, że możemy wam pomóc.

Kapitan Brady obdarzył Savicha nieufnym uśmiechem, ale w jego zmęczonych oczach zablęśnięła iskierka nadziei.

- Więc do roboty - powiedział, chwycił gruby folder z biurka, podszedł do drzwi i wrzasnął: - Dubrosky! Mason! Biegiem do sali konferencyjnej!

Odwrócił się do nich i oznajmił:

- Nie cierpię tych modułów. Zainstalowali je w zeszłym roku. Nikogo nie widać i facet, którego potrzebujesz, mógł akurat wyjść do sracza. - Zerknął

na Lacey. - No, albo dziewczyna, ee, funkcjonariuszka, której potrzebujesz, mogła akurat wyjść do damskiej toalety.

Widocznie ani Dubrosky, ani Mason nie wyszli do sracza. Czekali już na agentów FBI w sali konferencyjnej, stojąc sztywno z wrogimi minami. Kapitan Brady miał rację co do jednego - nie byli zachwyceni. To był ich teren i nie potrzebowali tutaj żadnych agentów FBI, żeby wtykali nos w ich sprawy. Popatrzyli na Sherlock, po ich minach poznała, że nie liczyli zbyt na pomoc z jej strony. Dubrosky powiedział:

- Chyba nie potraktuje nas pani jak Watsonów, agentko Sherlock?
- Bynajmniej, detektywie Dubrosky, chyba że któryś z was jest lekarzem.

Nagrodził ją niechętnym uśmiechem.

Chciała powiedzieć im wszystkim, włącznie z Savichem, że teraz wie o tym facecie tyle samo co oni, może nawet więcej niż chicagowskie gliny, że myślała o nim równie długo jak Savich, ale trzymała gębę na kłódkę. Zastanawiała się, co takiego Savich ukrywa w rękawie. Znała go dopiero od siedmiu godzin, lecz mogła się założyć o ostatni grosz, że ukrywał tam całkiem sporo. Nie zdziwiłoby jej, gdyby znał nazwisko i adres faceta.

Usiedli w małej salce konferencyjnej, rozłożywszy na stole wszystkie akta i fotografie. Przy jej łokciu leżało zdjęcie z miejsca zbrodni. Przedstawiało panią Lansky, ze sznurem od tosterka zaciśniętym na szyi. Odwróciła zdjęcie i spojrzała na Savicha.

Ten wyraz twarzy zdążyła już nazwać „miną FBI”. Wpatrywał się w Dubrosky'ego spokojnie i z namysłem. Zastanawiała się, czy widział więcej niż ona. Biedny Dubrosky: wydawał się tak zmęczony, że nawet nie odczuwał wyczerpania, człowiek, który zapomniał o uśmiechu i wyglądał tak, jakby stracił najlepszego przyjaciela. Był żylasty, pewnie pił za dużo kawy. Nie mógł usiedzieć spokojnie. Nosił wygnieciony brązowy garnitur i brązowy krawat, który przypominał pętlę wisielca. Na policzkach miał cień zarostu.

Savich oparł łokcie na stole, spojrzał mu prosto w oczy i zapytał:

- Detektywie, czy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy w mieszkaniu Lanskich byli jacyś robotnicy od napraw?

Dubrowsky odchylił się do tyłu, potem znowu opadł do przodu i walnął pięścią w stół.

- Pan nas uważa za cholernych idiotów? Oczywiście, że wszystko sprawdziliśmy! Trzy tygodnie temu był facet z naprawy telefonów, ale rozmawialiśmy z nim i jest niewinny. Zresztą ma co najmniej pięćdziesiąt lat i siedmioro dzieci.

Savich kontynuował tym samym spokojnym głosem:

- Skąd wiecie, że nie było innych robotników?
- W książeczce czekowej Lanskich nie znaleźliśmy żadnych wydatków na naprawy, żadnych kwitów, a sąsiedzi nie wiedzieli o żadnych zepsutych urządzeniach. Rozmawialiśmy z członkami rodziny, nawet z tymi, którzy mieszkają poza miastem... nikt z nich nie wiedział o żadnych naprawach u Lanskich.
- Czy w okolicy pojawili się jacyś obcy na tydzień przed morderstwem? W dniu morderstwa?
- No jasne. Dostawcy pizzy, kilku adwentystów Siódmego Dnia, facet agitujący na miejscową kampanię polityczną - odparł Mason, młodszy detektyw, ubrany w bardzo kosztowny niebieski garnitur i równie zmęczony jak partner. Savich wyobrażał sobie, że podczas przesłuchania Mason odgrywał rolę dobrego policjanta, a Dubrowsky złego. Promieniował szczerością i naiwnością, które prawdopodobnie stracił dawno temu.

Westchnął z przygnębieniem i rozłożył dłonie na blacie stołu.

- Ale w domu Lanskich nie widziano nikogo oprócz kobiety i jej córki, które chodziły od drzwi do drzwi i sprzedawały ciasteczka skautek. To było na dzień przed morderstwem. Co nie znaczy, że chłopcy z UPS nie zatrzymali się tam tydzień wcześniej, ale wszyscy twierdzą, że to niemożliwe. To mała, zżyta społeczność. Wie pan, wszyscy we wszystko się

wtrącają. Starsza pani, która mieszka naprzeciwko Lanskich po drugiej stronie ulicy, potrafiła nawet opisać kobietę i dziewczynkę sprzedające ciastka. Wątpię, czy obcy mógł tam wejść tak, żeby go nie zauważyła. Chciałem ją zapytać, czy prowadzi dziennik wszystkich wejść i wyjść w okolicy, ale Dubrosky powiedział, że mogłaby się obrazić i nic więcej nie powiedzieć. Kapitan Brady wtrącił:

- Wie pan, agencie Savich, ten cały pomysł z facetem, który wchodzi do mieszkania pod fałszywym pozorem, dociera do kuchni i sprawdza, czy rodzina ma toster oraz duży gazowy piekarnik na poziomie podłogi, zanim ich zakatrupi, nikomu nie przyszedł do głowy, póki pan tego nie podsunął Budowi Hollisowi z St. Louis. Właśnie on kazał nam przepytwać wszystkich sąsiadów w promieniu dwóch przecznic. Jak powiedział Mason, nie było żadnych obcych, nawet dostawy z kwiaciarni do domu Lanskich. Wszyscy są pewni. I żaden z sąsiadów nie wygląda na świra. Podczas przesłuchań specjalnie wypatrywaliśmy świrów, na wszelki wypadek.

Savich oczywiście wiedział o tym, a kapitan Brady wiedział, że on wie, ale chciał narzucić detektywom swój tok myślenia. Przyjął od Masona kubek kawy, gęstej jak saudyjska ropa.

- Wszyscy zapoznaliście się z profilem sporządzonym przez FBI po pierwszych morderstwach w Des Moines. Założyliśmy, że zabójca jest mężczyzną w wieku pomiędzy dwudziestką a trzydziestką, kawalerem, że mieszka w sąsiedztwie albo niedaleko, prawdopodobnie z rodzicami albo z krewniakami. Ponadto żywił zadawnioną nienawiść, urazę albo jedno i drugie wobec rodziny z Des Moines, o czym raczej nie wiedzieli ani oni, ani ich przyjaciele. Niestety to nie wypaliło.
- Co pan powie - burknął Dubrosky, stukając długopisem w drewniany blat. - Gliny w Des Moines zmarnowały mnóstwo godzin, idąc za tą wskazówką. Wymaglowali każdego faceta w promieniu trzech przecznic od tamtego domu, lecz żaden nie pasował do profilu. Potem się okazało, że Toster to nie

zwykły jednorazowy zabójca, ale seryjny zabójca. Dzięki Bogu nie marnowaliśmy czasu na takie ćwiczenia. Nie jesteście nieomylni. - Spodobało mu się to, co powiedział. Miał zadowoloną minę. - Nie, tym razem spudłowaliście na całego, nie trafiliście nawet w brzeg tarczy. Jak mówił kapitan, rozmawialiśmy ze wszystkimi sąsiadami. Ani jednego świra w okolicy.

- Nie sądzę, byśmy spudłowali - wyjaśnił Savich. - Proszę mi wierzyć, profile zdumiewająco często trafiają w dziesiątkę. - Milczał przez chwilę, zanim podjął: - Na razie wszyscy się zgadzają, że ten sam facet zamordował trzy rodziny. Wydaje się sensowne, że musiał przedtem złożyć wizytę w każdym domu, żeby sprawdzić, czy mają toster i klasyczną pełnowymiarową kuchenkę z piekarnikiem, stojącą na podłodze. Nie elektryczną, tylko gazową. Dostawcy kręcili się w okolicy domu i w Des Moines, i w St. Louis, ale rzecz w tym, że nikt niczego nie jest pewien. Zanim zaczęto sprawdzać teorię, że morderca mieszkał w sąsiedztwie, ludzie zdążyli już zapomnieć o naprawach czy dostawach. Nikt nie pamięta, czy kogoś widział.
 - Dobre podsumowanie, Savich - rzekł Dubrosky.
 - Cierpliwości, detektywie. - Savich pociągnął następny łyk kawy. - Ten zajzajer nadaje się na paliwo rakietowe, gdyby go rozcieńczyć. Sherlock jako jedyna nagrodziła go skąpym uśmiechem. Savich ciągnął:
 - Zrobiliście kawał roboty w terenie i to natychmiast. Udowodniliście, że w pobliżu domu Lanskich nie kręcił się żaden robotnik, komiwojażer czy nawet facet, któremu zepsuł się samochód i chciał zadzwonić do warsztatu. Więc wracamy do podstawowego pytania. W jaki sposób dostał się do domu Lanskich? Konkretnie do kuchni, żeby sprawdzić, czy mieli wszystkie potrzebne mu urządzenia?
- Dubrosky ostentacyjnie spojrział na zegarek.
- Słuchaj pan, Savich, pomyśleliśmy o wszystkim. Sprawdziliśmy, że wszystkie trzy domy były stare, tutaj, w Des Moines i w St. Louis. Dla mnie

to oznacza spore szanse, że w kuchni stoi duży gazowy piecyk z piekarnikiem. A kto teraz nie ma tostera? To wszystko brednie. Nasz zabójca podróżuje. To czubek. Czubkolodzy za cholere nie mogą się zgodzić, dlaczego on to robi. Może Bóg mu kazał udusić wszystkie matki sznurem od tostera. Może Bóg mu powiedział, że dzieci są złe, i kazał odgrywać złą czarownicę z Jasia i Małgosi. Kto wie, dlaczego on morduje rodziny? Jak mówiłem, ten skurwiel jest pomyłony i jeździ po Stanach, zabijając bez powodu, dla kaprysu.

- Buck ma rację - odezwał się Mason. - Nie wiemy, dlaczego nikt go nie widział pod domem Lanskich, dlaczego ani jeden pies nie szczekał, może drań przebrał się za listonosza albo za tę staruszkę z naprzeciwka. W każdym razie miał szczęście. Ale dopadniemy go, bo musimy. Oczywiście, przy naszym pechu facet pewnie już dawno wyjechał z Chicago. Usłyszymy o nim znowu, kiedy zamorduje kogoś w Kansas.

Oni naprawdę w to wierzyli, pomyślała Sherlock. Widziała to wyraźnie na ich twarzach. Wierzyli, że sprawca dawno wyjechał z Chicago, że mogą o nim najwyżej pomarzyć.

- Opowiem wam o komputerowych czarach, panowie - oznajmił Savich z uśmiechem. - Komputery pracują o wiele szybciej od nas. Ale liczy się to, co do nich wprowadzamy. To kwestia wyboru właściwych danych, które wrzucamy do miksera, zanim go włączymy.

Pochylił się, podniósł swój laptop i włączył. Zaczął stukać w klawisze, ignorując obecnych. Mały komputerek popiskiwał.

- Wracam do domu, kapitanie - powiedział Dubrosky. - Padam z nóg i muszę wziąć prysznic, bo żona nie zechce mnie pocałować, a dzieciaki zapomną, jak wygląda tata.
- Wszyscy jesteśmy zmordowani, Buck. Zaczekaj chwilę. Zobaczymy, co nam pokaże agent Savich.

Lacey się zorientowała, że Savich urządza dla nich małe przedstawienie. Miał w teczce wszystkie potrzebne wydruki. Ale zamierzał wywołać ten efektowny materiał na ekranie i podsunąć im pod nos, zanim wręczy kopie. Po chwili Savich obrócił komputer i powiedział:

- Popatrzcie na to, panowie detektywi i pan, panie kapitanie.

Rozdział 6

Trzej mężczyźni stłoczyli się nad małym laptopem. Nagle detektyw Dubrosky powiedział:

- E tam, nie wierzę. To nie ma sensu.
- Owszem, ma - odparł Savich.

Podał każdemu z nich kartkę papieru. Sherlock nawet nie zerknęła na wydruki. Wiedziała, co zawierają. W tejże chwili Savich spojrzał na nią. Uśmiechnął się. Nie wiedział, jakim sposobem, ale wiedział, że odgadła.

- Ty im powiedz, Sherlock.

Wszyscy teraz patrzyli na nią. Wystawił ją do odstrzału. Ale przecież dostrzegł zrozumienie w jej oczach. Jakim sposobem, tego nie wiedziała. Dał jej szansę, żeby zabłysła.

Odchrząknęła.

- Profilerzy z FBI mieli rację. To facet z sąsiedztwa nienawidził rodziny Lanskich. Zabił rodziny w Des Moines i St. Louis, bo chciał poćwiczyć przed zabójstwem znienawidzonych osób. Chciał wykonać idealnie ten najważniejszy mord. Więc rodziny w Des Moines i St. Louis wybrał przypadkiem. Na pewno jeździł po okolicy, aż znalazł rodzinę, która spełniała jego wymagania. Wtedy zabijał.

Kapitan Brady zagwizdał.

- Mój Boże, myślicie, że profil jest prawidłowy, ale dotyczy tylko Lanskich?

- Zgadza się - potwierdził Savich. - Tamte dwie rodziny były dla niego próbą kostiumową. - Odwrócił się do Dubrosky'ego i Masona. - Chciałem, żebyście się upewnili, że w pobliżu domu Lanskich nie było żadnych obcych przed morderstwem. Czy macie pewność?
- Tak - powiedział Mason. -Jeśli to możliwe.
- W takim razie wracamy do domu Lanskich i zgarniamy faceta z sąsiedztwa, który pasuje do profilu. Komputer wytypował trzy możliwości, wszystkie w pobliżu domu Lanskich. Stawiam na Russella Benta. Pasuje do profilu lepiej niż inni. Biorąc pod uwagę zgodność z profilem i brak obcych, mamy spore szanse, że to nie była kolejna próba kostiumowa. Poza tym Russell Bent mieszka z siostrą i jej mężem. Ona jest dokładnie dwa lata starsza od niego.
- Nie rozumiem, agencie Savich - oświadczył kapitan Brady, pochylając się do przodu. - Co to znaczy, że jest dwa lata starsza?
- Chłopiec i dziewczynka we wszystkich trzech rodzinach - odezwała się Lacey. - Dziewczynka miała dwanaście lat, a chłopiec dziesięć.
- Jezu - szepnął Brady.
- Dlaczego pan nam po prostu nie powiedział? - warknął wściekły Dubrosky. Czuł, że Savich zrobił z niego durnia.
- Jak mówiłem - Savich wstał z krzesła - chciałem, żebyście się upewnili, że żaden obcy nie zbliżał się do domu Lanskich. Zawsze możliwe, że facet zrobił sobie następną próbę kostiumową. Ale nie tym razem. Tym razem to było naprawdę. Wcale tego nie ukrywałem przed wami. Wprowadziłem wszystko do komputera dopiero dzisiaj rano, kiedy kapitan Brady przysłał mi wasze raporty. Bez raportów guzik bym zdziałał. Sami w końcu doszlibyście do tego. Ja po prostu zawsze wierzyłem w profile i miałem komputer.

Russell Bent mieszkał sześć domów od Lanskich z siostrą, jej mężem i jedynym synem. Bent miał dwadzieścia siedem lat, nie chodził na randki, miał niewielu przyjaciół, ale był miły dla wszystkich. Pracował jako konserwator w dużym biurze przy Alei Milwaukee. Jediną jego pasję stanowiło trenowanie Małej Ligi.

Detektywi rozmawiali już z Russellem Bentem, jego siostrą i jej mężem w ramach przeczesywania okolicy. Nigdy nie uważali go za potencjalnego podejrzanego. Szukali przejeźdnego, seryjnego mordercy, jakiegoś szaleńca z płonącym wzrokiem, nie miejscowego, nieśmiałego młodego człowieka, który bardzo grzecznie odpowiadał na pytania.

- Sto dolarów, Sherlock, że go złamię w dwadzieścia minut - powiedział Savich, uśmiechając się do niej.
- Teraz rzeczywiście żaden z nich nie wydaje się zmęczony - zauważyła. - Popatrzemy?
- Nie, chodźmy do gabinetu Brady'ego. Nie chcę ich krępować. Jeśli chodzi o Benta, założę się, że zabiłby jeszcze jedną rodzinę w innym stanie, żeby zamącić wszystkim w głowach. Potem przestałby zabijać.
- Wie pan, zastanawiałam się, dlaczego musiał zabijać dzieci w ten sposób.
- No, dużo o tym myślałem, rozmawiałem z profilerami i kilkoma psychiatrami. Dlaczego Bent zamordował te rodziny z dwojgiem dzieci, dokładnie z chłopcem i dziewczynką, i w każdym przypadku różnica wieku rodzeństwa wynosiła dwa lata, nie mniej, nie więcej? Myślę, że zabijał siebie i siostrę.

Popatrzyła na niego z drżeniem.

- Ale dlaczego? Nie, proszę mi nie mówić. Pan sprawdzał tego Benta.
- Aha. Opowiedziałem o tym Dubrosky'emu i Masonowi w kiblu. Teraz mogą się popisywać przed kapitanem Bradym.

- Szkoda, że mnie tam nie było.
- Nie żałuj. Mason tak się przejął, że puścił pawia. Nic nie jadł przez cały dzień i wypił wiadro tej morderczej kawy.

Uniosła rękę.

- Nie, proszę mi nie mówić, sir. Spróbuję sama pomyśleć.

Poszła za nim przez hol do gabinetu kapitana. Savich położył się na sofie. Sofa była za krótka i twarda jak skała, ale w tej chwili nie zamieniłby jej na puchowe łoże. Odprężał się. Zamknął oczy i zobaczył tego żalostnego Russella Benta. Dostali go. Tym razem wygrali. Na chwilę zapomniał o innych potworach, które wciąż zabijały na wolności, potworach, które przez wiele godzin próbował schwytać razem ze swoimi ludźmi, ale przegrali. Tym razem się udało. Zwyciężyli.

- Matka musiała coś zrobić.

Uchylił jedno oko. Sherlock stała nad nim, rude włosy spływały na ramię i zasłaniały połowę twarzy. Patrzył, jak zakłada skrzydło włosów za ucho. Piękne włosy i całkiem ich sporo. Oczy miała zielone, w ładnym odcieniu mchu. Nie, włosy nie były właściwie rude, ale trochę rudawe, trochę brązowe, z odrobiną cynamonu. Kasztanowe. Tak pomyślał, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy.

- Tak - powiedział. - Pani Bent rzeczywiście coś zrobiła.
- Myślę, że nie chodziło o pana Benta. Trzech ojców Russell Bent zabił czystym strzałem. Nie, zaraz, po śmierci Bent strzelił każdemu w żołądek.
- Szybka śmierć pewnie dlatego, że dla Benta ojciec się nie liczył, nie stanowił przedmiotu zapiekłej nienawiści. Strzał w brzuch dlatego, że postrzegał ojca jako słabego, niedołęznego człowieka, nie uważał go za mężczyznę.
- Co pani Bent zrobiła Russellowi i jego siostrze?
- Aby ukarać Russella i jego siostrę, czy raczej dlatego, że ją to nakręcało, pani Bent kneblowała oboje, związywała im ręce za plecami i zamykała ich w bagażniku samochodu, w szafie albo w innych ciasnych, ciemnych

miejskach. Raz mało nie umarli od zatrucia tlenkiem węgla. Matka oczywiście nie opiekowała się nimi, musieli sami zdobywać jedzenie. Opieka społeczna odebrała ich matce, dopiero kiedy mieli dziesięć i dwanaście lat. Niezłe tempo, co?

- Jak pan się tego dowiedział tak szybko?
- Zadzwoniłem, zanim wyszliśmy zgarnąć Russella Benta. Nawet kazałem sprawdzić akta w opiece społecznej. Wszystko tam mieli.
- Więc sznur od tosterka to jakby zemsta za to, czego nie zrobiła? Bicie po twarzy to kara?
- Chyba tak. Zemsta na całą wieczność.
- Widocznie uwierzył, że chociaż matka była okropną osobą, on i siostra zasłużyli na śmierć, tylko że nie umarli, przeżyli, więc inne dzieci musiały ich zastąpić?
- To raczej nie ma za wiele sensu. Ale na pewno jakoś się wiąże z faktem, że Russell Bent czuł się bezwartościowy, we własnym mniemaniu nie zasługiwał na życie.
- Ale dlaczego wybrał rodzinę Lanskich?
- Nie wiem. Nikt nie wspominał o plotkach na temat tej rodziny, ani słowa o fizycznym znęcaniu się czy matce zaniedbującej dzieci. Żadnych niewyjaśnionych obrażeń, z którymi dzieci zgłaszały się na pogotowie. Ale na sto procent Russell Bent uznał, że dwoje dzieci Lanskich dostatecznie przypominało jego i siostrę, by zasłużyły na śmierć. Dlaczego właściwie musiał zagazować dzieci? Bóg jeden wie. Twoje wyjaśnienie jest równie dobre jak każde. Ale Brady się dowie, z pomocą psychiatry.
- Russell Bent trenował Małą Ligę. Chłopak Lanskich był w Małej Lidze. Może zaprzyjaźnił się z Bentem, może mu powiedział, że jego matka jest okropna. -Wzruszyła ramionami. -W zasadzie to bez znaczenia. Pan wie, co

oni zrobią, sir. Ubiorą wszystko w psychobelkot. Czy pan wie, co się stało z rodzicami Benta?

- Tak - powiedział. - Sherlock, przestań mnie tytułować „sir”. Mam dopiero trzydzieści cztery lata. Skończyłem trzydzieści cztery w zeszłym miesiącu. Przez to „sir” czuję się jak staruszek.

Trzej gliniarze wpadli do gabinetu. Kapitan Brady zacierał ręce. Szedł różnym, niemal skocznym krokiem. O północy urządzą konferencję prasową. Mason i Dubrosky przybijali piątki. Brady musiał zadzwonić do burmistrza, do komisarza policji - lista nie miała końca.

Już po dwóch godzinach chicagowska policja zdobyła dowody, że Bent wyjeżdżał do Des Moines i St. Louis na tydzień przed datą każdego morderstwa i wracał w dniu zbrodni.

Niestety, przynajmniej z punktu widzenia Lacey, Bent był tak szalony, że nawet nie stanie przed sądem. Nie skazą go na śmierć. Nie zostanie oskarżony. Czy kiedyś go wypuszczą? Kiedy wychodzili z komisariatu w Jefferson Park, słyszała jeszcze jego szlochy i łagodny, kojący głos siostry powtarzającej mu, że wszystko będzie dobrze, ona go nie opuści. Zaopiekuje się nim. Była dwa lata starsza, a jednak nie obroniła go przed matką. Zdaniem Sherlocka, miała szczęście, że brat jej nie zagazował.

Wrócili do Waszyngtonu, przedpołudniowym lotem. Dopiero na pokładzie Savich połapał się, że Sherlock chyba nie ma gdzie nocować.

- Zatrzymałam się w Watergate - wyjaśniła. - Całkiem wygodnie. Zostanę tam, dopóki nie znajdę mieszkania. - Uśmiechnęła się do niego. - Świetnie pan się spisał. Znalazł go pan i to bez udziału policji. Dlaczego po prostu nie zadzwonił pan do kapitana Brady'ego i nie powiedział mu o Bencie? Po co pan poleciał do Chicago?
- Okłamałem Brady'ego. Zależy mi na rozgłosie... cieszy mnie nawet okruch sławy. Uwielbiam pochwały. Kto nie lubi?
- Ale wcale nie dlatego pan poleciał.

- No dobrze, Sherlock. Chciałem wziąć udział w polowaniu. Chciałem zobaczyć tego faceta na własne oczy. Gdybym go nie zobaczył, w myślach nigdy nie zamknąłbym tej sprawy. No i to był twój pierwszy dzień. Ważne, żebyś zobaczyła, jak pracuję, jak sobie radzę z miejscowymi glinami. Okay, trochę się popisywałem. Chyba sobie zasłużyłem. Jesteś nowa. Jeszcze nie spotkało cię żadne rozczarowanie, nie przeżywałaś nieustającej frustracji, nie cierpiałaś z powodu błędów naszej jednostki od czasu pierwszych morderstw w St. Louis. Nie wysłuchiwałaś tych bzdur o niewłaściwym profilu. Widziałaś tylko taniec zwycięstwa. Zaliczyłem dopiero trzecie prawdziwe trafienie, odkąd FBI powołała tę jednostkę. Ale nigdy nie zapomnę Des Moines i St. Louis, i że dwanaście osób zginęło, bo nie znaleźliśmy rozwiązania dostatecznie szybko. Oczywiście, Chicago stanowiło klucz, ponieważ tam znajdował się jego cel. Jak tylko odkryłem, że sąsiedzi znają się nawzajem i obserwują, i że w domu Lanskich nie było żadnych obcych, od razu zrozumiałem, że zabójca tam mieszka. Musiał. Nie było innego rozwiązania.

Po chwili dodał zmęczonym głosem:

- Dobrze się spisałaś, Sherlock.

Po raz pierwszy od lat ogarnęło ją prawdziwe zadowolenie.

- Dziękuję - powiedziała i przeciągnęła się w fotelu. - A gdybym nie znała odpowiedzi, kiedy pan mnie zapytał?
- Och, bez trudu odgadłem, że znasz odpowiedź. Mało nie wyskoczyłaś ze skóry. Prawie uniosłaś się w powietrze. Taak, naprawdę dobrze się spisałaś.
- Opowie mi pan kiedyś o swoim pierwszym dużym trafieniu? Może nawet o drugim?

Pomyślała, że zasnął. Ale po chwili powiedział powoli, bełkotliwym głosem:

- Nazywała się Joyce Hendricks. Miała siedemnaście lat, a ja piętnaście. Nigdy przedtem nie widziałem prawdziwych nagich piersi. Była wystrzałowa.

Chłopaki myśleli, że jestem największym ogierem w szkole, co najmniej przez trzy dni.

Roześmiała się.

- Gdzie jest teraz Joyce?
- Jest doradcą podatkowym w Nowym Jorku. Wysyłamy sobie kartki świąteczne - wymamrotał, zanim odpłynął w sen.

Rozdział 7

Lacey przeprowadziła się tydzień później do uroczego domku z dwiema sypialniami w Georgetown, na rogu Cranford Street i Madison. Miała cztery szklanki, dwa kubki, jeden komplet białych prześcieradeł, trzy ręczniki, każdy inny, kuchenkę mikrofalową i pół tuzina wieszaków. Tylko tyle przywiozła ze sobą z Kalifornii. Resztę rzeczy oddała do schroniska dla bezdomnych w San Francisco. "Wcale nie przesadzała, kiedy powiedziała Savichowi, że nie ma dużo rzeczy.

Nieważne.

Po pierwsze, zmieniła zamki i założyła zasuwy i łańcuchy. Potem powiesiła na wieszakach dwie sukienki, dwie pary dżinsów i dwie pary spodni. Pogwizdywała, myśląc o MacDougalu i że będzie za nim tęskniła. Pracował na czwartym piętrze, w "wydziale Bezpieczeństwa Narodowego. Zajmował się antyterroryzmem. Zwalczanie terroryzmu stało się jego celem, powiedział jej, odkąd bliski przyjaciel wyleciał w powietrze podczas feralnego lotu 103 Pan Am nad Lockerbie pod koniec lat osiemdziesiątych. Właśnie otrzymał pierwsze wielkie zadanie. Wyjeżdżał do Arabii Saudyjskiej, gdzie w wyniku ataku

terrorystycznego w zeszłym tygodniu zginęło co najmniej piętnastu amerykańskich żołnierzy.

– Spadam stąd, Sherlock - oznajmił i zamknął ją w potężnym uścisku. - Dają mi szansę. Tak jak Savich dał tobie. Hej, naprawdę dobrze się spisałaś z tym facetem w Chicago.

– Tosterem.

– Aha. Co za przezwisko. Można polegać na mediach, że ośmieszają i zbanalizują każde morderstwo. Jeszcze coś ciekawego?

– Nie, ale to dopiero niecały tydzień. Savich kazał mi wziąć trzy dni wolnego na szukanie mieszkania. Słuchaj, nie działaj impulsywnie, dobra? Uważaj na siebie, Mac. Nie pędź na łeb, na szyję, jesteś teraz w FBI, ale to nie oznacza, że jesteś niepokonany.

– Dla mnie to tylko trening, Sherlock. Nic więcej. Hej, nadajesz się na młodszą siostrę.

– Jesteśmy w tym samym wieku.

– Niece, z tymi twoimi chudymi ramionkami jesteś młodszą siostrą.

Spieszyło mu się do wyjazdu. Przytupywał i przestępował z nogi na nogę. Uścisnęła go jeszcze raz.

– Przyślij mi pocztówkę z piaskiem pustyni.

Zasalutował i odmaszerował pogwizdując, tak samo jak ona teraz, wybijając stopami mocny, szybki rytm na krótkim podjeździe przed frontem jej domku. Nagle odwrócił się i zawołał:

– Słyszałem, że Savich przepada za muzyką country-and-western. Podobno uwielbia śpiewać te kawałki, zna słowa wszystkich piosenek. Nie zaszkodzi się podlizać.

Rany boskie, pomyślała, country-and-western? Wiedziała, co to za muzyka, ale na tym koniec. Brzękliwa sieczka nadawana przez stacje radiowe, które natychmiast wyłączała. Nigdy za nią nie przepadała. Ostatnio grała na

fortepianie w barze w Watergate półtora tygodnia temu. Pijacy ją pokochali. Zagrała kawalek Gershwin i przerwała, bo więcej nie pamiętała.

Stała pośrodku pustego salonu, z rękami na biodrach, i zastanawiała się, gdzie kupić meble, kiedy zabrzączał dzwonek. Nikt nie znał jej adresu.

Zamarła, nienawidząc siebie za to, że serce zaczęło jej walić. W Quantico była bezpieczna, ale tutaj, w Waszyngtonie, całkiem sama? Jej colt leżał w sypialni. Nie, nie pobiegnie po niego. Głęboko zaczerpnęła powietrza. To na pewno gazeciarz. Albo domokrążca.

Znała tutaj tylko osiem osób z JBK i Savicha, i nikomu jeszcze nie podała adresu. Tylko w personalnym. Czy oni komuś powiedzieli?

Dzwonek znowu zaterkotał. Podeszła do frontowych drzwi i natychmiast stanęła z boku. Nikt jej nie zastrzelił przez zamknięte drzwi.

– Kto tam? - zapytała.

Chwila ciszy, a potem:

– To ja, Lacey. Douglas.

Na chwilę zamknęła oczy. Douglas Madigan. Nie widziała go od czterech miesięcy, prawie od pięciu. Ostatnio w domu ojca w Pacific Heights, w pożegnalny wieczór przed wyjazdem do Quantico. Zachowywał się chłodno i z dystansem. Matka płakała, potem wyrzucała jej niewdzięczność. Douglas mówił bardzo mało, siedział na zamszowej kanapie w gabinecie ojca i sączył bardzo kosztowną brandy z bardzo starego kryształowego kieliszka Waterford. Nie wspominała tego wieczoru z przyjemnością.

– Lacey? Jesteś tam, skarbie?

Poprzedniego dnia dzwoniła do ojca. Douglas widocznie od niego dowiedział się adresu. Patrzyła, jak jej dłoń zdejmuje dwa łańcuchy. Powoli odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi.

– Przyniosłem butelkę szampana, tylko dla nas. - Pomachał jej butelką przed nosem.

– Nie mam żadnych sreber.

- No to co? Rzadko pijam szampana z łyżeczki. Denerwujesz się przeze mnie, Lacey? No, kochanie, kieliszek czy dwa dobrze ci zrobi.
- Przepraszam, mam trochę mętlik w głowie. Nie spodziewałam się twojej wizyty, Douglas. Tak, mam jakieś tanie kieliszki. Wejdz.

Wszedł za nią do pustej kuchni. Wyjęła dwa kieliszki z kredensu. Douglas powiedział, delikatnie wykręcając korek z szampana:

- Czytałem o tobie w „Chronicie”. Dopiero skończyłaś Akademię i już złapałaś seryjnego mordercę.

Pomyślała o tym żalonym nieudaczniku, Russellu Bencie, który zamordował dwanaście osób. Miała nadzieję, że współwięźniowie go zabiją. Zamordował sześcioro dzieci, a wiedziała, że skazańcy nienawidzą dzieciobójców. Wzruszyła ramionami.

- Ja tylko dołączyłam do wycieczki. To mój szef, Dillon Savich, odgadł tożsamość tego faceta, zanim jeszcze wsiedliśmy do samolotu. Zdumiewające, jak on wszystko załatwił... na spokojnie, właściwie nic nikomu nie mówiąc. Chciał, żeby miejscowi gliniarze mieli udział we wszystkim, co zrobił, a potem przypisali sobie zasługę. Powiedział, że to najlepsza reklama dla jednostki. Właściwie dziwię się, że w ogóle wymienili moje nazwisko.

Uśmiechnęła się, wspominając, że już następnego dnia zastępca dyrektora, Jimmy Maitland, przyszedł wszystkim pogratulować. Zrobiło się prawdziwe święto.

- Savich powiedział mi, że przyszłam na gotowe. Inni odwalili całą ciężką robotę. Jego główny człowiek od tej sprawy był w szpitalu, miał pierwsze dziecko, to znaczy żona rodziła dziecko. Więc zajęłam jego miejsce. Savich miał rację. Nie zrobiłam nic, tylko patrzyłam i słuchałam. Nigdy nie widziałam tylu szczęśliwych ludzi.
- To kapitan Brady z chicagowskiej policji podziękował FBI w telewizji za cenną pomoc. Wymienił oba wasze nazwiska.

- O rany, Savich na pewno nie ucieszył się z tego. Wydawało mi się, że prosił kapitana Brady'ego o dyskrecję. Zresztą co tam, FBI na pewno miało dobrą prasę. Teraz wszyscy wiedzą o naszej jednostce.
- Dlaczego to wam dwojgu nie przypisano całej zasługi? Przecież on złapał seryjnego mordercę, na litość boską.
- Nie rozumiesz. FBI to grupa, nie jednostka. Obowiązuje lojalność wobec Biura, nie konkretnej osoby.
- Już ci zrobili pranie mózgu. No, twoje zdrowie, Lacey. Mam nadzieję, że osiągniesz swój cel.

Podniósł kieliszek i lekko stuknął o jej kieliszek. Kiwnęła głową i upiła łyk. Przepyszne.

- Dziękuję za szampana.
- Proszę bardzo.
- Jego żona urodziła dziecko około północy.
- Czyja żona? Och, tego agenta, który odwalił całą robotę.
- Tak, myślałam, że się popłacze z żalu za wszystkim, co go ominęło, ale zniósł to po męsku. Dlaczego przyjechałeś, Douglas? Dopiero wczoraj podałam ojcu przez telefon mój nowy adres.

Dolał sobie szampana, łyknął z kieliszka, potem wzruszył ramionami i powiedział z uśmiechem:

- Akurat tak się złożyło. Musiałem przyjechać do Waszyngtonu na spotkanie z klientem i postanowiłem włączyć cię do planu podróży.

Przeszedł do salonu.

- Podoba mi się twój salon. Po południu będzie tu mnóstwo słońca. Ma dobre proporcje. Dlaczego nie masz żadnych mebli?
- Nie warto było taszczyć moich starych gratów przez cały kraj. Kupię nowe.

Stali naprzeciwko siebie w pustym salonie. Douglas Madigan dopił resztę szampana i postawił pusty kieliszek na dębowej podłodze. "Wyprostował się, odebrał jej kieliszek i postawił obok swojego.

- Lacey - powiedział, biorąc ją za nadgarstki - tęskniłem za tobą. Liczyłem, że przyjedziesz do domu z wizytą, ale nie przyjechałaś. Nie pisałaś do mnie ani nie dzwoniłaś. Zostawiłaś wyrwę w moim życiu. Jesteś piękna, wiesz? Założę się, że wszyscy faceci ciągle ci to mówią, a już na pewno gapią się na ciebie, nawet jak masz rozczochrane włosy, nawet jak nosisz te workowate dzinsy i tę śmieszoną bluzę. Co to za napis na plecach? *Pizza Dizzy Dana*? Co to ma znaczyć, do cholery?
- Nic, Douglas, to tylko miejscowy lokal. I nikt jak dotąd nie zauważył mojej przytłaczającej urody. Ale miło, że tak mówisz.

W Akademii, a później w centrali ubierała się zazwyczaj bardzo konserwatywnie, wręcz surowo. Włosy zawsze zaczesywała do tyłu i spinała na karku. Ale dzisiaj była sobota. Więc nałożyła dzinsy i bluzę i rozpuściła włosy. Douglas widocznie nie wiedział, co to znaczy -rozcochrane włosy.

- Dobrze wyglądasz, Douglas. Ale ty nigdy się nie zmienisz. Najwyżej na lepsze.

Mówiła prawdę. Douglas był postawny, miał sylwetkę biegacza i chudą twarz z rozmarzonymi piwnymi oczami. Kobiety za nim szalały, od dawna. Nawet jej matka nigdy nie powiedziała złego słowa na Douglasa. Łatwo podbijał serca. Równie łatwo dominował.

- Dziękuję. - Dotknął jej włosów, przegarnął je palcami. - Piękne. Kasztanowe, ale nie całkiem. Bardziej tycjanowskie, ale także trochę blond i trochę brązowe. Ach, wiesz, że nie chciałem, żebyś się pakowała w te głupstwa z FBI. Dlaczego? Dlaczego mnie zostawiłaś?

Zostawiła go? Odpowiedziała spokojnym, opanowanym głosem, który ćwiczyła i ćwiczyła w Akademii na zajęciach z przesłuchiwania:

- Zawsze chciałam pracować w siłach porządkowych. FBI jest najlepsze, najlepsze z najlepszych. To serce całego systemu.
- Serce? Wątpię. I jakoś nie pamiętam, byś zawsze chciała pracować w policji. Zaczęłaś specjalizację z muzyki. Pięknie grałaś na fortepianie. Sonaty Beethovena, odkąd skończyłaś jedenaście lat. Chciałaś iść do szkoły Juilliarda. Pamiętam, jak zrezygnowałaś z konkursu Fletchera. Zawsze wierzyłem, że jesteś nie całkiem z tego świata. Jakbyś żyła muzyką. Oczywiście, wszyscy się zmieniliśmy po śmierci Belindy. To było tak dawno temu. Siedem długich lat. Twój ojciec nie doceniał twojego talentu, nie rozumiał go, ponieważ sam go nie podzielał, ale wszyscy inni doceniali. Wszyscy martwili się o ciebie, kiedy przed laty sprzedawałaś Steinwaya, kiedy przestałaś nawet grywać na przyjęciach. Cholera, nawet przestałaś chodzić na przyjęcia.
- To było dawno temu, Douglas. Teraz tata nie jest mną specjalnie rozczarowany. Wierzył, że w końcu zrobię coś pożytecznego. Miał nadzieję, że to mój pierwszy krok w dorosłość. Traktował mnie zimno tylko dlatego, że nie poprosiłam go o pomoc. Aż go skręcało, by użyć swoich wpływów, a ja nie dałam mu szansy.

Właściwie go zaszantażowała. Kiedy agenci FBI przeprowadzali z nim wywiad po jej zgłoszeniu, niewiele mówił o Belindzie ani że Lacey się zmieniła. Zapowiedziała mu wprost, że nigdy nie odezwie się do niego, jeśli coś im powie. Widocznie upiękaczył całą historię na tyle zręcznie, że Lacey dostała się do FBI.

Wciąż tęskniła za fortepianem, ale zagrzebała tę tęsknotę tak głęboko, że ledwie o niej pamiętała.

- Tak, sprzedawałam go. Po prostu przestał się liczyć.

Fortepian to nic w porównaniu z tym, co straciła Belinda. A jednak wciąż nieświadomie wygrywała piosenki na poręczu fotela, grała w takt muzyki

podczas filmu albo dźwięków radia w samochodzie. Pamiętała, jak w wieku dziewiętnastu lat grała na ramieniu chłopaka, z którym się spotykała.

- Prawdę mówiąc - powiedział Douglas - niewiele pamiętam z tamtych czasów. Wszystko jest takie odległe, niewyraźne, za co dziękuję Bogu.
- Tak - szepnęła. Ale ona pamiętała; przeżyła to i ukrywała w swoim wnętrzu jak otwartą ranę od tamtej okropnej nocy. Przysunął się do niej bliżej i wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Ale nie wiedziała, czy tego chce. Douglas zawsze ją fascynował. Siedem lat. Dużo czasu. A jednak wydawało się to jakieś niewłaściwe.

Rzeczywiście ją pocałował, leciutko, zaledwie dotknął wargami jej ust, jak ulotne wspomnienie, jak powrót z przeszłości. Wargi miał twarde i suche. Pocałunek trwał tak krótko, że nawet nie poczuła smaku, tylko nieznaczną cierpkość szampana. Natychmiast opuścił ręce i się cofnął.

- Tęskniłem za tobą. Musiałem wysłuchiwać wrzasków i przekleństw twojego ojca, że cię poniosło i straciłaś rozum, kiedy go zawiadomiłaś, że zmieniasz specjalizację na kryminologię. „Odciski palców, na litość boską”, powiedział mi. „Ona się zmarnuje, zdejmując cholerne odciski palców z jakiegoś trupa!”.
- Wiesz, że to dużo więcej. W kryminologii jest ponad tuzin specjalności.
- Tak, wiem. On, oczywiście, chciał, żebyś poszła na prawo. Ciągle miał taką nadzieję, kiedy zrobiłaś magisterium z psychologii kryminalnej. Powiedział, że to ci pomoże w demaskowaniu łajdaków. Twój tato, sędzia, zawsze zapomina, że jestem adwokatem obrońcą.
- Zmieniłam zdanie, to wszystko.
- Właśnie tak powiedziałem facetowi z FBI, który przyszedł sprawdzać twoją przeszłość. Pomyślałem, że skoro chcesz pójść do FBI, nie powinienem ci stawać na drodze.

Co miał na myśli? Czy mógł powiedzieć agentowi FBI, że jest niezrównowazona, że siedem lat temu przeżyła załamanie? Tak, mógł tak

powiedzieć. Zastanowiła się, czy ktoś inny poinformował o tym FBI. Nie, gdyby wiedzieli, nie przyjęliby jej.

- Wiem, że mój ojciec zachował się jak należy, kiedy agenci przyszli go wypytywać.
- Tak, powiedział mi, że nie zostawiłaś mu wyboru. Bronilem cię, tłumaczyłem, że to twoje życie i powinien trzymać gębę na kłódkę, jeśli jeszcze kiedyś chce cię zobaczyć. Wściekał się na mnie przez dobry miesiąc.
- Dziękuję, że mnie poparłeś, Douglasie. - Zakładała wtedy, że ludzie badający jej przeszłość po prostu nie przywiązywali do tego większej wagi. Widocznie jednak przywiązywali, bo zadawali pytania. -Nie miałam pojęcia, ale jestem ci wdzięczna. Nikt nie wyciągał niczego z tamtych czasów. Wiesz, że wcale się nie zmieniłeś? Naprawdę dobrze wyglądasz.

Douglas miał teraz trzydzieści osiem lat. W jego czarnych włosach przebłyskiwały nieliczne nitki siwizny. Chyba był jeszcze przystojniejszy niż przed siedmiu laty. Pamiętała, że Belinda kochała go najbardziej na świecie. Najbardziej. Lacey poczuła znajomą bolesną pustkę i szybko podniosła butelkę szampana. Nalała do kieliszków.

- Zmieniłaś się. Jesteś teraz kobietą, Lacey. Nie jesteś już milczącym dzieckiem. Dalej masz tuzin zamków na drzwiach, ale w końcu to Waszyngton. Ja pewnie trzymałbym przy drzwiach karabin maszynowy. Czego używają w FBI?
- Półautomatyczny karabinek Heckler i Koch MP-5. Skuteczny i niezawodny.
- Z trudem sobie wyobrażam ciebie obok takiej broni, a jeszcze masz z niej strzelać? Oj, to było seksistowskie. Mówiłaś o zmianach. Co do mnie, może nie zmieniłem się zbytnio zewnątrz, ale wiesz, życie każdego zmienia.
- O tak. - Sama stanowiła doskonały przykład tego, co życie potrafi zrobić z człowiekiem.
- Schudłaś. Tak ci dawali w kość w Akademii?

- Tak, ale najgorzej mnie piłował kolega z klasy, MacDougal. Przysiągł, że wyhoduje mięśnie na moich chudych ramionkach.
- Zobaczmy. Ścisnął jej ramię.
- Napnij. Napięła mięśnie.
- Nieźle.
- Mój szef chodzi na siłownię. Nie wyobrażaj go sobie jako napakowanego kulturysty bez szyi. Jest bardzo silny i muskularny, ale ćwiczy też karate i jest bardzo dobry. Raz w Akademii miałam okazję poznać jego technikę. Następnego dnia zobaczyłam, jak mierzy mnie wzrokiem. Chyba nie spodobał mu się mój wygląd. Założę się, że przed wtorkiem zapędzi mnie do sali gimnastycznej.
- Szef? Mówisz o tym typku Savichu?
- Chyba każdy z nas jest jakimś typkiem na swój sposób. Savich to geniusz komputerowy. Jeden z jego programów pomógł złapać Russella Benta. Jest szefem jednostki, w której teraz pracuję. Miałam wielkie szczęście, że o mnie wystąpił. Inaczej łapałabym bandytów w L.A.
- Czy mogę cię wobec tego zaprosić na lunch, żeby uczcić twoją pierwszą sprawę? Może pójdziemy na lunch do jednej z tych wspaniałych restauracji, jakie masz w sąsiedztwie?

Kiwnęła głową.

- Jak długo tutaj zostaniesz, Douglas?
- Nie jestem pewien. Jakiś tydzień. Tęskniłaś za mną, Lacey?
- Tak. I tęsknię za tatą. Jak z jego zdrowiem?
- Pisziesz do niego co tydzień i wiem na pewno, że odpisuje ci równie często. Powiedział mi, że nie lubisz telefonu. Dlatego musi pisać listy. Z pewnością wiesz, że czuje się dobrze.

Oczywiście Douglas doskonale wiedział, dlaczego nie znosiła telefonów. Przez telefon dowiedziała się o Belindzie.

- Pewnie niedługo całkiem się przestawię na pocztę elektroniczną. Mój szef ciągle korzysta z e-mailów, tak samo jak wszyscy w jednostce. Dziwne, że prawie nie słychać telefonów.
- Zapiszę ci mój e-mailowy adres przed wyjściem. Chodźmy coś zjeść, Lacey.
- Wyglądasz jak księżę, a ja jak wieśniaczka. Muszę się przebrać. Zaczekaj chwilę. Aha, wszyscy mnie nazywają Sherlock.
- Nigdy tego nie lubiłem. I wszyscy wygłaszają głupie uwagi, kiedy pierwszy raz cię spotykają. To nie pasuje do ciebie. Jest bardzo męskie. Czy tego chcesz od FBI? Żeby zrobiło z ciebie mężczyznę?
- Mam nadzieję, że nie zrobi. Jeśli spróbuje, obleję testy na masę mięśniową.

Właściwie, rozmyślała przebierając się w sukienkę w sypialni, lubiła, kiedy nazywali ją Sherlock, tylko Sherlock. Dzięki temu oddalała się jeszcze bardziej od kobiety, którą była siedem lat wcześniej.

Przy lunchu opowiedział jej o kobiecie, która twierdziła, że zrobił jej dziecko.

Rozdział 8

W poniedziałek rano Savich przystanął przy jej biurku i powiedział:

- Ollie właśnie mi zdradził, że wciąż jesteś bez mebli. Podobno miałaś się tym zająć przez weekend. Co się stało?

Lacey popatrzyła na Olliego i pokazała mu zgięty łokieć. Pomachał jej i wzruszył ramionami.

Co go obchodzi, czy spała w namiocie?

- Przyjaciel z Kalifornii przyjechał do miasta. Nie zdążyłam.
- Okay, weź dzisiaj wolne i zrób sobie orgię zakupów. - Potem zmarszczył brwi. - Nie wiesz, gdzie kupować, prawda? Słuchaj, zadzwonię do znajomej.

Ona potrafi znaleźć wszystko, co ci tylko przyjdzie do głowy. Nazywa się Sally Quinlan.

Lacey wiedziała wszystko o Jamesie Quinlanie, prawdopodobnie mężu tej kobiety. Słyszała o niektórych jego sprawach, ale bez żadnych istotnych szczegółów. Może kiedy pozna Sally Quinlan, dowie się najciekawszych rzeczy. Okazało się, że Sally Quinlan nie miała czasu aż do soboty. Umówiły się na spotkanie. Przez cały dzień Lacey uczyła się PAP-u, Predykcyjnego Analogowego Programu, i wszystkich procedur obowiązujących w jednostce.

Tego wieczoru Lacey znalazła dwie śliczne, małe ryciny u Bentrella w Georgetown, które prawdopodobnie zginą na rozległej przestrzeni białej ściany w jej salonie. Kupiła trochę ubrań w innym butik w Georgetown. Kiedy wróciła do mieszkania, czekał na nią Douglas. W niedzielę był zajęty, nawet nie miał czasu do niej zadzwonić.

- Umieram z głodu - powiedziała. - Chodźmy coś zjeść. Zgodził się i zabrał ją do Antonia, niemodnej północnowłoskiej restauracji. Nad kieliszkiem wina i medalionem cielecym zagadnął:
- Pewnie chcesz się dowiedzieć więcej o tej kobiecie.
- No tak, zrzuciłeś bombę i uciekłeś. - Obracała w palcach paluszek chlebowy. -Jeśli nie chcesz mówić, to nie mów.
- Nie, powinnaś wiedzieć. Nazywa się Candice Addams. Jest mniej więcej w twoim wieku, taka piękna, że mężczyźni zatrzymują się na jej widok, i najmądrzejsza ze wszystkich znanych mi osób. -Westchnął i odsunął talerz. - Utrzymuje, że zrobiłem jej dziecko, i pewnie mogłem, ale zawsze bardzo uważałem. Mieszkając w San Francisco, musisz uważać najbardziej ze wszystkich Amerykanów.
- Chcesz się z nią ożenić?

Dziwne, jak te słowa zaboląły, ale musiała je wypowiedzieć. Chociaż nie wiedziała, czego chce od Douglasa, wiedziała jednak, że go szanuje, czuje do niego pociąg, dobrze się z nim bawi, że często stawał w jej obronie. I pomógł

przetrwać to wszystko. W tamtych okropnych miesiącach był jej bliższy niż ojciec. Oczywiście, nikt nigdy nie zbliżył się do jej matki. To było niemożliwe.

– Nie, skąd. Ona jest miejscową reporterką telewizyjną. Nie wyobrażam sobie, by chciała teraz urodzić dziecko.

Nagle ją zirytował.

– Rozmawiałeś z nią na ten temat? Czy chce mieć dziecko? Przeprowadzić aborcję? Wyjść za mąż? No więc, Douglas?

– Tak, powiedziała, że chce wyjść za mnie.

– Mówiłeś, że jest piękna i mądra. Mówiłeś, że zawsze chciałeś mieć dzieci. Więc ożeń się z nią.

– Tak, chyba będę musiał. Chciałem ci o tym powiedzieć osobiście. Nie chcę się z nią żenić. Nie kłamię. Miałem nadzieję, że kiedyś ty i ja, no, ale pewnie nigdy do tego nie dojdzie, co?

– Nie wiem - odpowiedziała po chwili, odkładając widelec. Medalion cielecy wyglądał równie apetycznie jak suszone mięso bizona. - Tyle się wydarzyło, Douglas. Jestem ci bardzo wdzięczna, sam wiesz. Żałuję, że nie mogę powiedzieć, iż chcę być z tobą...

– Tak, wiem.

– I co zrobisz?

– Zerwę z nią, jeśli mnie przyjmiesz, Lacey.

Przemknęło jej przez myśl, co by zrobił, gdyby powiedziała „tak”. Przez ostatnie lata zawsze myślała, że on ją lubi, ceni, troszczy się o nią, ale nie jak o kobietę, nie jak o żonę. Nie, dla niego pozostała i zawsze pozostanie młodszą siostrą Belindy. Zdobyła się na uśmiech.

– Mam nadzieję, że nie postawiła ci ultimatum.

– O nie, Candice jest na to zbyt inteligentna. Złapała mnie na haczyk, ale nie ciągnie za linkę.

To jego życie. Powinien zapomnieć i żyć dalej. Minęło siedem lat. A ona, cóż, ona też będzie żyła dalej i zmierzała do celu, jaki sobie wyznaczyła, aż schwyta i zabije potwora albo sama zginie.

Słyszała, że Russell Bent załatwił sobie słynnego adwokata, który oskarżył policję o brutalność i wymuszanie zeznań. Prasa spekulowała, czy adwokat wyciągnie klienta na wolność. Ona nie dopuści do tego. Nigdy.

W czwartek Savich powiedział:

- Nie chcę, żebyś mi tutaj sflaczała, Sherlock. Mieszkasz najwyżej kilometr ode mnie. Moja siłownia jest dokładnie w połowie drogi. Spotkamy się tam o szóstej.
- Sflaczała? Dopiero dwa tygodnie temu skończyłam Akademię. I od poniedziałku zdeptałam każdy metr kwadratowy Georgetown, kupowałam i kupowałam aż do wyczerpania, tak jak mi kazałeś. Sflaczała?
- Tak, nie wylegujesz się, ale twoje mięśnie trójgłowe tracą tonus. Znam się na tym. Jestem ekspertem. O szóstej.

Odszedł, podśpiewując: „Twardy jak skała, szybki, wytrzymały! Twardy jak skała, silny i wspaniały...”. Wszedł do swojego oszklonego gabinetu. To nie było country-and-western, tylko reklamówka. Chevroleta? Nie pamiętała? Patrzyła, jak usiadł za biurkiem i natychmiast włączył laptop.

Sflaczałe mięśnie trójgłowe, ha! Wykrzywiła się w stronę jego gabinetu. Był dobrym szefem, nic więcej. Niedawno przyjechała do miasta, więc nie chciał, żeby czuła się samotna. Potrząsnęła głową i wróciła do pracy. Podskoczyła jak oparzona, kiedy kobiecy głos za jej plecami powiedział:

- Nawet nie próbuj za nim latać.

Zamrugła na widok Hannah Paisley, agentki, która wstąpiła do jednostki sześć miesięcy wcześniej. Pracowała w Biurze od pięciu lat. Była bardzo wysoka, pięknie zbudowana i bardzo bystra. Lacey widziała na wideo w

Akademii, jak Hannah odgrywa wobec świadka głupią blondynkę. Sprawiała, że facet poczuł się jak supersamiec. No i wszystko wyklepał. Hannah była bardzo dobra, dlatego często ją wypożyczano do zmyłkowych operacji z kamuflażem. Miała również jakiś szósty zmysł co do morderców, dlatego wstąpiła do tej jednostki. Lacey zazdrościła jej zdolności.

Hannah miała ochotę na Dillona Savicha? Była zazdrosna, ponieważ Savich uważał, że Lacey sflaczała? O co tu chodzi?

- Nie latam za nim, Hannah. Nawet pomyślałam, że mu odbiło, skoro krytykuje moje mięśnie trójgłowe.
- Wiem. Żartowałam. Pracujesz nad sprawą Radnich?

Lacey kiwnęła głową. Czy Hannah żartowała? Raczej nie. Nie potrzebowała tego. Hannah zasalutowała jej niedbale i wróciła do własnego biurka oraz komputera.

Lacey pracowała z Olliem Hamishem nad sprawą Radnich. Wszyscy się w tym pogubili, włącznie z Savichem. Do szału ich doprowadzało nie pytanie: „kto”, ale: „jak”? Lacey wczytywała dodatkowe dane, które właśnie otrzymali z rozmaitych raportów miejscowej policji, z autopsji i kryminologicznych laboratoriów; jednocześnie usiłowała zgadnąć, w jaki sposób ten czubek dostał się do czterech domów opieki - taką liczbę znano - w każdym udusił staruszkę i nikt go nie widział. Najpierw odwiedził dom opieki w Richmond, stan Wirginia, osiem miesięcy temu. Potem przed czterema miesiącami taki sam wypadek wydarzył się w północnej Florydzie, ojczyźnie dziewięćdziesięciolatków. Norma Radnich była starą kobietą uduszoną w Domu Opieki South Banyon w St. Petersburgu na Florydzie. Policja z St. Petersburga zawiadomiła ich dopiero po ostatnim wypadku. Na razie nie mieli żadnych śladów, wskazówek, żadnych domysłów. Profilerzy pracowali również nad tym. Olliego wyznaczono do tej sprawy jako agenta prowadzącego, co odpowiadało Lacey.

Chciała wreszcie zacząć. Odkryła, jak uzyskać dostęp do wszystkiego, czego potrzebowała. Może dzisiaj wieczorem, kiedy Dillon wypuści ją z sali

gimnastycznej, wróci tutaj i popracuje. Jeśli Dillon jej nie wykończy, jeśli po treningu będzie jeszcze mogła chodzić.

Nikt się nie dowie. Postanowiła zachować ostrożność, w ciągu dnia wykonywać służbową pracę, a szukać w nocy. Serce jej zabiło szybciej na tę myśl. Dostanie go. Musiała go dostać. Ale przeczaił się na prawie siedem lat. Za trzy dni minie siódma rocznica. Rocznicą. Jak co roku od sześciu lat. Czyżby umarł? Albo przestał? Nie przypuszczała. Był klasycznym psychopata. Nigdy nie przestanie, dopóki go nie zabiją albo nie zamkną. Cykle, myślała często. Podlegał cyklom i z niewiadomych powodów na razie nic go nie popchnęło do działania.

Cotygodniowa odprawa odbywała się o drugiej. W sali konferencyjnej siedziało dziewięciu agentów: sześciu mężczyzn, włącznie z Savichem, i trzy kobiety; poza tym sekretarka, Claudia, żująca gumę babcia z jaskraworudymi włosami i umysłem jak brzytwa, i jeden urzędnik, Edgar, który zakładał się o wszystko i zgarnął pulę w zakładach o wagę nowo narodzonego dziecka Ellisa. Każdy przedstawił, czym się zajmuje, czego potrzebuje, na jakim jest etapie.

Odprawa przebiegała szybko, nie marnowano czasu. Wszyscy agenci wypowiadali się swobodnie, kiedy któryś z nich prosił o radę. Savich ich hamował.

Kiedy przyszła kolej Olliego, powiedział:

- Pracuję nad sprawą Radnich z Sherlock. Ona teraz chce zwiększyć tempo. Właśnie dostaliśmy ostatni plik dzisiejszych danych od policji z Florydy. Sherlock, dopiero skończyłaś wprowadzać wszystkie dane, tak?

Kiwnęła głową.

- Więc dzisiaj po południu naciśniemy magiczny guzik. Savich odwrócił się do niej.
- Sherlock? Chcesz coś dodać?

Pochyliła się do przodu, splotła dłonie.

– To jak tajemnica morderstwa w zamkniętym pokoju. Jakim cudem ten facet wszedł sobie do trzech domów opieki na Florydzie i jednego w Richmond o dziesiątej wieczorem, zabił te biedne staruszki i nikt nic nie widział ani nie słyszał? Naturalnie, wszystkie zamordowane staruszki mieszkały w jednoosobowych pokojach albo apartamentach, ale to bez znaczenia. Cała sprawa jest zwariowana. Musieliśmy coś przeoczyć.

– Niewątpliwe - przyznała Hannah. - Ale dojdziemy do tego, jak zwykle.

Savich zabrał głos:

– Ollie i ja jedziemy jutro rano do St. Petersburga. Właśnie odebrałem następny telefon od kapitan Samuels. Popelniono kolejne morderstwo. To znaczy, że nasz facet dodał gazu. Profilerom to się nie podoba. Bo znaczy, że on traci opanowanie. Pięć morderstw w osiem miesięcy, ostatnie dwa w ciągu półtora tygodnia. Pani kapitan Samuels bardzo zależy na naszym przyjeździe. Mamy tam powęszyć, obejrzeć wszystko świeżym okiem. Spędzimy tam weekend.

Podniecony Ollie mało nie wyskoczył z krzesła.

– Kiedy, szefie?

– Ósma rano. Linią United z Dulles. Nagle Ollie zbladł i wzniosł oczy do nieba.

– Nie chcę się angażować. Nie, jestem fatalistą. Jeśli naprawdę chcę jechać, to moja przyszła teściowa powie Marii, że jestem pracoholikiem i kiepskim materiałem na męża, i Maria mnie rzuci. Tak się układa moje życie.

– Nie martw się, Ollie - pocieszył go Savich, zamykając folder. -To nic wielkiego. Po prostu wpadniemy zobaczyć, czy oni czegoś nie przegapili. Chyba już czas, żeby osobiście zbadać sytuację.

– Czy pan już wie, kto to zrobił? - zapytała Sherlock, wychylona do przodu, zaciskając palce na krawędzi stołu.

Savich usłyszał ten śmiertelnie poważny głos, spojrział na pełną napięcia twarz, na gęste, wijące się, niesforne kasztanowe włosy, które wymykały się ze złotej klamry na karku.

– Niestety, nie tym razem. No, Ollie, nie panikuj. Nie ma powodu.

Ollie jednak nie wydawał się uspokojony. Lacey słyszała, jak zdążył się założyć co najmniej z kilkoma innymi agentami, że jego wesele nie dojdzie do skutku, bo terroryści wysadzą kościół w powietrze albo pastor zostanie aresztowany za kradzież naczyń liturgicznych.

– Ja naprawdę chcę złapać tego drania - mruknął Ollie.

– Ja też - oświadczył Savich. - Podobnie jak ty, Sherlock i każdy gliniarz na Florydzie, chcę wiedzieć, jak on to robi, że pojawia się i znika niczym duch. - Wstał. - Okay. Wszyscy jakoś sobie radzą. Nie ma większych problemów ani przełomów. Cogan, wpadnij do mnie za chwilę. Mam pomysł co do tych morderstw w Las Vegas.

O szóstej Lacey dotarła do sali gimnastycznej na Juniper Street, ubrana w szorty, workowaty podkoszulek i buty do biegania, z włosami związanymi wysoko w koński ogon. Zapłaciła wymagane dziesięć dolarów i weszła do wielkiej sali wykładanej lustrami. Zastała tam komplet kulturystów, którzy oglądali w lustrach każdy swój ruch. Odrzucało ją na widok tego, jak chodzą. Cierpieli na przerost mięśni i nie potrafili poruszać się normalnie. Człapali jak krowy.

Były też piękne młode kobiety, profesjonalistki na Stair Mastersach, które co kilka minut spoglądały na zegarki; pewnie myślały o dzieciach i co ugotują na obiad, i czy wystarczy im czasu na kolejne pięć minut ćwiczeń.

I było też całkiem sporo mężczyzn w różnym wieku. Wszyscy ciężko pracowali. Nie widziała ani jednego łamagi. Potem zobaczyła Savicha. Miał na

sobie szorty, buty do biegania i biały bawełniany podkoszulek bez rękawów. Podciągał się na ławeczce.

Błyszczał od potu, ciemne włosy przykleiły mu się do czoła. Wyglądał dobrze. Nawet lepiej niż dobrze: wyglądał cudownie. Potem zobaczyła, jak zerknął na zegarek, zrobił jeszcze dwa powolne podciągnięcia, puścił drażek i powoli wstał. Odwrócił się, natychmiast ją zobaczył i pomachał. Widząc go z przodu, uświadomiła sobie, że od dawna nie spojrzała na żadnego samca jak na mężczyznę. Przez chwilę podziwiała czyste linie jego mięśni, gładkie zarysy ścięgien, potem odsunęła od siebie te myśli i wróciła do swojej właściwej roli.

Podchodząc, zmierzył ją wzrokiem.

– Doszedłem do wniosku, że twoim ramionom nic nie brakuje. Potrzebujesz trochę karate. Nie podoba mi się, że pomimo siga i damskiego colta rozbroiłem cię bez trudu. Musisz umieć się bronić, a broń jest niebezpieczna. Co na to powiesz?

Co mogła powiedzieć? Zaczęła kiedyś trenować karate, ale musiała przerwać, bo złamała nogę na nartach. Dwa lata temu. Dobrze jej szło. Ale dwa lata to długa przerwa w sztukach walki. Kiwnęła głową. Nastąpiła rozgrzewka, rozciąganie, a potem godzina najgorszej mordegi w jej życiu. Savich szybko się zorientował, że już kiedyś trenowała. Rzucił nią, tłukł, przewracał i nieustannie zachęcał. Po jednym szczególnie spektakularnym upadku popatrzyła na niego, leżąc na plecach.

– Nie wstanę. Nie jestem aż taką masochistką. Zaraz znowu mnie pan przewróci. Znudziło mi się słuchać, jak świetnie padam i robię przewroty.

Uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze sobie radzisz. Przestań skamleć. Ćwiczyłaś już karate, więc to dla ciebie nic nowego. Przede wszystkim musisz się nauczyć upadać.

– I tak nie wstanę. To było dwa lata temu. Westchnął i wyciągnął do niej rękę.

- No, dobrze. Teraz twoja kolej. Ale nie robiłem tego tylko po to, żeby cię dreczyć. Jeśli nie umiesz prawidłowo upaść, możesz od razu machnąć ręką. Twoja kolej. Musisz mną rzucić.

Chwyliła go za rękę, zerwała się na nogi i przybrała pozycję. Uśmiechnął się na widok jej ponurej zaciętej miny. Miała ochotę go zabić.

- Nigdy nie przestawaj myśleć, Sherlock. Zawsze patrz mi w oczy. Przygotuj mięśnie, ale ich nie napinaj. Umiesz to zrobić. Okay? Zaczynamy.

Pozwolił się rzucić, pomagając jej własnym rozpędem. A ona krzyczała i wiwatowała, że w końcu przewróciła go na matę.

- Nieźle - mruknął, wstając.

Przez następne pół godziny powtarzali to jedno ćwiczenie. W końcu Lacey odstąpiła do tyłu i zgięta wpół oddychała ciężko, tak wyczerpana, że z trudem mogła nabrać powietrza.

- Dosyć. Ledwie żyję. Mało mi oczy nie wypłynęły. Rzucił jej ręcznik, zupełnie suchy. Nawet się nie spocił.
- Teraz, kiedy odświeżyłaś wspomnienia, jak ci się podoba? Cisnęła w niego ręcznikiem.
- Nigdy w życiu nie bawiłam się lepiej. Roześmiał się i odrzucił ręcznik.
- Nigdy w życiu tak ciężko nie harowałam.
- Tak, ale to ty sprawujesz kontrolę, nie broń, której używasz.
- Nie może pan nikogo walnąć z odległości dwudziestu stóp, sir. Nawet ja mogłam pana położyć, gdyby pan nie stał tak blisko.
- Owszem, ale stałem i gdyby to był prawdziwy napad, już byś nie żyła. Nie chcę do tego dopuścić. Zamierzam poświęcić wiele czasu na ćwiczenia z tobą. Nie chcę, żebyś dała się zastrzelić. Znam klasę akurat dla ciebie. Tam są kobiety i mężczyźni, a facet, który uczy, to mój stary kumpel. Nazywa się Chico, twardziel z niego. Może cię przyjmie, chociaż masz takie chude ramionka.

Roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. Oboje wzięli prysznic i się przebrali. Odprowadził ją do domu, zasalutował i powiedział:

- W ten weekend meblujesz mieszkanie, Sherlock. Nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Do zobaczenia w centrali w poniedziałek. Tu masz numer telefonu Chico. Och, jeszcze jedno. Jutro będziesz trochę obolała, ale nic wielkiego. Koniecznie weź długą gorącą kąpiel. Może kilka aspiryn. Przedtem zastosuj okłady z lodu.

Zamilkł na chwilę, patrząc na jej twarz, czystą i nie umalowaną, na jej zmierzwione włosy, kosmyki zwisające wokół twarzy. Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się.

- Dobrze się spisałaś, Sherlock, doskonale. Przymknę oko na twoje skamlanie. Zerknęła na chodnik, zastanawiając się, czy da radę nim rzucić.
- Obserwuję twoje oczy. Patrzę po prostu w twój pokręcony mózg. Nie, Sherlock, nie próbuj mnie rzucić na klomb, nie dzisiaj.

Pomachał jej i odszedł. Przez chwilę odprowadzała go wzrokiem, zanim skręcił za rogiem na wschód.

- Czy to Savich?

Tak ją zaskoczył, że mało nie upadła. Wyszedł zza drzewa, kiedy wymachiwała rękami, łapiąc równowagę.

- O mój Boże, to ty, Douglas. Omal nie dostałam zawału. O co chodzi? Czy komuś coś się stało?
- Nie, nie. Czekałem na ciebie, Lacey. Przyszedłem, żeby cię zabrać na obiad. Ale cię nie było.
- Nie, byłam w siłowni. Savich stłukł mnie na kotlet. - Widząc jego spojrzenie, wyjaśniła: - Karate. Nie wiem, czy pamiętasz, ale dwa lata temu zaczęłam brać lekcje karate, a potem przestałam. Teraz do tego wracam, zaczynam od nauki padania.
- Dlaczego z nim?

- Od jutra będę w klasie faceta imieniem Chico. Znając Savicha, obawiam się, że każe mi trenować co wieczór.
- Czy ten facet przystawia się do ciebie, Lacey?
- Savich? O rany, Douglas, to mój szef! Jest szefem jednostki. Nic więcej.
- Taak, znalazł najlepszy sposób, żeby cię poderwać.

Był zazdrosny. Cecha u niego zadziwiająca. Uśmiechnęła się i lekko oparła rękę na jego ramieniu.

- Savich jest zawodowcem. Nie interesuje się nikim w jednostce, nie w ten sposób.

Przypomniała się jej Hannah Paisley. Czy coś łączyło Hannah z Savichem?

Douglas dostrzegł kłamstwo w jej oczach. Dlaczego? Nigdy przedtem nie kłamała, ale z drugiej strony nie widzieli się od pięciu miesięcy. Cholerne FBI miało ją w swoich szponach od szesnastu tygodni. Co jeszcze z nią zrobią? Odetchnął głęboko.

- Może wejdziemy do środka? Przebierz się, a potem zabiorę cię na obiad. Rano muszę wracać do San Francisco.
- To miło z twojej strony. Kiedy wrócisz do domu, porozmawiasz z Candice Addams, prawda?
- Tak.

Kiwnęła głową i weszła pierwsza do pustego domu.

Rozdział 9

Uśmiechnęła się do strażnika i otworzyła czarną legitymację FBI. Piękna złota gwiazda zaśniła.

- Agentka Sherlock? - Sprawdził listę trzymaną w ręku. - Pani jest nową agentką?
- Tak, chciałabym wejść do biura i jeszcze trochę popracować.
- Hej, w budynku nie można palić fajki, Sherlock.
- Dziękuję, zapamiętam. Ale to fatalnie, bo mam doskonały tytoń.
- Pewnie często pani to słyszy?

Strażnik był mniej więcej w jej wieku, czarny, z ogoloną głową i bardzo wydatną szczęką.

- Nie - odparła z uśmiechem - słyszę to po raz pierwszy.
- To może: Czy pani mieszka na Baker Street?
- Gdzie to jest?
- No dobrze. Ale wymyślę coś nowego, czego pani naprawdę nigdy nie słyszała. Niech pani wejdzie. Tylko proszę się tutaj podpisać. Wychodząc, niech się pani u mnie zgłosi. Och, mam na imię Nick.

Pomachała do strażnika. Ruszyła w stronę wind, niskie obcasy pantofli stukały głośno na marmurowej podłodze. Gdyby ktoś pytał, zamierzała powiedzieć, że chciała jeszcze raz spojrzeć na sprawę Rad-nich. Wysiadła z windy na czwartym piętrze, poszła długim korytarzem, skręciła w prawo, potem w lewo, w następny korytarz. Otworzyła drzwi do JBK. Wewnątrz panowała ciemność. Niestety musiała zapalić światło w całym pomieszczeniu. W nocy wyglądało tu inaczej. Brak ludzi, rozmów, śmiechów, oddechów obrabował ją nawet z iluzji bezpieczeństwa. Była sama w tym dużym pokoju. Ale miała w kaburze swojego siga 9 mm.

- Nie bądź mięczakiem i idiotką. - Jej śmiech zabrzmiał upiornie w pustym pokoju. Nie znosiła sufitowych jarzeniówek.

Wywołała menu na swoim komputerze i sprawdziła wszystkie dostępne bazy danych. Znalazła go już po dwudziestu minutach. Znalazłaby po dwóch, gdyby zabił kogoś jeszcze przez ostatnich siedem lat. Ale nie zabił.

Przeczytała profil, przeczytała jeszcze raz i zaklęła. Sama mogła to napisać. Sporządziła dziesiątki profili na kursach dyplomowych z psychologii kryminalnej. Nawet obroniła pracę magisterską na temat: „Inkluzyjna psychometria seryjnego przestępcy”. Powinna znać wszystkie czynniki składające się na psychotyczny umysł, przemieszane w nieskończonych zestawieniach tworzących potwora. „Inkluzyjna” to był pomysł jej promotora. Nadal uważała, że brzmi idiotycznie i pretensjonalnie, ale doradca poklepał ją po ramieniu i powiedział, że on wie najlepiej, co szanują zawodowcy. Zdała, więc widocznie mówiła przekonująco na obronie. Zresztą dostała wysokie stopnie za wszystkie protokoły, testy i narzędzia pomiarowe, które opracowała w celu predykcji i oceny stopnia skażenia w umyśle seryjnego mordercy. Nic jej to nie pomogło. Zapadł się pod ziemię.

Ale nawet profil FBI nie dostarczył żadnej wskazówki, gdzie go znaleźć. Nie zawierał niczego umożliwiającego inne podejście, tworzącego inną perspektywę. Nic nowego. Zaraz. Przewinęła znowu do początku i jeszcze raz przeczytała dwa zdania. „Podmiot nigdy nie zmienia metody egzekucji. Jego umysł jest nastawiony na wykonywanie tego powtarzalnego aktu wciąż od nowa”.

To miało sens. Według jej wiedzy, każde z siedmiu morderstw popełniono w identyczny sposób. Powoli przeczytała wszystkie raporty policyjne, włącznie z raportem o Belindzie, a potem je wydrukowała.

Nie cierpiała raportów z autopsji, ale na kursach nauczyła się zachowywać dystans do ponurych szczegółów, z których większość podawano medycznym żargonem. Z fotografiami było już gorzej. Nie przeczytała raportu z autopsji Belindy. Wiedziała, że kiedyś będzie musiała, ale nie teraz. Nie, nie teraz i nie jutro. Jednak wydrukowała wszystkie, włącznie z autopsją Belindy.

Wystarczy. Ledwie da radę wynieść te wszystkie wydruki.

Nick uśmiechał się, wysuwając do przodu szczękę, kiedy ją zobaczył.

- Sporo ma pani materiału, agentko Sherlock. Zabiera pani to wszystko na Baker Street 21B? Właśnie sobie przypomniałem o tym 21B.
- Aha. To wszystko o Moriartym. Jeszcze dopadnę tego łajdaka.
- Nic nie wiem o żadnym Moriartym. Ale widziałem film z Sherlockiem Holmesem o tym psie. Rany, co za psisko.
- Rzeczywiście dobry film - przytaknęła, kiedy się wypisywała.
- Często pani będzie pracować po godzinach?
- Chyba tak. Agenci to uparte istoty. Nigdy się nie poddają. Zbliżając się do samochodu, już z daleka kliknęła pilotem alarmu.

Wszystko działało. We wnętrzu navajo zapaliły się światła. Nikt się nie włamał.

Kiedy dotarła do domu, sprawdziła dokładnie wszystkie wejścia, potem zamknęła drzwi na zasuwę i założyła dwa łańcuchy. Włączyła alarm. Zostawiła otwarte drzwi sypialni.

Czytała raporty do późnej nocy. Ale nie o Belindzie, jeszcze nie.

- Napaś tym oczy, Sherlock.
Spojrzała na mapę z kropkami. Komputer połączył kilka linii.
- To Gwiazda Dawida, Ollie. I co z tego? Ollie zacierał ręce.
- Nic złego się nie stało. Savich i ja pojechaliśmy tam i rozmawialiśmy ze wszystkimi. Znasz Savicha, był wyciszony i na luzie, a potem po prostu pokazał to wszystkim. Myślałem, że pani kapitan Samuels, ta z policji w St. Petersburgu, rzuci mu się na szyję. Te cztery kropki to miejsca, gdzie zabójca już uderzył. Savich tylko zrobił ekstrapolację i *voila!*
- To nie musi nic znaczyć, Ollie. Gwiazda Dawida? - Obejrzała trzy kropki, przedstawiające miejsca zbrodni. Tworzyły niemal doskonały trójkąt równoboczny skierowany czubkiem w górę. Czwarte morderstwo mogło

zapoczątkować trójkąt równoboczny umieszczony do góry nogami, ale kto wie? - No, oczywiście to możliwe, ale może to przypadek.

- Wkrótce zobaczymy - zapewnił ją Ollie. -Jeśli przyjmujemy rozumowanie Savicha, facet następnym razem zabije dokładnie tutaj. - Wskazał kolejny punkt.
- Bardzo ładnie - pochwaliła. - Domyślcie się, w jaki sposób Duch wchodzi i wychodzi z domów opieki i nikt go nie widzi?
- Jeszcze nie. Ale w następnym miejscu wskazanym przez Savicha przeprowadzimy intensywne dochodzenie. Wiesz co? Media podchwyciły twoje słowa. Wszystkie gazety i telewizja wrzeszczą o Duchu mordującym babcię.
- Jak to? Skąd wiedzą, że tak mówimy? Ollie spojrzał na swoje czarne mokasyny.
- No, chyba ja to wypaplałem reporterce z telewizji, która była bardzo ładna i tak jej zależało. - Podniósł na nią wzrok i wyszczerzył zęby. - Myślałem, że Savich mnie znokautuje.
- Lepiej cię niż mnie. Mnie już rzucał po całej sali gimnastycznej. Ciągle jestem obolała, ale nie mam odwagi nic powiedzieć, bo oskarży mnie o skamlanie.
- Więc to prawda? Wciągnął cię w karate?
Przytaknęła.
- Mnie powiedział, że należałem do najlepszych graczy w koszykówkę w Biurze. Kazał mi utrzymywać formę, grając ze wszystkimi moimi siostrzeńcami i siostrzenicami. Powiedział, że dzieciaki zmuszają do uczciwości i zachowania kondycji ze strachu przed upokorzeniem..
- Ha. Powiedział tak tylko dlatego, że nie mógł tobą rzucić o ścianę, seksistowski gnojek.

– Nie, mnie porządnie przetrzepał skórę, kiedy go zapytałem o karate. Naprawdę cię rozłożył, Sherlock?

– Nawet nie pamiętam, ile razy.

– Co to za seksistowski gnojek?

Oboje odwrócili się i zobaczyli Savicha stojącego za nimi z laptopem w jednej ręce i modemem w drugiej.

– Nie znam żadnych seksistowskich gnojków, a ty, Ollie?

– Ja? Nigdy nie słyszałem tego słowa, jedynie od Marii, ale ona nawet nie wie, co to znaczy.

Savich stęknął.

– Co myślisz o Gwieździe Dawida, Sherlock?

– Wystarczająco dziwne, żeby zawierać ziarno prawdy. Jednakże morderstwa zaczęły się w Wirginii, nie na Florydzie. To może utrudnić sprawę.

– Słusznie. Już niedługo zobaczymy. Miejscowe gliny obstawiają następnym prawdopodobny dom opieki.

Zmarszczyła brwi.

– Wolałbym porównywać wszystkie fizyczne dowody, ale prawdę mówiąc, nie mamy ich za wiele. Ta historia z Gwiazdą Dawida, no, czuję, że masz rację. Ale czuję także, że to bez znaczenia. Pewnie zabije w domu opieki, który wytypowałeś, lecz nikt go nie zobaczy.

– Ona czuje to samo co ja - powiedział Ollie. - To mnie doprowadza do szalu. Kazałem komputerowi porównać i skonstrastować wszelkiego rodzaju ślady, ale nie dostaliśmy nic, dosłownie nic.

– Złapiemy go, Ollie.

– Mam nadzieję - mruknęła Lacey. Odwróciła się do Olliego. -Czy twoja przyszła teściowa przekonała Marię, że jesteś pracoholikiem, bo wyjechałeś na cały weekend?

- Nie, zwałem winę na szefa. Powiedziałem jej, że agent Savich wyrzuci mnie na bruk, jeśli z nim nie pojedę. Wtedy wciągną mnie na czarną listę i nigdzie nie dostanę pracy. Wycofała się.

Savich się roześmiał i wrócił do swojego gabinetu. Lacey zobaczyła, że Hannah Paisley wstaje szybko i idzie za nim. Ku jej zdziwieniu Ollie obserwował Hannah z pochmurną miną.

- Co jest?
- Nic takiego. Wolałbym tylko, żeby Hannah traktowała Savicha trochę chłodniej.

Lacey nie powiedziała ani słowa; nie chciała znać cudzych sekretów. Tak było bezpieczniej. Ollie nic nie zauważył i dodał w zamyśleniu:

- Słyszałem, że Savich i Hannah spotykali się, zanim wstąpiła do jednostki. Potem, kiedy przyszła do jednostki, krążyły słuchy, że Savich z nią zerwał. Powiedział mi, że nikt w jednostce nie powinien maczać biurowego pióra w biurowym atramencie.
- To dopiero było seksistowskie, Ollie. Myślisz, że Hannah ciągle
- się nim interesuje?
- No pewnie, tylko popatrz na nią. Nie może od niego oczu oderwać. Czemu z nią nie pogadasz, Sherlock? Może ciebie posłucha. Savich się nią nie interesuje, a nawet gdyby, nigdy nie zwiąże się z agentką z własnej jednostki.

Lacey pokręciła głową i wywołała jeden z raportów laboratorium. Nie obchodziło ją, gdzie Savich maczał swoje biurowe pióro. Rany pomyślała. Właśnie spróbowała zażartować. Dawno tego nie robiła. Zobaczyła, jak Hannah wychodzi z gabinetu Savicha ze ściągniętą twarzą. Nie zamierzała się odzywać do tej wspaniałej kobiety. Szczerze wątpiła, czy o tej porze Hannah Paisley zechce wysłuchać jej opinii. Wróciła do pracy nad Duchem.

Lacey rozłożyła „Boston Globe”, ostatnią wielkomięjską gazetę ze stosu. Męczyło ją codziennie przeglądanie dziesięciu gazet z największych miast, ale nie mogła przestać. Robiła to prawie od siedmiu lat. Prenumeraty kosztowały ją fortunę, lecz miała dość pieniędzy z funduszu powierniczego, więc wystarczało na jedzenie i opłacanie tyłu subskrypcji, ile sobie życzyła. Wiedziała, że on gdzieś tam jest. Nie zamierzała rezygnować.

Nie wierzyła własnym oczom. Prawie upuściła kubek z kawą. Na trzeciej stronie. Niezbyt duży artykuł, ale wystarczająco obszerny, żeby natychmiast przyciągnąć wzrok. Przeczytała:

Wczoraj wieczorem o 6.30 w opuszczonym magazynie na Przystani Czterdzieści jeden znaleziono brutalnie zamordowaną Hillary Ramsgate, lat dwadzieścia osiem, zatrudnioną jako brokerka w firmie Hameson, Lyle & Obermeyer. Detektyw Ralph Budnack z bostońskiej policji powiedział, że ofiara prawdopodobnie została zmuszona do dziwacznej gry, która zakończyła się jej śmiercią na skutek licznych ran kłutych brzucha i klatki piersiowej. Notatka przywiązana do szyi informowała, że kobieta przegrała i musiała ponieść karę. W chwili obecnej policja prowadzi śledztwo.

Wrócił. W Bostonie. Zacznie znowu. Miała nadzieję, że ta nieszczęsna kobieta jest pierwszą ofiarą nowego cyklu, że nie przegapiła innych i że nie mordował kobiet w małych miasteczkach, gdzie AP nie nagłośniło sprawy.

Hillary Ramsgate. Biedna kobieta. Ponownie przeczytała artykuł w gazecie i wstała od kuchennego stołu. Hillary zginęła tak samo jak Belinda i sześć innych kobiet w San Francisco siedem lat temu. Wszystkie przegrały.

Artykuł w gazecie nie podawał, że kobiecie wycięto również język. Policja nie ujawniła tego faktu. Lacey jednak wiedziała. Ofiara została brutalnie zadżgana i urżnięto jej język.

Bydlak.

Skojarzyła sobie, że wczoraj minęła siódma rocznica ostatniego morderstwa. Siedem lat. Uderzył dokładnie siedem lat temu, co do dnia. Potwór wrócił.

Lacey spacerowała tam i z powrotem przed gabinetem Savicha, kiedy ten wyszedł zza rogu. Obserwował ją przez chwilę. Powiedział bardzo cicho, żeby jej nie przestraszyć:

– Sherlock, jest siódma rano. Co ty tu robisz? Co się stało?

Kiedy gwałtownie odwróciła się do niego, zobaczył w jej twarzy taki ból, jakiego nie widział od dawna. Potem rozpaczliwa pustka zniknęła. Lacey wzięła się w garść. Znowu ukryła ból.

Co się z nią działo?

– Sherlock? Co ci jest?

Wygładziła rysy twarzy. Co zobaczył? Zdobyła się nawet na uśmiech.

– Przepraszam, że nachodzę pana tak wcześnie, ale mam prośbę. Chcę wziąć kilka dni wolnego i pojechać do Bostonu.

Otworzył kluczem drzwi gabinetu i gestem zaprosił ją do środka.

– Boston?

– Tak. Ciotka zachorowała. Nagły wypadek. Wiem, że pracuję w jednostce dopiero od paru tygodni, ale nikt inny nie może się tym zająć.

– Twoja ciotka jest stara?

– Właściwie nie, tylko ma Alzheimera. Nagle jej się pogorszyło.

– Krewni cię zawiadomili?

Dlaczego zadawał te wszystkie pytania? Nie wierzył jej?

– Tak, kuzyn do mnie zadzwonił. On, no, sam nie czuje się najlepiej, więc zostałam tylko ja na Wschodnim Wybrzeżu.

– Rozumiem - powiedział powoli, nie patrząc na nią. Wyglądała blado, przestraszona i podekscytowana: dziwna kombinacja, ale właśnie to odczytał

w jej twarzy. Włosy miała szesane do tyłu tak gładko, jakby je spryskała lakierem, i spięte na karku tą samą złotą klamrą. Nie mogła usiedzieć spokojnie, miętoszyła w palcach torebkę, postukiwała nogą. Zapomniała nałożyć makijaż. Wyglądała bardzo młodo.

- Na jak długo chciałabyś wyjechać? - zapytał w końcu.
- Nie więcej niż trzy dni, tylko żeby dopilnować, czy ciotka ma odpowiednią opiekę.
- Jedź, Sherlock. Aha, zadzwoń do mnie z Bostonu dzisiaj wieczorem i powiedz, co słyhać, dobrze?

Dlaczego go obchodziło, co ona robi z dala od Waszyngtonu? Kolejne kłamstwa. Nie znosiła kłamać. Nie bardzo umiała, ale tę historyjkę przećwiczyła po drodze. Na pewno jej uwierzył, na pewno.

- Tak, sir. Zadzwonię do pana dzisiaj wieczorem. Nabazgrał swój numer na kartce papieru.
- Jeśli będzie późno, zadzwoń do mnie do domu.

Podał jej złożoną karteczkę. Kiedy już wychodziła, dorzucił:

- Powodzenia. Uważaj na siebie.

Odwrócił się, dopiero gdy zniknęła za drzwiami. Przez chwilę słuchał jej szybkich kroków. Dziwne. Dlaczego go okłamała?

Telefon zadzwonił tego wieczoru o dziesiątej trzydzieści. Savich przyciszył mecz baseballowy pomiędzy Giantsami a Red Soxami, Giantsi prowadzili siedem do dwóch w siódmej rozgrywce. Wciąż patrzył na ekran, odbierając telefon.

- Sir, mówi Sherlock. Uśmiechnął się do słuchawki.
- Co słyhać?

- Ciotka czuje się nieźle. Muszę jeszcze dopiąć kilka szczegółów, ale wrócę przed czwartkiem, jeśli można.

Swobodnym tonem powiedział:

- Mam przyjaciela w szpitalu Boston Memorial, lekarza specjalistę geriatrici. Podać ci jego nazwisko, żebyś porozmawiała z nim o ciotce?
- Och, nie, sir. Wszystko jest pod kontrolą.
- To dobrze, Sherlock. Jaka pogoda w Bostonie?
- Zimno i pada. Wszyscy wydają się starzy i zmęczeni.
- Tutaj to samo. Zobaczymy się w czwartek. Ach tak, zadzwoń do mnie jutro wieczorem.

Chwila przerwy, potem:

- Proszę bardzo, sir, skoro pan sobie życzy.
- Życzę sobie. Wydajesz się zmęczona, Sherlock. Śpij dobrze. Dobranoc.
- Dziękuję, sir. Nawzajem.

Obserwował ją ze swojego gabinetu. Dochodziła pierwsza po południu w czwartek. Przez całe rano miał zebrania. Zobaczył ją po raz pierwszy, odkąd wróciła z Bostonu. Wyglądała na zmęczoną i postarzałą. Nie, więcej. Wyglądała na przygnębioną, jakby straciła najlepszego przyjaciela, jakby ktoś ją zmalretował nie fizycznie, tylko emocjonalnie. Wcale nie był zdziwiony.

Stukała wściekle w klawiaturę, całkowicie zaabsorbowana. Odczekał kilka minut, zanim podszedł do jej stacji. Rozmawiał z nią przez trzy kolejne wieczory, zawsze o dziesiątej trzydzieści, co wieczór tak samo, tylko że w środę nie było całkiem tak samo. Żałował, że nie mógł jej zobaczyć. Kiedy na nią patrzył, widział jej myśli wyraźnie jak połysk pasty na polerowanych co środę półbutach wujka Boba.

- Sherlock.

Uniosła twarz, palce znieruchomiały na klawiaturze komputera.

- Dzień dobry, sir. Dopiero pan przyszedł?
- Tak. Mów mi Savich. Albo Dillon.
- Tak, sir. Dillon.
- Zajrzysz do mojego gabinetu? Powiedzmy za dziesięć minut? Skinęła głową, nic więcej, tylko potulne skinienie, które próbowała przed nim ukryć.

Kiedy weszła do gabinetu, powiedział natychmiast:

- Nie lubię kłamstw ani kłamców.

Spojrzała na niego bezradnie.

- Siostra twojej matki mieszka w San Diego. Masz trzech kuzynów, żaden nie przekroczył trzydziestu pięciu lat i wszyscy mieszkają na Zachodnim Wybrzeżu. Nie masz kuzyna w Bostonie. Co więcej, nikt z twojej rodziny nigdy nie chorował na Alzheimera.

- Nie, chyba nie.

- Siadaj, Sherlock. Usiadła.

Patrzył, jak obciąga spódnicę. Siedziała na brzeżku krzesła niczym dziecko czekające na burę. Tylko że wcale nie była dzieckiem.

- Nie sądzisz, że już czas, byś zagrała ze mną w otwarte karty?
- Dopiero kiedy zadzwonię do Chico i wezmę parę lekcji. Próbuje żartować. Doceniał to. Przynajmniej zachowała równowagę.
- I tak mógłbym przetrzeć tobą podłogę. Znam się na karate i na innych rzeczach. A skoro mowa o kartach, dałem ci wszystkie atuty do ręki, kiedy wystąpiłem o twój przydział do mojej jednostki, prawda? Pomyślałaś pewnie, że Bóg zlitował się nad tobą, kiedy Petty ci powiedział, że nie musisz jechać do Los Angeles.

To już nie miało znaczenia. Pewnie wiedział o wszystkim. Przynajmniej nie musiała więcej kłamać.

- To prawda, że nie interesowały mnie napady na banki. Mówiłam to już pierwszego dnia, podczas rozmowy wstępnej.
- O tak, na pewno. Ty chciałaś wytropić seryjnego mordercę, który zabił twoją siostrę siedem lat temu. Miała na imię Belinda, prawda?

Rozdział 10

Przyjęła cios, nieznacznie zgięta do wewnątrz, żeby zaabsorbować ból, nieznośną nagość tych słów wypowiedzianych na głos. Wiedziała, że zmarnowała swoją szansę. Dla niej wszystko się skończyło. Ale może nie. On był w Bostonie. Więc po prostu złożyła rezygnację w FBI i przeprowadziła się do Bostonu. Nie miała wyboru.

Nawet nie drgnęła, tylko spojrzała na niego i powiedziała:

- Nazwali go Sznurobójcą. Czy to nie głupie przezwisko? Sznurobójca! Coś niewiele grubszego od nitki, kawałek cienkiego sznurka, którego używał do torturowania kobiet, wszystkich siedmiu... psychologiczne tortury... a media zrobiły z tego Sznurobójcę, żeby brzmiało groźnie i chwytliwie.
- Tak, dobrze pamiętam tę sprawę. A teraz uderzył znowu po siedmiu latach, tym razem w Bostonie. Po siedmiu latach co do dnia.

Popatrzyła na niego i powiedziała tym swoim przygnębionym tonem, bez odrobiny zdziwienia:

- Skąd pan, wie?
- Wszedłem do twojego komputera, zobaczyłem, do czego uzyskałaś dostęp, i ściągnąłem to. Zobaczyłem, że użyłaś mojego hasła, by dostać się do kilku specjalistycznych baz danych. Dziwne, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że jeden z moich pracowników ukradnie mi hasło. Po prostu pewnego dnia zajrzałaś mi przez ramię?

Przytaknęła bez słowa.

Bardzo sprytnie z jej strony. Gotował się ze złości. Głęboko zaczerpnął powietrza, tłumiąc gniew.

– Sprawdziłem log bezpieczeństwa. W poniedziałek wieczorem spędziłaś tutaj trzy i pół godziny. We wtorek rano przeczytałaś gazetę i tego samego dnia wyjechałaś do Bostonu. Kupiłem „Boston Globe”. Artykuł był na trzeciej stronie.

Wstała powoli, jak stara kobieta.

– Sprzątnę moje biurko, sir, potem zgłoszę się do pana Petty'ego.

– I co powiesz panu Petty'emu?

– Ze skłamałam, że pan to odkrył i mnie zwolnił. Naprawdę mi przykro, sir, lecz nie miałam wyboru.

– Nie zwolniłem cię. Jeśli myślisz, że wypuszczę cię na Bostoński Departament Policji, to się mylisz. Ale ty już z nimi rozmawiałaś, prawda? Spławili cię, tak? Nieważne, na razie nic nie mów. Zadzwoń do Ralpha Budnacka.

Drgnęła, jakby ją uderzył. Potem obdarzyła go tak zimnym uśmiechem, jakiego dotąd nie widział. Uniosła podbródek.

– Wiem, w jaki sposób zabójca dostał się do domów opieki na Florydzie, żeby udusić te staruszki.

Uświadomił sobie, że podziwia jej umysł. Czy próbowała się targować? Wynegocjować umowę? Zdobyć jakieś argumenty?

– Rozumiem - powiedział swobodnie, odchylił się na oparcie fotela i obracał długopis w palcach. - Dam ci coś i ty coś mi dasz w zamian?

– Nie. Raczej chciałam panu pokazać, że nie jestem kompletną idiotką i zależy mi nie tylko na człowieku, który zamordował moją siostrę. Naprawdę nie chcę, by umierały następne staruszki. Musiałam o tym powiedzieć, zanim zapomnę i wyjdę.

- Nie zapomnialabyś, tak samo jak nie możesz zapomnieć o śmierci siostry. Sprawa załatwiona. Nie odchodzisz. Wracaj do biurka, Sherlock, i spisz swoje pomysły na temat Ducha. Porozmawiamy później.

Nie chciała z nim rozmawiać. Nie mogła mu dorównać. Pierwszy raz próbowała kręcić i z miejsca ją zdemaskował. Nie zdawała sobie sprawy, że tak marnie kłamie. Przejrzał ją na wylot. Przestraszyła się jego gniewu, ponieważ nie wrzeszczał. Był wściekły, ale zimny, taki zimny. Dlaczego jej po prostu nie wyrzucił? Przecież go zdradziła.

Dlaczego?

Zrobi to niedługo, nie miała wątpliwości. Na jego miejscu tak właśnie by postąpiła. Postanowiła, że ściągnie całą resztę z bazy danych i wymknie się po cichu. On oczywiście zaraz się dowie, co zrobiła, ale to bez znaczenia. Tutaj nie mogła kontynuować śledztwa. Nie pozwoli na to: za bardzo naruszyła przepisy, za daleko wykroczyła poza swoje uprawnienia. Nie, nie pozwoli jej zostać, nawet jeśli teraz prowadzi z nią jakąś grę.

Ledwie usiadła za biurkiem, Hannah Paisley powiedziała za jej plecami:

- Jesteś głupia, Sherlock, a może on używa twojego ślicznego imienia, Lacey?
- Nie jestem głupia, Hannah, jestem tylko bardzo zmęczona. No, może jestem głupia.
- Dlaczego jesteś taka zmęczona? Czy Savich nie dał ci zasnąć przez całą noc? Ile razy cię wypierdolił, Sherlock?

Lacey wzdrygnęła się na szorstki ton głosu Hannah, nie na treść tego, co powiedziała. Treść kojarzyła się z obleśnym, raczej głupim zdjęciem z „Playboya”, pokazującym wygięte ciało. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że prawie nigdy nie było na nich nagich mężczyzn, tylko kobiety. Naprawdę nagie.

- Proszę, Hannah, między nami nic nie było. Savich nawet mnie nie lubi. Właściwie...
- Właściwie co?

Lacey tylko potrząsnęła głową. Nie, niech Hannah usłyszy to od samego Savicha. Co wkrótce nastąpi.

- Spójrz na mnie, Hannah. Jestem chuda i bardzo pospolita. Ty jesteś piękna... na pewno o tym wiesz. Nie zagrażam ci, możesz mi wierzyć. Poza tym wcale nie lubię Savicha bardziej niż on mnie. Czy przynajmniej w to uwierzysz?
- Nie. Od razu zobaczyłam, kim jesteś, jak tylko przyszedł do jednostki.
- Kim jestem?

– Dziwką i manipulanką. Zobaczyłaś Savicha w Akademii i zainteresowałaś go sobą, żeby ściągnął cię do jednostki. Ale dobrze ci radzę, trzymaj się od niego z dala, bo rozerwę cię na strzępy. Wiesz, że potrafię. Słyszałaś?

Ollie zbliżył się niedbałym krokiem, pogwizdując, jakby nie miał żadnych zmartwień, ale Lacey zobaczyła jego oczy. Widział, co się dzieje, i nie był zachwycony.

- Hej, Hannah, co ze sprawą Lazarusa? Do czego facet używa tych butelek po coca-coli?

Dygotała nie z powodu tego, co powiedziała Hannah - nie, Hannah i jej śmieszna zazdrość znaczyły dla niej mniej niż nic. Widywała inne kobiety w gabinecie Savicha, młode, ładne kobiety. Czy Hannah prześladowała je wszystkie?

Kogo to obchodzi? Mniejsza o Hannah. Odwróciła się plecami do Hannah i Olliego, włączyła komputer i bębniła palcami, czekając, aż się uruchomi. Potem wstukała hasło Savicha. Bez rezultatu.

Nagle na ekranie pojawiły się słowa: *Nie tym razem, Sherlock.*

Ekran zgasł. Komputer okazał się wrogiem. Dopóki Savich oddychał, komputer pozostanie jej wrogiem. Zdjęła palce z klawiatury i położyła dłonie na kolanach.

- Jak się czuje ciotka?

Ollie przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

- Wyglądasz parszywie, Sherlock.

- Dziękuję. Ciotka czuje się już lepiej.
- Wyglądasz jak ktoś na krawędzi załamania.

Żyła na krawędzi załamania przez siedem lat; teraz jej nie przekroczy. Uśmiechnęła się do niego.

- Wcale nie. Po prostu jestem zmęczona i to samo powiedziałam Hannah. Dzięki, że ją spacyfikowałeś, Ollie. Powinna wreszcie przejrzeć na oczy i zobaczyć, że jestem dla niej takim samym zagrożeniem jak kaczka dla myśliwego.
- Dziwnie mówisz, Sherlock. Savich kazał mi cię zawiadomić, żebyś przysłała do sali konferencyjnej. O co tutaj chodzi?

- Powiedz agentom, Sherlock, w jaki sposób Duch wchodzi do domów opieki. Pochyliła się do przodu, splotła dłonie.

- Duch przebiera się za starą kobietę, rezydentkę domu opieki. Ollie pokazał mi, jak przemieszać i dopasować dane z raportów, a potem włączyć je do dwóch nakładających się protokołów. Zrobiłam to z zeznaniami świadków po każdym morderstwie. Nikt nie znalazł niczego niezwykłego w tych raportach... ani świadkowie, ani gliny, ani my. Ale komputer znalazł.

Wyciągnęła kartkę papieru.

- To są dosłowne cytaty z zeznań świadków, naturalnie tylko te istotne fragmenty, które po połączeniu dadzą nam mordercę.

Savich przeczytał na głos:

- „Nikogo tam nie było, poruczniku. Ani żywej duszy. Och, oczywiście kilkoro pacjentów. Byli wystraszeni, niektórzy zdezorientowani. Całkowicie zrozumiąle”.

Podniósł głowę.

- To z zeznań dyżurnej nocnej pielęgniarki. - Doczytał do końca strony. - To dozorca. „Nikogo tam nie było. Tylko staruszkowie, a oni są wszędzie. Przestraszeni. Pomogłem kilku z nich wrócić do swoich pokojów”.

Romero prawie się zachłysnął, kiedy przeczytał:

- „No i ta staruszka, która zasłabła. Zaniósłem ją do najbliższego pokoju, do sali rekreacyjnej. Biedna starowinka. Nie chciała, żebym ją zostawił, ale musiałem”.

Romero miał długą, wąską twarz, trochę jak księżę Charles. Gęste, czarne brwi prawie stykały się nad oczami, czarnymi oczami odzwierciedlającymi wybitną inteligencję. Pomachał kartką do Lacey.

- Dobra robota, Sherlock. Ten ostatni cytat pochodził od gliniarza. Gliniarz! Jezu, mieliśmy to pod nosem przez cały czas.

Savich, wygodnie rozparty w fotelu, spoglądał po kolei na każdego z agentów.

- A więc - powiedział wreszcie, kiedy wszyscy spojrzeli na niego - myślicie, że to jest odpowiedź? Nasz zabójca przebiera się za starą kobietę, za pacjentkę?

- Mnie to pasuje - powiedział George Hanks, trzydziestopięcioletni weteran Biura, który miał najbardziej zmęczone oczy, jakie Lacey widziała w życiu.

Savich odwrócił się do Olliego.

- Ty prowadzisz tę sprawę. Co myślisz?

Ollie wpatrywał się w Lacey. Wydawał się urażony, miał ściągnięte usta.

- Nie wiedziałem, co Sherlock zamierza zrobić. Teraz to, co w ten sposób przedstawiła, to wydaje się oczywiste. Takie wyraźne, że każdy głupi powinien się połapać. Wprawdzie już to raz sprawdzali i my też nad tym ślęczeliśmy, ale chyba nikt nie dotarł dostatecznie głęboko. Najpierw trzeba zadzwonić do tego gliniarza i zapytać, kim była staruszka, którą zaniósł do sali rekreacyjnej.

- Dobry pomysł - rzekł Savich. - Może rozstrzygnąć całą sprawę, jeśli ten gliniarz pamięta. - Odwrócił się do Lacey. - Pewno nie wiesz, czy zabójca jest Żydem, Sherlock? Albo czy nienawidzi Żydów? Niekoniecznie rezydentów, ponieważ tylko dwie z pięciu zabitych staruszek były Żydówkami. Jak myślisz, chodzi o właścicieli domów opieki? Czy też odrzuciłaś pomysł z Gwiazdą Dawida?
- Nic nie wiem o jednym ani drugim, sir. Po prostu coś mi wpadło do głowy. Czysty przypadek.
- Tak, też tak myślę - odezwała się Hannah wstając - skoro jesteś tutaj nowa. Ollie deptał Lacey po piętach, kiedy wychodziła z sali konferencyjnej.
- Dlaczego? - zapytał, lekko dotykając jej ramienia.
- Naprawdę nie miałam czasu, Ollie. Nie, oczywiście miałam czas. Ja po prostu, cholera, to śmieszne, ale naprawdę wcale o tym nie myślałam, dopóki nie wskoczyło mi do głowy. Ty na pewno zrobiłbyś to samo.
- Tak, jasne, ale kiedy coś odkryję, przede wszystkim mówię swojemu partnerowi. Ty nie pisnęłaś ani słówka. Po prostu wmaszerowałaś do sali konferencyjnej i pokazałaś wszystkim, jaka jesteś wspaniała. Tak się nie robi, Sherlock.
- Masz rację. Tak się nie robi. Mogę tylko powiedzieć, że naprawdę o tym nie myślałam.
Mówiła prawdę. Nie wiedziała, że Savich natychmiast postawi ją przed całą jednostką. Wtedy nie miała czasu nic powiedzieć Olliemu. Nieprawda, miała czas. Po prostu o tym nie pomyślała.
- Słuchaj, Ollie, wytłumaczę ci. Kiedy leciałam samolotem do Bostonu, wpadłam w przejściu na jedną staruszkę. Odwróciła się do mnie i zwymyślała mnie takimi plugawymi słowami, jakich jeszcze nie słyszałam. Wyglądała groźnie. Patrzyła na mnie tak, jakby chciała mnie zabić. To jej przypadnie cała zasługa, jeśli to się sprawdzi.

- Skąd Savich wiedział, że na coś wpadłaś?
- Nie mogę ci powiedzieć, Ollie. Chciałabym, ale nie mogę. Przepraszam. Proszę cię. Chyba tu długo nie zostanę. Sama nie wiem. .
- Co się dzieje? - Chociaż Ollie był fatalistą, bardzo szybko zapomniał o gniewie. Położył jej rękę na ramieniu. - To coś poważnego?
- Tak. Bardzo poważnego.
- Sherlock W moim gabinecie. Zaraz.

Ollie odwrócił się gwałtownie na głos Savicha.

- Powiesz mi, co się stało?
- Nie, to sprawa tylko między nami dwojgiem, Ollie. Przestań wyglądać jak rottweiler. Nie zamierzam jej wdeptać w podłogę... przynajmniej jeszcze nie teraz, nie tutaj. Chodź, Sherlock.

Ale nie poszli do gabinetu. Wyprowadził ją z Budynku Hoovera do małego parku, położonego ukośnie względem ulicy.

- Siadaj.

Usiadła na wąskiej ławce. Na szczęście nie musiała obudzić bezdomnego i poprosić o zwolnienie miejsca. Dzień był piękny, niebo czyste, wiał lekki chłodny wietrzyk. Jesienni turyści tłoczyli się na chodnikach. Dwie rodziny z małymi dziećmi rozłożyły piknikowy lunch na kocach. Takie życie rodzinne było jej całkowicie obce. Chociaż nie zawsze. Dopóki nie zachorowała matka. A przynajmniej do chwili, kiedy zrozumiała, jak ciężko matka jest chora.

- Dużo o tym myślałem.
- Tak szybko mnie pan rozszyfrował, że na pewno miał pan mnóstwo czasu, żeby wszystko przemyśleć.
- Popatrz na mnie, Sherlock.

Spojrzała. Potem nagle parsknęła śmiechem.

- Wygląda pan jak Heathcliff: ponury, groźny, przeszywające spojrzenie. Pamiętam, jak kiedyś myślałam, że ma oczy pan jak letnie niebo, oczy marzyciela. Ale nie teraz. Teraz może pan zabijać wzrokiem.
Chciał się uśmiechnąć, ale nie mógł. Oczy marzyciela? Jezu, to obłąd.
- Sprawdziłem te siedem morderstw, które facet popełnił siedem lat temu - powiedział. - Zadzwoń do Ralpha Budnacka w Bostonie i spytałem, czy słyszał o innych zabójstwach z tym samym modus operandi oprócz tego, które popełniono przed dwoma dniami. Powiedział, że nie słyszał o innych zabójstwach, ale właśnie się zorientowali, że mają na głowie seryjnego mordercę, faceta, który grasował w San Francisco siedem lat temu.
Zamilkł na chwilę, słysząc zajadłe gruchanie gołębia.
- W końcu dotarłam do detektywa Budnacka - powiedziała Lacey. - Nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Powiedział, że jestem stuknięta, a oni nie potrzebują pomocy.
- Wiem. Rozmawiałem z mm zaraz potem, jak cię wykopał z gabinetu.
Miała ochotę go uderzyć.
- To było we wtorek po południu. Nie wspomniał pan o tym ani słowem, kiedy dzwoniłam do pana tego wieczoru!
- Zgadza się. Dlaczego powinienem wspomnieć?
- No tak, nie musiał pan, ale pan wiedział. Przez cały czas pan wiedział, co próbuję zrobić.
- Owszem. Powiedz mi, Sherlock, co robiłaś przez pozostałe dwa dni?
- Nic nie osiągnęłam. Lekarz policyjny nie chciał ze mną rozmawiać, nawet kiedy dostałam się do niego dzięki kłamstwu. Z moją legitymacją to nie takie trudne. Ale on nabrał wody w usta, powiedział, że nie lubi, jak obcy wtykają nos w jego sprawy. Rozmawiałam z głównym reporterem z „Boston Globe”. Nazywa się Jeb Stuart, uwierzy pan? Wiedział niewiele więcej, niż było w

gazecie. Postawiłam mu obiad i gadał jak najęty, ale mało na tym skorzystałam. A potem wróciłam. Do pana. Zęby wylecieć za swoją głupotę.

Savich rozejrzał się po parku. Odchylił się do tyłu, wyciągnął ramiona na oparciu ławki. W oddali trąbiły klaksony, słońce przeświecało przez gęsty baldachim dębowych liści, ojciec krzychał na dziecko.

- Bostońska policja zwróciła się do nas o pomoc. Dlaczego nie powiedziałaś porucznikowi Budnackowi, że jesteś z FBI? Mogłaś liczyć na jego współpracę.
- Wiedziałam, że gdybym tak zrobiła, pan by się o tym dowiedział, wycelował swój komputer na Boston i wszystko odkrył. Oczywiście i tak pan wszystko odkrył. Powinnam była pokazać odznakę. Może coś bym uzyskała, zanim Budnack wyrzucił mnie na zbity pysk. Głupio zrobiłam. Nie przemyślałam tego. Założyłam, że najłatwiej zdobędę informacje, jeśli podam się za członka rodziny Ramsgate. Gołąb przydreptał do jej stóp, potem odskoczył.
- Przyzwyczyły się do karmienia - zauważyła obserwując gołębia, który spacerował przed nią tam i z powrotem. - Mam nadzieję, że osoba, która je karmi, nie umarła.
- Stara Sal zwykle tutaj siedzi. Nie ma jej dzisiaj po południu, bo odbiera czek z Opieki Społecznej. Zdrowie ma lepsze niż ty. Zna każdego gołębia po imieniu. No więc, co planujesz?

Wstała nagle i spojrzała na niego z góry, z rękami na biodrach.

- Czego pan chce ode mnie? Już panu powiedziałam, że składam rezygnację.
- Więc pewnie popędzisz do Bostonu i urządzisz jednoosobowe polowanie na Sznurobójcę?
- Tak. Muszę. Przygotowałam się. Czekałam bardzo długo, aż znowu uderzy.
- Doskonale. Chyba nie mam wyboru.

Również wstał. Był bardzo wysoki. Odruchowo cofnęła się o krok. Zrobił zniecierpliwioną minę.

– Boisz się, że cię przewrócę tutaj, w parku?

Nie, bała się, że ją zabije. Tak jak tamten zabił Belinę. Z wysiłkiem odpędziła tę myśl.

– Chyba jestem trochę nerwowa. Przepraszam. Jakiego wyboru pan nie ma? Pan zawsze ma wybór.

– Gdybyś tylko wiedziała - mruknął i przeczesał włosy palcami. -Kazałem ci dzwonić co wieczór z Bostonu, bo bałem się, że wpakujesz się w kłopoty.

– Jestem wyszkoloną agentką FBI. Jakie kłopoty? Nawet jeśli nie zdążę sięgnąć po broń, na pewno umiem upadać.

Wyszczrzył do niej zęby, podniósł rękę i po chwili opuścił.

– Okay, plan jest taki. Wiesz o tym facecie najwięcej ze wszystkich żyjących ludzi. Zgadzasz się ze mną?

– Tak. -Jej serce uderzyło mocniej. - Pewnie pan spostrzegł, że wydrukowałam wszystkie raporty policyjne o tych siedmiu morderstwach w San Francisco i raporty z autopsji?

Przytaknął, patrząc na starą kobietę, która ciągnęła wózek z supermarketu wyładowany torbami pełnymi starych ubrań, kartonowymi pudłami, pustymi butelkami po coli.

– To stara Sal. Przedstawię cię, potem musimy wracać.

Stara Sal tylko zmierzyła ją doświadczonego spojrzeniem przekrwionego oczu. Mogła być w każdym wieku od pięćdziesiątki do dziewięćdziesiątki.

– Dostałaś czek, Sal?

– Tak, Dillon, dostałam. Karmiłeś moje ptaszki?

– Nie, Sherlock chciała, ale jej nie pozwoliłem. Stare oczy zwróciły się w jej stronę.

– Jesteś Sherlock?

– Tak, psze pani. Miło mi panią poznać.

– Masz być dobra dla mojego chłopca, słyszysz, młoda damo?

- Nie jestem młodą damą, psze pani, tylko agentką FBI. Savich parsknął śmiechem.
- Ona ma rację, Sal. Myślę, że to ja będę się nią opiekował.
- Jak rozwiążesz swoje problemy, kochana, to możesz się pobawić z moim chłopcem. To dobry chłopak.
- Zgoda, psze pani.
- - Nie podoba mi się to „psze pani”.
- Nie przejmuj się, Sal. Ona mówi mi „sir”, prosto w oczy, jakbym był jej ojcem albo jeszcze gorzej.
- Ile masz lat, Sherlock?
- Dwadzieścia siedem.
- Dobry wiek. Dillon ma trzydzieści cztery. Skończył trzydzieści cztery przed trzema i pół tygodniami. Urządziliśmy mu tutaj małe przyjęcie, ja i moje ptaszki. Sherlock to twoje imię czy nazwisko?
- Nazwisko. Na imię mam Lacey.
- Hm. Wolę Sherlock. Bardziej cię wyróżnia.
- Zgadzam się.
- Potrzebujesz czegoś, Sal?
- Nie, Dillon. Chcę tylko posiedzieć na słoneczku, wygrzać stare kości i nakarmić ptaszki. Kupiłam im funt niesolonych fistaszków. Muszę pilnować, żeby im nie stwardniały te małeńkie arterie.

Lacey wciąż się uśmiechała, kiedy wracali do Budynku Hoovera. Przestała się uśmiechać dziesięć minut później.

Rozdział 11

– Więc zabiera cię do Bostonu. Jak to sobie załatwiłaś, Sherlock?

Hannah Paisley pochylała się nad nią, mówiąc zniżonym głosem, pełnym furii.

– Nie powinnaś jechać. Jesteś nowa, nic nie wiesz. Nie zasługujesz na ten wyjazd. To dlatego, że z nim sypiasz, tak?

Lacey powoli obróciła się na krzesło, podniosła wzrok.

– Nie, Hannah. Przestań. To tylko sprawy zawodowe, nic więcej. Dlaczego mi nie wierzysz?

– Bo kłamiesz, niech cię cholera. Widziałam, jak kobiety na niego patrzy. Wszystkie go chcą.

– Ollie powiedział mi, że Savich nie uznaje związków z nikim w swojej jednostce. To dotyczy nas wszystkich, Hannah. Jeśli go chcesz, powinnaś wystąpić o przeniesienie. Słuchaj, ja tylko chcę złapać tego potwora w Bostonie. Właściwie skłamałam. Zależy mi na mózgu i doświadczeniu Savicha. Jak chcesz, możesz to nazwać pożądaniem umysłowym.

W końcu Hannah wyszła.

Lacey oparła głowę na obiciu nowej sofy. Zamknęła oczy i myślała o kobiecie, która miała prawie wszystko, ale chciała więcej. Przykro jej było, jeśli Hannah kochała Savicha, jednak żadna z nich nic nie mogła na to poradzić. Hannah musiała wziąć się w garść. Kto jak kto, ale Lacey na pewno nie stanowiła dla niej zagrożenia. Zresztą, nieważne. Nie zamierzała się tym martwić. To problem Savicha.

Wyprostowała się i popatrzyła na telefon. Podniosła słuchawkę, wpatrywała się w nią jeszcze przez chwilę, potem odetchnęła głęboko. Bardzo powoli wystukała numer. Usłyszała sygnał jeden, drugi, potem:

– Sędzia Sherlock, słucham.

- Cześć, tato.
- Lacey?
- Tak, tato.
- A to niespodzianka. Zwykle tylko piszesz. Czy coś się stało?
- Nie, tylko nie miałam czasu napisać. Jak się czujesz? Jak mama?
- Matka czuje się jak zwykle, ja też. Douglas mówi, że jesteś w specjalnej jednostce w FBI, czytałem też, jak ty i ten geniusz złapaliście mordercę w Chicago. I co, teraz jesteś szczęśliwa?

Z trudem zignorowała sarkazm w jego głosie. Zawsze nienawidziła tego okropnego zjadliwego tonu, którym ją miażdżył, kiedy była w okresie dorastania. W listach zwykle tego brakowało, dlatego między innymi ograniczała się do korespondencji. Teraz jednak nie miała czasu pisać.

- Tato, on znowu uderzył.
- Co? Kto kogo uderzył?
- Ten potwór, który zamordował Belinę. Znowu uderzył w Bostonie. Zabił kobietę dokładnie w ten sam sposób jak tamte siedem kobiet w San Francisco. Upłynęło dokładnie siedem lat, odkąd przestał. To cykl. On działa w siedmioletnich cyklach.

Nie słyszała żadnego dźwięku, nawet oddechu, nic.

- Tato? On znowu zaczął. Nie zrozumiałeś mnie?
- Tak, Lacey, zrozumiałem.
- Jutro rano jadę do Bostonu z moim szefem, Dillonem Savichem, który kieruje Jednostką Badań Kryminalnych. Zamierzam złapać tego potwora, tato. Wreszcie go dostanę.

Oddychała ciężko. Na drugim końcu linii trwało milczenie. Głęboko zaczerpnęła powietrza. Musiała się uspokoić. Nie chciała wyjść na wariatkę opętaną obsesją.

Ale była wariatką. Potwór odebrał jej wszystko i pozostawił strach, który wciąż tkwił w niej głęboko, chociaż zdołała nad nim zapanować. Nie, nie chodziło tylko o nią. Po prostu chciała raz na zawsze pozbyć się tego gada. Chciała go zastrzelić osobiście.

- Lacey? Czy to znaczy, że zamierzasz go złapać? To nie twoja sprawa. Zostaw to zawodowcom.
- Jestem zawodowcem, tato.
- Nie - zaprzeczył z gniewem. - Nie, nie jesteś zawodowcem. Jesteś małą, przestraszoną dziewczynką. Uważam, że powinnaś wrócić do domu. Posłuchaj mnie. Twoja siostra nie żyje od siedmiu lat. Siedem lat, Lacey. Douglas powiedział mi, co robisz, ale nie chciałem wierzyć. Wszyscy wiemy, że zmarnowałaś ostatnie siedem lat życia. Najwyższy czas, żebyś dała sobie spokój. Zapomnij. Wracaj do domu. Zaopiekuję się tobą. Możesz znowu grać na fortepianie. Lubiałaś to i przynajmniej to cię nie zabije, do cholery. Nie powiem ani słowa o studiach prawniczych. Wracaj do domu.

Zapomnij? Zapomnij, co ten rzeźnik zrobił Belindzie, co jej zrobił? Odetchnęła głęboko.

- Jak się czuje mama?
- Co? Och, twoja matka. Miała spokojny dzień. Jej pielęgniarka, pani Heinz, powiedziała, że matka zjadła obiad z apetytem i oglądała telewizję, chyba teleturniej, jakby coś rozumiała.
- Nie jestem podobna do matki.
- Nie, na pewno. Ale musisz z tym skończyć.
- Dlaczego?
- Niech policja złapie tego szaleńca.
- Ja jestem w policji. Najlepszej policji w tym kraju. Milczał przez bardzo długą chwilę, potem powiedział cicho:
- Twoja matka zaczęła w ten sposób.

– Muszę kończyć, tato. Miałam nadzieję, że ucieszysz się, jeśli przyczynię się do złapania tego potwora.

Nie odpowiedział.

Doznała wstrząsu, kiedy w słuchawce rozległ się miękki szept:

– Czy to ty, Lacey?

– Cześć, mamó. Masz ładny głos. Jak się czujesz?

– Jestem głodna, ale siostra Heinz nie chce mi przynieść nic z kuchni. Chciałabym ciasteczek z wiórkami czekoladowymi. Pamiętam, że zawsze lubiłaś ciasteczka z wiórkami czekoladowymi, kiedy byłaś mała.

– Ja też pamiętam, mamó.

– Nie próbuj złapać tego człowieka, który zamordował Belinę. On jest zbyt niebezpieczny. To szaleniec, zabije cię, a ja tego nie zniosę. On...

Połączenie zostało przerwane, zahuczał znajomy sygnał. Telefon znowu zadzwonił. To był ojciec.

– Przepraszam, Lacey. Tak się zdenerwowałem, że upuściłem słuchawkę. Słuchaj, boję się o ciebie. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

– Rozumiem, ale muszę spróbować go złapać. Muszę. Usłyszała jego westchnienie.

– Wiem. Bądź ostrożna.

– Dobrze.

Przez chwilę wpatrywała się w słuchawkę, potem odłożyła ją delikatnie. Spojrzała na prześliczne obrazki Bentrella na białej płaszczyźnie ściany. Pejzaże - faliste wzgórza, pasące się krowy, mały chłopiec z tyczką opartą na ramionach, na której końcach wisiały dwa wiadra. Powoli opuściła głowę, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Zobaczyła twarz ojca sprzed siedmiu lat, nieruchomą, pozbawioną wszelkiego wyrazu. Milczał długo, a potem pochylił się i szepnął jej bardzo cicho do ucha, zaraz po pogrzebie Belindy, kiedy czuła się tak pusta, tak zrozpaczona, ale jeszcze nie całkowicie zastraszona. „Już po wszystkim,

dzięki dobremu Bogu. Przeżyjesz, Lacey. Postaraj się pamiętać, że była twoją siostrą tylko w połowie".

A ona popatrzyła na niego, jakby był bardziej szalony niż matka. Siostra tylko w połowie? Co to miało znaczyć? Zaledwie trzy dni później miała pierwszy koszmarny sen i jej rozpacz zmieniła się w przerażenie.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, niemal wrzasnęła, bo wspomnienia z przeszłości nałożyły się na terażniejszość. To tylko dzwonek, nic więcej, jedynie dzwonek do drzwi. Ale gdzie jest broń? Rozejrzała się gorączkowo po salonie. Tutaj leży torebka. Zawsze nosiła w torebce colta.

Chwyliła ją i poczuła na dłoni chłód gładkiej stali niczym pieśczętę kochanka. Dzwonek znowu zabrzączał. Stała przy ścianie obok drzwi.

– Sherlock? Jesteś tam? Otwórz, widzę światło. Otwieraj te cholerne drzwi!

Niemal dygocząc z ulgi, zdjęła dwa łańcuchy, odsunęła zasuwę i przekręciła klucz w zamku.

Stał przed nią w koszuli z krótkimi rękawami, dzinsach i butach do biegania. Bładoniebieski sweter zarzucił na ramiona i związał na szyi. Widywała w czasopismach modeli ubranych w ten sposób - ze swetrami zarzuconymi na ramiona - i zawsze myślała, że wyglądają śmiesznie. On tak nie wyglądał. Obrzucił ją chmurnym spojrzeniem.

– Masz niezłą kolekcję gadżetów na tych drzwiach. Ale silny facet może je wkopać do środka.

O tym nie pomyślała. Opuściła broń wzdłuż boku, wciąż milcząc. Będzie musiała wzmocnić drzwi. Nie, to absurd.

– Chciałem zobaczyć, czy już się umeblowałaś. - Zamknął drzwi za sobą i wszedł do salonu. Popatrzył na kosztowne meble i zagwizdał. - FBI widocznie za dużo ci płaci. Kiedy to wszystko kupiłaś?

Zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Jakby była normalna. Ale przecież była normalna. Ostrożnie położyła broń na stoliku z lampą obok sofy.

- Nie lubię robić zakupów, a Sally Quinlan musiała odwołać nasze spotkanie. Zadzwoiłam po prostu do dekoratora wnętrz w Georgetown i powiedziałam mu, czego potrzebuję w domu, zanim mój szef się dowie. Zajął się tym. Naprawdę szybko. Powoli odwrócił się do niej.
- Jak mówiłem, za dużo ci płacimy.
- Nie, mam fundusz powierniczy. Nieczęsto z niego korzystam, ale chciałam umeblować mieszkanie i nie tracić czasu na zakupy. Wiedziałam, że będzie pan mnie dręczył, dopóki nie kupię przynajmniej sofę.
- Powiernictwo masz po babce, prawda? Jeśli pamiętam, zmarła cztery lata temu i zostawiła ci sporą kasę.
- Tak. -Wcale nie była zdziwiona. - Proszę mi powiedzieć, że pan ma ciekawsze rzeczy do roboty niż studiowanie mojego życiorysu.
- Tak, powiem ci o tych ciekawszych rzeczach, jeśli ty mi powiesz, dlaczego płakałaś.

Odruchowo uniosła rękę do twarzy. Zapomniała. Spojrzała mu prosto w oczy i oznajmiła:

- Mam alergię.
- Taak, jasne. Tylko popatrz, ile tutaj fruwa pyłku. No, powiedz, kto cię zdenerwował?
- To nic, sir, naprawdę głupstwo. Napije się pan kawy? Herbaty?
- Herbaty chętnie.
- Ze słodzikiem?
- Nie, tylko kobiety stosują słodzik. Ja piję gorzką.
- Nie truje się pan chemią?

Uśmiechnął się i poszedł za nią do kuchni. Cały rząd lśniących nowych urządzeń stał na bladożółtych płytkach.

- Nie - powiedział bardziej do siebie niż do niej - nie wszystkie są nieużywane. Widzę, że wciskałaś guziki na kuchence mikrofalowej, ale nic więcej.

- Zgadza się - przyznała swobodnie i podstawiła dzióbek czajnika pod kran z wodą. - Ale zawsze wierzyłam, że kobiecie naprawdę wystarczy do życia kuchenka mikrofalowa - dodała i spróbowała się uśmiechnąć, co okazało się całkiem łatwe. - Co do toster, potrzebny jest chleb, którego jeszcze nie kupiłam.

Stawiając czajnik na kuchence, rzuciła przez ramię:

- Jeszcze się nie spakowałam, sir, ale będę gotowa na czas. Spotkamy się na lotnisku jutro rano.
- Wiem - odparł, spoglądając na mieszadło do chleba, stojące na końcu kontuaru. -Wiesz, jak tego używać?
- Nie, ale dołączyli książkę z przepisami. Dekorator powiedział, że każda nowoczesna kuchnia tego potrzebuje.
- Dlaczego płakałaś, Sherlock?

Potrząsnęła głową, podeszła do szafki, wyjęła dwie filiżanki i spodeczki.

- Nie masz jakichś tanich kubków? Do tych wolę się nie dotykać. Na moje oko kosztowały więcej, niż zarabiam przez tydzień.
- Pewnie tak. Facet przesadził z niektórymi rzeczami.
- Myślałem, że kobiety lubią same wybierać naczynia.
- Chyba wszyscy lubią, mężczyźni też. Aleja po prostu nie chciałam tracić czasu. Tyle się dzieje ważniejszych rzeczy. Już panu mówiłam.
- Jak się zastanowić, rzeczywiście sam wybierałem naczynia. Nadają się do kuchenki mikrofalowej.
- Moje też. To był jedyny warunek na mojej liście, i żeby nie były za bardzo ozdobne.
- Dlaczego płakałaś?
- Wolałabym, żeby pan przestał mnie wypytywać.
- Mów mi Savich, to może przestanę.

- W porządku, Savich. Stara Sal nazywa cię Dillon. Chyba imię bardziej mi się podoba.
- Jak ma na imię ten facet?
- Jaki facet?
- Przez którego płakałaś. Tylko pokręciła głową.
- Mężczyźni. Myślicie, że świat kobiet kręci się wokół was. Kiedy byłam młodsza, czasami oglądałam seriale telewizyjne. Kobieta w nich nie potrafiła sama istnieć, samodzielnie podejmować decyzji, cieszyć się życiem. Nie, zawsze krążyła wokół mężczyzny. Ciekawe, czy coś się zmieniło.
- Nie myślałem o tym w ten sposób, ale tak, pewnie masz rację. Jak on się nazywa, Sherlock?
- Nie chodzi o mężczyznę. Dolać ci mleka do herbaty? Czy to męskie?
- Czasami, ale nie w herbacie. Nie dolewaj niczego.
Miała ochotę dać mu klapsa. Ale wywołał na jej twarzy uśmiech, dość szeroki uśmiech. Podeszła do nieskazitelnie białej wykładziny ściennej i ostentacyjnie napisała na niej „Equal” niebieskim zmywalnym markerem.
- Proszę bardzo. Zrobione. Zadowolony?
- Wystarczająco. Dzięki. Dzwoniłaś już do Chico?
- Miałam trochę spraw na głowie. Nie zdążyłam.
- Jeśli nie zadzwonisz, znowu będę musiał zabrać cię do siłowni i poćwiczyć rzucanie.
- Pierwsze dziesięć upadków nie było takie złe.
- Potraktowałem cię ulgowo.
- Ollie powiedział mi, że prawie wdeptałeś go w podłogę.
- Ollie przynajmniej jest mężczyzną, więc nie skamlał. Wykrzywiła się do niego.
- Ta filiżanka jest za droga, żeby nią rzucić.
- To dobrze. Masz zwykłą herbatę Liptona w torebkach?

- Tak.
Patrzył, jak zalewa torebki gorącą wodą.
- Jeśli to nie facet doprowadził cię do płaczu, to kto?
- Mogę w ciebie rzucić herbatą.
- No dobrze, wycofuję się, ale nie lubię, jak moi agenci się denerwują... no, chyba że denerwują się przeze mnie. Teraz omówimy plan gry w Bostonie. Dlatego wpadłem do ciebie. Musimy ustalić sporo rzeczy, zanim spadniemy na głowę bostońskiej policji.
- Naprawdę nie chcesz mnie zwolnić?
- Jeszcze nie. Chcę wycisnąć z ciebie wszystko i dopiero potem cię wykopię, jeśli mi nie przejdzie złość.
- Bardzo mi przykro.
- Dostałaś, czego chciałaś. Dlaczego ci przykro?
Miał rację. Zachowywała się jak hipokrytka. Obdarzyła go szerokim uśmiechem.
- Wcale nie jest mi przykro. Jestem taka wdzięczna, taka zadowolona, że pozwolę ci nawet wygłaszać seksistowskie bzdury, przynajmniej dzisiaj wieczorem.
- I nie będziesz skamlała, że musisz jutro wcześniej wstać? Lot jest o wpół do ósmej.
Jęknęła, po czym uniosła filiżankę w toaście.
- Dziękuję, sir... Dillon. Nie będziesz żałował.
- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.
Savich wyszedł o dziesiątej, podśpiewując pod nosem. Na pewno nucił fragment jakiejś piosenki country-and-western, ale oczywiście nigdy jej nie słyszała. Uśmiechnęła się, słysząc jego niski, zawodzący głos:

Ja chcę być tylko prostym wieśniakiem,

Pocziwym kmiotkiem, czerstwym burakiem.

Na co dzień dzinsy i pas szeroki,

W święto nakładam buty wysokie...

Zamknęła za nim drzwi, założyła łańcuchy i zasunęła zasuwę. Już trzeci czy czwarty raz słyszała, jak Savich śpiewa kawałki country. Dziwne, że to nie raziło jej klasycznego smaku. Co złego w muzyce, która wywołuje uśmiech?

W końcu niewiele rozmawiali o sprawie. Tylko obejrzał jej mieszkanie i oświadczył, że potrzebny jej odtwarzacz CD. Wiadomo, jaki rodzaj muzyki preferował.

Spakowała się metodycznie. Modliła się, żeby Savich pomógł jej znaleźć mordercę siostry.

Rozdział 12

- Jak ci mówiłem wczoraj wieczorem - powiedział Savich do Lacey - detektyw Budnack spotka się z nami na posterunku. Szósty Dystrykt w południowym Bostonie. Znaleźli Hillary Ramsgate w opuszczonym magazynie na Congress Street. Ktoś zadzwonił anonimowo, albo zabójca, albo jakiś bezdomny, pewnie to drugie. Zarejestrowali głos faceta na taśmie, więc kiedy go złapiemy, możemy zrobić porównanie. Budnack da nam wszystkie policyjne raporty, autopsje, wyniki testów laboratoryjnych. Chciałbym, żebyś przejrzała całość tego materiału. Masz wszystkie swoje rzeczy?
- Tak - odparła, odwracając się przodem do niego. - Wątpię, czy detektyw Budnack rozumie tę grę. Wie, że to gra z notatki mówiącej, że Hillary Ramsgate przegrała i musiała zapłacić karę, ale nie zrozumiał, co to znaczy.

– Chyba nie, ale zetknął się z tym facetem po raz pierwszy. Przed naszym przyjazdem pewnie zdąży pogadać z policją w San Francisco i przeczytać większość raportów. Opowiedz mi o swojej koncepcji tej gry. Bo z pewnością masz jakąś.

Przyjęli kawę od stewardesy i usiedli wygodnie. Kawa była okropna, ale przynajmniej gorąca. Lacey wbiła wzrok w kubek. Kosmyk włosów wysliznął się z kłamy i zwisał półkolistą podwinięty, podkreślając linię szczęki. Niecierpliwie odsunęła go za ucho, nie odrywając wzroku od kawy. Co tam widziała?

Wreszcie się odezwała:

– Wyobrażałam to sobie przez lata, poprawiałam, zmieniałam tu i tam, sporządzałam wiele profili tego mężczyzny i teraz chyba wiem dokładnie, jak on to robi. Uderza kobietę w głowę i zabierają do opuszczonego budynku, im większego, tym lepiej. W trzech przypadkach wykorzystał opuszczone domy przeznaczone do rozbiórki; w jednym - dom, którego właściciele wyjechali z miasta. Doskonale zna te domy i budynki. Rozstawia rekwizyty i ustawia dekoracje. Zmienia je w domy grozy i wreszcie w labirynty.

Kiedy kobieta odzyskuje przytomność, jest sama, cała i zdrowa. Nie znajduje się w całkowitych ciemnościach, chociaż na zewnątrz panuje noc. Słabe światło pozwala widzieć na metr czy dwa. Najpierw . kobieta woła. Boi się usłyszeć odpowiedź, ale boi się też martwej ciszy. Potem ma nadzieję, że napastnik odszedł. Znowu woła.

Potem bierze się w garść i próbuje znaleźć wyjście z budynku. Drzwi są zaryglowane. Wpada w histerię. Wie, że coś jest nie w porządku. I wtedy znajduje sznur, który leżał obok niej, kiedy się ocknęła.

Nie rozumie znaczenia sznura, ale chwyta jego koniec i idzie za nim. Sznur prowadzi ją przez powikłane zakręty, ponad przeszkodami, obok luster, które pozawieszał, żeby ją śmiertelnie wystraszyć, kiedy nagle zobaczy własne

odbicie. Potem sznur się kończy. Dokładnie przy wąskim wejściu do dekoracji, którą ustawił.

- I może wtedy on się śmieje, mówi, że ona przegra, a kiedy przegra, będzie musiał ją ukarać i to nie będzie przyjemne. Tak, będzie musiał ją ukarać, bo ona przegra. Ale nie mówi jej, dlaczego to robi. Po co miałby mówić? Cieszy go jej ignorancja. Może nawet się z nią drażni, zanim ona wejdzie do labiryntu. To też możliwe. I notatka. Zostawił ją tylko przy pierwszej kobiecie, którą zabił w San Francisco. Zupełnie jakby wyjaśnił, co zrobił, i już więcej nie musiał. Wszyscy wiedzą, kim jest.

Savich powiedział powoli:

- Jesteś strasznie pewna tego, co on robi, Sherlock.
- Mówiłam ci, bez przerwy o tym myślałam. Psychiatrzy uważają, tak jak profilerzy z FBI, że on obserwuje każdy ruch ofiary, zapamiętuje wyraz jej twarzy, nawet ją filmuje. Tego nie jestem taka pewna. Ale założę się, że zapewniają, iż może wygrać, jeśli pobiegnie i dotrze do środka labiryntu. Więc ona biegnie, modląc się, żeby nie kłamał, w nadziei, że się uratuje, i wbiega do labiryntu. W labiryncie są ślepe korytarze. Wreszcie znajduje drogę do środka. Wygrała. Oddycha ciężko. Jest przerażona i jednocześnie pełna nadziei. Zwyciężyła. Nie zostanie ukarana. On tam na nią czeka.

Musiała opanować dreszcze. Głęboko odetchnęła, pociągnęła łyk wystygłej kawy i dodała, wzruszając ramionami:

- Tak to wyglądało, kiedy eksperci zrekonstruowali całe wydarzenie.
- A potem dźga ją w brzuch i klatkę piersiową, dopóki jej nie zabije - odezwał się Savich. - Czy wszyscy ci ludzie są pewni, że on to robi, kiedy kobieta dociera do środka labiryntu?
- Tak. Ona przegrywa zamiast wygrać. On czeka tam na nią z nożem. Poza tym wycina jej język. Ten fakt nigdy się nie pojawił w żadnym doniesieniu prasowym, więc łatwo zweryfikować każde zeznanie.
- Dlaczego on to robi? Nie patrzyła na niego.

- Pewnie żeby na zawsze zamknąć jej usta. Zabijał tylko kobiety. Nienawidzi ich.
- Gra - powiedział powoli Savich, spoglądając na naddarty paznokcie kciuka. - Gra, która prowadzi do pewnej śmierci. Nie rozumiem, dlaczego ona przegrywa, skoro znajduje środek labiryntu. Zwykle oznacza to wygraną. Ale nie z tym facetem. Masz jakiś pomysł, dlaczego ją zabija?
- Nic mi nie przychodzi do głowy.
Ale przyszło, chociaż on o tym nie wiedział.
- Pamiętasz legendę o Tezeuszu i Minotaurze? - spytał Savich.
- Tak. Pamiętam, że w środku jaskini Tezeusz natknął się na Minotaura. Ale Tezeusz nie przegrał. Zabił Minotaura.
- A Ariadna dała mu nici, dzięki którym odnalazł drogę powrotną.
- Myślisz, że on uważa się za Tezeusza, a te kobiety za Minotaura? Nie wiem. Dla mnie to nie ma sensu.
- Ale wiesz, że dla niego ma. Jak dokładnie zapoznałaś się z tą legendą?
- Niezbyt dokładnie.
- Zrób to, kiedy wrócimy do domu.
- Ale nawet jeśli przypadkiem odkryję więcej analogii pomiędzy zachowaniem zabójcy a legendą o Tezeuszu, nie dowiem się niczego nowego o jego tożsamości, ani jak go znaleźć. Czy wiesz, że wykorzystał ten sam opuszczony budynek dla dwóch swoich ofiar w San Francisco? Potem policja postawiła tam strażnika, ale za późno. Na pewno śmiał się z nich, z nas wszystkich, bo byliśmy bezradni.
- Dziwi mnie, że nikt nic nie widział. W takich opuszczonych budynkach zwykle koczują wielu bezdomnych. I gliny patrolują okolicę. Zęby ustawić wszystkie dekoracje, zapewne wnosił i wynosił rzeczy z budynku, a jednak nikt niczego nie zauważył. Ciężarówka? Musiał przewieźć rekwizyty, sam je zrobić albo gdzieś kupić.

- Tak, ale tylko raz. Po zabójstwie każdej kobiety zabierał większość rekwizytów. Zostawiał tylko tyle, żeby policja wiedziała, co zrobił.
- I wciąż nikt nic nie widział. To się nie mieści w głowie.
- Widocznie pewien staruszek go widział, ponieważ znaleziono go zaduszonego w pobliżu jednego z pustych budynków. Uduşony tym samym sznurkiem, który prowadził do środka labiryntu. Chciał pokazać glinom, że to jego robota.
- Czy to znaczy, że śmiał się z nas?

Miała dziewiętnaście lat, kiedy zamordowano jej siostrę. Jak głęboko w tym tkwiła? Dowie się później. Na razie powiedział bardzo cicho:

- Ty też przechodzisz cykl, Sherlock. Siedmioletni cykl. On przez siedem lat zajmował się swoimi sprawami, pewnie gotował się w środku, ale nie wykipiał. Ty oddałaś mu ostatnie siedem lat życia.

Siedziała sztywno, oczy miała zimniejsze niż lód. To samo powiedział jej Douglas i ojciec: „Nie twoja sprawa”.

- Pewnie rodzina ci perswadowała, że to niezdrowe.
- Nie twoja sprawa.
- Wyobrażam sobie, że nie mogłaś tego znieść, nie mogłaś pozwolić, aby twoja siostra odeszła w ten sposób, usunięta jak pionek z gry, którą musiała przegrać.

Przełknęła ślinę.

- Tak, prawie trafiłeś.
- Jest coś więcej, prawda? Dużo więcej.

Była bardzo blada, kurczowo zaciskała palce na papierowym kubku z kawą.

- Nie, nie ma nic więcej.
- Kłamiesz. Szkoda, ale kłamiesz od bardzo dawna, prawda?
- Nie ma nic więcej. Proszę, przestań.

- Dobrze. Czy chcesz zastrzelić tego faceta, jak już go dopadniemy? Chcesz przyłożyć mu pistolet do głowy i pociągnąć za spust? Chcesz mu powiedzieć, kim jesteś, zanim go zabijesz? Sądzisz, że kiedy go zabijesz, odzyskasz wolność?
- Tak. Ale to mało prawdopodobne. Jeśli nie mogę go zabić, to chcę go przynajmniej posłać do komory gazowej, żeby nie było tak jak z Russellem Bentem. Przynajmniej tak mi powiedział mój szwagier, Douglas Madigan.
- Jeszcze nie wiadomo, czy Russell Bent zostanie uznany za niepoczytalnego. Nie wyciągaj broni. Dożywocie bez apelacji nie wystarczy?
- Nie. Pragnę jego śmierci. Nie chcę się martwić, że ucieknie i zabije następne kobiety. Albo że zamkną go w domu wariatów, a on oszuka psychiatrów i wypuszczą go na wolność. Nie chcę, żeby oddychał tym samym powietrzem co ja, chociaż zabił siedem... nie, osiem osób. Nie zasługuje na to, żeby oddychać.
- Słyszałem opinie, że skoro zabicie mordercy nie przywróci życia ofierze, nie powinno się orzekać kary śmierci, ponieważ to sprowadza nas do poziomu mordercy; to nic więcej, tylko instytucjonalna zemsta, niszcząca wartości moralne.
- Oczywiście to nie przywróci życia ofiarom. To śmieszny argument. Nie ma żadnego sensu. Sprawa powinna być prosta: jeśli odbierasz komuś życie, nie zasługujesz na to, żeby żyć. To kara, to zemsta społeczeństwa na jednostce, która gwałci społeczne prawa, która próbuje zniszczyć to, kim i czym jesteśmy. Jakie inne wartości posiadamy, jeśli nie cenimy wartości życia na tyle, by usunąć tego, kto bezpodstawnie odbiera życie?
- Stosujemy karę więzienia, ale niekoniecznie wierzymy w zabijanie zabójców.
- Powinniśmy. To jest sprawiedliwe dla ofiary i to jest zemsta. Obie są potrzebne, żeby chronić społeczeństwo przed drapieżnikami.

- Co z argumentem, że kara główna wcale nie odstrasza zbrodniarzy, więc jest niepotrzebna?
- Mnie by na pewno nie odstraszyła, biorąc pod uwagę obecny system apelacji. Skazany morderca żyje sobie dalej za pieniądze podatników przez co najmniej trzynaście lat... za nasze pieniądze, wyobrażasz sobie? Nie, mnie to nie odstrasza. Ten potwór z Kalifornii, Richard Allen Davis, który zabił Polly Klaas i został skazany na śmierć. Założę się, że ty i ja wydamy ciężkie pieniądze, żeby utrzymać go przy życiu przez kolejne dziesięć lat, kiedy adwokaci będą się bawić w apelacje. Przez te lata każda apelacja może go ocalić. Powiedz mi, gdybyś wiedział, że jeśli cię złapią i skażą za morderstwo, zostaniesz stracony w ciągu, powiedzmy, maksimum dwóch lat, czy nie zastanowiłbyś się poważnie nad konsekwencjami zabójstwa? Czy to by cię nie odstraszyło?
- Tak. I zgadzam się, że ponad dziesięć lat apelacji to absurd. W dodatku za nasze pieniądze. Ale zemsta, Sherlock, zwykła, pospolita zemsta. Czy nie sądzisz, że myśl o zemście nas zabija?

Od początku chciał zadać to pytanie. Lacey siedziała bez ruchu, spoglądając przez małe okienko na rozproszone miasteczka Nowej Anglii.

- Nie - odparła w końcu. - Ja tak nie uważam. Widzisz, kiedy wreszcie jest po wszystkim, kiedy sprawiedliwość została wymierzona, wówczas można ostatecznie pożegnać się z ofiarą. Odtąd życie toczy się dalej, życie bez strachu, bez wstydu, bez wyrzutów sumienia. Właśnie te rzeczy nas zabijają. Nie powiedziała nic więcej.

Savich wyciągnął z teczki czasopismo komputerowe i zaczął czytać. Zastanawiał się, co jeszcze ją spotkało. Na pewno coś złego. Czy to coś spotkało ją wtedy, kiedy zginęła siostra. To miało sens. Co to było, do cholery?

Detektyw z wydziału zabójstw, Ralph Budnack, był rasowym gliniarzem. Wysoki, wysportowany, ze złamanym nosem, inteligentny, czepiał się szczegółów i nigdy się nie poddawał. Jego przednie zęby zachodziły na siebie, dlatego wyglądał złośliwie, kiedy się uśmiechał. Czekał na nich na posterunku i zabrał na spotkanie ze swoim kapitanem, Johnem Doughertym, łysym i otyłym, który miał worki pod oczami i taką minę, jakby już wczoraj chciał przejść na emeryturę.

Powtórzyli sobie wszystko, co wiedzieli, obejrzeni zwłoki w kostnicy i porozmawiali z policyjnym patologiem. Na ciele Hillary Ramsgate znaleziono dwadzieścia ran kłutych: siedem na klatce piersiowej, trzynaście na brzuchu. Nie stwierdzono napastowania seksualnego. Język został wycięty bardzo schludnie, a na głowie miała guza od uderzenia, które pozbawiło ją przytomności.

- Ralph mówi, że ten facet działa w siedmioletnich cyklach i mamy szczęście, że był akurat tutaj, kiedy minęło siedem lat. Choć takie szczęście jest gorsze od pecha. - Kapitan Dougherty pozuł nie zapalone cygaro. - Burmistrz dzwonił tuż przed waszym przyjściem. Następny będzie gubernator. Naprawdę mam nadzieję, że złapiecie tego faceta.
- Liczba siedem ma wiele znaczeń i kontekstów - powiedział Savich, podnosząc wzrok znad raportu z autopsji, który ponownie przeglądał. - Nie wiem, ile z tego wyciągniemy, ale jak tylko wczytamy do programu wszystkie dane o morderstwie panny Ramsgate, zamierzam przeprowadzić korelację z różnymi przykładami siódemki jako wzorca zachowań w numerologii. - Spojrzał na Lacey, która miała zmieszana minę. - Hej, warto spróbować. A nuż coś wyłapiemy, może akurat nasz klient wierzy w te rzeczy i zdobędziemy jakieś wskazówki na jego temat.
- Cholera - powiedział kapitan Dougherty - zwróćcie się do jasnowidza, jeśli to wam pomoże, weźcie tresowanego kota, co chcecie. Savich się roześmiał, wcale nie obrażony.

- Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale pan wie równie dobrze jak my, że ludzie czasami zachowują się jak skończone świry.
- Nie usłyszałem pani nazwiska - powiedział Ralph Budnack, patrząc na Lacey - ale już panią widziałem. Teraz sobie przypominam. Była pani tu, podając się za krewną ofiary.

Odwrócił się do Savicha, wysuwając szczękę.

- Powiesz mi, o co tu chodzi, do cholery?
- Spokojnie, Ralph. To całkiem zrozumiałe. Ten facet zabił jej siostrę w San Francisco siedem lat temu. Dlatego ona tak szybko się zorientowała, że znowu uderzył. Dlatego tutaj przyjechała. Dzięki niej natychmiast zaczęliśmy śledztwo. Nie musisz się nią przejmować. Pracuje dla mnie. Panuję nad nią. Kapitan Dougherty spojrzał na Lacey, żując nerwowo nie zapalone cygaro.
- Nie chcę tutaj żadnej straży obywatelskiej, agentko Sherlock. Zrozumiano? Nie próbuj przekraczać granicy, bo ci przyłożę. Nie obchodzi mnie, że jesteś z FBI. Nawet gdybyś była samym Hooverem. Zdaje się, że Savich też ci przyłoży. Wolałbym nie wchodzić z nim na ring.

- Rozumiem, sir.

Dlaczego Dillon musiał powiedzieć im prawdę? Mogła się z tego wyłgać. Przechwyciła jego spojrzenie i zrozumiała, że dokładnie wiedział, co pomyślała. Nie chciał, by znowu kłamała. Niech się wypcha. To nie jego siostra została zamordowana; to nie on miał nocne koszmary tak okropne, że budziła się, charcząc, w poczuciu że umiera, mając świadomość, że ktoś jest blisko, bardzo blisko, dostatecznie blisko, żeby zabić.

Teraz Budnack opowie innym gliniarzom, kim jest i co zrobiła, i nikt jej nie zaufa nawet za grosz.

- Mam nadzieję, że dowiemy się czegoś o tym siedmioletnim cyklu - powiedział Savich. - Przyszło mi do głowy, że on umie budować dekoracje i rekwizyty. Nie tylko budować, musi je też przewieźć do budynku, gdzie zamierza popełnić morderstwo. Dlatego trzeba je skonstruować tak, żeby się

składały na małe fragmenty, które mieszczą się w furgonetce albo w bagażniku samochodu. To znaczy, że facet zna się trochę na stolarce. No i ciężarówka na pewno rzuca się w oczy. Robi to chyba w środku nocy, żeby nikt go nie zobaczył. Możliwe, że wystąpi korelacja między siódmką a stolarką. Kto wie?

- Na przykład rekwizytor w teatrze - powoli powiedziała Lacey, czując wzbierającą nadzieję.
- Możliwe - przyznał Savich. - Załadujemy resztę towaru do programu i zobaczymy, co nam wyjdzie. -Wstał. – Coś jeszcze, panowie?
- Tak - powiedział Ralph Budnack. - Chcę ci pomóc uruchomić ten magiczny program.
- Zgoda. - Savich podał mu rękę.

Zmieniali się we troje przy komputerze, aż późnym popołudniem Savich powiedział:

- No, to powinno wystarczyć. Teraz wydam polecenie MAX-owi, żeby rozszerzył umysł i zobaczył, co dla nas znajdzie. Wprowadziłem każdy związek z liczbą siedem, jaki znalazłem. Na przykład dwa morderstwa popełniono siódmego dnia tygodnia. Następne popełniono w siódmym miesiącu roku. Wydaje się to zbyt odległe, ale zobaczymy. Prawdziwy klucz to siedmioletni cykl i zabójstwo siedmiu kobiet. MAX jeszcze nigdy nie miał tyle do przerobienia. I dałem MAX-owi jeszcze jedną kość: kwestię budowania.

Jego palce szybko biegały po klawiszach. Potem wyszczerzył zęby do Lacey i wcisnął ENTER.

- Ten komputer to twój dzieciak? - zapytał Ralph.
- Tak to wygląda? Nie, MAX to mój wspólnik, i wcale nie cichy. -Leciutko poklepał klawiaturę. - Nie, kiedyś będę miał prawdziwe dzieci.
- Jesteś żonaty?

- Nie. Aha, gotowe. Pierwsza próba MAX-a. Wydrukuję to. Wyszły tylko dwie strony.

Savich wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przeczytajcie.

Rozdział 13

- Plejady?

Ralph Budnack wyglądał tak, jakby zbierało mu się na płacz.

- Poświęciliśmy cztery godziny na wprowadzanie danych i dostaliśmy Plejady? Co to są Plejady, do cholery?

- Siedem córek Atlasa i Pleione - przeczytała Lacey. - To grupa gwiazd, umieszczona na niebie przez Zeusa. Orion jest za nimi, ściga je.

- To brednie - parsknął Ralph.

- Czytaj dalej - polecił Savich. - Po prostu czytaj dalej. Lacey podniosła wzrok z rozjaśnioną twarzą.

- On jest astronomem, na pewno. Albo astrologiem, a może zajmuje się numerologią, a astronomia to jego hobby.

Ralph Budnack podsunął:

- Może jest profesorem i wykląda mitologię. A w wolnym czasie robi meble, takie ma hobby.

- Przynajmniej jest jakieś powiązanie z siódmką - oświadczył Savich, odkładając stronę numer dwa. - Dostaliśmy jakiś trop. Mam kilka innych pomysłów, ale Ralph, weź swoich ludzi i zacznijcie sprawdzać to wszystko. Według profilerów facet mieszka tu prawdopodobnie co najmniej od sześciu

miesiące, ale krócej niż rok. Czyli dostatecznie długo, by przeprowadzić zwiad wszystkich miejsc, gdzie zamierza zabrać swoje ofiary.

- Słuszna uwaga. - Budnack zatarł ręce. - Inni z mojego zespołu przesłuchują wszystkich w okolicy Congress Street. Zagonię ich do tej roboty.

Kiedy Lacey i Savich zostali sami, powiedziała:

- To ci się nie podoba, prawda?
 - Ta cała sprawa z siedmioma Plejadami wydaje się zbyt łatwa, zbyt oczywista.
 - Dlaczego? Dopiero MAX na to wpadł. Policja z San Francisco nic nie skojarzyła. Tak samo profilerzy. No i zabójstwa dzieli siedmioletni odstęp. W każdym cyklu zabija siedem kobiet. Dwie siódemki to sporo siódemek.
- Savich wstał, przeciągnął się i podrapał po brzuchu.
- Pewnie masz rację. Jestem przygnębiony, bo MAX wpadł na to, a my nie. Ale wiesz, czuję mrowienie w żołądku. Za każdym razem, gdy to czułem, okazywało się, że coś przegapiłem. Muszę iść poćwiczyć. Wysilek oczyszcza umysł. Chcesz iść ze mną? Tym razem cię nie zdepczę. Nawet zacznę pracować nad twoimi tricepsami.
 - Nie zabrałam stroju gimnastycznego. Poza tym zamierzam bronić swoich tricepsów za cenę życia.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin gliniarze wytropili czterech potencjalnych podejrzanych - dwóch astrologów, którzy przyjechali do Bostonu w zeszłym roku, i dwóch numerologów. Obaj numerologowie przyjechali przed rokiem z południowej Kalifornii. Żadnego nie aresztowano. Budnack, Savich i Lacey spotkali się jeszcze tego samego dnia w gabinecie kapitana Dougherty'ego.

- To nic nadzwyczajnego - oświadczył Ralph Budnack, marszcząc brwi. - Wszystkie świry pochodzą z południowej Kalifornii.

- Julia Roberts też - odparł Savich.
- Punkt dla ciebie. - Budnack skrzywił się w uśmiechu. -1 co myślisz, Savich? Żaden z tych facetów jakoś nie pasuje. W dodatku dwaj mają całkiem dobre alibi. Znaleźliśmy bezdomnego, nazywają go pan Rick, który mówi, że widział gościa wchodzącego i wychodzącego z magazynu na Congress. Mówi, że facet był okutany po uszy, co go zdziwiło, bo noc była ciepła, podobno taka ciepła, że nie musiał nawet spać w swoim pudle. Mówi, że nigdy przedtem go nie widział.
- Jakież jeszcze szczegóły o tym mężczyźnie? - zapytała Lacey. -Jak wyglądał?
- Tylko tyle, że wyglądał trochę chuderlawo, dosłowny cytat z pana Ricka. Cokolwiek to znaczy. Pan Rick to kawał chłopca. Chuderlawy może znaczyć - każdy poniżej metra osiemdziesięciu. Dodam tylko, że jeden z naszych czterech podejrzanych też jest trochę chuderlawy i właśnie on ma najmocniejsze alibi.

Savich odsunął się od nich i spacerował z pochyloną głową, wpatrując się w linoleum pokrywające podłogę.

- On myśli - wyjaśniła Lacey w odpowiedzi na bezsłowne pytanie kapitana Dougherty'ego.
- Ten facet naprawdę wykończył pani siostrę?
- Tak. Siedem lat temu. Ale tego się nie zapomina.
- I dlatego pani poszła do FBI?
- Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić. Poszłam na studia i liznęłam trochę z każdej dziedziny kryminologii, potem skupiłam się na tym, jak działa umysł przestępcy. Właściwie planowałam zostać profilerem, ale nie mogłam wytrzymać tego, co oni codziennie robią. Więc trafiłam tutaj. Dziękuję Bogu za nową jednostkę Savicha.
- Nawet uczyła się pani o schematach rozbryzgów krwi?

- Tak, widziałam kilka dość paskudnych przykładów. Nie jestem ekspertem, ale przynajmniej nauczyłam się dostatecznie dużo, by wiedzieć, co robić, gdzie szukać, kogo wezwać.

Kapitan Dougherty mruknął:

- Wszyscy myślą, że profile są takie seksowne. Pamięta pani ten program w telewizji o profilerze?
- Tak, o tym z ESP. To było niezłe, co? Po co się męczyć z profilami? Strata czasu. Wystarczy dostroić się do faceta i już go mamy.

Uśmiechnął się, a ona odwróciła jego uwagę kolejnym pytaniem o jednego z mężczyzn, których zatrzymano do przesłuchania.

O północy Savich usiadł na łóżku, odetchnął głęboko i powiedział:

- Mam cię, ty skurwysynu.

Pracował na komputerze do trzeciej rano. O siódmej zadzwonił do Ralpha Budnacka i powiedział mu, czego potrzebuje.

- Masz coś, Savich?
- Może mam - powiedział powoli. - Może mam. A może tylko zrywam stokrotki na tym wielkim kwiatowym targu w niebie. Róbcie dalej swoją robotę.

Potem zadzwonił do pokoju Lacey.

- Potrzebuję cię - oznajmił. - Przyjdź do mojego pokoju i zamówimy obsługę hotelową.

Faks, szumiąc, wypluwał stronę za stroną od Budnacka.

- Tak - mruknął Savich - to pomoże.
- Nie powiesz mi, do czego zmierzasz?
- Nie, dopóki się nie przekonam, że jestem na właściwym tropie.

- Myślałam długo w nocy - powiedziała i chociaż w pokoju nie było zimno, rozcierała sobie ramiona. Wyglądała na zmęczoną, twarz miała mizerną. - Te siódemki utkwiły mi w głowie. - Głęboko wciągnęła powietrze. - Postawiliśmy na siódemkę i dostaliśmy Plejady i te numerologiczne kawałki. Ale jeśli to nie ma nic wspólnego z liczbą siedem? Jeśli siódemka pojawiła się tylko raz, a potem po prostu nastąpiła przerwa w czasie, zanim zaczął znowu zabijać? A jeśli zabił więcej niż siedem kobiet? Osiem albo nawet dziewięć?

Wydawała się niemal zdesperowana, kiedy tak stała i rozcierała ramiona.

- To nie jest żaden trop. Myślę, że to jest zbyt ograniczające. Ale jeśli w tym nic nie ma, to gdzie szukać?
- Masz całkowitą rację. Umiesz myśleć, Sherlock. Mój umysł działał w tandemie z twoim...

Roześmiała się i opadło z niej trochę napięcie.

- Co znaczy, że ty też umiesz myśleć.
- Ja i MAX razem mamy genialny umysł. No dobrze, powiem ci, do czego zmierzam, a jeśli uważasz, że walę głową w ścianę, to mnie powstrzymaj. Myślę, że za bardzo tutaj wydziwiamy, dokładnie jak mówiłaś... za bardzo komplikujemy sprawę. Zakładamy, że nasz zabójca jest gruntownie wykształcony, ma wiedzę ezoteryczną lub astrologiczną. A w wolnych chwilach prawdopodobnie wytwarza meble na zamówienie. Obudziłem się w środku nocy i pomyślałem: litości. To tylko naciągana teoria. Czas wrócić do podstaw. Wtedy zrozumiałem, że nasz klient wcale taki nie jest. Przypuszczam, że odpowiedź kryje się w oczywistych rzeczach. Kazałem MAX-owi podać inne możliwości albo nowe opcje oparte na nowych danych warunkujących, które wprowadziłem. - Odetchnął głęboko. - Pamiętaj, Sherlock, to nie musi nic znaczyć.
- Co jest oczywiste?

– Psychopata, który umie budować dekoracje, składane i przenośne. Wiem, że sprawdzali ten trop w San Francisco... odwiedzili wszystkie teatry, przesłuchali kilkunastu projektantów i konstruktorów dekoracji. Wróciłem do tego, żeby zobaczyć, co dokładnie znaleźli... i gdzie szukali, jakich podejrzanych wyłowili. Niewielu, jak się okazało. Więc kazałem MAX-owi zajrzeć tam, gdzie oni nie zaglądali. Wprowadziłem do programu wszystko, co tylko mi przyszło do głowy, teraz pozostaje nam jedynie modlić się, żeby wyszło z tego coś sensownego.

Nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na niego. Czują wzbierającą nadzieję, ale bała się ją podsycać. Zobaczyła, że Savich rozciera kark.

- Co ci jest?
- Przetrenowałem się wczoraj wieczorem, kiedy wyszłaś, a potem za długo siedziałem zgarbiony nad MAX-em. Nic wielkiego.
- Jeśli nie jesteś za bardzo męski, spróbuj aspiryny. Z drugiej strony boję się teraz cokolwiek powiedzieć, skoro tworzycie z MAX-em taki wspaniały zespół i MAX jest nie pobity.
- Bo ma świetne bity.
- Wyglądasz jak półtora nieszczęścia i jeszcze potrafisz żartować.
- Jakoś się nie śmiejesz.
- Za bardzo się boję.

Mówiła prawdę. Bała się, że on znowu zabije, że ucieknie i nigdy nie dopełni się sprawiedliwość.

Popatrzył, jak podchodzi do wysokiego okna, wygląda na ulicę osiem pięter niżej.

- Powiesz mi, co jeszcze się stało siedem lat temu? Podskoczyła, jakby ją uderzył. Wstał powoli i podszedł do niej. Wyciągnął rękę, popatrzył na nią i opuścił ramię. Powiedział cicho:
- Sherlock.

Nie odwróciła się, tylko pokręciła głową.

MAX bipnął. Savich nacisnął klawisz DRUKUJ. Po chwili wyjął z drukarki jedną kartkę. Zaczął się śmiać.

– MAX mówi, że nasz klient może handlować materiałami budowlanymi.

Odwróciła się tak szybko, że mało nie upadła.

– Na przykład drewnem?

– Tak. Mówi, że biorąc pod uwagę materiały pozostawione przez zabójcę, rodzaj użytych przez niego gwoździ, gatunek drewna, rodzaj korkowych arkuszy, kątowników i tak dalej, możemy założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że nasz klient pracuje w składzie drewna. Policja z San Francisco zbadła oczywiście każdy rekwizyt, jaki zostawiał po każdym morderstwie. Okazało się, że nie można wyśledzić pochodzenia drewna, wszystkie śruby, gwoździe, wsporniki i nawiasy to zwyczajne artykuły, ogólnie dostępne w sprzedaży. Wyszli na zero. No, ale nie skupiali się na pracownikach składów drewna. MAX uważa, że powinniśmy jeszcze raz sprawdzić.

Oczy jej błyszczały.

– MAX jest wielki. Genialny.

– Zobaczymy. Więc teraz oprócz faceta, który handluje drewnem, mamy psychopatę, który nienawidzi kobiet i wycina im języki. Dlaczego? Bo sam przez nie ucierpiał czy widział, jak inni mężczyźni przez nie cierpieli?

Powiedziała powoli, nie patrząc mu w oczy:

– Może wycina im języki, bo wie, że wymyślały swoim mężom i przeklinały. Może uważa, że kobiety nie powinny przeklinać. Może w ten sposób wybiera kobiety do zabicia.

Wiedziała o tym przez cały czas, pomyślał, ale skąd? Doprowadzała go do szału, lecz na razie jej nie naciskał. Wiedział, że trafiła w dziesiątkę. Czuł to w kościach - pasowało wręcz idealnie. Niedbałym tonem powiedział:

– Całkiem możliwe. Czy niektóre profile nie zawierały takiego wniosku?

- Tak, na pewno. Facet nie pracuje w teatrze ani niczym takim?
- Nie. Zadzwoń do Ralpa. Niech sprawdzi, kto z pracowników handlu drewnem przyjechał do Bostonu w ciągu ostatniego roku.

Teraz sobie przypominał, że chyba czytał jakieś spekulacje na ten temat w raportach i profilach. Ale to nie wystarczyło. Spojrzał na nią. Odwróciła wzrok. Zaufanie to dziwna rzecz. Wymaga czasu.

Marlin Jones był zastępcą kierownika w Składzie Drewna i Artykułów Budowlanych Appletree w Newton Center. Rozmawiał właśnie ze swoim kierownikiem, Dudem Crosbym, kiedy podeszła do nich ładna młoda kobieta o gęstych, kędzierzawych kasztanowych włosach, z kawałkiem sklejki w ręku. Wydawała mu się znajoma.

Uśmiechnął się do niej, patrząc na ten półmetrowy kawałek sklejki. Zanim zdażyła się odezwać, powiedział:

- Kłopot w tym, że ta sklejka jest zbyt tandetna. Pęka, kiedy się wbija w nią gwoździ. Jeśli pani tutaj podejdzie, pokażę pani lepsze kawałki, które nie rozleczą się w robocie. Czy my się znamy?
- Dziękuję, panie, ee, Jones - powiedziała, patrząc na jego plakietkę z nazwiskiem. - Nie, nie znam pana.
- Nie mam pamięci do twarzy, ale pani jest taka ładna, pewnie dlatego pomyślałem, że już panią widziałem. -Weszła za nim do składu. - Po co pani sklejka?
- Robię dekoracje do przedstawienia w szkole mojego syna, dlatego muszę używać sklejki, nie twardego drewna. Wystawiają *Oklahomę* i muszę zbudować kilka pokojów, które można łatwo zdemontować, a potem znowu zmontować. Dlatego będą mi też potrzebne śruby i kątowniki.
- To czemu pani wbijała gwoździe?

– To był tylko eksperyment. Mój mąż, ten wredny kutas, nie chce mi pomóc, ciągle tylko chleje, nigdy nie powie mi dobrego słowa, nawet nie pomaga wychowywać naszego syna, więc muszę wszystko robić sama.

Marlin Jones wpatrywał się w nią jak urzeczony. Odchrząknął.

– Mogę pani pomóc, pani...?

– Marty Bramfort. - Podała mu rękę. - Mieszkam na Commonwealth. Musiałam tutaj przyjechać autobusem, bo ten skurwiol, mój mąż, nie naprawił samochodu. Pewnie w końcu ten zasrany samochód utknie na naszym podwórzu i sąsiedzi wezwą gliny.

– Pani Bramfort, gdyby pani mogła mi narysować, co pani chce zrobić, to przygotowałbym dla pani wszystkie potrzebne rzeczy.

– Pewnie pan mi nie pomoże tego zbudować?

– Oj, proszę pani, jestem bardzo zajęty.

– No, trudno. W końcu to nie pańska sprawa, tylko tego palanta, mojego męża. Ale będę panu wdzięczna za radę. Zrobiłam już trochę rysunków. Mam tutaj. Rozłożyła je na dużym arkuszu dykty. Marlin Jones pochylił się nad nimi.

– Niezłe - powiedział po kilku minutach. - Zbuduje to pani bez większego kłopotu. Potnę drewno i pokażę, jak używać kątowników. Skoro pani zależy, żeby szybko rozkładać te rzeczy. Znam się na tym.

Godzinę później wyszła ze Składu Drewna i Artykułów Budowlanych Appletree. Marlin Jones miał dostarczyć dwanaście pociętych płyt ze sklejki do sali gimnastycznej w szkole, razem ze śrubami, kątownikami, zawiasami, galonami farby i czego tam jeszcze potrzebowała.

Zanim wyszła, położyła mu lekko rękę na przedramieniu.

– Dziękuję panu, panie Jones. -Widziała, jak patrzył na jej dłoń na swoim przedramieniu. - Założę się, że pan nie jest leniwym sukinsynem jak mój mąż. Żona z pewnością nie musi pana błagać o pomoc.

– Nie jestem żonaty, pani Bramfort.

- Szkoda - powiedziała i uśmiechnęła się do niego. - Myślę, że każda kobieta chciałaby mieć pana pod ręką, mężatka czy nie.

Odchodząc, wyzywająco kręciła biodrami.

- Nigdy nie wiadomo, jak się skończy budowanie dekoracji - zawołała przez ramię i mrugnęła.

Pogwizdywała pod nosem, idąc od zaparkowanego samochodu w stronę sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej im. Josephine Bentley. To był samochód Ralpa Budnacka, honda accord z 1992 roku, który prowadziło się jak czołg sherman. Toby, chwilowo woźny szkolny i czarny gliniarz z Szóstego Wydziału, otworzył przed nią drzwi.

Zapytał donośnym głosem:

- Sprawa załatwiona, pani Bramfort?
- O tak, już prawie załatwiona. Idziesz do domu, Toby?
- Aha, czekałem tylko, żeby panią wpuścić. Niech pani nie zapomni zamknąć drzwi na klucz.
- Nie zapomnę.

Znalazła się sama w sali gimnastycznej, obszernym pomieszczeniu rezonującym przy każdym jej oddechu, każdym stąpięciu, które budziło echo wśród pustki. Wszystkie prawie gotowe dekoracje leżały schludnie poskładane w kącie. Pracowała nad nimi już piąty kolejny wieczór. Rozłożyła wszystkie na podłodze. Niewiele więcej miała do zrobienia.

Zaczęła pracować, obracając śrubokręt prawą ręką, wierząc nowe dziury w dykcie. Wykorzystywała kątowniki w kształcie litery L i płaskowniki. Wsporniki służyły tylko do podtrzymania dwóch kawałków dykty. Nie zapaliła wszystkich świateł; oświetlały tylko kąt, gdzie pracowała. Niewiele to pomagało. Wokół niej gęstniały cienie, coraz czarniejsze z każdą upływającą minutą. Wkrótce wybije dziewiąta. Ciemno na zewnątrz. Ciemniej w środku.

To była piąta noc.

Nie zostało już prawie nic do roboty oprócz malowania. Zużyła wszystko, co jej przysłał. Wstała i otrzepała ręce o dżinsy. Kilka razy odwiedzała Marlina Jonesa. Zawsze traktował ją uprzejmie, chętnie pomagał i chyba podobało mu się, kiedy z nim flirtowała. Miał bardzo ciemne oczy, prawie matowe, jakby nigdy nie błyszczało w nich światło, ciemne brwi, cienki nos i pełne wargi. Przystojny mężczyzna, dobrze zbudowany, chociaż trochę za chudy. Nie był zbyt wysoki, więc na upartego pasował do określenia „chuderławy”. Po każdym spotkaniu myślała, że jest całkiem zwyczajnym człowiekiem, zarabiającym na życie cięciem drewna.

- No - powiedziała na głos, marząc, żeby coś się wreszcie stało, modląc się, żeby to się stało, wiedząc, że uderzenie w głowę nie będzie przyjemne, ale trudno. Jeden cios za uchem i ból głowy to nic w porównaniu z czekającymi go przeżyciami. - Zrobione. Teraz zobaczymy, czy to się łatwo rozkłada.
- Bardzo łatwo, Marty.

To był jego głos, głos Marlina. Stał tuż za nią. Wcale nie słyszała, jak wszedł. Chciała podskoczyć z radości. Wreszcie się zjawiał.

Z walącym sercem obróciła się gwałtownie, wydając lekki okrzyk.

- O Boże drogi, Marlin, wystraszyłeś mnie na śmierć. Mało się nie zesrałam ze strachu.
- Cześć, Marty. Wpadłem zobaczyć, jak sobie radzisz z dekoracjami. Wiesz, naprawdę nie powinnaś tak kłąć. Damy nie przeklinają. To nieładnie.
- Wszyscy przeklinają, Marlin, wszyscy. Żebyś słyszał, jak ten bydlak mój mąż rzuca mięsem! Spójrz na to. Skończyłam. Trzeba tylko pomalować, ale zapomniałam, który kawałek na który kolor, więc muszę wrócić do domu i zabrać rysunki.
- Nieźle - ocenił po kilku minutach. Przesuwał palcami po kątownikach, krzywił się, kiedy były krzywo przymocowane, jeszcze bardziej krzywił się na nie dokręcone śruby.

Odwrócił się i obdarzył ją uśmiechem.

- Jak tam twój mąż?
- Ten dupek? Zostawiłam go z puszką piwa przed telewizorem. Rzucę tego palanta, w każdej chwili, niech zabiera ten swój obwisły tyłek z...

To stało się tak szybko, że nie zdążyła nic zrobić, nawet się przestraszyć. Zgasło światło. Niemal w tej samej chwili poczuła mocny ból tuż za lewym uchem. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle i upadła bez jednego dźwięku. Zanim jeszcze odpłynęła w ciemność, zorientowała się, że nie uderzyła o podłogę. Nie, Marlin ją trzymał. Gdzie jest Toby? Dobrze ukryty, miała nadzieję. Proszę, nie pozwól mu spanikować i zepsuć planu. Nie, on nie spanikuje. Wszyscy wiedzieli, że musiała oberwać w głowę.

Błagała o to.

Rozdział 14

Obudził ją tępy, pulsujący ból za lewym uchem. Nigdy przedtem nie dostała po głowie. Tylko teoretycznie wiedziała, czego się spodziewać. W rzeczywistości nie było tak źle. Marlin wiedział, co robi. Nie chciał niepełnosprawnej ofiary. Chciał, żeby szybko się ocknęła, przerażona, spanikowana, błagająca. Nie chciał wstrząsu mózgu, zawrotów głowy i rzygania.

Leżała całkowicie nieruchomo, aż ból minął. Tym razem wiedziała, że leży na podłodze, podłodze z surowych desek, która śmierdziała starym zbutwiałym drewnem, kurzem i brudem wżartym głęboko przez dziesięciolecia.

Powinna tu panować ciemność absolutna, ale tak nie było. Wiedziała, co ją czeka, a jednak czuła takie przerażenie, że nie mogła wydobyć żadnego dźwięku z wyschniętego, ściśniętego gardła. Pomyślała przelotnie o innych kobietach - o

Belindzie - okropne samotne przebudzenie, walące serce, rozpaczliwa świadomość zagrożenia, tym gorszego, że nieznanego. Strach przenikał ją do głębi, chociaż wiedziała, co się stanie.

Bardzo chciała zabić Marlina Jonesa.

Podjeżdżała, że zainstalował ukryte żarówki dające odrobinę światła, które pozwalało jej widzieć w promieniu około pół metra. Wiedziała, że znajduje się w wielkim opuszczonym budynku. Wiedziała też, że nie jest sama. Marlin Jones czaił się gdzieś tutaj i obserwował ją. Przez okulary na podczerwień? Możliwe.

Podniosła się powoli, potarła nasadę karku. Trochę bolała ją głowa, nic więcej. O tak, Marlin Jones znał się na swojej robocie. Zastanawiała się, jak długo będzie milczał. Zawołała głosem wiarygodnie drżącym, ostrym od wzbierającej paniki:

– Jest tam kto? Proszę, gdzie ja jestem? Czego chcesz? Kim jesteś?

Histeria podeszła jej do gardła, głos zabrzmiał piskliwie i szorstko w ciszy.

– Kto tam? Ty tchórzliwy gnojku, pokaż się!

Nie otrzymała odpowiedzi. Nie słyszała żadnych dźwięków, tylko własny ciężki oddech. Nie fatygowała się sprawdzaniem rozmiarów pomieszczenia. Niech będzie rozczarowany, że skróciła zabawę, skróciła mu przyjemność. Spuściła wzrok i zobaczyła sznur leżący tam, gdzie wcześniej leżała jej ręka. Drugi koniec zniknął w ciemności. Pochyliła się i podniosła sznur. Cienka, mocna linka, prowadząca do labiryntu. Przywiązana do czegoś w sporej odległości. Powoli ruszyła za sznurkiem. Podczas tej wędrówki nikłe światło za jej plecami gasło, a ciemność przed nią rozjaśniała się stopniowo. Szła powoli, krok za krokiem, oddychając ciężko.

Nagle nad jej głową zapłonęło jaskrawe białe światło i oślepiło ją na chwilę. Potem zobaczyła kobietę patrzącą na nią dzikim wzrokiem, kobietę z rozdziawionymi ustami, bladą jak śmierć, ze zmierzwionymi włosami spadającym na twarz. Wrzasnęła na widok własnego odbicia w lustrze, przez ułamek sekundy zastygła w czasie i przerażeniu.

Powoli odsunęła się od lustra, jeden krok w tył, potem drugi. Spostrzegła, że otaczają ją ściany, właściwie dekoracje, niektóre połączone zawiasami, inne kątownikami, nie amatorskie jak jej robota. Nie, dekoracje Marlina wyglądały profesjonalnie pod każdym względem.

Potem mocne światło zgasło równie nagle, jak się zapaliło, i znowu znalazła się w półmroku.

Wtedy usłyszała oddech. Cichy, regularny oddech po prawej stronie. Odwróciła się pospiesznie.

– Kto tam?

Tylko oddech, bez głosu, bez odpowiedzi. Jakiś wzmacniacz. Zajęczała specjalnie dla niego, potem drugi raz głośniej, objęła się ramionami i znowu ruszyła za sznurkiem. Nagle sznurek się skończył. Stała przed wąskim otworem, bez drzwi. Nie widziała, co jest w głębi.

– Cześć, Marty. Wejdz, czekałem na ciebie. Jego głos. Marlina Jonesa.

– O Boże, Marlin, to naprawdę ty? Skąd się tutaj wzięłam? Przyszedłeś mnie uratować?

– Raczej nie, Marty. To ja cię tutaj przywiozłem. Przywiozłem dla siebie.

Poczuła przyływ furii. Wyobraziła sobie Belinę, nie rozumiejącą, co się dzieje i dlaczego, tak przerażoną, że ledwie mogła oddychać, a ten maniak mówi do niej głosem gładkim i ugrzecznionym niczym ksiądz.

– Czego chcesz, ty żałosny kutasie?

Milczał. Zaskoczyła go. Spodziewał się łez, próśb.

– No co, ty gnojku? - krzyknęła. - Czego chcesz? Boisz się ze mną rozmawiać?

Dosłownie słyszała jego sapanie. W końcu powiedział głosem mniej gładkim niż przedtem, ale całkiem spokojnym:

– Szybko tu przyszłaś. Spodziewałem się, że będziesz badać teren, szukać wyjścia z budynku, ale nie szukałaś. Spojrzałaś w dół, zobaczyłaś sznurek i ruszyłaś za nim.

- Po co jest ten cholerny sznurek? Jakiś kretyński dowcip? Czy jesteś jedynym kretynem w tym pieprzonym miejscu, Marlin?

Oddychał coraz szybciej - słyszała. Dyszał chrapliwie z wściekłości. Naciskaj go. Znajdź słabe miejsce i wbij szpilę. Niech Savich ją zwymyśla, niech wszyscy jej nawymyślają, nieważne. Musiała wyprowadzić go z równowagi, musiała go pokonać, a potem zniszczyć.

- No więc, ty mały pojebany zboczeńcu? Po co to robisz? Napalasz się w tej twojej pokręconej mózgowicy?
- No, no, Marty, nie pyskuj. Nie znoszę kobiet z niewyparzoną gębą. Myślałem, że jesteś taka słodka i bezradna, kiedy pierwszy raz do mnie przysłaś, ale ty zaczęłaś przeklinać. Otworzyłaś swoje piękne usta i wypłynął z nich brud. I twój biedny mąż. Nic dziwnego, że pije... potrzebuje ucieczki od tego plugawego języka. A ty jeszcze go ponizas i opowiadasz dookoła, jaki jest okropny, chociaż on tylko miał pecha, że się z tobą ożenił.
- Może mówię brzydko, ale przynajmniej nie jestem pierdolonym psycholem jak ty. Czego chcesz, Marlin? Po co ten sznurek?

Odpowiedział miękkim, śpiewnym głosem, łagodnym i monotonnym, jakby uważał się za wszechwiedzącego boga, a ją traktował jak zbłąkane dziecko, które trzeba sprowadzić na właściwą drogę. Drogę do piekła.

- Powiem ci wszystko, kiedy znajdziesz środek labiryntu, Marty. Zbudowałem dekoracje całkiem jak twoje, tylko że lepsze, bo robię ich więcej. Chcę, żebyś weszła do labiryntu, Marty. Wygrasz, kiedy znajdziesz środek labiryntu. Chociaż mówisz brzydkie rzeczy, to jednak wygrasz, kiedy znajdziesz środek. Będę mierzył czas, Marty. Czas zawsze jest ważny. Nie zapominaj o czasie. No dalej, musisz tam wejść, bo inaczej od razu wymierzę ci karę. Znajdź środek, Marty, albo zrobię ci coś nieprzyjemnego.
- Ile mam czasu, żeby dotrzeć do środka labiryntu? Łagodną monotonię zabarwił ślad zniecierpliwienia.
- Zadajesz za dużo pytań, Marty.

- Znajdę środek, jeśli mi powiesz, po co ci sznurek.
- Jak inaczej mam cię tu przyprowadzić? Nie chciałem malować znaków. Zbyt oczywiste. IDŹ ZA STRZAŁKAMI. Do kitu. Sznurek jest fajny. Prowokacyjny. Ale moja cierpliwość się kończy, Marty. Wejdz do labiryntu. Nagle w jego głosie zabrzmiał gniew, zimny i twardy.
- Marty? Co robisz?
- Sznurowadło mi się rozwiązało. Tylko zawiązywałam. Nie chcę się potknąć.
- To mi nie wyglądało na zawiązywanie sznurowadła. Wchodź albo zrobię ci naprawdę dużą przykrość.
- Wchodzę.

Weszła przez wąskie wejście do wąskiego korytarza ze sklejki, pomalowanej na zielono, żeby udawało zarośla cisu. Dotarła do skrzyżowania. Cztery kierunki. Wybrała lewe odgaślenie. Okazało się ślepe.

- Błąd, Marty. - Zaśmiał się. - Może gdybyś tyle nie przeklinała, Bóg pokazałby ci właściwą drogę. A gdybyś nie traktowała tak podle swojego biednego męża, Bóg nie przyprowadziłby cię do mnie. Spróbuj jeszcze raz. Zaczynam się niecierpliwić.

Ale wcale się nie niecierpliwił, zrozumiała nagle. Rozkoszował się każdą chwilą. Im dłużej szukała środka, tym lepiej się bawił.

- Powolna jesteś, Marty. Lepiej się pospiesz. Nie zapominaj o czasie. Mówiłem ci, że czas jest ważny.

Słyszała teraz w jego głosie podniecenie, już nie tłumione. Zrobiło jej się niedobrze. Nie mogła się doczekać, żeby go zobaczyć.

Cofnęła się i skręciła w drugą odnogę. Ta również kończyła się ślepo. Za trzecim razem wybrała właściwą trasę. Otaczał ją tylko niewielki krążek światła, zawsze taki sam, ani jaśniejszy, ani ciemniejszy. Słyszała jego oddech, coraz szybszy; jego podniecenie narastało. Zbliżała się już do środka labiryntu.

Zatrzymała się i zawołała głośno:

– Dlaczego labirynt, Marlin? Dlaczego chcesz, żebym znalazła środek labiryntu?

Głos mu drżał z podniecenia. Nikt go jeszcze o to nie zapytał. Aż się palił, żeby jej powiedzieć.

– To jak znajdowanie drogi do własnej duszy, Marty. Jest mnóstwo mylących zakrętów i ślepych zaułków, ale jeśli spróbujesz, jeśli bardzo się postarasz, w końcu dotrzesz do środka swojej duszy i poznasz prawdę o tym, kim jesteś.

– To bardzo poetyczne, Marlin, jak na durnego psychopata. Kto cię wypuścił z wariatkowa?

– Muszę cię za to ukarać, Marty. Nie jestem twoim mężem. Nie masz prawa mnie obrażać.

– Kurwa mać, a niby dlaczego nie, ty żaloszny mały gnojku? -wrzasnęła.

– Przestań! Tak, cicho bądź, już lepiej. No więc czekam, Marty, czekam na ciebie. Twój czas się kończy. Lepiej przestań mi wymyślać i biegnij.

Pobiegła, tym razem nie skręcając w niewłaściwe odnogi, prosto do środka, bez śladu wahania.

Był tam, stał dokładnie w samym środku labiryntu, z goglami na oczach. W następnej chwili nacisnął guzik i załała go struga światła. Nosił maskujący kombinezon i czarne wojskowe buty zasnurowane do samej góry. Ściągnął gogle na podczerwień. W upiornym świetle wyglądał blado jak pośmiertna maska. Teraz rzeczywiście wydawał się chuderławy. Obdarzył ją szerokim uśmiechem.

– Dotarłaś tu naprawdę szybko, kiedy się postarałaś, Marty. Nastraszyłem cię i sama zrozumiałaś, że jeśli się nie pospieszysz, zrobię ci wielką krzywdę.

– Nastraszyłeś mnie? Ty durny czubku, nie nastraszyłybyś nawet zdechłego kurczaka. Czy pobiłam twój limit czasu, ty nędzny gnojku?

Uśmiech zgasł. Mężczyzna wydawał się bardziej zdziwiony niż rozłoszczony.

- Dlaczego się nie boisz? Dlaczego mnie nie błagasz, żebym cię teraz wypuścił? Wiesz, że doprowadza mnie do szału, kiedy mówisz brzydkie słowa, kiedy...
- Jesteś już taki popieprzony, że nie muszę nic mówić, ty głupi zasrańcu.
- Zamknij się! Nienawidzę, kiedy kobiety przeklinają, nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę! Nie dotarłaś do środka na czas, Marty. Muszę cię ukarać.
- I jak się do tego zabierzesz, ty świński perwersie?
- Zamknij się, do cholery!

Wyciągnął nóż myśliwski z pochwy u pasa. Ostrze było długie na trzydzieści centymetrów - ostre, zimne srebro. Błyszczało w martwym białym świetle.

- Dlaczego labirynt, Marlin? Zanim mnie ukarzesz, powiedz, co to za labirynt?
- To specjalnie dla ciebie, Marty, tylko dla ciebie. - Teraz bawił się nożem, lekko przesuwając opuszką kciuka wzdłuż ostrza. - Jest bardzo ostry, Marty, naprawdę ostry.
- Oczywiście, że jest ostry. To nóż, idioto. Jesteś nie tylko psycholem, ale w dodatku kłamiesz. Nie zbudowałeś tego labiryntu jedynie dla mnie. Twoja mała gierka wcale nie jest wyjątkowa. Nie stać cię na żadną oryginalność. W kółko powtarzasz to samo. Każda kobieta, którą zabiłeś, musiała znaleźć drogę do środka labiryntu. Dlaczego labirynt, Marlin? A może boisz się mi powiedzieć?

Zrobił krok w jej stronę, potem przystanął.

- Skąd wiesz o tych innych kobietach?
- Jestem telepatką, ty gnido. Bez trudu potrafię odczytać twój nędzny mózdzek. Tak, telepata to przeciwieństwo psychopaty, czyli ciebie. Dlaczego labirynt, Marlin? Boisz się mi powiedzieć, prawda? Wiedziałaś, jesteś zwykłym śmierdzącym tchórzem.

- Zamknij się, do cholery! Powiem ci, a potem oberżnę ci ten paskudny język i każę ci go zjeść, zanim pokroję cię na plasterki jak seler. - Dyszał tak ciężko, jakby przebiegł dobre sto metrów. - Mój ojciec kochał labirynty. Mówił, że dobrze skonstruowany labirynt to dzieło sztuki. Nauczył mnie budować labirynty. Mieszkaliśmy na pustyni niedaleko Yumy. Tam nie było ładnych, gęstych, zielonych krzaków, więc musieliśmy zrobić własne krzaki i zrobiliśmy tak dużo, że budowaliśmy z nich labirynty. - Potrząsnął głową, zmarszczył brwi. -Zbiłaś mnie z tropu. Przez ciebie zmieniłem tekst. Nigdy przedtem tego nie robiłem. Muszę cię za to ukarać, Marty.
- Mam nadzieję, że twój ojciec nie żyje. Wydaje się równie szurnięty jak ty. Powiedziałaś, że dla innych kobiet nie musiałaś zmieniać tekstu. Dlaczego je karałeś? Co one ci zrobiły?
- Zamknij się, do cholery! Jak śmiesz mówić o moim ojcu! Nic ci nie powiem!
- Brzydkie słowa, Marlin. A mówiłaś, że ich nie lubisz. Czy kobiety, które zarząłaś, zawsze przeklinały? Czy zabiłaś je dlatego, że obrażały swoich mężów?
- Dziwka! Zamknij się!
Pokręciła głową.
- Nie mogę uwierzyć, że tak mnie nazwałaś, Marlin. Ja też nie znoszę przeklinania. Doprowadza mnie do szału, mówiłam ci o tym? Ja też muszę cię ukarać. Kto pierwszy?
Wrzasnął i skoczył na nią, wznosząc nóż nad głowę. Savich krzyknął:
- Padnij!
W tej samej chwili zapaliły się wszystkie światła. Marlin potknął się, oślepiony przez nagły blask. Podobnie jak ona, ale ona wiedziała, co robić.
Przetoczyła się, wyszarpnęła colta z kabury na kostce i wsparła się na łokciach.
Marlin Jones wrzeszczał, wymachiwał nożem, dźgał powietrze raz za razem. Wreszcie ją zobaczył, jak na leżąco celowała do niego z rewolweru.

Z ciemności dobiegł głos kapitana Dougherty'ego.

- Tu policja, Marlin. Rzuć nóż i odsuń się od niej! Zrób to albo jesteś trup.
- NIE!
- Chcę cię zabić, Marlin - szepnęła, celując w jego brzuch - ale nie zrobię tego, jeśli odłożysz nóż.

Palcem głaskała spust. Chciała go nacisnąć tak bardzo, że ją zemdliło. Marlin znieruchomiał. Popatrzył na nią i na rewolwer, z którego celowała.

- Kim jesteś?
- Powiem ci w sądzie, Marlin, albo wyślę ci telegram do piekła. Ile razy dźgałeś te wszystkie kobiety? Zawsze tyle samo razy? Nigdy nic nie zmieniałeś? Nie, nie zmieniałeś. Dźgałeś je, a potem wycinałeś im języki. Ile razy? Tyle samo co przy Hillary Ramsgate? Dwadzieścia ciosów? No, podejdź do mnie, jeśli chcesz dostać kulkę w brzuch. Chcę cię zabić, ale nie zabiję, jeśli mnie nie zmusisz.

Potrząsał głową w tył i w przód, gwałtownie zaciskał szczęki i cofał się, jeden krok do tyłu, drugi... Potem nagle, ruchem tak szybkim, że zamazał jej się przed oczami, wymierzył nóż i cisnął.

Usłyszała krzyk Savicha, kiedy rzuciła się w prawo. Poczuela, jak ostrze rozcina jej ramię. Nie dotarło do kości.

- Dzięki, Marlin - szepnęła i wystrzeliła. Od impetu trafienia zatoczył się do tyłu, zacisnął ręce na brzuchu.
- Trafiony! - krzyknął Savich. -Wstrzymać ogień! Nie strzelać! Nie zdążył.

Przerywana kanonada z tuzina pistoletów rozświetliła magazyn nikłymi punkcikami światła. Savich ponownie zawołał:

- On leży! Przestańcie!

Pistolety kilkunastu funkcjonariuszy policji otaczających labirynt zamilkły jeden po drugim. Wszyscy zagapili się na poszarpane, przegniłe deski podłogi.

Jakimś cudem nie trafili Marlina Jonesa. Najcelniejszy strzał odbił się rykoszetem od jego wojskowego buta.

Potem zapadła nagle, ciężka cisza.

– Sherlock, niech cię szlag, wykopię cię stąd do Buffalo!

Leżała na plecach i uśmiechała się do niego, kiedy upadł na kolana obok niej i oddał rękaw własnej koszuli. Nóż sterczał obscenicznie z jej ramienia.

– Teraz nie ruszaj się przez chwilę, ani drgnij. To może trochę boleć.

Wyciągnął nóż. Krzyknęła dopiero wtedy, kiedy zobaczyła w ręku Savicha ostrze pokryte jej własną krwią.

– Przestań skamleć. Ledwie cię drasnął. Leż spokojnie. - Owinął ramię rękawem swojej koszuli. - Nie wierzę, że to zrobiłaś. Zabiję cię osobiście, kiedy wyzdrowiejesz. Wdepczę cię w matę trzydzieści razy, zanim pozwolę ci wstać. Potem wezmę się do twoich tricepsów tak, że przez tydzień nie będziesz mogła się ruszać. A potem znowu cię zabiję za to, co zrobiłaś.

– Czy on nie żyje, Dillon?

Savich obejrzał się na Ralpha, który zakładał opatrunek uciskowy na brzuch Marlina.

– Nie, lecz mało brakuje - odparł Ralph. - Trafiłaś go w brzuch. Pogotowie już jedzie. Dobrze się spisałaś, Sherlock, ale zgadzam się z Savichem. Mało nie zginęłaś. Jak Savich z tobą skończy, zabiorę cię na swoją łódź, wypłynę w morze i wyrzucę cię za burtę.

Uśmiechnęła się do Savicha.

– Mam nadzieję, że on wyciągnie kopyta. Jeśli nie umrze, udowodni swoją niepoczytalność, bo przecież jest wariatem, i jeśli dostanie liberalnego sędziego i łagodnych psychiatrów, uznają go za wyleczonego i wypuszczą, żeby znowu to zrobił za następne siedem lat, i wtedy... Wyciągnąłeś ze mnie ten nóż. Teraz dopiero mnie boli. Rany boskie, ile krwi.

Powoli zamknęła oczy, głowa bezwładnie opadła jej na bok.

- Cholera jasna -warknął Savich i mocniej przycisnął ranę. Usłyszał dwóch mężczyzn i kobietę wołających:
- Przepuście nas! Pogotowie! Zróbcie przejście!
Savich wyjął broń z jej zwiotczących palców, pokręcił głową i włożył ją do kieszeni. Nie dotknął zakrwawionego noża.

Rozdział 15

Odzyskała przytomność w karetce pogotowia, leżąc płasko na plecach, z kroplówką podłączoną do ramienia, z dwoma kocami podciągniętymi pod brodę. Pielęgniarka siedziała u jej stóp, Savich pochylał się nad jej twarzą. Gdy tylko otworzyła oczy, natychmiast powiedział:

- Wszystko w porządku, Sherlock. Obecna tu pani Jameson zabandażowała ci ramię trochę ciasniej i rana jedynie lekko krwawi. Trzeba cię zbadać na wypadek uszkodzenia arterii i założyć parę szwów, kiedy dojedziemy do szpitala, no i podać antybiotyki, ale zasłużyłaś sobie na to. Powiem lekarzowi, żeby nie dawał ci żadnego znieczulenia i użył grubej igły. Kroplówka to tylko woda i jakieś sole, nie masz się czym martwić. Mówiłem, że nóż ledwie cię drasnął, nic poważnego.

Ramię tak ją paliło, aż się zdziwiła, że nie widać płomieni. Zdobyła się na uśmiech.

- Więc mam nie skamleć?
- Właśnie.

Pani Jameson wtrąciła:

- Ma pani doskonałe żyły. Jak się pani czuje, agentko Sherlock?
- Właściwie całkiem dobrze - odparła i mało nie jęknęła.

– Ona kłamie. To boli jak cholera. Posłuchaj mnie, Sherlock. To szczęście, żeś się poruszyła, kiedy Marlin rzucił w ciebie nożem, inaczej trafiłby cię prosto w serce i nikt z nas nie mógłby go powstrzymać. Naprawdę jestem na ciebie wściekły. Nigdy nie powinienem ci zaufać, nigdy. Byłem pewien, że wiesz, co robisz, ale nie wiedziałaś. Skierowałaś na mnie te swoje zielone oczy i ten superszczery policyjny głos, a ja dałem się nabrać jak dziecko. Wiedziałem, że nie powinienem ci wierzyć, lecz uwierzyłem, więc to także moja wina. Niech cię szlag, przegrałaś z tym podłym draniem i nawet nie mrugnęłaś okiem. Prowokowałaś go bez przerwy. Mógł całkiem zapomnieć o swoim scenariuszu. Mógł cię zabić od razu. Głupio zrobiłaś. Naprawdę się wkurzyłem, Sherlock.

– Boli, prawda? - zapytała pani Jameson, odciągając Savicha. - Mimo to nie mogę dać pani żadnego środka przeciwbólowego. Musimy poczekać na decyzję lekarza. Ciśnienie krwi ma pani w normie. Proszę jeszcze trochę wytrzymać. Za parę minut będziemy na miejscu.

Choć ramię paliło ją żywym ogniem, powiedziała:

– Przepraszam, Dillon, ale musiałam.

– Dlaczego strzeliłaś mi w brzuch? Dlaczego nie mierzyłaś w klatkę piersiową?

Oczy miała mętne, pełne rozmazanych cieni, lecz wiedziała, że już żadne duchy nie wtargną do jej umysłu, żeby ją torturować. Nie, teraz wszystko było w porządku. Jego głos oddalał się coraz bardziej. Co takiego chciał wiedzieć? Ach tak. Oblizwała wargi i szepnęła:

– Chciałam, żeby cierpiał. Strzał w serce to za łatwe dla niego.

– Dokończ, Sherlock.

– No dobrze, teraz to prawda. Nie powiedział nam wszystkiego. Gdybym zdażyła wszystko z niego wyciągnąć, zastrzeliłabym go bez wahania. No, może. Najpierw go zmusimy, żeby nam wszystko powiedział, a potem strzelę mu w serce, obiecuję.

Mówiła całkiem poważnie. Z drugiej strony była otepiała od bólu. Powiedział powoli, uśmiechając się do niej:

- Właściwie gdybyś do niego nie strzeliła, gdyby pocisk nie odrzucił go do tyłu, dostałby co najmniej trzydzieści kul. Więc w ostatecznym rozrachunku, Sherlock, uratowałaś mu życie.
- O cholera - mruknęła, a potem odwzajemniła uśmiech.
- Jeśli się wyliże, możesz go przesłuchać i wyciągnąć z niego wszystko, co chcesz. Zrobimy to razem. Nie martw się więcej. Chociaż zamierzam przerzucić cię przez całą salę gimnastyczną, kiedy wy-dobrzejesz, to jednak dostałaś drania.

Ale mało brakowało, bardzo mało, niepotrzebne ryzyko. Całkowicie zlekceważyła rozkazy. Działała na własną rękę. Z drugiej strony wątpił, czy postąpiłaby w ten sposób, gdyby nie chodziło o tego samego psychopatę, który zabił jej siostrę. Postanowił pomóc jej jeszcze trochę, kiedy wyzdrowieje - miał nadzieję, że niedługo. Tak łatwo mogła zginąć.

- Dziękuję ci, Dillon - powiedziała. - Daj mi trochę czasu, zanim zaciągniesz mnie do sali gimnastycznej i wdepcesz w podłogę. Na razie marnie się czuję.

Podźwignęła się i zwymiotowała do basenu, podstawionego szybko przez panią Jameson.

- Przeżyjesz, agentko Sherlock. Hej, nie jest pani przypadkiem spokrewniona z Mohamadem Sherlockiem, słynnym detektywem z Bliskiego Wschodu?

Chciała na niego wrzasnąć za te koszmarnie bolesne sześć szwów na ramieniu, lecz nawet nie pisnęła. Zrobił jej zastrzyk przeciwbólowy, zanim zabrał się do szycia, ale niewiele to pomogło. Savich siedział na krześle przy drzwiach małej klitki, założywszy nogę na nogę, z ramionami skrzyżowanymi

na piersi, więc nie mogła się mazgać pod jego wzrokiem. Syknęła przez zaciśnięte Zęby:

- To jeden z najlepszych żartów, jakie dotąd słyszałam, doktorze Ashad. Szybko zawiązał nić.
- Pochlebiam sobie, że unikam banałów. No, gotowe. Teraz wylejemy to na ranę, przepraszam, ale to porządnie zapieczę, potem zrobimy pani jeszcze trzy zastrzyki w tyłek: przeciwțęczowy, antybiotyk i kolejny przeciwbólowy. Za kilka dni proszę pójść do swojego lekarza w Waszyngtonie. Szwy się wchłoną. Niech pani o nich zapomni. Taki wielki detektyw jak pani chyba nie chce środków przeciwbólowych?
- Zostało mi jeszcze dosyć siły na porządnego kopniaka, doktorze. Jeśli nie dostanę zastrzyku, to pana kopnę.
- Zakładałem, że miejscowe znieczulenie wystarczy dla dzielnej agentki FBI, zwłaszcza z takim słynnym nazwiskiem.
- Jestem nową agentką. Dopiero po jakimś czasie zdobęde pełną odporność na ból, jak ten facet przy drzwiach, którego można walić po głowie, a on dalej będzie śpiewał i sypał dowcipami. Savich zaśmiał się swobodnie.
- Tak, niech pan jej da coś na sen. Jest taka podkrecona, że inaczej nie przestanie paplać, chyba że ją zaknebluję. Doktor Ashad, chudy, ciemnoskóry mężczyzna o zębach poźółkłych od papierosów, zapytał, przygotowując trzy strzykawki:
 - Pani naprawdę jest nową agentką czy to żart? Przecież wy pracujecie razem od dawna, prawda?
 - Nie, spotkaliśmy się pierwszy raz w życiu miesiąc temu. Teraz zamierzam ją zabić, jak tylko wyzdrowieje, więc nasza znajomość potrwa bardzo krótko.
 - Pan żartuje, agencie Savich.
 - Wcale nie.

- Niech pani opuści spodnie, agentko Sherlock.
- Proszę w ramię, doktorze.
- Nic z tego. W pośladek, agentko.
- Dopiero kiedy on wyjdzie z pokoju.

Savich stanął tuż za drzwiami. Uśmiechnął się ponuro, kiedy usłyszał jej wrzask. Potem znowu wrzasnęła. Drugi zastrzyk. Kolejny wrzask. No, koniec zastrzyków. Powinny postawić ją na nogi. Mało nie umarła. Powinien przewidzieć, że zrobi właśnie to, co planowała zrobić przez ostatnie siedem lat. Podniósł wzrok i zobaczył Ralpa Budnacka i kapitana Dougherty'ego idących w jego stronę.

- Jak ona się czuje?
- Całkiem dobrze. Taka sama wredna jak przedtem.
- Ta kobieta lubi przeciągać strunę - oświadczył kapitan Dougherty. - Musisz z nią o tym pogadać, Savich. - Potem dodał z uśmiechem: - Mamy go. - I zatarł rękę. Teraz wcale nie wydawał się stary i zużyty. Nawet krok miał bardziej sprężysty. Natomiast Ralph nie mógł ustać spokojnie, przestępował z nogi na nogę i gestykulował szybciej, niż mówił.

Rozległ się następny okrzyk bólu.

- Cztery zastrzyki - mruknął Savich. - Wszystkie w pośladek. Zasłużyła na każde ukłucie. Ciekawe, po co ten ostatni zastrzyk? Może jako kara.

Kilka minut później Lacey wyszła z klitki, wpychając bluzkę w spodnie jedną ręką, ponieważ drugie ramię spoczywało na ciemnoniebieskim temblaku.

- To sadysta - powiedziała do Savicha, zanim zobaczyła dwóch policjantów. - Nie jest banalny, tylko sadystyczny. Powinam zaprosić go na obiad i zatruć jedzenie.
- Widzę, że jest pani w niezłej formie, agentko Sherlock - rzekł kapitan Dougherty i poklepał ją po zdrowym ramieniu mięsistą dłonią. - Myśleliśmy, że może chcecie wejść na górę i zobaczyć, jak tam Marlin Jones.

- Na razie jestem oficjalnie zwolniona i chętnie pójdę - zapewniła Lacey, po czym spojrzała na Savicha. - A pan, sir? Lepiej się pan czuje? Nie taki wściekły jak pięć minut temu?

Chciał złapać ją obiema rękami za tę chudą szyję i ścisnąć. Ale musiał poczekać.

- Bądź tak miła i na przyszłość powstrzymaj się od komentowania mojej wściekłości. Wierz mi, to dla twojego dobra.
- Tak, sir.
- Nie zemdleje pani, agentko Sherlock?
- Nie, Ralph, obiecuję. Nic mi nie jest.

Wytrzymała, dopóki nie dotarli do poczekalni przed salą operacyjną. Nikt nie mógł im nic powiedzieć. Jones wciąż leżał na stole. Usiedli, Savich obok Sherlock. Straciła przytomność dwie minuty później.

- Chyba zemdląca - powiedział Savich. - Wiecie co, zabiorę ją do hotelu. Zadzwońcie do mnie rano z wiadomością o stanie Jonesa i kiedy, zdaniem lekarzy, możemy go przesłuchać. Sherlock będzie wściekła jak diabli, że coś ją ominęło, ale teraz żadna siła jej nie obudzi.

Ralph Budnack wyciągnął rękę i lekko potrząsnął jej ramieniem. Osunęła się jeszcze bardziej na Savicha.

- No tak, zgasła jak świeczka. Pilnuj jej dobrze, Savich. Napędziła cholernego strachu wszystkim gliniarzom w tym magazynie, ale zrobiła dobrą robotę. Dziwne, że uratowała mu życie, kiedy do niego strzeliła. Gdybyś nie kazał wstrzymać ognia, chłopaki podziurawiliby go jak sito. Zadzwonimy jutro. Aha, mamy sporo na filmie.

Savich zaniósł ją do hotelu, nie zważając na niemrawe protesty, gdy się ocknęła. Na szczęście było późno i tylko jeden staruszek wziął go za zboczeńca, ponieważ oblizywał się w dziwny sposób. Savich obawiał się zostawić Lacey samą, więc zaniósł ją do swojego pokoju, zdjął jej buty i położył do swojego łóżka. Zgasił wszystkie światła oprócz małej lampki nad biurkiem przy oknie.

Zadzwoił do wicedyrektora Jimmy'ego Maitlanda, by mu powiedzieć, że złapali Sznurobójcę. Na razie nie zamierzał informować szefa, że agentka Sherlock mała nie zginęła, ponieważ całkowicie straciła rozsądek i zmieniła się w kowboja, czego Biuro kategorycznie zabraniało.

Lacey przespala całą noc. Obudziła się wczesnym rankiem. Szeroko otwarła oczy, poczuła palący ból w ramieniu i jęknęła.

– Dzień dobry. Widzę, że żyjesz.

Podniosła na niego wzrok i zmarszczyła brwi, próbując poskładać wszystko do kupy.

– Och, jestem w twoim pokoju.

– Nikt nie powinien schodzić z tego świata samotnie - odparł. -Wyglądasz jak maskara. Ale przyniosłem ci ubranie z twojego pokoju. Jeśli masz siłę, wykup się i przebierz. Jak wyjdiesz z łazienki, śniadanie będzie czekało. Mnóstwo protein, mnóstwo żelaza, mnóstwo soku pomarańczowego.

– Po co sok pomarańczowy?

– Zęby cię nie rozłożyło przeziębienie.

Patrzył, jak spuszcza nogi z krawędzi łóżka. Włosy wysunęły się z klamry i kłębiły się wokół twarzy - rude, nie marchewkoworude ani pomarańczowe, ani nawet kasztanowe, jak przedtem myślał, tylko mieszanka tych wszystkich odcieni. Miała dużo włosów. Zresztą bardzo pięknych. Wyglądała zupełnie inaczej. Cofnął się o krok.

– Nawet położyłem tam dla ciebie trochę damskich drobiazgów. Jeśli chcesz ogolić nogi, wykluczone. Mam tylko jedną maszynkę do golenia.

Odwracał jej uwagę od bólu.

– Aha, Sherlock, zanim popędzisz łapać następnego mordercę, zaczekaj chwilę. - Zniknął w łazience i po chwili wrócił. - Masz, weź dwie pigułki. Zalecenie lekarza.

Wiedziała, że mała niebieska tabletką uśmierzy nieznośny ból. Potem może spróbuje przełknąć śniadanie, o którym mówił Savich.

- Wpatrujesz się w te pigułki jak ludożerca w kocioł z marynarzem. - Podał jej lekarstwa i szklanę wody. Połknęła bez ociągania.
- Posiedź sobie, dopóki lekarstwo nie zadziała. Zadzwoń do obsługi hotelowej.

Czterdzieści pięć minut później, owinięta w szlafrok, umyta najlepiej jak mogła jedną ręką, siedziała naprzeciwko Savicha, z kopiastą porcją jajecznicy na widelcu uniesionym do ust. Westchnęła i przełknęła.

Pozwolił jej jeść przez trzy minuty, zanim się odezwał:

- Nie powiedziałem wicedyrektorowi Maitlandowi, że jesteś idiotką i przy twoim pierwszym zadaniu nie posłuchałaś rozkazów, że prowokowałaś podejrzanego, aż rzucił w ciebie nożem, że mało nie zginęłaś przez tę twoją cholerną obsesję.
- Dziękuję, sir.
- Skończ z tym „sir”. I tak się wkrótce dowie. Ciągle mogę wywalić cię na zbity pysk z Biura. Pobijałaś wszelkie rekordy głupoty.

Mówił to wszystko zeszłego wieczoru, ale chyba była zbyt zamroczona, żeby to do niej dotarło. Musiał jej to wbić do głowy.

- Chciałam go wyprowadzić z równowagi. Chciałam, żeby mi wszystko powiedział... Nie bardzo wierzę w tę historyjkę o ojcu i labiryncie.
- Łatwo można to sprawdzić. Założę się, że Ralph już zadzwonił do Yumy w Arizonie. Powiedz mi, Sherlock, czy teraz uwolniłeś się od obsesji, kiedy już pokonałaś tego potwora? Czy zemsta była słodka?
- On jeszcze żyje?
- Tak. Operowali go przez trzy godziny. Jest szansa, że się wygrzebie.
- Ale jest szansa, że wykituje, jak wszystko z niego wyciagniemy. Myślisz, że to możliwe?
- Nie dopuszczę cię do niego z bronią. Odchyliła się na oparcie fotela i westchnęła.

- Środki przeciwbólowe działają bardzo dobrze. Śniadanie było pyszne. Powiesz wicedyrektorowi, że powinni mnie zawiesić, ukarać, obciąć pensję, może coś innego?
- Mówiłem ci. Jeszcze nie podjąłem decyzji. Ale właśnie przyszło mi do głowy, że zatrudniłaś się w Biurze wyłącznie z tego powodu, prawda?
Przytaknęła, gryząc kawałek grzanki.
- Zrobiłaś licencjat z kryminologii i magisterium z psychologii kryminalnej tylko dla tej jednej chwili... liczyłaś na nikłą szansę konfrontacji z tym szaleńcem?
- Tak. Właściwie w głębi duszy nigdy nie wierzyłam, że go dostanę, ale wiedziałam, że jeśli nie spróbuję, nie potrafię dalej żyć. Nie miałabym nawet tej nikłej szansy, gdyby nie pan. Dziękuję panu, sir.
- W tej chwili nie bardzo cię lubię, Sherlock, więc skończ z tym bzdurnym „sir”. Gdybym wiedział, co robię, nie zrobiłbym tego. Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś się przekreśliła.
- Pewnie musiałby pan zadzwonić do mojego taty. To żadna przyjemność. Dziękuję za...
- Jeszcze raz mi podziękujesz, że pozwoliłem ci odegrać przynętę, to uduszę cię paskiem od szlafroka.
- Co teraz będzie?
- Wracasz do Waszyngtonu, a ja załatwię sprawy tutaj. Zmieniła się w kamień.
- Nie - powiedziała po chwili. - Nie, pan nie może. - Pochyliła się do przodu. - Proszę, niech pan mi pozwoli doprowadzić to do końca. Niech pan mi pozwoli porozmawiać z Marlinem Jonesem. Muszę wiedzieć, dlaczego zabił moją siostrę, dlaczego zabił te inne kobiety. Pan mi obiecał, że z nim porozmawiam.
- Tylko wariat pozwoliłby ci prowadzić dalej tę sprawę.
- Proszę, niech pan jeszcze trochę będzie wariatem.

Popatrzył na nią z dużym niesmakiem. W gruncie rzeczy wcale nie zamierzał jej teraz splawić. Rzucił serwetkę na stół i odepchnął krzesło.

- Zresztą co tam, cholera. Czemu nie? Teraz nic ci nie zrobi, ani ty jemu.. Nie spróbujesz go zastrzelić, co, Sherlock?
- Na pewno nie.
- Jestem idiotą, że ci wierzę. Coś ci powiem. Zabiorę cię do szpitala. Zobaczymy, czy nie rzucisz mu się do gardła.
- Ja tylko chcę wiedzieć. Nie, muszę wiedzieć. Dlaczego zabił Belinę?
- Czy wyrażała się nieprzyzwoicie?
- Przeklinała, ale nikomu to nie przeszkadzało, najwyżej naszym rodzicom. Mąż bardzo ją kochał. Douglas się ucieszy, że złapaliśmy tego faceta. Co do mojego ojca, jest sędzią, więc dla niego to jeden kryminalista mniej. Ale wie pan, tata właściwie nigdy jej nie lubił, bo nie była jego córką. Była moją przyrodnią siostrą. Córką mojej matki z pierwszego małżeństwa. Dwanaście lat starszą ode mnie.
- Czy czasami wymyślała mężowi?
- Nie. No, chyba nie. Nie mam pewności. Dwanaście lat to duża różnica wieku. Wyszła za męża, kiedy miałam szesnaście lat. Jakie to ma znaczenie?
- Więc była mężatką dopiero od trzech lat, kiedy zginęła?
- Tak. Właśnie skończyła trzydzieści trzy lata.
- Jeśli nie przeklinała ani nie wymyślała mężowi publicznie, to Marlin nie miał powodu jej prześladować. Pamiętaj, że nie tknąłby cię, gdybyś tak nie rzucała mięsem. A na dokładkę zmieszałaś z błotem swojego mitycznego męża. Więc widocznie twoja siostra też zrobiła coś takiego, że ją zaatakował. Albo w jego obecności naprawdę wyszła z siebie i puściła wiąchę, albo zwymyślała męża. Jedno z dwóch, Sherlock. Na co stawiasz?
- Nie wiem. Dlatego chcę porozmawiać z Marlinem. Musi mi powiedzieć.
- A jeśli nie zechce z tobą gadać?

Milczała, wpatrując się w porcję jajecznicy którą zbyt obficie posypała pieprzem.

- Dziwne. Te inne kobiety, nikt nie wspomniał, że one przeklinały albo krzyczały na mężów. Ale przecież musiały. Widział pan, jak Marlin za mną pogonił.
- Zgubiłem skarpetki z wrażenia, kiedy w magazynie usłyszałem, jak go objeżdżasz.
- To dobrze, bo wiedziałam, że pana będzie najtrudniej przekonać.
- Co do innych kobiet, widocznie rodzina i przyjaciele próbowali chronić dobre imię zmarłej. To się ciągle zdarza i dodatkowo utrudnia pracę glinom.
- On musi mi powiedzieć.
- Zrób wszystko, by zamknąć tę sprawę, Sherlock - rzekł bardzo łagodnie.

Nienawidziła go za tę łagodność i uprzejmość. Nie miał pojęcia. Nigdy nie zrozumie. Gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na niego z drugiej strony stołu. Głosem zimnym jak Albany w styczniu zapytała:

- Zje pan jeszcze jednego bajgla? Wyprostował się i skrzyżował ręce na piersiach.
- Twarda jesteś, Sherlock, ale wciąż nie potrafisz mi dorównać. Jeśli posmarujesz twaróżkiem tego bajgla, to zjem.

Rozdział 16

Kapitan Dougherty i Ralph Budnack stali przed pokojem 423, kiedy Savich i Lacey zjawili się w Boston Memorial Hospital.

- Nie wygląda pani źle - zauważył Ralph, mierząc ją wzrokiem. -Za to Savich nie wygląda za dobrze. Bardzo go pani wymęczyła?

Przewróciła oczami.

- Dlaczego faceci zawsze trzymają ze sobą? To ja jestem ranna, nie Savich.
- Tak, ale Savich musiał pilnować, żeby pani nie przekreśliła się w hotelu. Zasłużył na rentę wojskową.
- Przespałam całą noc, nie jęczałam, nie skamlałam i w niczym nie przeszkadzałam Jego Wysokości. Musiał tylko wezwać obsługę hotelową. Co z Marlinem Jonesem? Możemy go zobaczyć?

Doktor Raymond Otherton, ubrany w strój lekarski splamiony krwią, powiedział za jej plecami:

- Nie więcej niż trzy osoby naraz. Jego stan nadal nie jest stabilny. To pani go postrzeliła? - Kiedy przytaknęła, ciągnął: - No, zrobiła mu pani sporą dziurę w brzuchu. Albo źle pani celuje, albo nie chciała pani go zabić.
- Nie chciałam go zabić. Jeszcze nie.
- Jeśli to prawda, to proszę uważać, dobrze?

Marlin Jones był kredowo blady, wargi miał sine, oczy zamknięte. Widziała purpurowe żyłki prześwitujące przez cienką skórę. W obu ramionach tkwiły kroplówki, w nosie rurka, podłączony był do monitora. Na krześle obok łóżka siedział policjant, a drugi funkcjonariusz pełnił straż na zewnątrz przed drzwiami.

Marlin był przytomny. Lacey zobaczyła trzepotanie jego rzęs - gęstych, ciemnych rzęs.

Kapitan Dougherty popatrzył na Lacey, zmarszczył brwi, potem odezwał się cicho:

- Pani go namierzyła, więc po sprawiedliwości pani powinna pierwsza z nim rozmawiać. Odczytaliśmy mu jego prawa. Powiedział, że na razie nie chce adwokata. Porządnie go przycisnąłem, nawet nagrałem na taśmę. Więc wszystko jest jak należy.

Popatrzyła na Savicha. Obdarzył ją długim, beznamiętnym spojrzeniem, potem powoli kiwnął głową.

Poczuła szybsze pulsowanie krwi, rozkoszne wrażenie. Ramię ją zabolalo, co sprawilo jej jeszcze wieksza przyjemnosc, kiedy pochyliła się i powiedziala:

– Cześć, Marlin. To ja, Marty Bramfort.

Jęknął.

– No, Marlin, nie bądź tchórzem. Otwórz oczy i spójrz na mnie. Ucieszysz się, jak zobaczysz, że mam rękę na temblaku. Jednak mnie ukarałeś, nie chcesz tego zobaczyć?

Otworzył oczy i wpatrzył się w temblak.

– Rzucałem nożem od dzieciństwa. Powinienem trafić cię w serce. Za szybko się ruszałaś.

– Fakt.

– Ale ty też mnie nie zabiłaś.

– Nie chciałam. Pomyślałam, że kula w bebech porządnie cię zabolila, będziesz się długo męczył. Chciałam, żebyś wrzeszczał z bólu. Boli cię, Marlin?

– Taak, boli jak jasna cholera. Nie jesteś miłą kobietą, Marty.

– Może i nie. Ale i ty nie jesteś miłym facetem. Powiedz mi, czy zamordowałbyś następne pięć kobiet, gdybyś mnie zabił?

Zamrugął szybko.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Zabiłaś Hillary Ramsgate. Gdybym nie była gliną, zabiłbyś i mnie. Czy zabiłbyś następne kobiety i znowu zatrzymał się na siedmiu ofiarach?

Ból zdawał się gromadzić w jego oczach, które wpatrywały się w coś, czego nie widziała, czego nikt nie widział ani nie pojmował, spojrzenie miało miękkie i rozmyte, jakby skierowane na kogoś lub na coś ukryte za zasłoną. Wreszcie odpowiedział głosem złagodniałym od głębokiej czci:

– Kto wie? Boston oferuje bogaty wybór. Tutaj wiele kobiet potrzebuje kary.

Wiedziałem o tym na długo przed przyjazdem. Mężczyźni pozwalają im

bezkarnie używać plugawego języka, pomiatać nimi, obrażać ich. Nie wiem, czy w ogóle bym przerwał.

- Ale w San Francisco przerwałeś na siedmiu.
- Tak? Nie pamiętam. Nie podoba mi się, że stoisz nade mną. Lubię kobiety na kolanach, kiedy mnie błagają, albo na plecach, kiedy czekają na cios noża. Powinnaś zginąć.

Niewiarygodne, ale próbował na nią splunąć, tylko nie miał siły unieść głowy. Zamknął oczy, odwrócił od niej twarz.

Poczuła dłoń Savicha na ramieniu.

- Pozwól mu odpocząć, Sherlock. Później możesz go odwiedzić. Tak, pozwolę ci jeszcze raz z nim porozmawiać. Kapitan Dougherty na pewno też się zgodzi, chociaż podejrzewam, że miałby ochotę natrzeć ci uszu tak samo jak ja.

Nie chciała wychodzić, pragnęła poznać wszystkie najdrobniejsze szczegóły, ale tylko kiwnęła głową i ruszyła za nimi. Mały psychol pewnie symulował. To całkiem do niego podobne.

Marlin Jones otworzył oczy, kiedy drzwi się zamknęły. Kim była ta kobieta? Skąd wiedziała aż tyle? Czy naprawdę służyła w policji? Nie, nie wierzył. Było w niej coś więcej. Dużo więcej. Głęboko w jej wnętrzu pełzały robaczywe myśli. Rozpoznawał ciemność, czuł, jak po niego sięgała. Ból palił go w brzuchu. Gdyby tylko miał nóż, gdyby tylko gliniarz siedzący obok niego padł trupem, gdyby tylko odzyskał siły, żeby ją zarznąć jak kurczaka. Musiał pomyśleć, zanim znowu z nią porozmawia. Wiedział, że wróci.

- Nieźle jak na pierwsze przesłuchanie, Sherlock.
- Dziękuję, kapitanie Dougherty. Szkoda, że zabrakło mi czasu. On symulował.
- Pewnie ma pani rację, ale to bez znaczenia.

- Bez znaczenia - zgodził się Savich. - Wrócimy później, Sherlock. Chciałem dzisiaj wracać do Waszyngtonu, lecz nie podejmę takiego ryzyka, żeby zostawić cię tutaj samą. Pewnie uśmiechniesz się do kapitana, mrugniesz do Ralpa, powiesz dwa słowa swoim przymilnym głosem i zgodzą się na wszystko, czego zechcesz.
- Nieprawda - zaprotestował Ralph Budnack. -Jestem najtwardszym gliniarzem w Bostonie. Nikt do mnie nie mruga bezkarnie.

Roześmiała się, naprawdę wybuchnęła śmiechem, napawając się słodyczą tej chwili, a potem szturchnęła go w ramię.

- Nie będę próbować, obiecuję. I naprawdę uważam, że nie musi pan tu zostać, sir, chyba że sam pan chce.
- Dostyc tego, Sherlock. Jutro oboje wracamy do domu. Teraz chcę tylko przejrzeć jeszcze raz te raporty i zlecić MAX-owi, by sprawdził, kto i kiedy wspomniał, że zamordowane kobiety przeklinały, albo chociaż raz zwymyślały mężów.
- Mówiłam panu, że nikt. Prawdopodobnie nie chcieli źle mówić o zmarłych. Po prostu nie istniał żaden inny powód, żeby wyciął im języki.
- Tak, racja, sama to mówiłaś. Ale ktoś kiedyś musiał coś powiedzieć.
- Dzięki Bogu, że przeklinanie podziałało - rzekł kapitan Dougherty. - Załatwiła go pani na cacy, Sherlock. Moi ludzie powiedzieli, że pani go naprawdę zaskoczyła, kiedy pierwszy raz puściła pani wiązanek w składzie drewna. Myśleli, że Savich padnie z wrażenia. No, może nie całkiem, ale nieźle sobie pani radziła.
- Chyba powinnam podziękować.
- Bardzo się cieszę, że Marlin Jones rzeczywiście reagował na przeklinanie. I na odszczekiwanie się mężom. Myślę, że trzeba zaliczyć punkt dla profilerów. Musiało o to chodzić, skoro wycinał im języki.

Ona wiedziała, uświadomił sobie Savich, widząc nagły błysk w oczach Lacey. Wiedziała od początku, co popycha Marlina Jonesa do przemocy. Ale skąd? Siedem lat temu zdarzyło się coś więcej. Do szału go doprowadzało, że nic o tym nie wiedział. Jeśli MAX niczego nie znalazł w raportach o tamtych zamordowanych kobietach, to znaczyło, że Sherlock oparła się na raportach profilerów, albo że wydarzyło się coś jeszcze. Ale jakim cudem wiedziała coś, czego nikt inny nie wiedział?

W San Francisco minęła właśnie pora lunchu, kiedy Lacey zadzwoniła do kancelarii prawniczej Douglasa Madigana.

- Lacey, to naprawdę ty? Co się dzieje? Dobrze się czujesz? W telewizji trąbili we wczesnych wiadomościach, że złapaliście tego faceta. Brałaś w tym udział, prawda?
- Tak, brałam, i tak, czuję się dobrze. Mamy go, Douglas. Już raz z nim rozmawiałam. Wyciągnę z niego wszystko, Douglas, wszystko.
- Ale co jeszcze chcesz wiedzieć?
- Chcę wiedzieć, dlaczego zabił Belindę. Wiesz, że ona właściwie nie przeklinała. Ubóstwiała cię, sam mi mówiłeś, więc nie wrzeszczała by na ciebie przy obcych.
- Zgadza się, ale co z tego? Głęboko zaczerpnęła powietrza.
- On wybrał każdą z tych kobiet dlatego, że przeklinała i wymyślała mężowi albo chłopakowi. Jeśli w przypadku Belindy to nieprawda, widocznie miał inny powód. Po prostu chcę wiedzieć, Douglas. Muszę wiedzieć.
- Czy służyłaś policji za przynętę?
- Tak, ale nie rozgłaszaj tego. Ja najlepiej się nadawałam do tego zadania. Znałam go lepiej od innych.

– Mój Boże, to było szaleństwo, Lacey. - Teraz on musiał się uspokoić. Słyszała, jak zaczerpnął powietrza. Był znakomitym prawnikiem.

– Zadzwońię do taty.

– Nie, lepiej ja zadzwonię, chociaż on już na pewno wie o tym i o twoim udziale. Odetchnie z ulgą, że wyszłaś z tego cało.

Ramię zaczęło ją rwać. Potrzebowała następnej pigułki przeciwbólowej.

– O tak, czuję się doskonale. Co zrobiłeś w sprawie Candice Addams?

– Ożeniłem się z nią w zeszłym tygodniu. Dziwne, że dostała okres w naszą noc poślubną.

– Nie była w ciąży?

– Powiedziała mi, że miała poronienie dwa dni wcześniej, ale tak bardzo mnie kochała, że bała się powiedzieć. Myślała, że nie ożeniłbym się z nią, gdyby nie chodziło o dziecko.

– Ożeniłbyś się?

– Z nią? Nie, skąd. Nie kocham jej, przecież wiesz.

– Ale się porobiło. - W tamtej chwili dziękowała niebiosom, że dzielą ich tysiące kilometrów. - Co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– Myślisz, że ona naprawdę cię kocha?

– Twierdzi, że tak. Sam nie wiem. Szkoda, że ciebie tu nie ma. Chciałbym cię zobaczyć, dotknąć, pocałować. Tęsknię za tobą, Lacey. Tak samo twój ojciec i twoja kochana mama. Wiesz, oboje mieli nadzieję, że się pobierzemy.

– Nie, nie wiedziałam. Nikt o tym nie pisał ani słowa. Byłeś mężem mojej siostry, nic tego nie zmieni.

– Nie, chyba nie. - Westchnął. - Oto moja śliczna żona, stoi w otwartych drzwiach gabinetu. Długo tu jesteś, Candice?

Usłyszała kobiecy głos, ostry i rozgniewany, chociaż nie mogła rozróżnić słów. Douglas wrócił na linię.

– Przepraszam, Lacey. Muszę kończyć. Czy teraz wrócisz do domu, skoro pozbyłaś się koszmarów?

– Nie wiem, Douglas. Naprawdę nie wiem.

Powoli odłożyła słuchawkę. Podniosła wzrok i zobaczyła Savicha, z kubkami herbaty w obu dłoniach. Jak długo tutaj stał? Czy równie długo, jak Candice Addams Madigan w drzwiach gabinetu Douglasa?

Podał jej kubek.

– Wypij herbatę. Potem pojedziemy do szpitala. Chcę zamknąć tę sprawę, Sherlock.

– Tak, sir.

– Mów mi po imieniu albo poproszę Chico, żeby udusił cię twoim własnym pasem karate.

– Tak, Dillon.

– Wznoszę toast za schwytanie Sznurobójcy i uwolnienie cię od ciężaru. Czy twojego szwagra uważasz za ciężar?

Pociągnęła długi łyk gorącej herbaty. Smakowała wspaniale. Wciąż potrzebowała następnej pigułki przeciwbólowej. Wreszcie powiedziała, wzruszając ramionami:

– To po prostu Douglas. Nigdy tak naprawdę nie rozumiałam, co czuł, dopóki nie odwiedził mnie w Waszyngtonie przed kilkoma tygodniami. Ale ożenił się po raz drugi.

– Na szczęście dla ciebie. Podejrzewam, że ten facet nie daje łatwo za wygraną.

– Skąd wiesz?

– Jestem agentem specjalnym. Wiem wszystko.

Pewnie wiedział, pomyślała, i pozwoliła sobie na następną pigułkę.

Deszcz bębnił w szpitalne okno. Policjant na krześle siedział pochylony do przodu. Lacey oparła się o łóżko i powiedziała cichym głosem:

- Cześć, Marlin. Pamiętasz mnie? Jestem kobietą, którą walnąłeś w głowę, zabrałeś do swojego teatrzyku grozy i zmusiłeś do udziału w przedstawieniu. Ale to ja wygrałam, Marlin, a ty przegrałeś na całej linii.
- Jak się nazywasz?
- Lacey Sherlock.
- Nikt się tak nie nazywa. Głupie nazwisko. Z jakiegoś kretyńskiego kryminału. Jak się naprawdę nazywasz?
- Nazywam się Sherlock. Przecież cię wytropiłam, prawda? Przecież cię złapałam. Chyba zasługuję na to nazwisko?
- Nie lubię cię, Marty.
- Lacey.
- Nie lubię cię jeszcze bardziej niż przedtem.
- Pozwolisz, że znowu włączę magnetofon, Marlin?
- Proszę bardzo. Włączaj. Lubię słuchać swojego głosu. Jestem dobry w gadaniu. Pan Caine, właściciel Składu Drewna i Artykułów Budowlanych Appletree, błagał mnie, żebym objął posadę zastępcy kierownika. Wiedział, że potrafię sprzedać wszystko każdemu i naprawdę znam się na budownictwie.
- Taak, jesteś wspaniały, Marlin. Ale mam pytanie. Wyjaśnij mi, czemu nie chciałeś powiedzieć policji ani słowa. Dlaczego?
- Chciałem rozmawiać tylko z tobą, Marty. Pewnego dnia cię zabiję, więc chcę cię poznać jak najlepiej.
- Jeśli to ci poprawi samopoczucie, możesz dalej tak myśleć, Marlin. Chcesz porozmawiać? Powiedz mi, dlaczego zabiłeś Hillary Ramsgate. Nie była mężatką. Wszystkie inne twoje ofiary miały mężów.

- Znałem jej chłopaka. No, właściwie go nie znałem, tylko widziałem go kilka razy. Opowiadał kumplom, że z niej wredna suka i jak już się pobiorą, zamierzał dać jej nauczkę.
- Gdzie to było, Marlin?
- W barze Glad Rags, w Newton Center. Często tam przychodził. Spał z nią, pozwalał, żeby mu wymyślała od palantów, a potem przychodził do baru, żeby to z siebie wyrzucić. Powiedziałem mu, że powinien ją ukarać, że zasłużyła na karę.
- Często chodziłeś do Glad Rags?
- O tak. Chciałem zobaczyć tę babę Hillary. Jednego wieczoru ją przyprowadził. Ostro się pokłócili przy wszystkich, a ona rzuciła mu piwo w twarz. Skłęła go na czym świat stoi. Do tego nazwała go piździelcem. Większość kobiet, nawet tak złych jak ty, nie używa tego słowa. To naprawdę poniża faceta. Wszyscy inni się śmiali, aleja nie. Wiedziałem, że trzeba ją ukarać, a on nigdy nie zrobi tego jak należy. Nie, najwyżej trochę jej przyłoży. Wiesz, że kiedy ona pastwiła się nad nim, on się śmiał, znosił to z uśmiechem. Chciałem ją pokroić na miejscu.
- Może jej chłopakowi odpowiadał akurat taki rodzaj związku między nimi. Pomyślałeś o tym?
- Niemożliwe. Ona była zła, a on tylko słaby i głupi.
- Często chodzisz do barów, Marlin?
- O tak. Lubię bary. Można siedzieć w ciemności i oglądać ludzi. Nikt się nie czepia. Widuję wiele kobiet, które trzeba ukarać.
- Ile barów odwiedzasz?
Wzruszył ramionami, potem skrzywił się i lekko dotknął żołądka czubkami palców.
- Pewnie z pół tuzina. Dużo więcej w San Francisco. Ciebie też powinienem pokroić, Marty. Ale ty nie masz zwyczaju przeklinać, co? Na pewno. Założę

się, że nawet nie jesteś mężatką. Jesteś tylko gliną. Mówiłaś te brzydkie słowa po to, żeby mnie wciągnąć w pułapkę.

- Nie wciągnęłam cię w pułapkę, Marlin. Po prostu pokazałam ci kobietę, z którą mogłeś się związać. Ani mniej, ani więcej.
- Nie powinienem był ci wierzyć. Spadłaś mi jak z nieba. Ciągłe nosisz temblak. To mnie cieszy.
- Tak, ale nie leżę na obu łopatkach z dziurą w brzuchu.

Próbował się podźwignąć. Gliniarz przy łóżku zerwał się w mgnieniu oka, z ręką na broni. Lacey uśmiechnęła się do niego i pokręciła głową.

- Marlin nie ma teraz noża, funkcjonariuszu Rambling. Jest jak bezzębny staruszek.
- Strasznie chciałbym cię zabić - wykrztusił Marlin i ciężko dysząc, opadł na poduszkę.
- Nie w tym wcieleniu, Marlin. No, skoro jesteś taki wygadany, skoro tak to lubisz, może opowiesz mi o kobietach, które zabiłeś w San Francisco? Wiem, że każda była mężatką. Czy słyszałeś, że wszystkie pyskowały na mężów?
- Dlaczego mam ci coś mówić? Nie lubisz mnie. Postrzeliłaś mnie w brzuch. Ciągłe bardzo boli. Chyba zażądaję adwokata.
- Doskonale. Masz trochę pieniędzy czy wezwać obrońcę z urzędu?
- Mogę mieć najlepszych, sama wiesz. Tym facetom nie zależy na kasie, oni chcą tylko zobaczyć swoją twarz w telewizji. Tak, przynieś mi książkę telefoniczną, a ja wybiorę sobie najdroższego z całej stawki.
- Więc musisz zadzwonić na dno oceanu.
- Bardzo zabawne, Marty. Prawnicy i rekiny, taak, bardzo zabawne.
- Dziękuję. Mów do mnie „agentko Sherlock”. Jestem z FBI. Chcesz teraz zadzwonić do adwokata? A może wolisz odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań?

- Później zadzwonię do adwokata. Jasne, odpowiem na każde twoje pytanie. Zawsze mogę to odwołać. Czytałem wszystko o Tosterze. Wypuszczą go, bo jest wariatem, i cała sprawa nie będzie go kosztowała ani centa. Mnie też wypuszczą, a wtedy cię dopadnę, Marty.

Poczuła przyływ furii, ale nie strachu. Powinna zabić go od razu, żeby dokonała się sprawiedliwość. To głupie, że chciała otrzymać odpowiedzi na wszystkie pytania. Przecież mógł ją okłamać równie łatwo jak powiedzieć prawdę. Zaczerwieniła się ze złości. Głupio zrobiła. W tej samej chwili usłyszała spod drzwi cichy śpiew Dillona:

*Zawsze luz gratem, kiedy byłem miody, Zawsze pływałem, kiedy chciałem tonąć,
Zawsze się śmiałem, kiedy chciałem płakać, Zawsze trzymałem karty przy sobie...*

Nie odezwał się ani słowem aż do tej chwili. Podskoczyła i obejrzała się na niego. Nucił cichutko z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Tekst nie należał do wybitnych, ale zrobił swoje. Savich mrugnął do niej. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. To dopiero słowa stosowne do sytuacji. Pomyślała przelotnie o swoim klasycznym muzycznym wykształceniu. Mozart przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że rozśmieszyła ją jakaś okropna sieczka country-and-western. Gniew opadł.

- Jeszcze zobaczymy - zwróciła się do Marlina, teraz już całkiem spokojna. - Hej, wydajesz się zmęczony, Marlin. Chyba powinieneś się zdrzemnąć. Jeszcze tylko powiedz mi, dlaczego zabiłeś siedem kobiet w San Francisco, ani mniej, ani więcej. Dokładnie siedem, a potem przestałeś.
- Siedem? - Zamilkł. Patrzyła, jak odliczał na palcach. Ten psychopata liczył na palcach kobiety, które zamordował. Mogła się założyć, że pamiętał każde imię, każdą twarz. Chciała go zabić na miejscu.
- Nie - powiedział Marlin. - Nie zabiłem siedmiu kobiet w San Francisco.

Więc liczba siedem nie miała żadnego znaczenia. Dzięki Bogu za umysł Savicha. Dobry Boże, ile jeszcze kobiet zaszlachtował?

- Więc ile?
- Sześć. Zabiłem tylko sześć pań. Wszystkie jak najbardziej sobie zasłużyły. Potem byłem zmęczony. Pamiętam, że spałem przez trzy dni, a potem kazano mi jechać do Las Vegas.
- Kazano? Kto ci kazał jechać do Las Vegas?
- No, oczywiście głosy. Diabeł, czasami jego kumple. Czasami czarny kot, jeśli takiego spotkam.
- Wymyśliłeś to sobie. Ćwiczysz na mnie, żeby sędzia uznał cię za wariata i nie postawił przed sądem.
- Racja. Dobrze mi wychodzi, no nie? Ale ja jestem wariat, Marty, naprawdę.
- Tylko sześć kobiet? Jesteś pewien? Nie siedem?
- Myślisz, że jestem głupi, nie tylko wariat? - Potem znowu zaczął odliczać na palcach, tym razem recytując nazwiska. - Lauren O'Shay, Patricia Mullens, Danielle Potts, Ann Patrini, Donna Gabrielle i Con-stance Black.

Skończył i uśmiechnął się do niej.

Czuła się jak żona Lota zamieniona w słup soli.

Nie wymienił nazwiska Belindy.

Dlaczego? Zwykle przeoczenie. Zabił siedem kobiet. Kłamał. Ten mały drań kłamał.

Wstała, pragnąc go udusić gołymi rękami. Wcisnął głowę w poduszkę, kiedy zobaczył wściekłość w jej oczach.

- Głupi jesteś, Marlin. Nawet liczyć nie umiesz. Albo kłamiesz. Na pewno. Stawiam całą pensję, że kłamiesz.

Skomlał, przywierając ze wszystkich sił do wezglowia szpitalnego łóżka.

- Chcesz mnie zabić, prawda, Marty?

- O tak, Marlin. Kiedy przyjdzie czas, chcę sama przekręcić wyłącznik i patrzeć, jak się smażyysz.

Z tyłu dobiegł ją cichy śpiew:

Zabierz mnie z powrotem do mojej mamusi,

Co piecze szarlotkę dla swego synusia.

Poczuła jego dłoń na zdrowym ramieniu, szorstkie palce delikatnie gładziły jej skórę.

- Chodźmy już, Sherlock. Umówmy się, że pozwolę ci z nim porozmawiać jeszcze jeden ostatni raz. Jutro, zgoda?
- Zgoda. Dziękuję. Do zobaczenia *mahana*, Marlin. Tylko nie udław się zupą, dobrze?
- Jutro sprowadzę sobie najlepszego adwokata, Marty. Zobaczymy, jak sobie poradzi z tępyimi glinami. Hej, podoba mi się ten facet. Ma całkiem dobry głos. Nie znasz przypadkiem tej piosenki: „Zaśpiewaj mi jeszcze o domu, zanim umrę”?

Rozdział 17

- Tak, przyjadę do domu na kilka dni, tato, jak tylko się stąd wyrwę. Chcę zobaczyć ciebie i mamę.
- I co, jesteś teraz zadowolona, Lacey?

Głęboki sarkazm dźwięczał w jego głosie. Lacey poczuła znajome ściskanie w żołądku. Złapała człowieka, który zabił Belinę. Dlaczego ojciec się nie ucieszył?

Spokojnie, spokojnie. Trening w Akademii nauczył cię opanowania.

- Tak. Naprawdę nie marzyłam, że go złapię. Nawet już dwa razy go przesłuchałam. Ale jedno mnie niepokoi.
- Co takiego?
- On twierdzi, że zabił tylko sześć kobiet w San Francisco.
- To stuknięty psychopata. Kłamstwo ma w genach. Wiem, skazałem wielu takich jak on.
- Tak, racja. Sama nie wiem, czemu o tym wspomniałam. Ale to dziwne: wymienił nazwiska kobiet, które zabił. Pomiął jedynie Belinę.
- Więc zapomniał jej nazwiska.
- Możliwe. Ale dlaczego zapomniał akurat o niej? Wiesz, że teraz muszę szczegółowo sprawdzić, czy naprawdę zabił Belinę.

Poniewczasie dotarło do niej, co powiedziała, ale nie zdążyła przeprosić.

Ojciec przemówił niskim, opanowanym głosem:

- Co ty wygadujesz, młoda damo? Myślisz, że ktoś inny mógł zabić Belinę? Ktoś, kto naśladował tego Jonesa? Kto, na litość boską?
- Nie o to mi chodziło, tato. Wiem, że Marlin Jones ją zabił, że tylko bawi się ze mną w jakąś zбочzoną grę. Ale w jaką? Dlaczego pominął jej nazwisko? Dlaczego nie inne? To nie ma sensu.
- Dostyc tych bzdur, Lacey. Bo to są zwykłe bzdury. Mógł opuścić każde nazwisko. To bez znaczenia. Przyjedziesz do domu w ten weekend?
- Spróbuję, gdy porozmawiam z Marlinem Jonesem przynajmniej jeszcze raz. Ale tato, przyjadę do domu tylko na parę dni. – Głęboko zaczerpnęła tchu, zamknęła oczy i powoli wypuściła powietrze. - Zostaję w FBI. Chcę tu pracować. Mogę sporo zrobić.

Zapadło milczenie. Lacey nie mogła się opanować, zaczęła wiercić się nerwowo. Wreszcie ojciec powiedział:

- Douglas popełnił głupi błąd.
Nie drażył tematu, przynajmniej na razie.

- No, jest żonaty, jeśli o to ci chodzi.
- Właśnie o to mi chodzi. Ta kobieta latała za nim, potem okłamała go w sprawie ciąży. Douglas zawsze stosował zabezpieczenia. Próbowałem go namówić na badanie krwi, by zdobył dowód, że dziecko jest jego, ale oświadczył, że ona nie ma powodu kłamać. Mylił się oczywiście. Ta dziwka go złapała. Powiedział mi, że chciał mieć dziecko, bo już czas. Ona nawet nie była w ciąży. Douglas to dureń.

- Czy Douglas chciał mieć dzieci z Belindą?

Ojciec zaśmiał się ochryple. Rzadko się śmiał. Ten dźwięk brzmiał dziwnie i zgrzytliwie, trochę przerażająco. Lacey zacisnęła palce na słuchawce.

- Nie zapominaj o matce, Lacey. Nie chciał ryzykować, że dziecko będzie nienormalne, jak matka Belindy.

- Nie wierzę, że ci to powiedział.

- Nie powiedział, ale nie jestem głupi.

Nienawidziła go. Zwykle wykazywał więcej złości w obrażaniu żony.

- Ona jest również moją matką.

- No tak, ale to co innego. Jestem twoim ojcem. W tobie nie ma nic nienormalnego.

Przecież powiedział jej niecałe dwa tygodnie wcześniej, że jej obsesja przypomina mu wczesną chorobę matki. Potrząsnęła głową. Chciała odłożyć słuchawkę, ale wiedziała, że tego nie zrobi.

- Nigdy nie poznałam ojca Belindy.

Ojciec odparł chłodno:

- Dlatego że nigdy nie mówiliśmy ci o nim, nie było potrzeby. Belindą nawet nie wiedziała, co się z nim stało. Powtarzam, nie było potrzeby jej niepokoić.
- Czy on wciąż żyje? Kim jest?

- Nazywa się Conal Francis. Nie rozumiem, jakie to ma teraz znaczenie, jeśli poznasz prawdę. On jest w San Quentin, przynajmniej tak mi wiadomo.
- Jest w więzieniu? - Lacey nie mogła uwierzyć. Ani on, ani matka nigdy nie wspominali, że ojciec Belindy siedzi w więzieniu.
- Co zrobił?
- Próbował mnie zamordować. Zamiast mnie zabił mojego przyjaciela, Lucasa Bennetta. To było dawno temu, Lacey, zanim się urodziłaś, zanim ożeniłem się z twoją matką. Był wielkim irlandzkim awanturnikiem, nałogowym graczem, pracował dla mafii. Teraz ma pewnie co najmniej sześćdziesiątkę. Jest cztery lata starszy ode mnie. Dlatego Belinda była przeklęta. Zniszczyły ją jej geny. Chociaż ją wychowałem, i tak musiała zejść na złą drogę. To się już zaczęło przed jej śmiercią. Szkoda, lecz tak już jest.
- Ale Belinda wiedziała o nim, prawda?
- Wiedziała tylko, że zostawił ją i matkę, kiedy miała osiem czy dziewięć lat. Nigdy nie mówiliśmy jej nic innego. Nie było sensu. Słuchaj, Lacey, to było dawno temu. Złapałaś człowieka, który ją zabił. Szaleństwo Belindy umarło razem z nią. Teraz ten, kto ją zabił, też umrze. Zapomnij o tym, zapomnij o wszystkim.

Miała nadzieję, że się nie mylił. Nie, nie chciała zapomnieć Belindy. Ale przynajmniej teraz, kiedy aresztowała Marlina Jonesa, poczucie bezradności zniknęło.

Tylko że on nie zabił Belindy, jak twierdzi.

- Wracaj szybko do domu, Lacey. - Chwila milczenia, a potem: -Chcesz porozmawiać z matką?
- O tak, proszę, tato. Jak ona się dzisiaj czuje?
- Tak jak zawsze. Jest ze mną na dole w bibliotece. Daję ci ją.

Lacey mocniej ścisnęła słuchawkę. Ojciec mówił przy matce o jej pierwszym mężu i Belindzie? Savich wszedł do pokoju, ale już nie zdążyła się rozłączyć.

- Mamo? Jak się czujesz?
- Tęsknię za tobą, skarbie. Cieszę się, że złapałaś tego złego człowieka. Teraz możesz wrócić do domu i zostać z nami. Zawsze byłaś taka ładna, skarbie, taka ładna i słodka. A jak ślicznie grałaś na fortepianie. Wszyscy mi mówili, jaka jesteś zdolna. Mogłaś przecież uczyć dzieci w przedszkolu, prawda? Doskonale nadajesz się do tego. Twoja babcia była pianistką, pamiętasz?
- Tak, mamo, pamiętam. Niedługo przyjadę do domu, żeby cię odwiedzić. Pobędziemy razem przez kilka dni.
- Nie, Lacey, chcę, żebyś tutaj została, ze mną i z ojcem. Pilnuję, żeby co sześć miesięcy Joshua Mueller stroił twój fortepian. Pamiętasz, jak go podziwiałaś?
- Słuchaj, mamo, muszę wracać do pracy. Kocham się. Proszę, uważaj na siebie.
- Zawsze uważam, odkąd twój ojciec próbował mnie przejechać tym swoim czarnym bmw.
- Co?! Tata próbował cię przejechać swoim bmw?
- Lacey? Mówi ojciec. Twoja matka znowu dostała ataku.
- Co to znaczyło, że chciałeś ją przejechać?
- Nie mam bladego pojęcia. -Westchnął głęboko. - Twoja matka miewa dobre dni. Ale dzisiaj nie czuje się dobrze. Nigdy jej nie skrzywdziłem, nigdy nie próbowałem jej skrzywdzić. Zapomnij o tym, co powiedziała.
Jak mogła zapomnieć? Wpatrywała się w telefon jak w węża gotowego ją ukąsić. Mogła przysiąc, że słyszała w tle płacz matki.
- Savich patrzył na nią. Zbladła jak ściana. Była bardzo poruszona.
Nie opierała się, kiedy wyjął słuchawkę z jej ręki. Słyszała, jak mówił spokojnym, głębokim głosem:
- Panie sędzio? Nazywam się Dillon Savich. Też pracuję w FBI. Jestem kierownikiem Jednostki Badań Kryminalnych. Pana córka pracuje u mnie. Przepraszam pana, ale Lacey jest trochę przytłoczona tymi wszystkimi

wydarzeniami. - Przerwał i słuchał przez chwilę. -Tak, rozumiem, że jej matka nie czuje się dobrze. Musi pan jednak wiedzieć, że słowa matki głęboko ją poruszyły.

Lacey przeszła się po pokoju, rozcierając dłońmi ramiona. Usłyszała, jak Savich mówi:

– Tak, dopilnuję, żeby dbała o siebie, sir. Nie, nic jej nie będzie. Do widzenia.

Odwrócił się i spojrzał na nią - tylko spojrzał, nic więcej. Potem powiedział bardzo powoli:

– Co się dzieje z twoją rodziną, na miłość boską? Roześmiała się trochę histerycznie.

– Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów. Właśnie wpadłam do króliczej nory. Nie, zawsze tak jest, ale teraz po raz pierwszy nora jest tak głęboka, że nie dosięgam krawędzi.

Uśmiechnął się.

– Już dobrze, Sherlock. Wróciło ci trochę kolorów. Napędziłaś mi strachu. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś tego nie robiła na przyszłość.

– Nie powinienes słuchać.

– Właściwie przyniosłem ci wiadomość od Marlina Jonesa. Chce znowu z tobą porozmawiać w obecności adwokata. Wziął sobie Dużego Johna Bullocka, słynnego rekina z Nowego Jorku, który specjalizuje się w zgłaszaniu niepoczytalności. Nie radzę ci iść. Jones na pewno tak to ustawił, żeby adwokat mógł cię upokorzyć.

Gotów był postawić całą pensję, że Lacey będzie nalegała na rozmowę z Marlinem Jonesem. Ku jego zdumieniu odparła:

– Masz rację. Policja i prokurator wyciągną z niego resztę istotnych informacji. Nie mam mu nic więcej do powiedzenia. Możemy już wracać do domu?

Powoli skinął głową. Zastanawiał się, co sobie myślała.

Taksówka zatrzymała się przed frontem domu o dziesiątej wieczorem. Lacey nigdy w życiu nie czuła się taka zmęczona. Ale to nie było dobre, przyjemne zmęczenie, jakie powinna odczuwać teraz, po złapaniu zabójcy Belindy.

Niewiele rozmawiała z Savichem podczas lotu z Bostonu i w taksówce z lotniska Dulles do Georgetown. Odprowadził ją do drzwi i powiedział:

– Wyśpij się, Sherlock. Nie chcę cię jutro widzieć przed południem, rozumiano? Przeszłaś więcej przez ostatnie trzy dni niż przez pięć lat. Sen to najlepsze lekarstwo, zgoda?

Nie znajdowała słów. Skąd wiedział, że w głowie miała kompletny zamęt?

– Zaśpiewasz mi jeszcze jeden okropny kawałek country, zanim odejdziesz?

Wyszczrzył do niej zęby, postawił walizkę na najniższym stopniu schodów przed domem i zanucił miękko, jęklwym tenorem:

- Powiedziałem jej, że mam dom nad morzem w Arizonie.

Słodko kiwnęła głową, więc mówię, jeśli kupisz, dorzucę ci za darmo most Golden Gate.

Podziękowała mi, och, jak słodko, więc mówię, że ją kocham, że będę wiemy aż po grób.

Słodko, słodko, całowała mnie tak słodko i wierzyła w każde moje słowo.

– Dziękuję, Dillon. To było niesamowite. A także bardzo cyniczne i perfidne.

– Do usług, Sherlock. Ale dopiero jutro po południu. Hej, to tylko głupia piosenka śpiewana przez samotnego mężczyznę, który nie ma dokąd pójść. Do jutra, Sherlock.

Odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie skręcił za róg. I tak samo jak poprzednim razem, głos Douglasa rozległ się za jej plecami, niski i gniewny. Zanim jeszcze go rozpoznała, już się pochylała, żeby wyciągnąć colta z kabury na kostce nogi. Wyprostowała się powoli. Miała już powyżej uszu gniewnych głosów.

- Wolałbym, żebyś nie spotykała się z tym facetem, Lacey. To zwykły nieudacznik. Co za bzdury ci śpiewał?
- Zaskoczyłeś mnie, Douglas. Proszę, nie czekaj na mnie więcej pod domem. Mogłam cię zastrzelić.
- Jesteś pianistką. Cudownie grasz na fortepianie. Przynajmniej dawniej grałaś. Nie zastrzeliłabyś nikogo. Co z nim robiłaś?

Prawie na niego wrzasnęła, że już od siedmiu lat nie jest tą słabą, żalowaną dziewczyniną, że dwa dni temu postrzeliła w brzuch psychopata, który zamordował jej siostrę. Powstrzymała się z wysiłkiem.

- Dopiero co wróciliśmy z Bostonu. On tylko odwiózł mnie z lotniska. I na twoim miejscu nie nazywałabym go nieudacznikiem, Douglas. Dzięki niemu i jego komputerowi złapaliśmy faceta, który zabił twoją żonę. Powinieneś raczej dać mu medal. A w ogóle co tu robisz?
- Musiałem cię zobaczyć. Musiałem wiedzieć, co myślisz o moim małżeństwie z Candice. Ona mnie okłamała, Lacey. Co mam robić? -Dopiero teraz zauważył temblak na jej ramieniu. - O Jezu, co ci się stało? Nie powiedziałaś ojcu, że jesteś ranna. Kto to zrobił? Ten mężczyzna, z którym byłaś?

- Chodź do domu i porozmawiamy.

Pięć minut później podała mu kieliszek brandy.

- Wypij, lepiej się poczujesz.

Pił powoli, rozglądając się po salonie.

- Ładnie tu. Nareszcie mieszkasz jak należy.

- Dziękuję. Więc co chcesz mi powiedzieć, czego jeszcze nie wiem?

Usiadła naprzeciwko niego na małej sofie obitej bladożółtym jedwabiem. Podczas jej pobytu w Bostonie dekorator zainstalował łagodne ukryte oświetlenie. Teraz pokój wyglądał bardzo ciepło i przytulnie. Intymnie. Wcałe jej się nie podobał. Wcisnęła plecy w oparcie sofy.

- Najpierw mi powiedz, co ci się stało.

- To tylko lekka rana. Zdejmę temblak za kilka dni. Naprawdę nic poważnego, nie przejmuj się. No, opowiedz mi o Candice.
 - Zamierzam się rozwieść.
 - Byłeś żonaty niecały tydzień. Co ty wygadujesz?
 - Przeciągnęła strunę, Lacey. Podśluchała naszą rozmowę przez telefon, mówiłem ci. No więc jak tylko odłożyłem słuchawkę, oskarżyło mnie, że sypiam z tobą, wrzeszczała, że sypiałem jednocześnie z tobą i Belindą, że jesteś zdzirą i że policzy się z tobą. Nie mogę ryzykować, że ona cię skrzywdzi, Lacey.
 - Douglas, uspokój się. Była zdenerwowana. Nie mam do niej pretensji. Dopiero się pobraliście i nie powinieneś mi mówić takich rzeczy. Na jej miejscu też bym wrzeszczała. Zapomnij o tym. Nie wyjaśniłeś z nią tego wszystkiego?
 - Co tu wyjaśniać? Okłamała mnie. Twój ojciec uważa, że powinienem się rozwieść. Twoja matka tak samo.
 - Moi rodzice nie mają teraz nic do tego. To twoje życie, Douglas. Zrób to, czego chcesz ty, a nie inni.
 - Jaka mądra Lacey. Zawsze byłaś taka mądra i dobra. Pamiętam, jak siedziałem na kanapie w domu twojego ojca i słuchałem, jak grasz preludia Szopena. Twoja gra budziła we mnie nowe uczucia i wzruszenia.
 - Miło, że tak mówisz, Douglas. Napijesz się jeszcze brandy?
- Kiwnął głową, więc wyszła do kuchni. Słyszała, jak chodził po salonie. Potem zapadła cisza. Zmarszczyła brwi, powoli wyszła z kuchni. Nie było go w salonie. Nie było go w łazience. Stała w drzwiach sypialni i patrzyła, jak Douglas ogląda fotografie w ramkach stojące na komodzie. Trzy zdjęcia, dwa Belindy i jedno obu siostr, uśmiechających się do aparatu.
- Miałaś siedemnaście lat, kiedy zrobiłem wam to zdjęcie na Przystani Rybaka. Pamiętasz tamten dzień? Rzadko się zdarza taka idealna słoneczna pogoda.

Zabrałyście mnie na Molo Trzydzieści Dziewięć. Kupiliśmy sobie orzechowe krówki i jakieś okropne tanie jedzenie, chyba meksykańskie.

Niejasno sobie przypominała. Zdziwiła ją jego pamięć do szczegółów.

- Pamiętam wszystko. Byłaś taka piękna, Lacey, radosna i niewinna.
- Tak samo Belinda, tylko że ona zawsze była dużo ładniejsza ode mnie. Wiesz, mogła zostać supermodelką. Mało brakowało, ale wtedy właśnie się poznaliśmy. Rzuciła wszystko, bo chciałaś ją mieć tylko dla siebie. Wracajmy do salonu, Douglas. Kiedy znowu usiedli, powiedziała:
- Nie mogę ci pomóc w małżeństwie. Uważam jednak, że ty i Candice powinniście dogłębnie przedyskutować ten problem.
- Ona mnie nudzi.

Lacey westchnęła. Była wyczerpana. Chciała, żeby sobie poszedł, żeby wrócił do San Francisco. Dziwne, ale odkąd złapali Marlina Jonesa, zaczęła się oddalać od Douglasa. Zupełnie jakby łączyło ich wyłącznie morderstwo Belindy.

- Wiesz, jedna rzecz nie daje mi spokoju - zaczęła powoli, gładząc lekko palcami żółty jedwab na poręczu sofy. - Tata pewnie ci powiedział, że Marlin Jones zaprzeczył, jakoby zabił Belinę.
- Tak, powiedział mi. Co o tym myślisz?
- Zgadza się z ojcem. Ten facet to psychopata. Pewnie pomija jakąś kobietę za każdym razem, kiedy recytuje nazwiska. Dlaczego nie wymienił akurat nazwiska Belindy? Nie wiem. Przypadek? On pewnie też nie wie. Zwykły zbieg okoliczności. Nie widzę innego wytłumaczenia. - Wychyliła się do przodu, ścisnęła dłonie między kolanami. - Ale znasz mnie, Douglas, muszę sprawdzić trzy razy, czy on na pewno zabił Belinę.
- Na pewno ją zabił, Lacey. Nie ma żadnej innej możliwości.
- Oczywiście masz rację, ja tylko... - Urwała i wykrzesła z siebie uśmiech dla bardzo miłego człowieka, którego znała od prawie dwunastu lat. -

Przepraszam. Dla ciebie to również ciągle bolesne. Jak długo zostajesz w Waszyngtonie?

Wzruszył ramionami i podniósł się, kiedy ona wstała.

- Zostaw już to wszystko, Lacey. Nie szukaj więcej. Ten drań zabił te nieszczęsne kobiety. Niech zgnije w pudle za karę.

Podszedł do niej promiennie uśmiechnięty, z wymownym wyrazem oczu. Szybko cofnęła się o krok i wyszła z salonu do małego przedpokoju. Poszedł za nią.

- Czy teraz dasz temu spokój, Lacey?

Zrobiła kolejny krok w stronę frontowych drzwi.

- To już przeszłość. Pozostały tylko szczegóły, Douglas, nic więcej, tylko trywialne szczegóły. Zjemy razem obiad jutro wieczorem? Może podejmiesz jakąś decyzję w związku z Candice.

Czy mieli odgrywać tę samą scenę co kilka tygodni? Czy on wyjedzie po jutrzejszym wieczorze? Miała nadzieję. Miała nadzieję, że wyjedzie na zawsze. Czowała się wyczerpana.

Rozjaśnił się na te słowa i ujął jej dłonie w swoje.

- Dobrze znowu cię zobaczyć, Lacey. Chciałbym na ciebie patrzeć przez cały czas, ale...
- Właśnie, „ale” - powtórzyła i odsunęła się o krok. - Czekam na ciebie tutaj jutro około siódmej.

Zastępca dyrektora Jimmy Maitland skinął głową Lacey, lecz zwrócił się do Savicha:

- Słyszałem od kapitana Dougherty'ego, że obecna tutaj Sherlock nie posłuchała rozkazów, napisała własny scenariusz. Puścił trochę farby, a resztę z niego wycisnąłem. John Dougherty i ja znamy się od dawna. To dobry człowiek, twardy i uczciwy.

Savich nie zmienił wyrazu twarzy, tylko przechylił głowę na bok.

- Ona wykonała zadanie, sir.
- Nie lubię, jak moi agenci dostają nożem, Savich. Co ona właściwie zrobiła?
- Mogę na to odpowiedzieć, sir. Obaj mężczyźni obejrżeli się na nią.
- Lepiej niech to będzie dobra odpowiedź, agentko Sherlock -ostrzegł Jimmy Maitland i złamał ołówek w dwóch palcach. Maitland był agentem specjalnym od dwudziestu pięciu lat. Łysy, zbudowany potężnie jak byk, miał czarny pas w karate. Jego żona, jasnowłose chucherko, tłukła męża, kiedy chciała. Mieli czterech synów, dryblasów mierzących ponad metr osiemdziesiąt każdy. Ich też tłukła, kiedy chciała.

Lacey wzruszyła ramionami.

- Rzeczywiście, sprawca trochę nas zaskoczył, sir, ale poradziliśmy sobie. Savich wrzasnął. Strzeliłam do Jonesa w jej samej chwili, w której rzucił nożem. Padłam na podłogę i już się przetaczałam, kiedy nóż nadleciał. To tylko powierzchowna rana.
- Savich powiedział dokładnie to samo. Czy wy uzgodniliście zeznania?
- Nie, sir, skąd.

Maitland uniósł brew pod adresem Savicha i powiedział szybko:

- Dobrze. Doskonale. Może pani odejść, agentko Sherlock. Savich, zostań chwilę, na Florydzie popełniono kolejne morderstwo. Nie w domu opieki i nie pasuje do matrycy gwiazdy Dawida wygenerowanej przez MAX-a. Nie zgadza się też sprawca przebrany za starą kobietę. Przesłuchali wszystkie starszki w domu opieki. Same długoletnie rezydentki. Cholera! Powiedz MAX-owi, żeby się poprawił. –
- Zgoda - obiecał Savich. - Przydzielę Sherlock z powrotem do sprawy Radnich z Olliem. Zobaczymy się później.

Rozdział 18

Modliła się, żeby nie ujawniono jej związku ze sprawą Sznurobój-cy, i modlitwy zostały wysłuchane, przynajmniej na razie. Wiedziała, że Savich rozmawiał prywatnie z kapitanem Doughertym i Ralphem Budnackiem. Jeśli ktoś ją wyda, to nie oni. Na razie nikt z prasy nie wiedział, że była spokrewniona z jedną z ofiar Sznurobójcy. Jeśli się dowiedzą, nastąpi katastrofa.

Jak dotąd FBI cieszyło się dobrą prasą - okoliczność zawsze korzystna dla wciąż atakowanego Biura. Savich ze swoją nową jednostką FBI w ciągu kilku tygodni złapał dwóch morderców. Reporterzy chcieli przeprowadzić z nim wywiad, ale on nie dał się namówić. Nikomu nie pozwolono rozmawiać z dziennikarzami. Louis Freh zwołał konferencję prasową i wychwalał pracę nowej Jednostki Badań Kryminalnych, ale Savich się nie zjawił. Frehowi zależało na jego obecności, mimo to nie nalegał.

Lacey unikała Hannah Paisley i blisko współpracowała z Olliem w sprawie Radnich. Nie cieszył ją obiad z Douglasem, lecz nic już nie mogła poradzić.

Wieczorem włożyła elegancką czarną sukienkę, dostatecznie klasyczną, żeby po dwóch latach nadal uchodziła za modną, pantofle na obcasach, rozpuszczone włosy spięła z tyłu dwoma małymi złotymi grzebieniami. Stroju dopełniały złote kolczyki-koła, które dostała od matki na dwudzieste piąte urodziny. Czowała się dziwnie w tym nowym upierzeniu, jakby trochę obnażona, ale właściwie czowała się dobrze. Naprawdę dobrze. W ostatniej chwili uświadomiła sobie, że Douglas może zleją zrozumieć. Ale już nie miała czasu się przebrać. Pierwsze słowa Douglasa po wejściu brzmiały:

- Temblak wygląda okropnie przy tej sukience. - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Nie masz kilku zapasowych w różnych stylach i kolorach, żeby pasowały do każdego stroju?

Wieczór płynął beztrąsko i wesoło aż do deseru, kiedy Douglasa opuścił dobry humor.

- Dostałaś to, czego chciałaś, Lacey. Teraz chcę, żebyś rzuciła FBI i wróciła do domu. Sama przecież rozumiesz, że to już skończone, teraz liczy się twoja muzyka. Złapałaś drania, który zabił Belindę. Wracaj do domu. Zrób jak Belinda. Zostań ze mną. Zaopiekuję się tobą.

Spojrzała ponad stołem oświetlonym świecami na czyste linie i kąty jego twarzy i powiedziała tylko:

- Nie.

Zachnął się, jakby go spoliczkowała.

- Zamierzam rozwieść się z Candice. Szybko to załatwię, może nawet dostanę unieważnienie. Będziemy jedynie ty i ja, Lacey, tak jak zawsze chciałem. Tylko daj nam trochę czasu, jak już pozbędę się Candice.

Zawsze tego chciał? Nigdy o tym nie napomknął, dopiero teraz, gdy wstąpiła do FBI i ukończyła szkolenie. Czyżby napalił się dlatego, że była policjantką? To bez sensu. Pokręciła głową i powtórzyła:

- Nie. Przepraszam, Douglas, ale nie.

Nie wspominał o tym więcej. Godzinę później, kiedy znaleźli się w jej salonie, wyciągnęła do niego rękę, rozpaczliwie pragnąc, żeby sobie poszedł.

- Douglas, spędziłam uroczy wieczór. Zobaczymy się jutro?

Nie odpowiedział, tylko szarpnięciem przyciągnął ją do siebie, pocałował brutalnie, i uraził w ramię. Pchnęła go w klatkę piersiową, ale ani drgnął.

- Douglas – wymówiła wargami zgniecionymi przez jego usta i poczuła, że jego język napiera na jej przednie zęby.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Douglas nie puszczał jej, wciąż miażdżył jej usta swoimi. Zaczęła już unosić kolano, ale zdołała odchylić głowę na tyle, by zawołać:

- Kto tam?

– Proszę mnie wpuścić, panno Sherlock.

Kobieta. Kto to może być?

Nagle Douglas znalazł się metr od niej, z osłupiałym wyrazem twarzy, ocierając usta wierzchem dłoni.

– To Candice - oznajmił ponuro, podszedł do drzwi i otworzył. Kobieta stojąca w progu nie była starsza od Lacey, z długimi miodowoblond włosami, prawie równie wysoka jak Douglas, o nadzwyczaj wysokich kościach policzkowych. Lecz to głównie jej oczy przykuły uwagę Lacey. Ciemne. Ciemne oczy pełne furii i złości, narastającej z każdą chwilą. Wyglądała na gotową zabijać.

– Candice! Co ty tu robisz, do cholery?

– Śledziłam cię, Douglas. Przyleciałeś prościutko tutaj, całkiem jak wytresowany gołąbek pocztowy. Wiedziałam, że do niej pojedziesz, chociaż modliłam się, żebyś tego nie robił. Niech cię cholera, miałam nadzieję, że bardziej ci zależy na naszym małżeństwie. Tylko popatrz, pozwoliłeś, żeby cię pocałowała. Masz szminkę na ustach. Niech cię cholera, nawet pachniesz tą kobietą.

– Czemu ma mi zależeć na naszym małżeństwie? Okłamałaś mnie. Nie byłaś w ciąży.

– Będziemy mieli dzieci, Douglas. Po prostu jeszcze nie jestem gotowa. Na razie rozkręcam swoją karierę. Mogę się dostać do jednego z wielkich dzienników, jeśli teraz nie zrezygnuję. W przyszłym roku zafundujemy sobie tuzin dzieci, jeśli tylko chcesz.

– Co innego mi mówiłaś, zanim się pobraliśmy. Potem utrzymywałaś, że poroniłaś, i byłaś taka zmartwiona. Teraz mówisz, że nie chcesz ciąży. Wiesz co? Myślę, że wcale nie byłaś w ciąży. - Douglas odwrócił się do Lacey i skąpym gestem wskazał żonę. - To jest Candice Addams.

- Jestem twoją żoną, Douglas. Nazywam się Candice Madigan. A ona jest siostrą twojej zmarłej żony. W dodatku przyrodnia. Niczym więcej. Co ty z nią robisz?

W jednej chwili przeobraził się, jego zaskoczenie, frustracja zniknęły bez śladu. Wyprostował się i przybrał arogancką postawę, którą Lacey rozpoznała, bo stanowiła jego drugą naturę. Już panował nad sobą i nad sytuacją. Stał w sali sądowej przed ławą przysięgłych i wiedział, że potrafi manipulować, przekonywać, zwyciężać.

- Candice - powiedział bardzo cierpliwie, jakby zwracał się do przygłupiego świadka - Lacey należy do mojej rodziny. Nie wykreśliłem jej z mojego życia tylko dlatego, że Belinda umarła.
- Widziałam przez okno, jak ją całujesz, Douglas.
- Owszem - przyznał całkiem spokojnie - całowałem ją. Ona jest bardzo niewinna. Nie umie całować i to mi się podoba.

Następna cholerna królicza nora. Ale tym razem Lacey nie zamierzała do niej wpaść.

- Nie chciałam, żebyś mnie całował, Douglas. Wcale cię nie całowałam. - Odwróciła się do Candice. - Pani Madigan, myślę, że powinniście omówić z Douglasem wasze problemy. Mnie to nie dotyczy w żadnym wypadku. Naprawdę.

Candice uśmiechnęła się do niej, szybko wyminęła Douglasa i spoliczkowała ją tak mocno, aż głowa Lacey poleciała do tyłu. Z tyłu rozległ się głęboki głos:

- To wygląda bardzo interesująco, ale naprawdę nie mogę nikomu pozwolić na bicie moich agentów. Proszę tego więcej nie robić albo będę musiał zaaresztować panią za napaść na funkcjonariusza.

Lacey podniosła wzrok i zobaczyła Savicha stojącego w otwartych drzwiach. Tylko tego potrzebowała. Czy musiał się zjawiać za każdym razem, kiedy jej życie wymykało się spod kontroli? To nie fair. Przetarła twarz dłonią i zrobiła krok do tyłu, żeby nie rzucić się na Candice. Opanowała pokusę, ponieważ

wątpiła, czy z ręką na temblaku zdoła pokonać przeciwniczkę. Ale miała wielką ochotę spróbować.

– Sir - powiedziała, chociaż woląa powiedzieć „Dillon”. Wykluczone, żeby zwracała się do niego po imieniu w obecności Douglasa. Podziałałoby to na niego jak czerwona płachta na byka. - Co pan tutaj robi? Nie, proszę nie odpowiadać. Dzisiaj wieczorem moje mieszkanie służy za ośrodek spotkań towarzyskich. Proszę wejść i zamknąć drzwi, zanim sąsiedzi wezwą policję.

– Policja to ja, proszę pani.

– Doskonale. Czy ktoś ma ochotę na filiżankę herbaty? Partyjkę bingo?

Douglas przeczesał włosy palcami.

– Nie, dziękuję, Lacey. - Odwrócił się do żony. - Musimy porozmawiać, Candice. Zdenerwowałem się przez ciebie. Wcale mi się nie podoba twoje zachowanie. Idziemy.

Lacey i Savich patrzyli, jak tamci wychodzą. Zaczęli mówić podniesionymi głosami, zanim jeszcze dotarli do końca podjazdu.

– Teraz chętnie napiję się herbaty - powiedział Savich.

Dziesięć minut później Lacey i Savich popijali herbatę w nareszcie pustym salonie.

– Co ty tu robisz?

– Wszedłem pobiegać i zajrzałem tutaj. Miałaś ciężki dzień. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Frontowe drzwi były otwarte i usłyszałem, że ta kobieta wrzeszczy. Jak twój policzek? Lacey rozmasowała sobie szczękę.

– Silna kobieta. Właściwie to dobrze, że wszedłeś, bo chciałam rzucić się na nią. Wtedy mogłaby mi naprawdę dołożyć, z moim złamanym skrzydłem. Jutro zadzwonię do Chico.

– Znowu mówiłaś do mnie „sir”.

– Tak, mówiłam. Celowo. Douglas jest o ciebie zazdrosny. Gdybym powiedziała Dillon, mógł stracić panowanie nad sobą. Jeszcze byście mi porozbijali moje piękne nowe meble.

To przyhamowało Savicha. Uśmiechnął się, wzniosł filiżankę jak do toastu i spytał:

– Ten facet był mężem Belindy? - Przytaknęła. - A to jest jego nowa żona? Opowiedz mi o nich, Sherlock. Uwielbiam rodzinne dramaty.

– Powiem tylko, że Douglasowi się zdaje, iż trochę za bardzo mnie lubi. Co do Candice, jego żony, powiedziała mu, że zaszła z nim w ciążę, on się z nią ożenił, po czym się okazało, iż wcale nie była w ciąży. Jest teraz wściekły i żąda rozwodu. Ona obwinia mnie. To cała historia, właściwie żaden dramat, w każdym razie nie ma związku ze mną. - Westchnęła. - No dobrze, kiedy rozmawiałam z Douglasem przez telefon, powiedział parę rzeczy, których nie powinien mówić, a ona podsłuchiwała. Była wściekła. Pewnie chce mnie zabić jeszcze bardziej niż Marlin Jones.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że mówisz pełnymi zdaniami? Już nie muszę wyciągać z ciebie każdego słowa.

– Chyba trochę miałam się na bacności, kiedy pierwszy raz przyszłam do ciebie. Z drugiej strony byłeś przestępcą w Alei Hogana i wykopałeś mi z ręki dwie spluwy, zanim cię zabiłam pomimo straszliwych trudności.

– Tak, byłaś spięta jak cholera. Jednak udało mi się przełamać twój opór. Teraz śpiewasz jak z nut. A tamtego dnia, kiedy obrabowałam bank, poradziłaś sobie całkiem dobrze, Sherlock. Tak, całkiem dobrze. -Wyciągnął rękę i lekko pogładził ją po policzku. - Nieźle ci przyłożyła, ale chyba nie będziesz miała siniaka. Makijaż to zakryje.

Nagle na jego kościach policzkowych wystąpiły czerwone plamy. Gwałtownie opuścił rękę i wstał. Nosił szare spodnie od dresu i błękitną bluzę z napisem GLINA ŁAMIGNAT Wielki, silny i udęczony. Palce miał bardzo ciepłe. To dotknięcie sprawiło jej przyjemność.

- Idź do łóżka, Sherlock. Postaraj się na przyszłość unikać kłopotów. Nie gwarantuję, że zawsze się zjawię na czas, by uratować twój tyłek
- Jeszcze nigdy w życiu nie miałam tylu kłopotów naraz. Przepraszam. Ale wiesz, mogłam sama sobie poradzić.

Wydał nieartykułowane chrząknięcie i już go nie było. Po prostu wyszedł.

Dotknęła twarzy, wciąż miała przed oczami jego spojrzenie pełne irytacji i czegoś jeszcze. Powoli podeszła do frontowych drzwi. Założyła łańcuch, zamknęła zasuwę i przekręciła klucz w zamku. Co by było, gdyby Savich nie przyszedł? Zadygotała.

Złapała mordercę Belindy, ale w jej życiu panował większy bałagan niż kiedykolwiek. O co chodziło matce: „...odkąd twój ojciec próbował mnie przejechać”?

Następnego popołudnia wyszła od lekarza i próbowała rozłożyć parasolkę na ostrym, porywistym wietrze i w zacinającym deszczu -gęstym, ulewnym, który przemoczył ją na wskroś. Temperatura spadła, z minuty na minutę robiło się zimniej. W końcu jej się udało, choć z trudem, bo ramię wciąż bardzo bolało. Zeszła z chodnika, osłaniając się niezdarnie przed deszczem, i ruszyła w stronę samochodu, zaparkowanego naprzeciwko, po drugiej stronie Union Street.

Nagle usłyszała krzyk, potem wrzask. Okręciła się gwałtownie, wiatr wyrwał jej parasolkę z ręki, o mało nie upadła. Jechał na nią wielki czarny samochód z przyciemnionymi szybami, samochód jakiegoś kongresmana, nie, raczej lobbyisty, pełno ich w Waszyngtonie. Co ten głupek wyprawia?

Zamarła na ułamek sekundy, potem rzuciła się na chodnik i uderzyła obolałym ramieniem o licznik parkingowy.

Poczuła podmuch gorącego powietrza, upadła w połowie na jezdnię, w połowie na chodnik. Obróciła się, widziała, jak czarny samochód przyspiesza i skręca za najbliższy róg z piskiem opon. Leżała oszołomiona i patrzyła w ślad

za samochodem. Dlaczego się nie zatrzymał, żeby zobaczyć, czy nic jej się nie stało? No jasne, kierowca się nie zatrzymał, bo groziło mu aresztowanie za jazdę po pijanemu. Wstała powoli. Rajstopy miała w strzępach, podobnie buty i ubranie. Włosy przykleiły się do czaszki i oblepiły twarz. Na wpół zagojone ramię rwało jak diabli. Bolał ją bark i lewa noga. Przynajmniej żyła. Gdyby wyszła dalej na jezdnię, nie miałyby szans.

Dostrzegła trzy litery na tablicy rejestracyjnej - PRD. Dopiero teraz dotarło do niej, że to nie była rejestracja rządowa.

Ludzie gromadzili się wokół niej, podtrzymywali ją, osłaniali parasolami. Jakaś siwowłosa kobieta robiła dużo szumu, poklepywała ją jak dziecko. Lacey zdobyła się na uśmiech.

- Dziękuję. Nic mi nie jest.
- Ten kierowca to wariat, kretyn. Tamten pan zawiadomił gliny przez swoją komórkę.

Jakiś biznesmen zapytał:

- Czy chce pani wezwać pogotowie? Jezu, ten facet mógł panią zabić!

Lacey uniosła rękę.

- Nie, proszę, nie chcę pogotowia. Nic mi nie jest.

Gliny wkrótce przyjadą; nie miała dużo czasu. Dwie minuty później wybierała numer Savicha. Nie było go. Odebrała Hannah. Gdzie jest Marcy, sekretarka Savicha? Nie potrzebowała Hannah, nie teraz, ale nie miała wyboru.

- Hannah, muszę wiedzieć, gdzie jest Savich. Wiesz, gdzie go szukać, masz do niego numer?
- Nie. Nawet gdybym miała, nie powiedziałabym ci.
- Hannah, posłuchaj. Ktoś właśnie próbował mnie przejechać. Proszę, powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Savicha.

Nagle na linii zgłosił się Ollie.

- Co się dzieje, Sherlock? Marcy poszła na lunch. Hannah i ja dyżurujemy przy telefonie Savicha. Rzadko dzwoni, bo wszyscy wiedzą, że on woli pocztę elektroniczną. Ktoś próbował cię przejechać? Co się stało, do cholery?
- Jestem cała, tylko mokra i cholernie brudna. Stoję dokładnie przed gabinetem doktora Pratta. Savich zna to miejsce, bo to także jego lekarz. Proszę, powiedz Savichowi, gdzie jestem. O Boże, przyjechała policja.

Upłynęła prawie godzina, zanim Savich podszedł i zastukał w okno jej samochodu. Był całkiem przemoczony. Wydawał się rozgniewany, chociaż niesłusznie. Na razie nie miał prawa się złościć.

- Przepraszam - powiedziała natychmiast, jak tylko otworzyła mu drzwi po stronie pasażera. - Nie wiedziałam, do kogo jeszcze zadzwonić. Gliny odjechały jakieś dwadzieścia minut temu. Mój samochód nie chce zapalić.

Wsunął się na fotel pasażera.

- Dobrze, że to skóra, bo tkanina nie wyschłaby całymi tygodniami. A teraz mów, co się stało.

Opowiedziała i dodała na koniec:

- To żalotne. Myślę, że ten ktoś po prostu stracił panowanie nad kierownicą. Może był pijany. Kiedy do niego dotarło, że mógł mnie zabić, wołał się nie zatrzymywać.
- To mi się nie podoba.
- No, mnie też. Policja uważa, że to była ucieczka z miejsca wypadku. Zauważyłam pierwsze trzy litery na tablicy rejestracyjnej: PRD. Obiecali, że sprawdzą. Śmiali się, kiedy im pokazałam moją odznakę FBI, po prostu ryczeli ze śmiechu.
- Kto wiedział, że wybierałaś się do doktora Pratta?
- Wszyscy w biurze. Nie robiłam z tego tajemnicy. Nawet spotkałam w holu wicedyrektora Maitlanda, trzech urzędników i dwie sekretarki. Wszyscy o to pytali. O nie, sir, pan chyba nie myśli, że to zrobiono celowo?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Bardzo mi się podoba ten samochód. Cieszę się, że nie zleciłaś kupna swojemu dekoratorowi. Jezu, pewnie wcisnąłby ci taką małą wytworną zabawkę. Kiedy kupiłaś ten wóz?
- Wiedziałam, co chcę kupić. Zadzwoiłam do automobilklubu i przysłali mi na zamówienie.
- Jak twoja ręka?
- Świetnie. Właśnie walnęłam nią o licznik. Wróciłam do doktora Pratta, żeby ją obejrzał.
- Co powiedział?
- Niewiele, tylko pokręcił głową i zaproponował mi zmianę pracy. Powiedział, że zawód prezydenta jest dużo bezpieczniejszy. Założył mi znowu temblak na kilka dni. Dlaczego mój samochód nie chce zapalić? Jest całkiem nowy.
- Zajrzę pod maskę, gdy przestanie padać. - Skrzyżował ramiona na piersi i odchylił się do tyłu. -Jak mówiłem, na razie nie mam żadnych konkretnych podejrzeń. Jeśli ktoś próbował cię zabić, to znowu wpakowałaś mnie w kłopoty. I nigdy więcej nie mów do mnie „sir”, bo uduszę cię tym temblakiem.

Czuła się już znacznie lepiej, oddychała spokojnie, szok prawie minął.

- Dobrze, Dillon. Nikt nie ma powodów, żeby mnie skrzywdzić. To był wypadek, pijany kierowca w wielkim czarnym samochodzie.
- A żona Douglasa?
- No dobrze, pomyślałam o niej, ale to bzdura. Była wściekła, choć przecież nie taka wściekła, żeby mnie zabić. Gdyby chciała kogoś zabić, to Douglasa, nie mnie. Gliny mnie naciskały i podałam im jej nazwisko, lecz bez żadnych szczegółów. Zauważyłam te cienkie białe kreski na opuszkach twoich palców. Od czego je masz?

- Rzeźbię w drewnie. Czasami nóż się ześlizguje i można się skaleczyć. Nic wielkiego. No, to dobre. Zazdrosna żona na pewno ich rozśmieszyła. Już tak bardzo nie pada. Zobaczę, co się zepsuło w tym pięknym samochodzie, który jest nowy i nie powinien nawalać.

Nic się nie zepsuło. Zalało silnik.

- Powinam sama o tym pomyśleć - powiedziała, zirytowana i zawstydzona.
- Tym razem ci wybaczam.
- Więc to był wypadek. Bałam się, że znajdziesz przeciętą linkę hamulcową albo wyjętą kopułkę rozdzielacza.
- To nie musiał być wypadek. Możliwe, że facet zrobił to celowo, a w takim razie domyślasz się, o co mu chodziło?
- Tak, chciał mnie sprzątnąć.

Savich zabębnił palcami w deskę rozdzielczą.

- Zawsze uważałem, że przejechanie samochodem to nie jest najsprytniejszy ani najskuteczniejszy sposób na pozbycie się wroga. Natomiast to świetny sposób, żeby napędzić komuś porządnego stracha. Taak, to pasuje. Z drugiej strony, jeśli ktoś chciał cię zabić, to dlaczego najechał na ciebie, gdy tylko zeszedł z chodnika na jezdnię? Dlaczego facet nie zaczekał, żebyś doszła do swojego samochodu? Wtedy miałby idealny cel. To wygląda niezbyt profesjonalnie. Wszystko zaplanowane jak trzeba, ale wykonanie kuleje. - Wzruszył ramionami. -Na razie nie mamy bladego pojęcia, co się stało. Przepuszczę te trzy litery z tablicy rejestracyjnej przez MAXINE i zobaczymy, co ona z tego wyciągnie.
- MAXINE? Masz drugi komputer?
- Nie. MAXINE dawniej nazywała się MAX. Co sześć miesięcy następuje zmiana płci. Musiałem się pogodzić z faktem, że moja maszyna jest transseksualna. Niedługo zażąda, żebym przestał kłąć, kiedy z nią pracuję.
- To wariactwo. Podoba mi się.

- Wracając do twojego wypadku...
- To był wypadek, Dillon. Tak uważa policja.
- Z drugiej strony, oni cię nie znają. No, zobacz, czy ten twój cudowny napęd na cztery koła zapali.
Przekręciła kluczyk i navajo natychmiast zaskoczył.
- Wracaj do biura, Sherlock, i wypij kawę u Marcy. Postawi cię na nogi. Aha, trzymaj się z daleka od Douglasa Madigana i jego żony. Nie dzwoń do niego, ja zadzwonię. Gdzie on się zatrzymał?

Siedziała w łóżku oparta na poduszkach i czytała raport z autopsji Belindy. Przyciszony telewizor szemrał w tle. Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki łzy nie spadły na wierzch jej dłoni. Odłożyła kartki i pozwoliła sobie na płacz. Od tak dawna powstrzymywała łzy, które wzbierały, aż wreszcie przerwały tamę.

Wreszcie uspokoiła się, pociągnęła nosem i wróciła do raportów. Jutro poprosi MAXINE o sprawdzenie, czy istnieją jakieś różnice, nawet drobne, pomiędzy zabójstwem Belindy a pozostałymi. Modliła się z całej duszy, żeby nie wykryto żadnych rozbieżności. Teraz, kiedy przestudiowała raporty, miała nadzieję, że zobaczy wszystko wyraźniej.

Na krawędzi snu pomyślała jeszcze, czy Candice naprawdę próbowała ją przejechać. Tak jak ojciec próbował przejechać matkę? Nie, to śmieszne. Matka była chora, już od bardzo dawna. A może rzuciła to oskarżenie dlatego, że ojciec tak niefrasobliwie wyrażał się o Belindzie i jej ojcu, kto wie?

Oczywiście Douglas zadzwonił wściekły, że dała Savichowi jego telefon. Przez dziesięć minut perswadowała mu, by nie przyjeżdżał do niej. Powiedział, że rozmawiał z Candice, którą odwiedziła policja. Był oburzony, że ktoś mógł ją posądzić o próbę przejechania Lacey. To musiał być wypadek.

- Nie wyjadę, dopóki się nie upewnię, że to był wypadek, Lacey. I chcę, żebyś była pewna, że to nie Candice.
- Jestem pewna, Douglas. - Gotowa była przyznać, że ma purpurowy język, żeby tylko się odczepił. - Nie martw się. Nic mi nie jest. Wracaj do domu.
- Tak, wróć. I zabiorę Candice.

To brzmiało interesująco, ale Lacey była zbyt zmęczona, żeby prosić o wyjaśnienie.

Następnego ranka Duży John Bullock, adwokat Marlina Jonesa, wystąpił w CNN i oświadczył dziennikarzowi, przystojnemu niczym model z *GQ*, że FBI i bostońska policja wymusiła na Marlinie zeznania, a on nie wiedział, co robi, ponieważ bardzo cierpiał. Powiedziałby wszystko, byle tylko dali mu lekarstwo. Każdy sędzia odrzuci zeznanie złożone w takich okolicznościach.

Czy Marlin jest winny, zapytał młody przystojniak i przy tych słowach obdarzył publiczność zwycięskim uśmiechem.

Duży John wzruszył ramionami i odparł, że nie w tym rzecz. O tym zadecyduje sąd. Chodzi o policyjne prześladowanie nieszczęsnego człowieka, chorego w sensie fizycznym i psychicznym. Lacey zrozumiała wtedy, że jeśli sąd nie odrzuci zeznania, Duży John wystąpi o uznanie niepoczytalności. Materiał dowodowy był przytłaczający. Lacey wiedziała, że kiedy adwokat zobaczy wszystkie dowody przeciwko Marlinowi, nie będzie miał wyboru, tylko musi zgłosić niepoczytalność.

Wpatrywała się w dziennikarza-modela, którego szeroki uśmiech znikł z ekranu jako ostatni, zanim pokazano reklamę pasty do zębów. Głupia była. Powinna strzelić Marlinowi prosto w serce. Oszczędziłaby podatnikom wielu tysięcy dolarów. Dokonałaby sprawiedliwej zemsty za te wszystkie zaszlachtowane kobiety.

Do następnego popołudnia MAXINE nic nie wykryła. Nie było żadnych różnic pomiędzy morderstwem Belindy a innych kobiet. Zaledwie drobne wariacje, nic znaczącego.

Lacey poczuła się lepiej. Wreszcie oddadzą sprawiedliwość Belindzie, jeśli ten mały psychol dożyje do rozprawy. Psychopata to nie znaczy wariat, niekoniecznie, nawet nieczęsto. Ale kto jeszcze o tym wiedział? Potem wyobraziła go sobie z Russellem Bentem w Chicago, jak grają w karty w świetlicy jakiegoś państwowego szpitala wariatów, wymieniają uśmiechy i żartują z głupich liberalnych sędziów i lekarzy-idiotów, którzy uwierzyli, że obaj nie ponoszą odpowiedzialności za swoje zbrodnie, ponieważ mieli trudne dzieciństwo.

Musiała z tym skończyć. Nic więcej nie mogła zrobić. Ojciec miał rację. Douglas miał rację. Skończone. Czas zająć się własnym życiem.

Rozdział 19

- To musiał być Marlin Jones.
- Na to wygląda, a jednak nie wydajesz się zadowolona.
- Bo nie jestem, ale MAX... och, zapomniałam, że jest w dołku... MAXINE nie wykryła ani jednej wariacji w sposobie zabicia Belindy sprzecznej z zabójstwami pozostałych kobiet. Widocznie Marlin zabił je wszystkie. - Westchnęła. - Ale dlaczego pominął akurat Belindę? To nie ma sensu.
- Cieszę się, że nie jesteś zadowolona. Cieszę się, że coś ci nie daje spokoju - powoli powiedział Savich, z rozmysłem stukając ołówkiem w klawiaturę. - Wprowadziłaś wszystkie fizyczne dane i wykonałaś niezliczone porównania, ale powinnaś uwzględnić również inne aspekty. Teraz musisz to skończyć.

Lacey gniewnie marszczyła czoło. Długi, miękki lok spłynął jej na twarz. Odsunęła go za ucho machinalnym gestem. Savich podjął z uśmiechem:

- MAXINE i ja trochę popracowaliśmy. Według jej opinii powinniśmy wrócić do rekwizytów. Okay, teraz pomyśl, w jaki sposób on zabił te kobiety. Pomyśl, czym je zabił i gdzie.
- Nożem.
- Co jeszcze?
- Zabijał je w magazynach i w kilku domach. Oczywiście woli magazyny, tam nie ma w nocy tylu ludzi.
- Czego używał?
- Budował dekoracje.
- Tak jak Marty Bramfort budowała dekoracje do szkolnego przedstawienia jej syna w Bostonie. Pomyśl, co musiałaś zrobić, żeby zbudować te dekoracje.

Przez chwilę tylko patrzyła na niego. Potem skoczyła na równe nogi, o mało nie przewracając krzesła. Wparła dłonie w blat biurka, jej twarz zapłonęła podnieceniem.

- Rany boskie, Dillon, on musiał kupować deski, ale policji z San Francisco nie udało się ich wytropić, są po prostu powszechnie używane. Ale podsunąłeś mi lepsze pytanie: Czy można rozpoznać, że te same deski zostały użyte przy wszystkich zabójstwach, to znaczy czy wszystkie deski zostały kupione w tym samym miejscu? Okay. Musiał je skrócić razem, prawda? Nie mogli wytropić wszystkich kątowników, śrub i zawiasów, ale czy można rozpoznać, że ktoś wkręca śrubę inaczej niż ktoś inny? Pod innym kątem? Z inną siłą? Czy to możliwe? Czy można określić, że deski pasują albo nie pasują do innych desek z tego samego składu? Te same albo inne śruby? Uśmiechnął się z zadowoleniem.
- Nie widzę przeszkód. Teraz masz całość, Lacey. Pozostaje nam tylko się modlić, żeby policja z San Francisco nie wyrzuciła rekwizytów z

poprzednich morderstw. Zresztą założę się, że je przechowują. Oni znają się na rzeczy. Powiedzmy, że mają wszystko. Niestety MAXINE nam tutaj nie pomoże, nawet najbardziej wymyślne skanery nie będą przydatne. Potrzebujemy ludzkiej ręki. Znam jednego gościa w Los Angeles, który genialnie rozpoznaje na przykład sposób wbijania gwoździ. Zastanawiał się, czy to możliwe. Owszem. Niewiele osób potrafi to rozróżnić, ale ten gość potrafi. Pokażesz mu pół tuzina rozmaitych gwoździ wbitych w deski i Dzikie Ralph powie ci, ile osób je wbiło. Teraz sprawdzimy go nie tylko na wbijanie gwoździ, ale przykręcanie wsporników i zawiasów. I zobaczymy, czy wszystko pasuje.

Minęły trzy dni. Savich trzymał się z daleka, chociaż nie bez wysiłku. Dał jej numer Ralpa Yorka - Dzikiego Ralpa - który otrzymał tę ksywkę dziesięć lat wcześniej, kiedy jeden facet podejrzany o morderstwo chciał go zabić za zeznania i Ralph obronił się za pomocą młotka. Facet niespodziewanie przeżył. Teraz odsiadywał dożywocie w San Quentin. Savich słyszał, że tamten wciąż ma wgłębienie w czaszce.

Nie, postanowił wstrzymać się, przynajmniej jeszcze przez jeden dzień. Nie podejmował żadnych działań, bo ona na pewno nie życzyła sobie, żeby się wtrącał. Wiedział, że gdyby miała pytania, przyszła-by do niego; zdążył ją dostatecznie poznać, by nie posądzać jej o megalomanię. Z trudem się powstrzymał, żeby nie zadzwonić do Dzikiego Ralpa i sprawdzić, co się dzieje. Wiedział oczywiście, że Departament Policji San Francisco nie przeprowadzał takich porównań, ponieważ po prostu nigdy nie wątpili, że wszystkie morderstwa popełniła ta sama osoba. Ponadto żaden sąd na razie nie przyjmował dowodów tego rodzaju. Wbrew sobie zaczynał się martwić. Co do Sher-lock, unikała go starannie. Wiedział, że przez ostatnie dwa wieczory pracowała aż do północy. Naprawdę już zgrzytał zębami, kiedy zapukała do drzwi jego gabinetu trzy dni później, o drugiej po południu.

Po prostu stanęła w drzwiach bez słowa. Uniósł brew, gotów ją przeczekać. W milczeniu podała mu kartkę papieru.

To był list od Ralpa. Savich przeczytał: „Agentko Sherlock, przeprowadzone przez mnie testy obejmowały: 1) rodzaj użytego świdra, 2) technikę wiercenia i wbijania, 3) rodzaj i gatunek drewna oraz 4) pochodzenie drewna.

We wszystkich morderstwach z San Francisco oprócz numeru 4 użyto identycznego świdra. Świder zastosowany w morderstwie numer 4 zbyt mało różnił się od pozostałych, żebym zdołał przekonać prokuratora, że nie jest identyczny. Co do techniki wiercenia i wbijania gwoździ, to dziwne, ale moim zdaniem niektóre czynności wykonała ta sama osoba, a niektóre inna. Różnią się całkowicie. Nie mam na to wytłumaczenia. Może po prostu morderca skaleczył się w prawą rękę i musiał pracować lewą, albo był w innym nastroju, albo nie widział za dobrze w tych konkretnych okolicznościach. Drewno nie było identyczne i nie pochodziło ze Składu Drewna Bosmana w południowym San Francisco. Ponownie to nie jest żaden dowód, tylko stwierdzenie faktu, chociaż z drugiej strony zastanawia mnie, dlaczego tylko w morderstwie numer 4 użyto drewna z innego składu.

To było interesujące porównanie. Rozmawiałem z policją w San Francisco. Prokurator okręgowy z San Francisco porozumie się z prokuratorem okręgowym z Bostonu. Z pewnością zlecą porównanie rekwizytów użytych przy morderstwach w San Francisco i w Bostonie. Nie wątpię, że nawet jeśli drewno musi się różnić, technika pozostanie identyczna, więc całkiem możliwe, że sędzia przewodniczący dopuści to jako dowód w procesie przeciwko Marlinowi Jonesowi, jeśli ten człowiek stanie przed sądem.

Zatem ostateczne podsumowanie mojego testu jest niejednoznaczne. Występują różnice, odchylenia. Zaznaczam, że spotykałem się z tym już wcześniej, bez żadnych logicznych przyczyn.

Mam nadzieję, że pani pomogłem, ale biorąc pod uwagę powód pani prośby wątpię, czy wynik panią ucieszy. Pozdrowienia dla Savicha".

Savich milczał, widząc jej bladość, gorzkie rozczarowanie w oczach, beznadziejne znużenie w całej postaci. Żałował, że tak wyszło. Wreszcie powiedział:

- Ralph napisał - niejednoznaczne. To jeszcze nie jest ostatnie słowo, Sherlock.
- Wiem - odparła takim tonem, jakby w to nie wierzyła. – Pan York nie napisał tego w liście, ale powiedział mi przez telefon dosłownie parę minut temu, że wszystkie szczegóły w rekwizytach z pozostałych morderstw były identyczne. Rozbieżności występowały tylko przy morderstwie numer cztery.
- To już coś - rzekł Savich. - Słuchaj, albo Marlin to zrobił, albo tego nie zrobił. Skoro Marlin twierdzi, że zabił tylko sześć kobiet w San Francisco, wyłączając Belinę, to ktoś inny ją zabił. Nie jesteś zadowolona, co? Pokręciła głową.
- Chciałam zdobyć pewność raz na zawsze, ale wciąż nie mam dowodu ani na tak, ani na nie. Masz jeszcze jakiś pomysł? - Ale nie patrzyła na niego, wpatrywała się w swoje granatowe pantofle na niskich obcasach.
- Na razie nie, ale jeszcze pomyślę. A teraz wracajmy do sprawy Radnich.

Żałował, że nie może jej pozwolić na dalsze rozgrzebywanie morderstwa siostry, ale Jednostka miała do wypełnienia inne zadania. Potrzebował jej.

- Tak. Dziękuję, że dałeś mi tyle czasu. Ollie też mówił, że mamy nową epidemię zabójstw: kilku czarnych morduje Azjatów w Alabamie i Missisipi.
- Tak, omówimy to na dzisiejszym południowym zebraniu.

Patrzył, jak wychodzi z gabinetu. Postukał długopisem o komputer. Straciła na wadze więcej, niż powinna. Nie był tym zachwycony. Chociaż znał takie przypadki, nadal nie potrafił sobie wyobrazić, co to znaczy stracić ukochaną osobę w tak straszny sposób. Wzdrygnął się i odwrócił do MAXINE. Wstukał

krótką wiadomość do swojego przyjaciela Jamesa Quinlana i wysłał pocztą elektroniczną.

Lacey przystanąła za drzwiami gabinetu Savicha i oparła się o ścianę. Dostała tak wiele, a jednak za mało. Musiała znowu pojechać do Bostonu, jeszcze raz porozmawiać z Marlinem Jonesem. Musiała wycisnąć z niego prawdę, musiała. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Hannah.

– Czemu jesteś taka blada? Wyglądasz, jakby ktoś ci przyłożył. Właściwie to wyglądasz, jakbyś złapała grypę.

Lacey tylko pokręciła głową.

– Nic mi nie jest. To ta sprawa, nad którą pracuję. Wyniki są niejednoznaczne i to mnie dobija.

– Tak, czasami cholery można dostać - przyznała Hannah. - Jak twoje ramię?

– Co? Och, doskonale.

– Jak się czułaś, kiedy ten pirat drogowy omal cię wczoraj nie przejechał? Pewnie to paskudne uczucie.

– Owszem, ale bardziej męczy mnie ta sprawa. Myślę, że to był zwyczajny wypadek, jakiś pijak przeraził się, że przejechał człowieka, i dlatego uciekł. Gliny mówią, że te trzy litery, które zobaczyłam na tablicy rejestracyjnej, do niczego nie prowadzą. Za dużo możliwości. To mogło spotkać każdego. Po prostu miałam szczęście.

– I znowu uraziłaś się w ramię?

– Tylko trochę się potłukłam, nic wielkiego.

– Savich nie jest teraz zajęty?

– Nie wiem.

Odeszła, zastanawiając się, kto miał dostęp do wszystkich szczegółów zbrodni w San Francisco.

Usiadła przy biurku i wpatrywała się w pusty ekran komputera. Usłyszała jakiś dźwięk, odwróciła się i zobaczyła Hannah stojącą przy schładzaczku wody.

Wpatrywała się w nią takim wzrokiem, że Lacey przeszedł zimny dreszcz. Zmusiła się do pracy nad sprawą Radnich, ale nie znalazła tam nic nowego. Kolejne morderstwo, które obaliło jej teorię staruszki. Popołudniowe zebranie odwołano, ponieważ Savich został nagle wezwany do wicedyrektora, Jimmy'ego Maitlanda. Lacey wciąż łamała sobie głowę nad najnowszymi odkryciami w sprawie Missisipi/Alabama, kiedy usłyszała za plecami głos Savicha.

- Już po szóstej. Pora kończyć na dzisiaj. Chodźmy poćwiczyć. Podniosła na niego nie rozumiejący wzrok.
- Poćwiczyć?
- Aha. Założę się, że przez całe popołudnie nie ruszyłaś się od biurka. No chodź. Nie będę tobą rzucał, skoro masz jakąś nędzną wymówkę w postaci ramienia.

Ledwie mogła iść. Ale nie rozmawiać. Wciąż zużywała całą energię, żeby wciągnąć powietrze do płuc. Dobrze się złożyło, ponieważ Hannah Paisley zjawiała się tuż przed ich wyjściem. Silna i wysportowana, ubrana w jaskraworóżowy trykot z czarnym topem i czarnym paskiem, wyglądała tak, że prawie wszyscy faceci w sali gimnastycznej gapili się na nią.

Savich zaszutował jej i powiedział do Lacey:

- Przestań, Sherlock. Ostrzegalem cię, że musisz popracować nad oddechem. Oddychaj głębiej albo przewrócisz się na mnie, chociaż teraz też mało ci brakuje.

Spiorunowała go wzrokiem i wysapała:

- Zabiję cię.
- Dobrze. Pełne zdanie. Pozbierałaś się do kupy. Chcesz wziąć prysznic?
- Nie chcę utonąć. Upadnę, zatkam odpływ i tak się skończy.
- Więc chodźmy do domu. Przyjemny spacer, żeby pot wysechł.

– Musisz mnie zanieść. Moje nogi same się nie ruszą.

Hannah stanęła za Savichem. Lekko dotknęła palcami jego nagiego ramienia, na którym skóra lśniła od potu.

– Cześć, Dillon, Sherlock.

Lacey tylko kiwnęła głową. Wciąż ciężko oddychała.

– Dobrze wyglądasz, Hannah - powiedział Savich.

W tamtej chwili Lacey zrozumiała, jak wyraźne dla niej było to, że spali ze sobą. Oboje byli wspaniale zbudowani, piękne okazy. Wyobrażała sobie, jak wyglądali razem, spleceni uściskiem. Zmusiła się do uśmiechu. Oboje musieli sporo się napocić, żeby tak ukształtować te smukłe mięśnie. Lacey niezbyt lubiła się pocić. Patrzyła, jak Savich ściska biceps Hannah.

– Nieźle. Spójrz na tę biedną Sherlock. Mało się nie przewróci tylko dlatego, że jest ranna w ramię i musieliśmy ćwiczyć jej nogi.

– Wygląda na wyczerpaną. Zanim odpocznie, możesz mnie popilnować przy wyciskaniu na ławeczce?

– Przepraszam, nie dzisiaj, Hannah. Sherlock musi wrócić do domu i obiecałem, że ją podrzucę.

Hannah tylko kiwnęła głową, uśmiechnęła się do obojga i odeszła. Wszyscy mężczyźni patrzyli na jej tyłek - oprócz Savicha.

– Ona jest piękna - powiedziała Lacey zadowolona, że wreszcie może mówić bez groźby ataku serca.

– Tak, chyba tak - przyznał Savich. - Idziemy.

Zamówili w połowie wegetariańską, w połowie kielbasianą pizzę u Dizzy Dana na Clayton Street.

– Zostawiłaś mi tylko dwa kawałki - poskarżył się Savich, szybko chwytając jeden. - Świnia z ciebie, Sherlock.

Ser skapywał jej na brodę. Była taka głodna, że mało nie zaczęła przeżuwać obrusa w czerwono-białą kratkę. Szybko złapała ostatni kawałek. Wciąż był taki gorący, że ser spływał po bokach. Nie mogła się doczekać, żeby go pożreć.

– Zamów następną - poleciała z pełnymi ustami.

Zamówił i tę warzywną pizzę zjadł sam. Lacey tak się napchała, że nie chciało jej się nawet podnieść ręki ze stołu.

– Najadłaś się?

– Po dziurki w nosie. - Westchnęła, odchyliła się na oparcie krzesła i skrzyżowała ramiona na brzuchu. - Nie wiedziałam, że byłam taka głodna.

– Jeśli Marlin nie zabił Belindy, to kto ją zabił, Sherlock?

– Nie wiem, naprawdę.

– Ale dużo o tym myślałaś, odkąd Marlin ci powiedział, że jej nie zabił. Kto mógł to zrobić?

– Czemu nie porozmawiamy raczej o Florydzie? Albo o Missisipi?

– Świetnie, ale wkrótce będziesz musiała się z rym zmierzyć. Rzeczywiście mam dla ciebie nowe informacje z Florydy. Najnowsze morderstwo nie pasowało do matrycy rzutowanej na mapę, jak już wiesz. MAXINE próbuje wykombinować coś innego. My, biedni ludzie, też próbujemy. Tym razem policja dołożyła starań, żeby przesłuchać każdego w zasięgu wzroku. Spędzili wszystkich rezydentów do sali rekreacyjnej. Chcieli złapać twoją staruszkę w przebraniu. Na wstępie przekazali mi, jak słyszałaś, że nie było nikogo przebranego za staruszkę. Ale tuż przed naszym wyjściem dowiedziałem się, że dwoje rezydentów pochorowało się z powodu morderstwa i nowy gliniarz ich puścił. Stara kobieta i stary mężczyzna. Czy jeden z nich był mordercą? Nie wiadomo. I nie mamy co liczyć na tego młodego gliniarza, że rozpozna tych staruszków. Wszyscy starzy ludzie wyglądają dla niego jednakowo. Pamięta tylko, że mężczyzna zemdłał, a kobieta się porzygała. Na pewno dostał porządny opieprz, jeśli nie gorzej.

Więc ciągle nie wiemy, czy twoja teoria jest słuszna. No wiesz, najbardziej prawdopodobnym mordercą żony zawsze jest mąż.

Tak gładko skreślił z powrotem na wcześniejszy temat, że słowa same spłynęły jej z ust:

- Nie, Dillon, Douglas kochał Belinę. Dla dobra dyskusji załóżmy, że nie mam racji, że jej nienawidził. Po prostu rozwiódłby się z nią. Nie miał powodów do zabójstwa. Nie jest głupi i bardzo wątpię, czy jest mordercą. Nie miał żadnych powodów, żeby ją zabijać.
- No, przynajmniej ty ich nie znasz. Ale, Sherlock, on za dużo myśli o tobie, o swojej szwagierce. Od dawna się na ciebie napala?
- Tylko ostatnio. I chyba już mu przeszło.

Przypomniała sobie, jak patrzył na jej zdjęcie z Beliną w sypialni - wszystko pamiętał, mówił o jej niewinności. Poczowała zimny skurcz głęboko we wnętrzu. Pokręciła głową, mówiąc:

- Nie, to nie Douglas.
- Twój tata jest sędzią, ale nie był sędzią siedem lat temu. Nie miał dostępu do wielu szczegółów w sprawie Sznurobójcy.

Przelotnie zastanowiła się, skąd o tym wiedział, ale zaraz roześmiała się w duchu. To było łatwe. Nie zdziwiłaby się nawet, gdyby Savich znał treść następnego przemówienia prezydenta. Głęboko wierzyła, że MAXINE zdobędzie dostęp do wszystkiego, czego tylko Savich zapragnie.

- Nie, to niemożliwe. Nie okłamuj mnie, na pewno wiesz, że mój ojciec miał dostęp do całej sprawy. Zaczynał w biurze prokuratora okręgowego. Znał wszystkich. Mógł dowiedzieć się tego, czego chciał. Ale jaki człowiek zabija własną córkę? I jeszcze tak brutalnie?
- To się zdarzało, nie pamiętam jak często. Twój tata nie jest żadnym świętym, Sherlock, a Belinda nie była jego rodzoną córką. On ma w sobie coś podłego. Nie przepadał za Beliną, co? Myślał, że jest stuknięta jak jego żona, która twierdziła, że próbował ją przejechać swoim bmw.

Wyskoczyła z boksu tak gwałtownie, że zaczepiła paskiem torebki o obrus. Dwa pozostałe kawałki pizzy o mało nie spadły ze stołu.

– I jest jeszcze mama. Czy ona ma problemy psychiczne, Sherlock? Co myślała o sprawie Belindy?

Stał tuż przed nią, bardzo blisko, i nie mogła tego wytrzymać.

– Wracam do domu. Nie musisz mnie odprowadzać.

– Owszem, muszę. Powinnaś trochę pomyśleć. Wiesz doskonale, że Ralph York przesłał swoją opinię do DPSF. Mogą ponownie otworzyć sprawę Belindy albo i nie. Na razie trudno powiedzieć. Ale w końcu oni też wezmą pod lupę wszystko, o czym tutaj rozmawialiśmy. Wokół Douglasa zrobi się gorąco, Sherlock, nieważne, co sobie myślisz. I wokół twojego taty.

– Skoro wszystko jest takie niejednoznaczne, podejrzewam, że policja z San Francisco nic nie zrobi. Po rozmowie z Bostonem na pewno dojdą do wniosku, że to Marlin. Nie będą mieli żadnych wątpliwości. Najwyżej pokręcą głową nad raportem Ralpha.

– Myślę, że poświęcą mu więcej uwagi. Wszyscy reprezentujemy prawo. Mamy łapać złych facetów, nawet jeśli to wymaga otwarcia puszek z robakami.

– Muszę zadzwonić do Douglasa, ostrzec go. To nie może być prawda. Nie chciałam, żeby do tego doszło.

Savich przewrócił oczami.

– Może cię zrozumieć za jakieś trzydzieści lat, Sherlock. Zrób, co musisz. Chodź. Mam jeszcze plany na dzisiaj.

– Jakie?

– Mój przyjaciel James Quinlan gra na saksie w klubie Bonhomie na Houtton Street, należącym do panny Lily, nader zasobnej czarnej damy, która podziwia jego tyłek i marzycielskie oczy równie szczerze jak jego grę. On przychodzi tam co najmniej raz albo dwa razy w tygodniu. Sally, jego żona,

uwielbia ten lokal. Marvin, wykidajło, nazywają lalką. Właściwie on nazywa wszystkie kobiety lalkami. Ale Sally jest naprawdę fajną lalką. Nigdy nie zapomnę, jak barman Fuzz dał im butelkę wina na prezent ślubny. Miała prawdziwy korek. Zadziwiające.

Wszystko to było dziwne. Lacey powiedziała powoli, zadowolona, szczęśliwa z nawet krótkiej odmiany:

– Więc chodzisz tam, żeby go słuchać?

Nagle zrobił zakłopotaną minę. Unikał jej spojrzenia. Odchrząknął i mruknął:

– No, tak.

Kłamał. Przechyliła głowę na bok.

– Zabierzesz mnie kiedyś ze sobą? Ja też chętnie go posłucham. No i nigdy nie spotkałam Sally Quinlan. Słyszałam, że jest doradcą senatora.

– Aha. Tak, jasne. Może kiedyś. Zobaczymy.

Nie odpowiedziała. Zbliżali się już do jej domu. Sierp księżyca prześwitywał przez gotyckie chmury - cienkie i wiotkie, układające się w ponure obrazy. Była dopiero ósma trzydzieści, chłodny wieczór z lekkim wiatrem.

– Powinnaś zostawić zapalone światło.

– FBI nie płaci mi aż tak dobrze, Dillon. To by kosztowało majątek.

– Masz system alarmowy?

– Nie. Cóż to? Nagle zacząłeś się martwić? Jeszcze niedawno wyśmiewałeś się z moich zamków.

– Tak, i ciekawiło mnie, dlaczego osoba, która stawiała czoło Mar-linowi jak prawdziwa wojowniczką, potrzebuje w domu więcej zamków, niż prezydent ma ochroniarzy.

– To zupełnie co innego.

– Domyślam się. I nie opowiesz mi o tym?

– Nie mam nic do opowiadania. O co ci chodziło z tym systemem alarmowym?

- Ktoś próbował cię przejechać. To trochę zmienia postać rzeczy. Znowu do tego wrócili.
- To był wypadek.
- Możliwe.
- Dobranoc, Dillon.

Rozdział 20

Lacey otworzyła frontowe drzwi i weszła do małego przedpokoju. Wyciągnęła rękę i przekreśliła kontakt. Światło zamigotało, a po chwili zaświeciło równo. Odwróciła się, żeby zamknąć za sobą drzwi - zasuwa, dwa łańcuchy. Z nawyku zajrzała do salonu i kuchni, zanim przeszła do sypialni. Wszystko wyglądało tak, jak powinno.

Zatrzymała się nagle. Powoli odłożyła na podłogę gimnastyczny pantofel, który właśnie zdjęła. Odwróciła się i nadśluchiwała. Nic.

To tylko nerwy. Przypomniała sobie tę odległą noc w mieszkaniu na trzecim piętrze, kiedy obudziła się, słysząc hałas, i mało nie umarła ze strachu. Potem wzięła się w garść i poszła sprawdzić, kto hałasuje. To była mysz. Mała głupia myszka, tak przerażona, że nie wiedziała nawet, dokąd ma uciekać. I tej nocy nastąpił przełom.

Zdjęła strój gimnastyczny i ruszyła do łazienki. Zanim weszła pod prysznic, przekreśliła zamek w drzwiach, śmiejąc się z siebie. Idiotka, powiedziała głośno, zwolniła zamek i weszła pod prysznic.

Gorąca, gorąca woda. Cudowne uczucie. Dillon mało jej nie zabił, ale gorąca woda pomagała. Czuła, jak obolałe mięśnie nóg jęczały z ulgi.

Powiedział jej, że ćwiczenia chronią go przed nadmiernym stresem. Oraz dają wspaniałe ciało, ale tego mu nie powiedziała. Zaczynała się zastanawiać,

czy nie miał trochę racji z tym stresem. Przez godzinę treningu nie poświęciła ani jednej myśli Marlinowi Jonesowi czy niejednoznaczному raportowi Dzikiego Ralpa Yorka.

Jakieś dziesięć minut później wyszła spod prysznicza do zaparowanej łazienki. Owinęła głowę grubym ręcznikiem z egipskiej bawełny, a potem przetarła lustro końcem drugiego ręcznika.

Spojrzała na zamaskowaną twarz tuż za nią.

Wrzask uwiązał jej w gardle. Zamarła. Nie oddychała, nie mogła oddychać, dopóki świszczące powietrze nie wyleciało jej z ust.

Mężczyzna powiedział miękkiem, cichym głosem, który muskał ciepłem nasadę jej karku:

– Nie ruszaj się teraz, dziewczynko. Spodziewałem się, że trochę później wrócisz do domu. Wyglądałaś na zadowoloną tam w pizzerii, z tym wielkoludem. Co się stało, facet nie potrafił zaciągnąć cię do łóżka? Widziałem, że chciał, bo patrzył na ciebie jednoznacznie. Odmówiłaś mu, prawda? Tak, wróciłaś trochę wcześniej, niż myślałem, ale nie szkodzi. Zdążyłem się rozgościć, poznać cię trochę.

Miał czarną maskę. Oddychał spokojnie, mówił bardzo miękkiem, opanowanym głosem. Czowała lekki nacisk broni u nasady pleców. Była naga, bezbronna, nic, tylko ten śmieszny ręcznik owinięty wokół głowy.

– Dobrze. Stoisz całkiem nieruchomo. Boisz się, że cię zgwałcę?

– Nie wiem. A powinnam?

– Nie myślałem o tym, ale kiedy zobaczyłem cię nago, no, wyglądasz całkiem, całkiem. Podkreśliło mnie, jak śpiewałaś tę piosenkę country pod prysznicem. Co to było?

– *Król drogi.*

– Podobają mi się te słowa... ale pasują do mnie, nie do ciebie. Ty jesteś tylko małą dziewczynką, która bawi się w policjantkę. Król drogi jedzie do Maine,

kiedy załatwił swoje sprawy, tak? Może ja też tam pojedę, jakjuż z tobą skończę.

Powoli, bardzo powoli opuściła ręcznik.

- Czy mogę owinać się ręcznikiem?
- Nie, chcę na ciebie patrzeć. Rzuć ręcznik na podłogę. Zostaw ten na głowie. Podoba mi się. Wyglądasz w nim egzotycznie. To mnie podnieca.

Upuściła ręcznik. Czowała zimny, twardy nacisk broni na kręgosłupie. Została przeskolona, ale co mogła zrobić? Naga, bez broni we własnej łazience. Co mogła zrobić? Rozmawiać z nim: to jej jedyna szansa.

- Czego chcesz?
- Chcę cię przekonać, żebyś tam wróciła, do San Francisco.
- Ty próbowałeś mnie przejechać? Roześmiał się, naprawdę się roześmiał.
- Myślisz, że mogłem zrobić coś takiego, mała dziewczynko? Chociaż wcale nie jesteś taka mała, prawda?

Ręka trzymająca broń wysunęła się w przód i matowo srebrna lufa pogłaskała jej prawą pierś. Lacey wzdrygnęła się i odchyliła do tyłu, ale tylko oparła się o niego plecami i jej biodra napotkały jego biodra.

- Przyjemnie, prawda?

Nadal przyciskał chłodny metal do jej piersi, potem przesunął lufę niżej w stronę brzucha. Lacey dygotała nieopanowanie, jej ciało wzdragało się przed tym dotykiem. Strach doszedł do szczytu, nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma. Wyrzuciła z siebie:

- Dlaczego chcesz, żebym wyjechała z Waszyngtonu?

Broń znieruchomiała. Mężczyzna cofnął rękę.

- Twój tata i mama potrzebują cię w domu. Najwyższy czas, żebyś tam wróciła i wypełniła swoje obowiązki. Nie chcą, żebyś się mieszała w konspirację i zabijanie ludzi, jak to w FBI. Tak, masz wrócić do domu. Przyszedłem cię do tego zachęcić.

- Powiem ci, dlaczego jeszcze nie mogę wrócić. Widzisz, złapałam tego mordercę, nazywa się Marlin Jones i właśnie zabił kobietę w Bostonie. To seryjny zabójca. Nie mogę teraz wyjechać. Wytłumaczę ci, ale to chwilę potrwa. Czy mogę się ubrać? Pójdziemy do kuchni i zrobię kawę, dobrze?
- Uparta z ciebie dziewczynka, co? Wcale ci nie przeszkadza, że mój kutas wbija ci się w tyłek.
- Przeszkadza mi.

Odstąpił do tyłu. Machnął pistoletem w stronę sypialni.

- Włóż szlafrok. Zawsze mogę go zdjąć z ciebie, jeśli zechcę.

Ruszył za nią, zachowując dystans, żeby nie mogła go kopnąć. Nie spojrzała na niego, dopóki nie zawiązała mocno w talii paska od frotowego szlafroka.

- Zdejmij ten turban z głowy i rozczesz włosy. Chcę je zobaczyć.

Ściągnęła ręcznik i zaczęła przeczesać włosy palcami. Czy przysunął się bliżej? Czy dosięgnie go stopą? Musiała działać szybko i dokładnie, bo inaczej ją zabije.

- Użyj tej szczotki.

Potrząsnęła głową, wzięła szczotkę i rozczesywała włosy, wreszcie powiedział:

- Wystarczy.

Wyciągnął rękę i dotknął wilgotnych włosów. Stęknął.

Spokojnie, musiała zachować spokój, ale to było bardzo trudne. Chciała zobaczyć jego twarz, zmienić go w konkretnego człowieka, rzeczywistą osobę, spojrzeć mu twardo w oczy. Czarna kominiarka zrobiła z niego potwora, przerażające monstrum bez twarzy. Ubrany był również na czarno, aż do czarnych tenisówek. Wielkie stopy. Był wielkim mężczyzną, miał długie ramiona, ale obwisły brzuch. Więc nie był już taki młody. Głos niski, trochę chrapliwy, jakby przez lata za dużo palił. Myśl dalej w ten sposób, powtarzała sobie, idąc do kuchni. Zachowaj spokój.

Obserwowała go kątem oka. Opierał się o blat i ciągle celował do niej z pistoletu - małej dwudziestkidwójki -jakby ktoś go uprzedził, że ona przeszła szkolenie i nie powinien zakładać, że nie ma z nim żadnych szans tylko dlatego, że jest kobietą.

- Kim jesteś? Zaśmiał się.
- Nazywaj mnie Sam. Podoba ci się? Tak, to ja, Sam. Mój tatuś też miał na imię Sam. Hej, jestem synem Sama.
- Ktoś cię wynajął.
- Za dużo pytań, dziewczynko. Nastaw tę kawę. I zacznij mówić o tym Marlinie Jonesie. Powiedz, dlaczego jesteś taka ważna w tej sprawie.

Cokolwiek mogła mu powiedzieć o Marlinie Jonesie, niczego to już nie zmieni, ale przynajmniej kupi sobie trochę czasu.

- To ja posłużyłam za przynętę, żeby go złapać w Bostonie. Agenci FBI robią takie rzeczy. Nic nadzwyczajnego. Służyłam za przynętę, ponieważ on zabił moją siostrę siedem lat temu w San Francisco. Nazywali go Sznurobójca. Błagałam gliniarzy, żeby pozwolili mi go złapać. Pozwolili i złapałam, ale to jeszcze nie koniec. Jeszcze nie mogę wrócić do domu.

Odepchnął się od blatu, podszedł do niej i bardzo spokojnie, bardzo powoli podniósł rękę i trzasnął ją pistoletem w skroń. Nie tak mocno, żeby straciła przytomność, ale dostatecznie mocno, żeby w głowie jej zawirowało. Przeszył ją ból. Krzyknęła, dotknęła czoła i zatoczyła się na piecyk kuchenny.

- Potrafię rozpoznać kłamstwo - oznajmił miękko, cichym głosem i szybko wycofał się z zasięgu jej rąk. - Ten facet zaciukał twoją siostrę? Akurat. Hej, ty krwawisz. Rany czaszki krwawią jak jasny gwint, ale nic ci nie będzie. Powiedz mi prawdę, dlaczego chcesz tutaj zostać, bo znowu ci przyłożę.

Nagle usłyszała akcent. Nie, zdawało jej się, w końcu dostała po głowie. Nie, zaraz, co on powiedział? „Jak jasny gwint”. Z lekkim południowym akcentem, tak, właśnie. I sam zwrot też chyba pochodził z południa?

Podniósł rękę. Szybko powiedziała:

– Nie kłamię. Belinda Madigan, czwarta ofiara Sznurobójcy z San Francisco, była moją siostrą.

Nic nie powiedział, lecz zauważyła, że broń drgnęła. Czyżby nie wiedział? Nie, gdyby nie wiedział, po co by przyszedł? W końcu mruknął:

– Mów dalej.

– Marlin Jones oświadczył, że jej nie zabił. Dlatego muszę zostać. Muszę odkryć prawdę. Potem wrócę do domu.

– Ale on ją zabił, prawda?

– Tak, zabił. Długo się zastanawiałam, potem kazałam nawet przeprowadzić testy na drewnianych dekoracjach użytych przy wszystkich morderstwach w San Francisco, technika wbijania gwoździ i wkręcania śrub, takie rzeczy. W Los Angeles jest ekspert, który naprawdę zna się na tym. Ale otrzymał niejednoznaczne wyniki. Marlin Jones ją zabił. Widocznie odgadł, kim jestem, i skłamał, żeby mnie dręczyć. Kim jesteś? Co cię to obchodzi?

– Jestem dziennikarzem. - Znowu się roześmiał. Ten facet lubił się śmiać. Poczula, że krew skapuje z włosów na twarz. Starła ją wierzchem dłoni.

– Tak, jestem dziennikarzem i chciałbym poznać najnowszą sensację. Wy zawsze nabieracie wody w usta i nikomu nie powiecie, co się dzieje. Tak, pracuję dla „Washington Post”. Nazywam się Garfield. -Parsknął śmiechem. Najwyraźniej dobrze się bawił.

Potem równie nagle się wyprostował i wiedziała, że gdyby nie nosił maski, dostrzegłaby jego zimne, groźne spojrzenie.

– Czy to wszystko, dziewczynko?

– Tak, to wszystko - powiedziała głosem drżącym ze strachu. Nie, pomyślała, to nie wystarczy. Pokaż mu więcej strachu, więcej drżenia. - Ale dlaczego ci zależy, żebym wróciła do domu? Pewnie ten, kto cię wynajął, chce się mnie pozbyć. Dlaczego? Nikomu nie zagrażam.

Marlin Jones wypełniał jej myśli. Czy to on stał za tym napadem?

Mężczyzna milczał przez chwilę i wiedziała, że mierzył ją wzrokiem. Kim był?

Wreszcie powiedział, wyciągając rękę, żeby dotknąć zakrwawionego kosmyka włosów:

– Wiesz, co myślę? Myślę, że może jednak Marlin nie zabił twojej siostry. Jesteś jak mały terier, ujadasz, szarpiesz i ciągniesz, a i tak niczego nie znajdziesz. No, chyba nie muszę wiedzieć nic więcej. Powiem ci po raz ostatni. Wyjedź z Waszyngtonu. Zostań w FBI, jeśli chcesz, ale załatw sobie przeniesienie. Wracaj do domu, dziewczynko. A teraz się zabawimy.

Podszedł do niej, celując prosto w klatkę piersiową.

– Rusz tyłeczek do sypialni. Chcę, żebyś się grzecznie rozłożyła na łóżeczku. Potem zobaczymy.

Wiedziała, że prośby nic nie pomogą. Odwróciła się i wyszła z kuchni. Zamierzał ją zgwałcić. Potem i tak ją zabije? Możliwe. Ale gwałt, ona tego nie wytrzyma, za nic. Prędzej pozwoli się zabić niż zgwałcić. Kto go wynajął?

Co robić? On uważa, że Marlin nie zabił Belindy. Przecież to nie jego sprawa. O co mu chodzi?

– Proszę, powiedz mi, kim jesteś? Tylko machnął pistoletem w stronę łóżka. Teraz stała obok łóżka, ale nie chciała się położyć, nie mogła nawet myśleć, że on będzie na niej, że nad nią zapanuje.

– Zdejmuj ten szlafrok.

Mocniej przycisnęła pięści do boków. Uniósł broń. Zdjęła szlafrok.

– Teraz kładź się i rozłóż dla mnie nogi bardzo szeroko.

– Dlaczego myślisz, że Marlin nie zabił mojej siostry?

– Interesy skończone. Czas na zabawę. Kładź się, dziewczynko, bo zrobię ci prawdziwą krzywdę.

Nie mogła tego zrobić. Nie mogła.

Zbliżył się o krok, uniósł broń. Zamierzał znowu uderzyć ją kolbą, pewnie tym razem złamać jej szczękę. Musiała coś zrobić.

Zadzwoił telefon.

Oboje wytrzeszczyli oczy na aparat.

Znowu zadzwonił.

- To pewnie mój szef- powiedziała, modląc się jak nigdy w życiu. -Wie, że jestem w domu. Obiecał, że zadzwoni. Chciał ze mną omówić pewną sprawę.
- Ten wielki facet, który cię tutaj odprowadził? To twój szef? Przytaknęła i ponownie pożałowała, że nie widzi jego twarzy, wyrazu jego twarzy.

Kolejny dzwonek.

- Odbierz. Ale uważaj, co mówisz, bo zastrzelę cię na miejscu. Podniosła słuchawkę i cicho powiedziała:
- Halo?
- To ty, Sherlock?
- Tak, sir, to ja, sir.

Milczał przez chwilę. Modliła się z całej duszy.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że Sally chce się z tobą spotkać. Prosiła, żebyś przyszła do klubu Bonhomie jutro wieczorem. Quinlan będzie grał przez oba wieczory.
- To miło, sir, ale pan wie, że nigdy nie mieszam interesów z przyjemnością. Zawsze przestrzegam tej zasady, sir.

Intruz wymówił bezdźwięcznie, samymi wargami:

- Spław go!
- Muszę kończyć, sir. Proszę przekazać Sally wyrazy ubolewania, sir. O spotkaniu, które pan chciał ze mną omówić, sir, porozmawiamy jutro, przyjdę wcześniej. Teraz już muszę kończyć.

Lufa wbijała się w skroń. Lacey przełknęła ślinę i delikatnie odłożyła słuchawkę.

– Słyszałem, co ten facet mówił. Twoje szczęście, że tego nie schrzaniłaś, dziewczynko. No.

Wyciągnął z kieszeni kawałek cienkiej nylonowej linki.

– Podnieś ramiona nad głowę.

Chciał ją związać. Potem zrobi z nią wszystko, co zechce.

Powoli, powoli uniosła ramiona. Dlaczego kupiła mosiężne łóżko z mosiężnymi prętami w wezłowiach? Podchodził bliżej; jeszcze trochę, jeszcze trochę i będzie miała szansę.

Pochylił się z linką w jednej ręce, z bronią w drugiej. Chyba nie bardzo wiedział, co zrobić z pistoletem. Odłóż go, zaklinała w myślach, patrząc mu w oczy. Odłóż go. Jestem chuda. Słabsza od ciebie. Nie bój się.

Podjął decyzję. Cofnął się.

– Przekręć się na brzuch. Zagapiła się na niego.

– Rób, co ci każę, bo pożałujesz.

Nie mogła tego zrobić. Po prostu nie mogła. Bez namysłu, bez wahania poderwała się i walnęła go bykiem w brzuch. Jednocześnie obiema pięściami uderzyła w jego przedramiona. Usłyszała, jak klnie, usłyszała ból w jego głosie. Błyskawicznie rzuciła się na podłogę, przetoczyła się na plecy. Zgiął się w pół nad nią, trzymając broń w górze, więc kopnęła z całej siły i trafiła go stopą w dłoń.

Pistolet pofrunął w powietrzu.

Rzucił się na nią. Twardą pięścią rąbnął ją w szczękę, potem uniósł jej głowę, chwycił garść wilgotnych włosów i uderzył jej głową o podłogę, raz, drugi, trzeci. Usłyszała wrzask i jęk. To ona jęczała i krzyczała. Próbowwała podciągnąć nogi, żeby go kopnąć, ale nie mogła. Poczowała odrętwienie, potem ostry ból w głowie. Nad sobą słyszała jego stłumione przekleństwa, coraz bardziej odległe. Zdawało jej się, że znowu zadzwonił telefon. Zdawało jej się, że napastnik ciężko dyszy. Potem nie wiedziała już nic. Zapadła w ciemność.

Savich umierał ze strachu. Frontowe drzwi stały otworem. Zmusił się, żeby zachować ostrożność, żeby wejść powoli, chociaż chciał wtargnąć do środka jak burza. Na Boga, co się stało?

Wydobył broń i wśliznął się do wnętrza domu. Powoli sięgnął do przełącznika i zapalił światło. W następnej sekundzie kucał, omiatając przestrzeń przed sobą lufą sigasauera.

Nikogo.

– Sherlock?

Cisza.

Teraz już nie czekał. Pobiegł do salonu, zapalając po drodze światła. Nie było jej tam. Ani w kuchni.

Przebiegał przez korytarz, kiedy usłyszał jęk.

Leżała na podłodze obok łóżka, naga. Krew spływała jej po twarzy.

Upadł na kolana, wyczuł palcami puls na jej szyi. Powolny i regularny. Obrócił ją.

– Sherlock!

Obudź się!

Znowu jęknęła, niski dźwięk z głębi gardła. Próbowwała podnieść rękę do twarzy, ale nie dała rady. Ręka opadła bezwładnie. Chwycił ją, zanim uderzyła o podłogę, i położył na jej brzuchu.

Pochylił się nisko, centymetry od jej twarzy.

– Sherlock, obudź się, do cholery. Napędziłaś mi śmiertelnego stracha. Obudź się!

Usłyszała jego głos. Wydawał się bardzo rozgniewany - nie, nie rozgniewany, tylko głęboko zatroskany. Musiała otworzyć oczy, ale wiedziała, że każdy ruch przypłaci koszmarным bólem.

– Mów do mnie. No, spróbuj, powiedz coś.

Zdołała otworzyć oczy. Twarz miał rozmazaną, lecz głos brzmiał wyraźnie, głęboko i wyjątkowo rozsądnie. Czowała taką wdzięczność, taką ulgę. Wyszeptała, pokonując ból:

- Przyszedłeś. Wiedziałam, że te wszystkie „sir” cię sprowadzą.
- Sprowadziły. Kiedy pierwszy raz to powiedziałaś, chciałem cię porządnie obrugać, ale potem znowu to powiedziałaś i zrozumiałem, że coś się stało. Gdzie cię uderzył?
- W głowę, kolbą broni. Nie chciał pytać, ale musiał.
- Zgwałcił cię?
- Chciał, ale po prostu nie mogłam mu pozwolić. Kazał mi się położyć na brzuchu. Kiedy się zbliżył, zaatakowałam. Wtedy zrzucił mnie z łóżka i zaczął walić moją głową o podłogę. Trochę teraz boli, Dillon.
- Czy uderzył cię w inne miejsce?
- Tylko pięścią w szczękę.
- Położę cię na łóżku.
- On poszedł? Na pewno poszedł? Nie chcę, żeby zrobił ci krzywdę. Zrobił mu krzywdę? Krew spływała jej po twarzy, a ona martwiła się o niego?
- Zaraz zamknę drzwi na klucz. Wsunął pod nią rękę i dźwignął z podłogi. Nie ważyła wiele. Położył ją na łóżku i szybko nakrył kocem.
- Nie ruszaj się - powiedział i ruszył do frontowych drzwi. Wyjrzał na zewnątrz, potem wrócił do domu i zaryglował drzwi. Siedząc obok niej na brzegu łóżka, powiedział cicho:
- Nikogo nie ma w okolicy. Teraz zadzwonię po karetkę i zabiorą cię do szpitala. Jej dłoń wystrzeliła w górę.

- Nie, nie do szpitala. Nic mi nie jest. Mam bardzo twardą głowę. Może wstrząs, ale na to nic nie pomoże, tylko czas. Czas mam tutaj. Proszę, nie do szpitala. Nienawidzę szpitali. Znowu zrobią mi zastrzyki w tyłek. To okropne.

Popatrzył na nią i podniósł słuchawkę telefonu. Wybrał numer.

- Tu Savich. Przepraszam, że przeszkadzam, Ned, ale czy możesz przyjechać pod ten adres i zbadać jednego z moich agentów? Facet, który na nią napadł, uderzył ją mocno w głowę. Nie wiem, czy nie potrzeba szwów. Nie, nie do szpitala. Tak, dzięki.

Kiedy odłożył słuchawkę, powiedziała:

- Lekarz, który składa domowe wizyty? To rzadsze niż gołąb wędrowny.
- Ned Breaker ma wobec mnie dług. W zeszłym roku odebrałem jego dzieciaka kidnapierem. To porządny facet. Zaprzyjaźniliśmy się. No, dość tego. Przyjedzie tutaj najwcześniej za pół godziny. Czujesz się dostatecznie dobrze, żeby mi powiedzieć, co się stało?
- Po twoim wyjściu wzięłam prysznic. Wyszłam z kabiny. Stał za mną, kiedy wytarłam parę z lustra. Nosił czarną kominiarękę i miał tanią dwudziestkędwójkę. Chciał, żebym wyjechała z miasta. Potem opowiedziałam mu o Marlinie Jonesie i wydawał się zainteresowany. Nie wiem, czy osoba, która go przysłała, kazała mu mnie zgwałcić. Może tylko próbował mnie nastraszyć, jak ten pirat drogowy, i udało mu się. Ale głównie chodziło o to, żebym wróciła do domu, do rodziny. Kiedy go zapytałam, czy to on próbował mnie przejechać, nie odpowiedział. Myślę, że to mógł być on. Miał lekki akcent, chyba z Alabamy.
- Co mu powiedziałaś o Marlinie Jonesie?
- Prawdę. Nie miałam powodu kłamać. Myślę, że to Marlin Jones go przysłał... Próbował nie okazywać zainteresowania Marlinem, ale kiepsko udawał. Chciał mi wmówić, że Marlin jest niewinny.

- Jesteś pewna?
- Tak, ale z drugiej strony myślę, że miał za zadanie nastraszyć mnie na tyle mocno, żebym zdecydowała się na wyjazd. Potem oświadczył, że interesy skończone i chce mnie zgwałcić.

Oczy miała mętne, mówiła coraz wolniej, coraz bardziej bełkotliwie. Potrząsnął ją za ramiona.

- Sherlock, nie zasypiaj. Trzymaj się, dasz radę. - Lekko trzepnął ją po policzku, potem wziął ją pod brodę. - Obudź się.

Zamrugła z wysiłkiem. Chciała mu powiedzieć, że dotknięcie jego ręki na podbródku sprawia jej ból, ale wyszeptała tylko:

- Pewnie wstrząs. Nie zasnę, obiecuję. Chciał związać mi ręce nad głową, przywiązać do prętów łóżka, ale wiedział, że go zaatakuję, jeśli odłoży broń, więc kazał mi się położyć na brzuchu. Nie mogłam tego zrobić, Dillon, po prostu nie mogłam. I wtedy...

Kurtyna, czarna kurtyna opadała jej na oczy, na mózg. Nic nie widziała.

- Obudź się, Sherlock!
- Nie śpię. Nie krzycz na mnie, to boli. Nie wykituję tutaj przy tobie, obiecuję. Ale nic nie widzę.
- Bo masz zamknięte oczy.
- Nie dlatego.

W następnej chwili straciła przytomność, głowa opadła jej na bok. Jeszcze nigdy w życiu tak szybko nie wystukał numeru pogotowia.

Rozdział 21

Żar parzył ją w głowę. Nigdy nie czuła takiego gorąca. Zaraz pochłoną ją płomienie. Nie, to było światło, prawdziwe światło, nie żaden koszmar ze snu. Za jasne, za silne, za gorące. Przepalało powieki. Próbowwała odwrócić się od światła, ale każde poruszenie wywoływało ból.

– Sherlock? Słyszysz mnie? Otwórz oczy.

Oczywiście, że go słyszała. Mówił tym swoim głębokim głosem, który wprawiał w drżenie końcówki jej nerwów, a ona nie mogła odpowiedzieć, usta miała zbyt wyschnięte. Próbowwała sformułować słowa, lecz nie wydała żadnego dźwięku.

Jakaś kobieta powiedziała:

– Daj jej trochę wody.

Ktoś uniósł jej głowę. Poczowała zimną wodę na wargach i otworzyła usta. Zakrztusiła się, potem przełykała wolniej. Piła i piła, aż woda pociekła po brodzie.

– Teraz możesz mówić?

– Światło - szepnęła. - Proszę, światło.

Ten sam kobiecy głos powiedział:

– Na pewno ją razi.

W następnej chwili światło zgasło i zapadł półmrok. Odetchnęła z ulgą.

– Tak lepiej. Gdzie jest Dillon?

– Jestem tutaj. Nastraszyłaś mnie za cały rok. Tak nam dobrze szło, a ty miałaś czelność zemdleć.

– Przepraszam, to niechcący. Niepotrzebnie się wygłupiłam. Czy moje ubezpieczenie zdrowotne pokryje koszty pogotowia i ostrego dyżuru?

- Wątpię. Pewnie potracą ci z pensji. To jest doktor Breaker. Dotarł do twojego domu jednocześnie z pogotowiem i utrzymuje, że jechał z niedozwoloną prędkością.
- Twój głos wprawia mnie w drzenie... ciemny i miękki, jak spadanie do głębokiej, głębokiej studni. Gdybym była przestępcą, przyznałabym się do wszystkiego, żebyś tylko dalej mówił do mnie tym głosem. Cudowny głos. Aksamitny... tak by go określił pisarz.
- Dziękuję. Chyba.
- Agentko Sherlock, jestem doktor Breaker.

Zaświecił jej ołówkową latarką w oczy, obmacał guzy na głowie i powiedział przez ramię do Dillona:

- Ona nie potrzebuje szwów, wystarczy mój magiczny plaster. Rany czaszki mocno krwawią.
- Krwawią jak jasny gwint.
- Tak, racja. Interesujący zwrot.
- Tak powiedział ten mężczyzna. Z południowym akcentem. Rozciągnął „gwint” na dwie sylaby.

Już to mówiła, ale pochwalił ją:

- Dobrze, Sherlock. Coś jeszcze?
- Nie tak szybko, Savich. Zaczekaj chwilę. Oczyszczę jej rany, a potem możesz zagadać ją na śmierć. - Odchrząknął. - Nie została zgwałcona?
- Nie, nie zostałam zgwałcona. I nie umarłam, doktorze. Może pan mnie pytać.
- Widzi pani, zawdzięczam wszystko tu obecnemu Savichowi, a pani zupełnie nic nie jestem winien. Jeśli on chce, żebym zdawał mu raport, proszę bardzo.
- Ja zdaję mu raport. Pan zdaje mu raport. Niedługo prezydent będzie zdawał mu raport. Może to nie taki zły pomysł. Głowa mnie boli.
- Ja myślę. Proszę leżeć spokojnie. Zrobiliśmy pani tomografię komputerową. Nie ma powodu do zmartwień, wszystko w normie. Zawsze robimy

tomografię przy urazach głowy, żeby wykryć ewentualne krwiaki. U pani ich nie stwierdziliśmy. Co się pani stało w ramię? Po co ten temblak?

- Rana od noża - wyjaśnił Savich. -Już prawie zagojona. Sprzed paru tygodni.
- Czemu nie zaczekałeś, aż wyzdrowieje, zanim znowu wysłałeś ją na arenę z dzikimi zwierzętami?

Roześmiała się, bo nic innego nie mogła zrobić.

Następnym razem, kiedy usłyszała jakiś głos, był to głos obcego mężczyzny.

- Kiedy wyleciałeś z klubu jak wariat na hulajnodze, myślałem, że Sally każe Mandnowi cię sprać. Przestraszyłeś nas, Dillon. To jest Sherlock?
- Tak, to ona w całej okazałości.
- Wygląda jak mała mumia, tylko skórę ma mniej pomarszczoną.
- Dzięki - powiedziała Lacey, nie otwierając oczu. Dopiero teraz się zorientowała, że ma na głowie wielki bandaż. Podniosła rękę, żeby go dotknąć, ale z niesmakiem spostrzegła, że brakuje jej sił. Doktor Breaker miał rację. To niesprawiedliwe, że znowu oberwała, zanim zdążyła się wyleczyć z wcześniejszych ran. Ręka jej opadła, ale Dillon chwycił ją i położył delikatnie na pościeli.
- Żyjesz, Sherlock?
- Tak, dziękuję. Mam tego dosyć, sir. Ostatnim razem w tym bostońskim szpitalu przynajmniej mogłam siedzieć.
- Przestań skamleć. Przeżyjesz.
- Mówi do ciebie sir? Mój Boże, Dillon, czy wymagasz, żeby wszyscy twoi podwładni mówili ci sir?
- Nie, tylko kobiety. Wtedy czuję się wszechmocny.
- On kłamie - powiedziała Lacey, rozklejając oporne powieki. Z ulgą zobaczyła, że w pokoju panuje półmrok. - Zabiera wszystkie kobiety do

siłowni i wdeptuje je w podłogę. Ten sir to mój pomysł. Miałam nadzieję, że poczuje się winny.

- Nie czuję się winny. Odprowadziłem cię do domu. Chcesz mi wmówić, że powinienem wejść razem z tobą? Sprawdzić wszystkie szafy i zajrzeć pod łóżko? No, może odtąd zacznę tak robić. Za często ściągasz na siebie kłopoty, Sherlock.

Lecz w jego głosie brzmiało poczucie winy, ogromne poczucie winy. Chciała mu powiedzieć, żeby się nie wygłupiał, ale dodał szybko:

- To jest agent specjalny James Quinlan. Znamy się z dawnych czasów.
- Mówisz tak, jakbyśmy się zbliżali do emerytury, Dillon. Cześć, panno Sherlock.

Ujął jej dłoń.

- Pan też mówi do niego Dillon.

Miał silną rękę, z odciskami na kciuku. Widziała wcześniej siateczkę blizn na dłoniach Savicha: cienkie, białawe blizny. Powiedział jej, że rzeźbił. Co rzeźbił?

- Tak, zawsze uważałem, że Savich zbyt odgrywa twardziela, wielkiego macho, więc mówiłem do niego po imieniu, żeby oszczędzić własną męskość. Poza tym jestem twardszy od niego. Hej, co to za imię?
- Był z panem w tym miejscu nazywanym Zatoką?
- Nee, zjawił się dopiero po całej zabawie.
- Kłamiesz. Uratowałem Sally.
- To prawda, pomógł mi. Trochę. Dillon zawsze mnie wspiera.
- Pan jest mężem Sally?
- Tak, ożeniłem się z tą chudziną. Muszę pani powiedzieć, agentko Sherlock, że wcale mi się to nie podoba. Ktoś na panią nastaje, musimy się dowiedzieć, dlaczego.
- Nikomu to się nie podoba, Quinlan - oświadczył Savich. - Opanuj swój instynkt posiadania. Ona nie jest w twojej jednostce. Bez obaw, dogrzebię się

do samego dna. Sherlock, ty naprawdę wyglądasz jak mumia. Chcesz trochę wody, zanim znowu zacznę cię przypiekać? Użyję swojego specjalnego głosu. Quinlan też ma niezły głos, ale nie taki aksamitny.

Żaden się nie odezwał, dopóki piła. Potem Quinlan parsknął śmiechem, kiedy Savich powiedział:

- Lepiej podawać ci słomkę, niż poić cię z kubka. Nie ślinisz się tak bardzo.
- Tylko dlatego, że za pierwszym razem próbowałeś mi wlać do gardła pełną szklankę wody... ojej, znowu robię się paskudna, sir.
- Jeszcze nie, agentko Sherlock - zaprzeczył Quinlan. - Ee, wiedziała pani, że w zeszłym miesiącu obchodziliśmy z Sally rocznicę ślubu? W październiku. Dillon znalazł kościół i wyznaczył datę.
- Dlaczego on?
- No, wtedy byłem trochę nie tego, a Sally tak się o mnie martwiła, że nawet nie pomyślała o małżeństwie. Więc Dillon zajął się wszystkim.
- On chciał powiedzieć, że miał kulę w sercu i niewiele mógł zrobić poza ładowaniem sobie morfiny w żyłę. Sally pewnie zgodziła się wyjść za niego z litości.

Uśmiechnęła się i na szczęście nie zabołało.

- O rany. Czyżbym wybrała niewłaściwy zawód?
- Zaczęła pani całkiem dobrze - rzekł Quinlan. - Dwukrotnie ranna, a ukończyła szkolenie kiedy? Miesiąc temu? Nie trzeba się martwić. Skończyłem trzydzieści cztery lata i ciągle żyję, tak jak Savich.

Za drzwiami rozległy się głosy. Quinlan uniósł brew i powiedział:

- Chyba właśnie wparowała moja zadymiarzka żona. Ten strażnik, którego postawiłeś przed drzwiami, nie ma szans, Dillon.
- Owszem - potwierdziła bardzo ładna młoda kobieta w wieku Lacey, która weszła do pokoju. Miała popielatoblond włosy, spięte spinkami, i błękitne oczy o miękkim, łagodnym spojrzeniu, które widziały zbyt wiele. Była

szczupła i przy dwóch mężczyznach wydawała się bardzo drobna. Choć wcale nie wyglądała jak chudzielec.

- Nie miejcie pretensji do agenta Crammera. On mnie zna. Pomagał mi grillować te kolby kukurydzy w zeszłym miesiącu, pamiętasz, James?
- Nasza przygoda z wegetariańskim grillem - oznajmił James Quinlan z niesmakiem i szturchnął Savicha w ramię. - To dla ciebie musiałem grillować kaczany kukurydzy. Tamtego dnia straciłem jeszcze więcej męskości.
- Twoja męskość ostatnio budzi liczne wątpliwości - odciął się Savich. - Hej, Sally, to jest Sherlock. To ona potrzebowała twojej pomocy, przy urządzeniu mieszkania i w końcu poradziła sobie sama. Po prostu zadzwoniła do jednego z tych kosztownych dekoratorów i facet wyłaził ze skóry, żeby ją zadowolić. Miękka dłoń lekko pogładziła czoło Lacey.
- Naprawdę porządnie nastraszyłaś naszego Dillona. Widziałam, jak rozmawiał przez telefon i zrobił się biały jak ściana, rzucił słuchawkę i wybiegł z klubu. Panna Lily myślała, że tak się napalił i nie może wytrzymać ani sekundy dłużej. A barman Fuzz tylko pokręcił głową i powiedział, że Savich powinien czasami strzelić sobie piwko na uspokojenie. Na to wykidajło Marvin mówi, że cieszy się, że Savich nie pije. Nie chciałby go wyrzucać z knajpy.
- Chciałabym poznać tych ludzi - powiedziała Lacey. - Dillon mówił, że chodzi tam słuchać pana Quinlana.
- No jasne, ale nie tylko, on...
- No, Sally - przerwał jej obcesowo Savich. - Sherlock zaraz nam spadnie z łóżka. Zostawmy ją w spokoju. Potrzebuje odpoczynku. A, jest doktor Breaker. Ned, twoja pacjentka ma szkliste spojrzenie.
- Wyjść - rozkazał doktor Breaker, nie patrząc na żadnego z gości. Kiedy zostali sami, powiedział cicho, mierzając jej puls: - Nie pozwoliłem pani od razu urządzać przyjęcia. A skąd takie fajne nazwisko?

- Mój tata. Jest sędzią. Słyszałam, że adwokaci nie cierpią występować na jego sali sądowej. Mówią, że ich klienci śmiertelnie się boją sędziego o nazwisku Sherlock.

Uśmiechnęła się do lekarza, potem zamknęła oczy i głowa opadła jej na bok. Doktor Breaker delikatnie położył jej rękę na łóżku. Zbadał oczy. Stał spokojnie i obserwował jej twarz. Potem kiwnął głową. Wszystko w porządku. Wyzdrowieje. Zdażył stanąć tylko jedną nogą za drzwiami, kiedy dopadł go Savich i zapytał:

- No?
- Żadne „no”, Savich. Nic jej nie będzie. Teraz zasnęła i powinna spać do rana po tych lekach. Paskudny przypadek. Facet mógł ją zabić, jak walił jej głową o podłogę, nie wspominając o uderzeniu w skroń.

Savich westchnął, wpatrując się we własne splecione dłonie.

- Bardzo dziękuję, że tak szybko przyjechałeś. Jak długo ona tutaj zostanie?
- Jeszcze jeden dzień, moim zdaniem. Jak ci mówiłem, tomografia nic nie wykazała. Nie ma żadnych krwiaków, żadnych zmian widocznych dla radiologa. Rano zbadam ją ponownie. Teraz wracam do domu, do łóżka.

Kiedy doktor Breaker zniknął w windzie, Quinlan odezwał się:

- To dziwna sprawa, Dillon. Chcesz mi o tym opowiedzieć? Savich spojrzał na dwoje swoich najlepszych przyjaciół i oznajmił powoli:
- Wpadłem po uszy w gówna.
- Co to znaczy? - zapytała Sally, siadając na ławce obok niego. Tylko pokręcił głową.
- Słuchajcie, dzięki, że przyjechaliście. Ja chyba tutaj zostanę. Jedna pielęgniarka zaproponowała mi łóżko. Lepiej się poczuję, jeśli Crammer zostanie przed drzwiami, a ja w pokoju. Wtedy Sherlock będzie bezpieczna.
- Nie podejrzewasz, kto za tym stoi?

– Może ktoś związany z Marlinem Jonesem, to ma najwięcej sensu. Ale kto? Z tego, co wiemy, Jones to samotnik. I dlaczego mu zależy, żeby wyjechała z miasta? Poza nim nikt mi nie przychodzi do głowy. No, ale jest ktoś jeszcze. Zobaczymy. To jakaś tajemnica, bardzo zagmatwana i zawikłana.

Ku jego uldze ani Sally, ani Quinlan nie zadawali więcej pytań.

Godzinę później leżał na plecach na bardzo twardej pryczy, słuchając równego oddechu Lacey. Raz jęknęła, więc natychmiast poderwał się na nogi i przyskoczył do łóżka, ale Lacey spała. Stał i patrzył na nią, bladą i zabandażowaną, z igłą od kroplówki w ramieniu. Drgnęła, zacisnęła rękę w pięść i znowu się odprężyła. Nie podobało mu się to wszystko. Dlaczego ten facet chciał sprawdzić, co wiedziała o Marlinie Jonesie? To nie miało sensu. Jeśli ktoś inny zabił Belinę, ktoś z rodziny, to logiczne, że chcieli odsunąć ją od sprawy. Ale w takim razie dlaczego wynajęli człowieka, który miał jej powiedzieć, że Marlin jest niewinny? Gdyby dokładnie to przemyślał, sprawdził każdy najdrobniejszy szczegół, na pewno znalazłby odpowiedź. Leciutko dotknął czubkami palców szczęki Lacey. Podbródek miał kolor zgniłej zieleni. Savich odstał od łóżka.

Położył się, czując obok dłoni chłodną gładź pistoletu. Słuchał oddechu Lacey, wreszcie po nieskończonej dłużej czasie zapadł w sen.

– Chcę wracać do domu.

– No, no, agentko Sherlock, moim zdaniem powinnaś zostać jeszcze na dzień. Personel medyczny lubi tutaj trzymać agentów FBI. Wtedy czują się ważni. Ach, i mają nad tobą drobną przewagę, bo mogą chodzić, a ty leżysz.

– Na pewno to wymyśliłeś. Pielęgniarka dzisiaj rano była bardzo słodka, kiedy kłuła mnie igłą. I nie w tyłek, dzięki Bogu. Doktorze Breaker; już czwarta po południu. Od dziewiątej rano liczę owce. Czuję się świetnie. Głowa trochę

mnie boli, ale nic więcej, nawet nie czuję skaleczeń. Proszę, doktorze Breaker, chcę wrócić do domu.

– Porozmawiajmy o tym jeszcze trochę - zaproponował, odsuwając się od łóżka. - Aha, możesz mi mówić Ned.

Lacey przerzuciła nogi przez krawędź łóżka.

– Potrzebuję jakiegoś ubrania, Ned.

– Nie zdejmuj skarpetek. Przyniosłem ci ubranie, Sherlock. Ned mnie uprzedził, że pewnie zażądaś wypisania.

Spuściła wzrok na bose stopy.

– Nie mam nawet skarpetek, tylko tę nędzną szpitalną koszulę rozciętą z tyłu. Savich się roześmiał.

– No i jak, Ned, mam cię od niej uwolnić?

– Bierz ją sobie, Savich. Nic jej nie będzie. Potrzebuje jedynie odpoczynku i tych pigulek w razie bólu. - I podał mu buteleczkę z tabletkami.

– Żegnaj, agentko Sherlock. Dziwaczne nazwisko. Na twoim miejscu zmieniłbym je. Jak ci się podoba Jane Sherlock?

– To nie było zabawne, Ned - burknął Savich, ale doktor Breaker chichotał rozbawiony. -Jeszcze nie miałem okazji tego powiedzieć. To stary dowcip, wiesz?

– Tak - odrzekła Lacey - wiem.

– Więc już go słyszałaś?

– Słyszałam wszystkie. Dziękuję, doktorze Breaker. Dillon, daj mi ubranie i wyprowadź doktora.

– Tak jest, psze pani.

Savich czekał za drzwiami. Rozmawiał z agentem Crammerem, młodym człowiekiem o rumianej twarzy i beczkowatej klatce piersiowej, magistrem księgowości po Uniwersytecie Pensylwanii. Gdy Lacey wyszła, podniósł wzrok, ocenił jej strój i uśmiechnął się szeroko.

– Nieźle, co? Nie aresztuje cię policja od mody.

Przyniósł jej ciemnozieloną jedwabną bluzkę, niebieskie dzinsy niebieski blezer i pantofle na niskim obcasie, które nosiła tylko raz. Podobał jej się ten zestaw, ale sama nigdy by go nie wybrała. Wyglądała w nim zbyt...

– Wygląda pani naprawdę szalowo, agentko Sherlock - powiedział Crammer.

– Tak - zgodził się Savich - naprawdę szalowo. Nawet uroczo.

– Agent specjalny powinien wyglądać tylko kompetentnie i solidnie. Pojadę do domu i się przebiorę.

– Z tym bandażem na głowie nie wybiorą cię na Miss Kompetencji. Lepiej zostań przy swoim uroku.

– Chcę wrócić do domu, sir.

– Crammer, dziękuję za pilnowanie. Kazali jej zjechać na dół w wózku.

– Gotowa?

Wytrzeszczyła oczy na czerwonego porsche.

– To twój?

– Tak, to mój.

– Jak się do niego mieścisz?

Widocznie nie spodziewał się po niej takiej reakcji, bo zachichotał.

– Mieszczę się - powiedział tylko i otworzył przed nią drzwi. Rzeczywiście się zmieścił.

– To cudowne. Douglas jeździ czarnym porsche 911 z 1990 roku. Za każdym razem, kiedy prowadzę ten cholerny samochód, dostaję mandat za przekroczenie szybkości.

– Dlatego, że nie uważasz. A teraz, Sherlock, na razie nie pojedziesz do domu.

– Aleja muszę wracać do domu. Muszę podlać kwiaty...

– Quinlan podleje kwiaty. On ma cudowne podejście do roślin. Pewnie nawet im śpiewa. Sally mówi, że te jego afrykańskie fiołki pewnie kiedyś spróbują pójść z nim do łóżka. Nie martw się o swoje kwiaty.

- Gdzie chcesz mnie zawieźć? Do jakiegoś bezpiecznego domu?
- Nie. Do siebie.

Rozdział 22

- Nikt nas nie śledził, tak, widziałem, że też się oglądałaś. Zapomnij na chwilę o przykrościach. Co myślisz o mojej skromnej chałupce?
- Zapomniałam o przykrościach, jak tylko tutaj weszłam. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. - Uniosła twarz i przysłoniła oczy rozczapierzonymi palcami. - Pełno tu światła.

Był to prosty jednopiętrowy domek. Miał wysokie, jasne, belkowane sufity z wielkimi świetlikami, ściany pomalowane na łagodny kremowy kolor. Meble były beżowe, złote i w różnych odcieniach brązu. Na dębowych podłogach leżały perskie dywany, stare, o stonowanych barwach. Na piętro prowadziły kręcone dębowe schody, pokryte chodnikiem w licznych odcieniach błękitu. Wzdłuż podestu biegła bogato rzeźbiona dębowa balustrada.

- Dillon - powiedziała powoli Lacey i odwróciła się, żeby spojrzeć na niego po raz pierwszy, odkąd weszła do tego czarodziejskiego miejsca - moje mieszkanie to jak stajnia przy Wersalu w porównaniu z twoim. W życiu nie widziałam czegoś takiego. Masz w sobie niezbadane głębie. O rany, nie czuję się najlepiej.

Na szczęście nie zemdlilo jej, ale upadła na jeden z wielkich, miękkich, jasnobrązowych skórzanych foteli, zamknęła oczy i kilkakrotnie przełknęła ślinę. Savich oparł jej stopy na skórzanym podnóżku.

- Musisz coś zjeść. Nie, musisz odpocząć. Ale najpierw przyniosę ci wody. Co powiesz na słone krakersy? Moja ciotka Faye zawsze karmiła słonymi rzeczami moje ciężarne krewne. Jak myślisz?

Niechętnie otwarła jedno oko. Westchnęła i znowu przełknęła.

– Nie jestem w ciąży, Dillon, ale wiesz, słone krakersy to chyba niezły pomysł.

Nakrył ją grubo tkanym złocistym pledem i wyszedł do kuchni. Kuchni jeszcze nie widziała. Zastanawiała się, czy tam też sufit jest równie wysoko, jak w reszcie domu.

Kiedy zjadła słonego krakersa i popiła wodą, powiedziała:

– Myślę, że FBI za dużo ci płaci. Mógłbyś otworzyć dom dla zwiedzających i sprzedawać bilety.

– Jestem biedny, Sherlock. Odziedziczyłem ten dom i trochę drobnych po babci. Była artystką... akwarele i akryle.

– Profesjonalną artystką? Jak się nazywała?

– Sarah Elliott.

Wpatrywała się w niego z uniesioną brwią, żując kolejnego krakersa.

– Żartujesz - odezwała się wreszcie. - Chcesz mi wmówić, że Sarah Elliott była twoją babką?

– Tak. Ze strony matki. Wspaniała stara dama. Umarła pięć lat temu, w wieku osiemdziesięciu czterech lat. Pamiętam, jak mi powiedziała, że przyszedł na nią czas odejść, bo artretyzm fatalnie pokrzywił jej ręce. Nie mogła już utrzymać pędzla. Odparłem na to, że ma talent nie w rękach, lecz w głowie, więc niech nie gdera, tylko maluje, trzymając pędzel w zębach. - Zamilkł na chwilę, spoglądając z uśmiechem na obrazek rozkwitającej orchidei. - Myślałem najpierw, że mi przyłoży, ale potem zaczęła się śmiać. Miała bardzo głęboki, serdeczny śmiech. Przeżyła jeszcze rok i malowała, trzymając pędzel zębami.

Nigdy nie zapomniał, kiedy pierwszy raz zobaczył ją z pędzlem sterczącym z ust. Na jego widok uśmiechnęła się i mało nie upuściła narzędzia pracy. To była jedna z najszcześniejszych chwil w jego życiu.

– I byłeś ulubionym wnukiem Sarah Elliott? Dlatego zostawiła ci ten piękny dom w środku Georgetown?

– No, martwiła się o mnie, ponieważ wybrałem karierę w FBI i komputerowe machlojki.

– Machlojki? To mi się podoba. Ale właściwie dlaczego się martwiła?

Podciągnęła pled wyżej. Za lewym uchem powoli narastał ból. Nie cierpiała tego. Nawet ramię ją bolało w miejscu, gdzie Marlin Jones ją zranił parę tygodni wcześniej.

– Bała się, że obowiązki zawodowe i ciągle grzebanie w komputerach stłamszą moje artystyczne skłonności.

– Ach, więc to miejsce miało cię inspirować? Obudzić w tobie artystyczne geny?

– Tak. Jesteś zielona, Sherlock. Chyba musisz się przespać. Będziesz rzygać?

– Ten dom jeszcze nie nauczył cię artystycznej wrażliwości. „Rzygać” to okropne słowo. Mogę tutaj zostać? Bardzo mi wygodnie. Trochę słabo się czuję.

– Nic dziwnego - mruknął i patrzył, jak głowa opada jej na bok. Odpłynęła. Nie martwił się, że obudzi się zeszywniała i obolała, nie w takim wielkim fotelu. Okrył ją jeszcze jednym pledem, wydzierganym przez jego matkę, tak miękkim, że przelewał się przez palce. Pogładził go, kiedy delikatnie otulał jej ramiona. Splotła włosy we francuski warkocz, ale były trochę za krótkie, kilka kasztanowych kosmyków sterczało ze splotu. Wielki plaster z opatrunkiem przyklejony do wygolonego miejsca na jej skroni wyglądał absurdalnie, wręcz żałośnie na tle bladej skóry.

Potrzebowała tylko wypoczynku. Nic jej nie będzie. Lekko pogładził brwi opuszką palca.

Zobaczył, że miała kilka piegów na mostku nosa.

Tylko tu miała piegi. Sprawdził. Nie powinien, ale sprawdził. Bardzo podobały mu się te na nosie.

Z pewnością. Wpadł po same uszy.

Obudził ją zapach czosnku, cebuli i pomidorów. Ślinka napłynęła jej do ust, zanim jeszcze umysł zarejestrował obecność jedzenia. W żołądku zaburczało. Mdłości minęły, czuła się świetnie.

- Obudziłaś się, to dobrze.
- Co gotujesz?
- *Pasta penne* z suszonymi na słońcu pomidorami, *pesto*, cebulą i czosnkiem. I chleb czosnkowy. Ślinka ci leci, Sherlock. Spodziewam się, że masz apetyt.
- Mogłabym zjeść ten pled.
- Tylko nie ten, proszę. To mój ulubiony. Pielęgniarki powiedziały, że niewiele jadłaś przez cały dzień. Czas na wyzerkę. Najpierw połknij kilka pigułek.

Zażyła je bez pytania.

- Nie ma wina. Może trochę jabłeczniaka?

Postawił tacę na jej kolanach i patrzył, jak próbuje pierwszy *kęs pasta pesto Savicha*. Zamknęła oczy i powoli, bardzo powoli przeżuwała, aż w ustach pozostał jedynie posmak *pesto* i czosnku. Oblizła wargi. Potem otworzyła oczy, patrzyła na niego przez bardzo długą chwilę i w końcu powiedziała:

- Będiesz fantastycznym mężem, Dillon. Nigdy w życiu nie jadłam takich pyszności.
- To przepis mojej mamy. Nauczyła mnie robić pastę, kiedy miałem osiemnaście lat i wyjeżdżałam na MIT. Rzekomo słyszała, że tam jedzą tylko fasolę. Powiedziała, że chłopcy i fasola nie pasują do siebie, więc muszę

wiedzieć, jak przyrządzić coś innego. Naprawdę bardziej ci smakuje niż ta pizza, którą pożarłaś dwa dni temu?

- O rany, to było ledwie dwa dni temu! Wydaje się, jakby minęło dziesięć lat. Naprawdę nigdy w życiu nic mi tak nie smakowało. Umiesz też robić pizzę?
- Jasne. Chcesz na śniadanie?
- Zrób, kiedy zechcesz, na pewno zjem.

Nie mówili nic więcej przez dłuższą chwilę. Savich jadł obok przy stoliku do kawy, żeby nie spuszczać jej z oczu. W połowie porcji przerwała i popatrzyła na resztę potrawy. Pomyślał, że gotowa się rozplakać.

- To takie dobre. Już nie mam miejsca.
- Jeśli później zgłodniejesz, podgrzejemy.

Grzebała w talerzu widelcem, budowała konstrukcje z makaronu, obserwowała ze skupieniem wyłaniające się wzory. Nie podnosząc wzroku, powiedziała:

- Nie wiedziałam, że są tacy mężczyźni jak ty.

Savich zaczął oglądać swoje paznokcie, znalazł zadziór na kciuku i zmarszczył brwi. On też nie podniósł wzroku, tylko zapytał:

- Co to znaczy?
- No, mieszkasz w pięknym domu i nie widzę ani śladu kurzu czy brudu. Czyli nie jesteś flejtuchem. Ale to tylko kwestie uboczne, owszem, ważne, lecz nie decydujące. Masz wielkie serce, Dillon. I wspaniale gotujesz.
- Sherlock, mieszkam sam od pięciu lat. Człowiek nie może żyć samą pizzą u Dizzy Dana. I nie lubię bałaganu. Jest wielu mężczyzn podobnych do mnie. Na przykład Quinlan. Zapytaj Sally, powie ci, że on ma serce większe niż niebo nad Montana.
- Co to znaczy, że mieszkasz sam od pięciu lat? Przedtem nie mieszkałeś sam?
- Brawo, odzywa się twoje szkolenie w FBI. Byłem kiedyś żonaty.

- Jakoś nie widzę ciebie w małżeństwie. Wydajesz się taki samowystarczalny. Jesteś rozwiedziony?
 - Nie, Claire nie rozwiodła się ze mną. Umarła na leukemię.
 - Przepraszam, Dillon.
 - Minęło ponad pięć lat. Żałuję tylko, że Claire nigdy nie mieszkała w tym cudownym domu. Umarła trzy miesiące przed moją babką.
 - Jak długo byliście razem?
 - Cztery lata. Miała zaledwie dwadzieścia siedem lat, kiedy umarła. Dziwnie to się stało. Właśnie przeczytała tę starą powieść Ericha Segala, *Love Story*. Kilka tygodni później wykryto u niej leukemię. Była w tym pewna ironia, tylko że odkryłem ją dużo później. W ciągu tych lat kilka razy oglądałem ten film. Śmierć Claire nie była pogodna i wzruszająco tragiczna jak śmierć młodej żony w filmie czy książce, możesz mi wierzyć. Claire walczyła ze wszystkich sił. Tylko że to nie wystarczyło. Nic nie wystarczyło.
- Jezu, nie mówił tyle o Claire, odkąd umarła. Był poruszony. Wstał nagle, podszedł do kominka i oparł się ramieniem o gzyms.
- Przykro mi.
 - Tak.
 - Ciągle za nią tęsknisz?
- Spojrzał na jeden z obrazów swojej babki, który dostał od niej po ukończeniu studiów w MIT, akryl przedstawiający zgarbionego staruszka targującego się na francuskim rynku, w małej wiosce niedaleko Cannes, gdzie babka mieszkała w latach sześćdziesiątych. Potem przeniósł wzrok na Lacey z lekkim zmieszaniem.
- Dziwne, ale nie potrafię już sobie wyobrazić twarzy Claire. Stała się rozmyta i zamazana, jak na bardzo starej fotografii. Wiem, że ból pozostał, lecz łagodny i odległy, i już prawie go nie czuję. Tak, tęsknię za nią. Czasami podnoszę głowę znad książki i zaczynam coś do niej mówić, albo spodziewam się, że na mnie wrzaśnie, kiedy wpadam w szal przy meczu

futbolowym. Była łyżwiarką. Bardzo dobrą, ale nigdy nie dostała się na Olimpiadę.

- Ja tak samo widzę teraz Belindę. Z początku nie chciałam, żeby ból się zmniejszył, jednak minął bez mojego przyzwolenia. Prawie jakby Belinda chciała, żebym ją od siebie uwolniła. Teraz, kiedy widzę jej fotografię, patrzę na nią jak na kogoś, kogo znałam i kochałam w innym miejscu, w innym czasie, może sama byłam wtedy inną osobą. Czasami w tłumie zdaje mi się, że słyszę, jak mnie woła.

Przełknął, czując wzbierające łyzy gorzko-słodkich wspomnień, których nie czuł od lat. Może płakał nad nimi dwojgiem. Lacey miała oczy czyste i spokojne, kiedy powiedziała:

- Wiesz, ja też bym walczyła. Nigdy nie wejść spokojnie do tej dobrej nocy, nie chcę tak zwyczajnie zgasnąć i już, co za szkoda, taka miła dziewczyna. Nie, będę kopać i wrzeszczeć przez całą drogę.

Roześmiał się i natychmiast spowaźniał. Poczucie winy, bo mówił o Claire, a potem pozwolił sobie na śmiech? Nagle znowu się zaśmiał.

- Ja też będę kopać. Dziękuję, Sherlock. Uśmiechnęła się.
- Głowa już mnie nie boli. Magiczne pigułki działają?
- Aha. Chcesz teraz obejrzeć wiadomości, kiedy posprzątam w kuchni?
- Bez deseru?
- Nie skończyłaś swojej porcji, a żądasz deseru?
- Deser wchodzi do zupełnie innej przegródki w żołądku, a moja deserowa przegródka jest pusta. Czuję zapach sernika.

Zjadła sernik, kiedy zmywał naczynia. Obejrzała dziennik telewizyjny. Kolejne zamieszki w Chinach. Kolejne zamieszki na Bliskim Wschodzie. Kolejne masakry Kurdów, tylko których Kurdów? Stanowili grupę równie podzieloną jak otaczające ich kraje. Potem nagle pojawił się Duży John Bullock, adwokat Marlina Jonesa, dobroduszny i pozornie szczerzy, rzucający odpowiedzi

reporterom, którzy ścigali go od budynku bostońskiego sądu do wielkiej czarnej limuzyny.

- Czy Marlin Jones stanie przed sądem?
- Bez komentarza.
- Czy Marlin jest wariatem?
- Znacie zasady. - Przewrócił oczami i wzruszył masywnymi ramionami.
- Czy zgłosi pan, że Marlin jest niewinny?
- Bez komentarza.
- Czy to prawda, co pan opowiadał naokoło, że Marlin miał trudne dzieciństwo, matka go biła, a wuj wykorzystywał seksualnie?
- Publiczne akta to publiczne akta.
- Przecież jest zeznanie.
- Nie zostanie dopuszczone. Gliny i FBI zmusili go do zeznań.
- Ale co z tą agentką FBI? Pana klient walnął ją w głowę i zaciągnął do pustego magazynu, żeby ją zabić. Mają wszystko na taśmie i na filmie. Duży John gwałtownie zamachał ramionami.
- Zwyczajna i oczywista pułapka. On wcale nie zamierzał jej zabić.
- Słyszałem, że nawet zranił ją nożem. Duży John pokręcił głową.
- Wystarczy. Pamiętajcie tylko, to była pułapka. Wszystko było ustawione. Nie dopuszczą tego w sądzie, zobaczycie. Jakaś reporterka powiedziała:
- Aha, więc pan mówi, że gdyby zabił tę agentkę FBI, to nie byłaby pułapka? Ogólny śmiech. I wiele oczu spoglądających twardo na Dużego Johna Bullocka.
- Wystarczy tych pytań. Porozmawiam z wami później. Reklama piwa Bud Light. Wyczuła za plecami Savicha. Powiedziała cicho:
- Wracam do Bostonu. Muszę jeszcze raz porozmawiać z Marlinem Jonesem,

- Nie dopuszczą cię do niego, Sherlock.
- Muszę spróbować. - Odwróciła się powoli i spojrzała na niego. - Rozumiesz, prawda? Muszę spróbować. Nie mogę po prostu siedzieć i czekać, aż jakiś maniak znowu na mnie napadnie. Jeśli im powiesz, żeby mnie wpuścili, posłuchają.
- Teraz nie on jest maniakiem, który ci zagraża. Poza tym chcesz znowu z nim rozmawiać i może wyjść na jaw, że Belinda była twoją siostrą.
- Nie, nie powiem mu tego. Nikomu nie powiem.
- Ale ryzyko wciąż istnieje. Uwierz mi: nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, co by zrobiły media, gdyby się dowiedziały, że byłaś siostrą jednej z zamordowanych kobiet i obsesyjnie szukałaś Marlina przez siedem lat. Myślisz, że wyraziłem się brutalnie. Zaczekaj, aż media to wywęszą. Duży John dopiero wtedy zacznie pyskować o pułapce. Moim zdaniem lepiej, żebyś pojechała do San Francisco. Może zadzwonię do biura w San Francisco i poproszę, żeby kilku agentów pogadało z Douglasem, z twoim ojcem i matką?

Pokręciła głową.

- Co do Marlina, może najpierw odpoczniesz przez kilka dni. Słuchaj, jest niedziela. Wstrzymaj się do wtorku. Obiecujesz?

Pogłaskała złocisty kordonkowy pled.

- Chyba muszę się porządnie wyspać.
- Dwa dni, Sherlock. Obiecuj mi, że posiedzisz spokojnie przez dwa dni. Potem pogadamy.

Milczała, aż ogarnął go gniew.

- Jesteś agentką FBI, Sherlock. To znaczy, że masz słuchać moich rozkazów. I wypełniać zadania, jakie ci wyznaczę, a nie robić wszystkiego, co ci strzeli do głowy. Słyszałaś?

– Prawie wrzeszczysz. Jak mogę nie słyszeć? Zrobił krok do przodu, potem przystanął.

– Mam na górze ładny pokój gościnny. Spakowałem ci też walizkę. Jest w bagażniku samochodu. Zaprowadzę cię na górę, a potem przyniosę rzeczy.

Nie pomyślała o bieliznie, dopóki nie stanęła w wiktoriańskiej łazience z wypolerowaną podłogą z orzecha, wanną na lwich łapach, umywalnią na postumencie i puchatymi bladożółtymi egipskimi ręcznikami w małe kwiatuszki. Rozebrała się do majtek i stanika, odwróciła się i zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Wybrał najdelikatniejszy brzoskwiniowy jedwabny komplet, jaki miała. Co myślał, kiedy wyjmował bieliznę z szuflady? Odruchowo przesunęła ręką po brzuchu, po gładkim i śliskim jedwabiu. Co on myślał? Nie, nie będzie o tym myślała.

To tylko majtki i stanik, chociaż takie luksusowe. I dosyć seksowne. Pewnie nic sobie nie pomyślał, po prostu znalazł i wyjął. Uwielbiała ładną bieliznę. Ten komplet kupiła sobie na ostatnie urodziny. Taki kosztowny. Delikatny, wykwinny i grzeszny. Zdjęła stanik i potarła miękką koronką o policzek. Nie nosiła go od miesięcy. Dillon to wybrał.

– Sherlock.

Rozdział 23

Szybko owinęła się ręcznikiem i wyjrzała zza drzwi łazienki. Savich stał pośrodku sypialni z walizką w ręku.

– Połóż na łóżku, Dillon.

Pomyślał, że wygląda na kompletnie wyczerpaną. Pewnie powinien zostawić ją w szpitalu, przywiązaną do szpitalnego łóżka. Zerknął jeszcze raz. Nigdy przedtem nie przypuszczał, że zwykły ręcznik może wyglądać tak seksownie.

- Potrzebujesz pomocy? Uśmiechnęła się na te słowa.
- Nie, sir. Potrafię sama umyć zęby bez trzymania za rękę.
- Więc zobaczymy się rano. Nie ma powodu, żebyś się zrywała o świcie. Spij, jak długo zechcesz. Kiedy się obudzisz, tylko wrzaśnij, a przyniosę ci śniadanie. Nie zapominaj, Sherlock, obiecałaś siedzieć na miejscu.
Niczego nie obiecywała, ale kiwnęła głową.
- Dziękuję, Dillon.
- Och, jeszcze jedno. Muszę załatwić kilka spraw jutro rano. Jak mnie nie będzie, nie otwieraj nikomu, cokolwiek ci powie. Jest mnóstwo jedzenia, nawet została dla ciebie resztką pesto. Nie musisz wychodzić. Otworzysz tylko mnie, zrozumiano?
- Zrozumiano.
- Twój sig-sauer jest na dole w moim gabinecie. A colt leży w szufladzie przy twoim łóżku. Teraz pozwól mi zdecydować, co zrobimy z tym bałaganem. Powiem ci jutro.
- Jakie sprawy chcesz załatwić? Zmarszczył brwi.
- Nie twój interes. Wyjdę tylko na parę godzin.
- Zaśpiewasz mi, zanim odejdiesz?
- Chcesz coś swojskiego?
- Tak, naprawdę swojskiego.

Głęboki, aksamitny baryton wypełnił pokój; tym razem brzmiał bardzo nosowo.

Ona to nie Róża, ale nie jest zła.

Ona nie jest łatwa, ale kiedyś da.

Gdy szepcze mi czule, ja też jej ulegam,

Ona to nie Róża, Róży tutaj nie ma.

- Kto to jest Róża?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, zasalutował i wyszedł, zamykając za sobą drzwi sypialni.

Wstawał świt, kiedy Savich usiadł wyprostowany w łóżku. Zerwał się do biegu, kiedy następny wrzask rozdarł ciszę.

Rzęziła, obejmując się ramionami. Próbowwała usiąść na łóżku.

– Sherlock. Nie śpisz? Co się stało?

Wciąż łapczywie wciągała powietrze. Zupełnie jakby ktoś ją dusił. Usiadł obok niej, przyciągnął ją do siebie i zaczął masować kark.

– Już dobrze. Przyśnił ci się koszmar?

Powoli, bardzo powoli jej oddech zaczął się uspokajać, ale wciąż dyszała boleśnie, jakby ktoś walnął ją w żebra. Jeszcze nie mogła, nie chciała mówić.

– O tak, spróbuj się odprężyć. Jestem tutaj. Nic ci nie grozi, nic. Wtulała twarz w jego ramię, ręce zwisały jej bezwładnie po bokach.

Potem nagle zarzuciła mu ramiona na szyję i objęła mocno.

– Tak, jestem prawdziwy, twardy i zły. Nikt cię nie skrzywdzi. Już w porządku.

Czuł jej nierówny oddech na skórze. Potem powiedziała:

– Tak, wiem. Już w porządku.

Chciał odsunąć się od niej, ale wciąż trzymała go mocno. Czuł jej drzenie.

– Naprawdę w porządku, Sherlock - powtórzył. - Nigdzie nie odejdę. Możesz mnie puścić.

– Nie chcę. Daj mi jeszcze parę minut. -Wtulała się w niego. Ciągle dygotała.

– Przepraszam, ale chyba zapakowałem ci nieodpowiednią koszulę nocną. Trzęsiesz się z zimna.

– Jesteś mężczyzną. Wybrałeś ją, bo jest przejrzysta i seksowna, jak ta bielizna.

– No tak, chyba masz rację. Jest bardzo miła w dotyku. Przepraszam, widocznie moje hormony doszły do głosu. Słuchaj, Sherlock, puść mnie i połów się.

Ścisnęła go jeszcze mocniej. Roześmiał się.

– Zapewniam cię, że wszystko jest w porządku. Musisz mnie puścić. No, przestań.

– Nie.

Znowu się roześmiał. W jego śmiechu zabrzmiał ból.

– Okay, coś ci powiem. Ja też marznę. Najlepiej oboje się położymy i będę cię trzymał, dopóki się nie rozgrzejemy.

Wiedział, że to nie najlepszy pomysł, ale martwił się o nią. Prawdę mówiąc, wolał nie myśleć o własnych motywach. Miał na sobie bokserki, nic więcej. Nie, stanowczo to nie był najlepszy pomysł.

Wsunął się pod koce obok niej, położył się na plecach i przyciągnął ją do siebie. Oparła mu głowę na ramieniu, dłoń spoczęła na jego nagiej piersi. Podciągnął koc aż pod szyję.

Leżała sztywno.

– Już dobrze - szepnął i objął ją mocno, potem rozluźnił uścisk. -Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Poczuł, jak drgnęła, jej oddech sparzył mu skórę. Wciąż się bała. Czekał. Zaczął ją głaskać po plecach - długie, równomierne pociągnięcia. Wreszcie powiedziała:

– To był koszmar, głupi koszmar. Pewnie wrócił dlatego, że mówiłam o Belindzie.

– Jak to „wrócił”? Więc miałaś już przedtem ten sen?

Milczała przez bardzo długą chwilę. Przynajmniej już się nie trzęsła. Miał nadzieję, że nie przestanie mówić. Chciał ją nakłonić, żeby się otworzyła, ale to zadanie okazało się wyjątkowo trudne. I zaczynał poważnie wątpić w

skuteczność swojej metody uspokajania. W ciszy słyszał własny, coraz bardziej nierówny oddech. Zaczął oddychać głęboko.

– Opowiedz mi ten sen, Sherlock.

W ciepłym półmroku, przytulona do niego pod kocami, czuła się bezpieczna, odprężona, więc zaczęła mówić, jej ciepły oddech lekko muskał mu skórę.

– Byłam tą kobietą w magazynie albo byłam Belindą, albo jej częścią, nie wiem. Ale we śnie to ja tam byłam, to mnie zamknął w labiryncie, to mnie miał zabić, nie Belindę. Potem przeszłam przez to wszystko w Bostonie. Naprawdę wierzyłam, że zatoczę pełny krąg, ale byłam w błędzie.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nic dziwnego. Czasami myślę, że zwariowałam.

– Mów do mnie. - Pocałował ją w czubek głowy. To nie było mądre posunięcie. - Mów do mnie - powtórzył głosem jeszcze niższym, głębszym, ponieważ coraz wyraźniej uświadamiał sobie bliskość kobiecego ciała, jej zapach, włosy łaskoczące mu policzek.

– W przeszłości za każdym razem, kiedy miałam ten sen, posuwał się trochę dalej. On jeszcze mnie nie zabił, ale teraz obudziłam się, kiedy właśnie podniósł nóż.

Czekał, obejmował ją i czekał. Czuł jej napięcie, przyspieszone bicie serca.

– Powiedz to, Sherlock, po prostu powiedz.

– Wiem, Dillon, wiem, że kiedy ten nóż opadnie, zginę.

W sypialni nie było już ciemno. Miękka perłowa szarość wciąż jednak pozwalała dwójgu ludziom dzielić nocną intymność. Wiedział, że musi powiedzieć mu wszystko teraz albo nigdy. Teraz była otwarta i bezbronna. Nie wiedział, jak długo wytrzyma w tym stanie. Chyba niezbyt długo.

– Sen zaczął się zaraz po zamordowaniu Belindy?

– Tak. Myślałam o tym i myślałam przez całe lata. Tak jak mówiłam, jeśli nie ja tam jestem, to jakbym szła za nią krok w krok, jakbym czuła jej strach.

Pociągnęła go za włosy na piersi, aż drgnął lekko.

- Przepraszam, Dillon. Ojej, nie masz ubrania. Przepraszam. Nie zauważyłam.
- Nie szkodzi. Mam na sobie bokserki. Nie zwracaj uwagi. Kiedy ostatnio miałaś ten koszmar?
- Sporo ponad rok temu. Tym razem przeszłam przez całą drogę do środka labiryntu i on tam był, ale nie widziałam go w ciemności, widziałam tylko srebrny błysk noża. Wtedy wrzasnęłam i ten wrzask mnie obudził.
- Myślisz, że koszmar wrócił z powodu tego, co zrobiłaś w Bostonie?
- Nie wiem. Możliwe.

Milczał przez chwilę, potem powiedział bardzo cicho:

- Więc dlatego tak dokładnie wiedziałaś, co Marlin zamierza zrobić. Nie tylko dzięki raportom profilerów, po prostu myślałaś nad tym przez ostatnie siedem lat. Znałaś każdy krok. W tym koszmarnym śnie nauczyłaś się na pamięć wszystkich ruchów, wszystkich jego posunięć.
- Tak. Ale to wciąż nie ma sensu, prawda?
- Na razie, ale prędzej czy później nabierze sensu.
- Studiowałam go. Profilerzy mieli rację: on nienawidził przeklinających kobiety, dlatego wycinał im języki. Natomiast nie mogli wiedzieć, że te kobiety również wymyślały mężom. Aleja wiedziałam, że to prawda. Dlatego zgłosiłam się na przynętę... wiedziałam dokładnie, jak go sprowokować. Wiedziałam, które guziki nacisnąć. On nawet przez sekundę nie wątpił, że byłam najlepszą kandydatką do ukarania. Dopiero teraz jednak zauważyłam różnicę. W moim śnie, kiedy morderca podniósł nóż, zrobił to inaczej niż Marlin w środku labiryntu w Bostonie. We śnie nie był taki groźny. Zupełnie jakby...
- Jakby co?
- Jakby nie robił tego na poważnie, aleja wiedziałam, że naprawdę chciał mnie zabić, i bałam się śmiertelnie. Przepraszam. W tym nie ma za grosz sensu.

Zastanawiał się przez chwilę, potem powiedział:

- Ale w Bostonie zepchnęłaś go do defensywy. Nie miał do czynienia z bezradną, przerażoną kobietą. Pewnie stąd wzięła się różnica. - Objął ją mocniej. - Posłuchaj mnie. Nawet jeśli ten cholerny sen powróci znowu w przyszłości, nawet jeśli on wbije ci nóż, nie umrzesz. To tylko sen. Musisz w to uwierzyć. Chociaż wydaje się realny, ale to tylko sen. Nigdy się nie spełni.

Zadygotała, potem leżała spokojnie. Dłoń zaciśniętą w pięść trzymała na jego klatce piersiowej. Próbował ją ignorować, ale dłoń przesunęła się niżej, w stronę brzucha. Zaczął szybciej oddychać.

- Jak myślisz, co to wszystko znaczy?

Długo zastanawiał się na odpowiedzią. Dłużej niż zwykle, ponieważ miał erekcję, serce mu waliło i nie potrafił się skupić. Przestał panować nad swoim umysłem. Chciał ściągnąć z niej przez głowę tę piękną brzoskwiniową koszulę nocną i...

- Nie wiem. Zupełnie jakbyś była połączona z Belindą. Nie, to parapsychiczny bełkot. Ale musiało być coś więcej. Coś się zdarzyło, czego nie pamiętasz. Tak?

Teraz opierała pięść na jego brzuchu.

- Nie wiem. Co mogło się stać? Dlaczego nie pamiętam? W tamtym okresie nie miałam żadnego wypadku. Żadnego wstrząsu czy urazu głowy.

Nakrył jej dłoń swoją i przycisnął, aż rozłożyła palce, miękkie i ciepłe na jego skórze.

- Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Znam kobietę, która pomoże ci wrócić do tego, co się naprawdę zdarzyło. Widocznie coś sprzed siedmiu lat wywołało te koszmary, coś, co zablokowałaś, ale czasami wydostaje się na powierzchnię. Tak, jeśli ktoś potrafi dotrzeć do samego dna, to tylko ona. Ale na razie przestań się martwić.

- Naprawdę myślisz, że ona mi pomoże?

– Naprawdę tak myślę. Od samego początku wiedziałem, że coś przede -mną ukrywasz. Przysięgasz, że to wszystko?

– Tak.

Przerażenie minęło. Nawet jej nie przeszkadzało, że ta kobieta, o której mówił, pewnie była psychiatrą. Widziała go w nikłym świetle poranka, czuła jego siłę, długie gładkie mięśnie, fakturę skóry. Teraz nie czuła ani odrobiny strachu. Czuła coś, czego nie spodziewała się doznać nigdy w życiu. Dotyk jego skóry pod palcami napełniał ją energią, która pulsowała w całym ciele.

– Dillon?

– Hmm?

Nie wiedział, czy potrafi jeszcze znaleźć słowa. Wszystkie odczucia skupiły się w lędźwiach, dygotał od powstrzymywanej żądz i musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby się opanować.

– Teraz naprawdę mi ciepło, ale w niektórych miejscach cieplej niż w innych. Ramiona trochę mi zmarzły, ale inne części wcale nie, na przykład brzuch.

Uwodziła go? Nie, niemożliwe. Modlił się, żeby tak było, potem sklął się w myślach. Musiał się z tego wyplątać. Powinien wrócić do własnej sypialni, żeby dzieliły ich dwie pary drzwi. Odchrząknął.

– Rozmowa pomaga, lecz jeśli nie możesz mówić, wróć do swojego pokoju. Najlepiej zrobię, jeśli zaraz wrócę do siebie, to będzie najrozsądniej z mojej strony.

– Wiem. - Westchnęła głęboko, wtuliła twarz w jego ramię i lekko go ugryzła. Potem polizała ugryzione miejsce. - Pewnie masz rację. Ale muszę ci powiedzieć, że te ciepłe miejsca robią się jeszcze cieplejsze. Prawie gorące.

– Sherlock, przestań. Tak nie wolno. Wiedziałem, że tak nie wolno, kiedy kładłem się z tobą do łóżka. Teraz wiem, że zrobiłem największe głupstwo.

Pomyślał, że jeśli teraz się poruszy, czeka go siedem lat pecha, bo pęknie na milion kawałków jak stłuczone lustro.

Wyciągnęła rękę spod jego dłoni. Syknął z rozczarowania.

– Przepraszam. Ollie powiedział mi, że nigdy nie wiążesz się z pracownikami.

Dlaczego Ollie jej to powiedział? Spotykał się z Hannah, zanim wstąpiła do jednostki, ale potem to przerwał. No, przynajmniej w jednym Ollie miał rację. Właściwie jeszcze przed godziną mógł się o to założyć. Jeszcze przed dziesięcioma minutami postawiłby na to wszystkie pieniądze.

– Nie, nie wiąże się z pracownikami. Przynajmniej do tej pory. Teraz wszystkie zasady poszły w diabły. I nie przepraszaj mnie znowu, bo zrobię coś niegrzecznego.

– Co?

– Sherlock, wynoszę się stąd. Nie zamierzam wykorzystywać twojego koszmaru. Czulaś się bezbronna i przerażona, a ja akurat byłem pod ręką. Ale już mnie nie potrzebujesz. Czujesz się lepiej, prawda?

Nie powiedziała ani słowa. Myślał, że walnie go w żołądek, nagle jednak poczuł na ramieniu jej łzy.

– O cholera - mruknął, wciągnął ją na siebie i pocałował, bardzo leciutko. Pomiedzy pocałunkami mówił: - Nie płacz. Próbuje być szlachetny. Przegrywam w tej walce. Musisz mi pomóc. Bardzo chcę być z tobą, ale nie w ten sposób. Chcę być z tobą, dopóki nie wyzdrowiejesz, po prostu źle się wyraziłem. Rozumiesz coś z tego? Przesunęła dłonią po jego udzie do góry. Szepnęła mu do ucha:

– Więc widocznie to jest to.

Nie rozumiał, o czym mówi. Myślał tylko, żeby ją całować.

– Muszę przestać - powiedział pomiędzy kolejnymi seriami pocałunków - bo jeśli nie przestanę, zaraz będę na tobie, a ta koszula wylądzuje na podłodze.

Oderwała się od niego, co kompletnie go zaskoczyło.

- Chcę postawić sprawę jasno - oznajmiła, uśmiechając się do niego z góry. Miał ochotę się rozplakać, dopóki nie zrozumiał, co zamierzała zrobić. - Szczerze i uczciwie. Nie chcę żadnych wątpliwości co do mojej roli.

Patrzył, jak ściąga koszulę przez głowę i rzuca w kąt. Siedziała na nim naga i patrzyła na niego, jednocześnie przerażona i wyzywająca. Tak, właśnie tak, wyzywająca i zdecydowana.

Dziwne, to go uspokoiło. Pragnął jej dotknąć, ale nie, jeszcze nie.

- Czego chcesz ode mnie, Sherlock?
- Chcę kochać się z tobą, to znaczy, jeśli zrobisz dla mnie wyjątek.
- Zrobiłem dla ciebie wyjątek, odkąd przewróciłem cię w krzaki w Alei Hogana. Dlaczego tak się okropnie boisz, skoro jesteś tego pewna?
- Wcale się nie boję. To tylko poranne światło.
- Tak, akurat. -Ale bardzo chciał jej uwierzyć.

Miała prześliczne piersi, strome, gładkie i krągłe, idealnie pasujące do jego rąk, ust, wszystkiego, czym pragnął jej dotykać. A pragnął tego najbardziej na świecie. Nie pamiętał, żeby kiedyś w życiu chciał czegoś równie mocno.

Potem przypomniał sobie, że najbardziej na świecie chciał zostać agentem FBI. To rzeczywiście trochę komplikowało sprawy.

Rozdział 24

Nie. Kompletna bzdura.

W ogólnym porządku rzeczy postąpił bardzo krótkowzrocznie. Ta naga kobieta siedząca na nim stanowiła, jak oceniał, chyba najważniejszy kamień milowy w jego życiu. Symbolizowała to, co prawdziwe, co potrzebne, najbardziej potrzebne ze wszystkiego. Pragnął jej tu i teraz, pragnął jej całej. Powoli uniósł prawą rękę i lekko dotknął czubkiem palca piersi.

Odchyliła się, jakby zaskoczona.

Nakrył dłonią pierś. Śliczna, pasuje idealnie. Lacey znowu się wzdrygnęła.

- Co się stało? Nie lubisz, jak cię dotykam?
- Dillon, muszę ci coś powiedzieć.

Nie mógł oderwać oczu od jej piersi, ale przynajmniej opuścił ręce na chwilę, chociaż palce go świerzbiły. Jednak wiedział, że powinien wysłuchać tego, co chce mu wyznać. Coś tu' zgrzytało. Teraz patrzył na jej żebra, na brzuch, na gładką krzywiznę uda.

- Dillon?
- Tak? Mów dalej. Spróbuję słuchać uważnie, ale nie mogę się powstrzymać, żeby na ciebie nie patrzeć, Sherlock. Całkiem miło się na ciebie patrzy.

Wciągnęła powietrze i wypuściła je ze świstem.

- Zrobiłam to tylko raz. Kiedy miałam dziewiętnaście lat. Na tylnym siedzeniu żółtego jaguara Bobby'ego Wellmana. Było strasznie ciasno i niezbyt przyjemnie. Właściwie było okropnie, ale potraktowałam to filozoficznie, naprawdę. Ostatecznie to było tylne siedzenie samochodu. A potem, no... po śmierci Belindy po prostu nie mogłam znieść żadnego mężczyzny obok siebie.
- Tylko raz? Przez całe życie? W jaguarze? Chyba nie w XJ6? To prawie niemożliwe.
- To prawda, ale Bobby jakoś sobie poradził. Wcale nie było mi przyjemnie, jak mówiłam, i nie zdawałam sobie sprawy, jaki był kościsty, same łokcie i kolana, nawet podbródek miał ostry. Jeśli ktoś podglądał, pewnie pękał ze śmiechu. Bobby kochał ten wóz. Pamiętam, że skóra na fotelach była bardzo gładka i śliska, bo ciągle ją oliwił. Potem zarechotał i powiedział, że użył oliwy swojej mamy z pierwszego tłoczenia.

- Co za palant. Ale jeśli sobie przypominam, też robiłem coś podobnego, kiedy miałem siedemnaście i osiemnaście lat. Tylko że ty masz dwadzieścia siedem, Sherlock.
- Tak. Kiedy miałam dziewiętnaście lat, po zamordowaniu Belindy, po prostu się zamknęłam. Nigdy nie zainteresował mnie żaden mężczyzna od tamtego razu z Bobbym. Nawet przelotnie. Dopóki nie spotkałam ciebie. Przeszkadza ci to?
- Niekoniecznie. Więc nigdy z Douglasem?
- Nie. Raz mnie pocałował, parę tygodni temu, ale nic więcej. Nie, jesteś tylko ty.
- Tylko ja.

Niesamowite i wspaniałe. W takim razie, pomyślał pociągając ją na siebie, jeśli wcześniej nie spałę się na popiół, sprawię jej przyjemność, choćbym miał paść trupem.

Zanim doprowadził ją do stanu przynajmniej w połowie dorównującego własnemu, był już tak daleko, że sam nie wiedział, czy wytrzyma. Uniósł ją do ust, czując jej zdumienie, szok. Najwyżej po minucie czy dwóch poczuł drżenie jej nóg, głębokie skurcze mięśni brzucha. A kiedy krzyknęła, gwałtownie wygięła plecy w łuk i uderzyła pięściami w jego ramiona, szarpiąc go za włosy, wiedział, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Chciał jeszcze raz zrobić jej przyjemność, ale miał pewność, że po prostu dłużej nie wytrzyma.

- Sherlock - powiedział.

Patrząc jej w oczy, wszedł w nią szybko i głęboko. Jego potężne ramiona drżały z wysiłku, żeby się opanować, żeby jej nie przygnieść, kiedy zagłębiał się coraz bardziej i czuł, jak jej ciało powoli otwiera się przed nim. Głowę miała odrzuconą do tyłu, oczy zamknięte. A kiedy ponownie jej dotknął, wiedział, że wpadł po uszy i to jest najlepsze, co mu się w życiu przydarzyło.

Szczytowała jeszcze raz pod dotykiem jego palców i patrząc na jej twarz, słuchając jęków rozkoszy, czując coraz mocniejszy uścisk, on też doszedł do końca.

I wszystko było wspaniale.

– Lacey, zamknij oczy, właśnie tak, i odchyl głowę do tyłu. Ramiona luźno. Dobrze. Nie, nie usztywniaj się. A teraz oddychaj bardzo głęboko. Głębiej, swobodnie. Dobrze. Tak, doskonale.

Doktor Lauren Bowers, konserwatywna kongresmanka z Marylandu i jedna z najlepszych hipnotyzerek znanych Savichowi, podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Panna Sherlock - powiedziała spokojnie - należy do ludzi, których najłatwiej da się podporządkować. Jak już przełamiesz jej obronę, staje się otwartą księgą, stronice tylko furkoczą na wietrze, a ten jej bystry umysł zaprasza cię do środka. No, Savich, podobno zapisałeś swoje pytania.

Wzięła od niego kartkę papieru i przebiegła ją wzrokiem.

– Mówiłam ci kiedyś, że jesteś naprawdę dobry? Oczywiście, wiesz o tym, szkoliliś się u najlepszych.

Odwróciła się znowu do młodej kobiety, bladej i wiotkiej, jakby coś wyszło z niej siły od wewnątrz.

– Lacey? Słyszysz mnie?

– Oczywiście, doktor Bowers. Nie jestem głucha. Lekarka się roześmiała.

– To świetnie. Teraz chcę, żebyś cofnęła się w przeszłość, Lacey, aż do dnia, kiedy ostatni raz widziałaś Belindę. Pamiętasz tamten dzień?

– To był trzynasty kwietnia, trzy dni przed śmiercią Belindy. - Lacey nagle poderwała się, potem znowu opadła na krzesło. Gorączkowo potrząsała głową w tył i w przód. - Nie!

– Lacey, już dobrze. Tylko oddychaj głęboko.

– Chcę Dillona.

Savich bez przerwy lekko głaskał jej rękę.

– Jestem tutaj, Sherlock. Nie zostawię cię. Wróćmy razem, dobrze? Musisz coś zrobić dla mnie. Musisz odmalować mi ten dzień w słowach, żebym mógł go zobaczyć twoimi oczami. Możesz to zrobić?

Wyraz jej twarzy zmienił się, złagodniał, i nagle wyglądała niewiarygodnie młodo, jak nastolatka. Westchnęła, potem się uśmiechnęła.

– Dzień był bardzo słoneczny, chłodny i rześki, tylko lekka mgła kłębiła się nisko nad mostem Golden Gate. Uwielbiałam takie dni, lubiłam oglądać żaglówki na zatoce, wypatrywać Marin Headlands, nagich i ponurych, ale wciąż zielonych po zimowych deszczach.

Doktor Bowers skinęła na Savicha, żeby mówił dalej. Zapytał niskim, głębokim głosem:

– Co robiłaś?

– Siedziałam na tarasie przed salonem.

– Byłaś sama?

– Tak. Matka spała w swoim pokoju. Ojciec był w sądzie. Oskarżał w dużej sprawie narkotykowej i chciał dopilnować, żeby obrona trzymała się kolejności wyznaczonej przez sędziego. Powiedział, że jeśli nie zachowają porządku, obedrze ich żywcem ze skóry.

– Gdzie była Belinda?

Lacey ściągnęła brwi, zacisnęła wargi. Już się nie uśmiechała. Zaczęła potrząsać głową, w tył i w przód.

– Nieważne - rzucił Savich swobodnym tonem. - A gdzie był Douglas?

– Myślałam, że jest w pracy.

– Ale nie był?

– Nie, był w domu. Z Belindą, na górze w ich mieszkaniu. Byli na balkonie nade mną.

Przez chwilę wyglądała na rozgniewaną, potem twarz jej się wygładziła, głos zabrzmiał gładko, obojętnie.

– Kochali się.

Tego się nie spodziewał.

– Rozumiałaś, co się dzieje, prawda? Nie byłaś zaszokowana?

– Nie, tylko zażenowana. Douglas mówił straszne świństwa.

– Co było potem?

– Usłyszałam, że Belinda krzyknęła.

– Czy miała orgazm?

– Chyba nie. Słyszałam, że stoczyła się z szezlongu na ceglaną podłogę balkonu. Słyszałam, jak płakała, a potem przestała.

– Dlaczego?

– Słyszałam, jak Douglas do niej mówi, że jeśli nie przestanie płakać, ktoś usłyszy, a on sobie tego nie życzy. Zagroził, że jeśli dalej będzie skamlała, zrzuci ją z balkonu.

– I co się stało?

– Nic. Belinda ucichła. Po kilku minutach usłyszałam, że znowu się kochają. Słyszałam, jak Douglas kazał jej jęczeć, bo jeśli nie jęczała, nie wierzył, że go naprawdę kocha. Wtedy zajęczała bardzo głośno, a on znowu zaczął jej mówić świństwa. Powtarzał, że jest mu dłużna, że ma u niego wielki dług.

– Czy wiesz, co to znaczyło? Pokręciła głową.

– Co było dalej?

– Zaczekałam, aż Douglas wyszedł, potem poszłam do ich sypialni i zawołałam Belindę po imieniu. Kazała mi odejść, ale nie posłuchałam. Po prostu weszłam. Stała pośrodku sypialni, naga. Chwyciła dzinsy i zasłoniła się nimi. Zapytałam, czy Douglas ją uderzył, zaprzeczyła, powiedziała, że to

śmieszne. Douglas nigdy nikogo nie uderzył. Lecz ja nie uwierzyłam. Zobaczyłam siniak na jej żebrach, kiedy podniosła rękę, żeby mnie wyrzucić. Ale nie zostawiłam jej. Nie mogłam.

- Czy to się zdarzało wcześniej? Pokręciła głową.
- O nie. Na pewno. Myślałam, że się kochają. Douglas był dla niej taki czuły, delikatny. Zawsze się śmiali i obejmowali, całowali się, kiedy myśleli, że nikt nie patrzy. Ale nie teraz. Nie mogła stanąć prosto. Chciałam go zabić. Na to ona powiedziała „nie”, jeśli ktoś ma go zabić, to ona. Kazała mi odejść, powiedziała, że nie chce mnie widzieć, że ją zamęczam. Tamtej nocy poroniła.
- Nigdy nikomu o tym nie mówiłaś? Nawet policji po jej śmierci? Nie odpowiedziała. Znowu marszczyła brwi.
- Na pewno poroniła, bo Douglas ją uderzył. Całkiem o tym zapomniałam.

Nagle otworzyła oczy i spojrzała przed siebie pustym wzrokiem. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie, potem przestrasz. Zaczął rozcierać jej dłoń, ścisnął jej palce.

- W porządku, Sherlock. Jestem tutaj. Nic złego się nie stanie.
- Zaczęła płakać. Patrzyła na niego w milczeniu i łzy spływały po jej białych policzkach. Wargi miała spękane. Doktor Bowers otarła jej łzy chusteczką.
- No, Lacey, wystarczy. Teraz chcę, żebyś się obudziła. Policzę do trzech. Na trzy obudzisz się, uśmiechniesz się do Savicha i przypomnisz sobie wszystko, o czym rozmawialiśmy.

Na trzy Lacey, wciąż z otwartymi oczami, ocknęła się z transu.

- Dlaczego płaczę? Potarła oczy palcami.
- Och, już pamiętam. To było...
- Już w porządku. - Savich przyciągnął ją do siebie i zaczął głaskać po plecach. - Nie musisz o tym teraz mówić.

Leżała bardzo spokojnie w jego ramionach. Czuł jej serce przy swoim, bijące powoli i regularnie. Ucałował jej włosy.

– Nic ci nie jest?

Kiwnęła głową spoczywającą na jego ramieniu.

– Tak bardzo mi brak Belindy. Była bardziej moją matką niż nasza prawdziwa matka. Nasza matka przez cały czas siedziała w swoim pokoju. Uwielbiała czekoladki Godiva. I była taka piękna... jak Belinda. Ja byłam ta brzydka, ale żadna z nich nie wykorzystywała tego przeciwko mnie, no, może Belinda trochę przestała mnie lubić, kiedy podrosłam. Nie wiem, czemu. Wiem, że Douglas nigdy przedtem jej nie uderzył, tak mi powiedziała. Zapytałam, dlaczego uderzył ją tym razem, dlaczego ją upokorzył.

– Co odpowiedziała?

– Nie chciała nic mówić. Tylko stała i potrząsała głową. Powiedziała, że nie rozumiem. Ze to nie miało nic wspólnego ze mną, mam o tym zapomnieć. Byłam zmieszana, potem wściekła. Odrzekłam jej na to, że mam dziewiętnaście lat, nie jestem już dzieckiem i umiem grać na fortepianie, a ona nie umie. Roześmiała się, ale żebra ją zabolowały, więc bardzo szybko przestała. Kazała mi o wszystkim zapomnieć i odejść. Pojechałam do Napa Valley z przyjaciółmi. Nigdy więcej nie zobaczyłam Belindy.

– Skąd wiesz, że Belinda poroniła?

– Nie pamiętam. Ktoś mi powiedział, być może. Ale chyba nikt o tym nie wiedział. Nie ma tego w medycznych raportach ani w raporcie z autopsji. Po prostu nie pamiętam.

– W jakiś sposób jednak szłaś za nią przez ten magazyn, szłaś za nią aż do śmierci, widziałaś to, co ona, czułaś jej strach, czułaś jej umieranie.

Doktor Bowers miała taką minę, jakby chciała uderzyć Savicha, lecz on pokręcił głową. Lacey zeszywniała, odsunęła się od niego, ale nie powiedział nic więcej, tylko obejmował ją i kołysał lekko, w tył i w przód.

- Jak mogłam tam być? To nie ma sensu. Byłam na Św. Helenie, kiedy ojciec do mnie zadzwonił. Wyjechałam z San Francisco tego samego dnia, kiedy rozmawiałam z Belinda.
- Co powiedział ojciec, kiedy do ciebie zadzwonił?
- Powiedział, że Belinda została zamordowana przez Sznurobójcę. Kazał mi wracać do domu. Wróciłam. Nic więcej.
- Czy powiedział ci, że poroniła?
- Nie pamiętam.
- Kiedy po raz pierwszy miałaś ten sen?
- Sześć tygodni później. Skradał się do mnie i wiedziałam, że on tam jest, ale nie mogłam nic zrobić. Nie mogłam od niego uciec. Wrzasnęłam na niego: „Czemu tu jesteś? Czego chcesz?”. Nie odpowiedział. Tylko podchodził coraz bliżej. Wiedziałam, że uderzy mnie w głowę, ale nie mogłam przed nim uciec. Czulałam się bezsilna i nic nie mogłam zrobić. Był tuż obok, nade mną. Sen się skończył.
- Kiedy odkryłaś, że on wybierał kobiety, które przeklinały i, pomiały mężami?
- Sny stały się dłuższe, bardziej szczegółowe. Potem mi powiedział, kilka razy powiedział to samo. Zaczęło się jakieś trzy miesiące później. Mówił mi do ucha, zaraz jak mnie uderzył: „Jesteś małą dziwką z niewyparzoną gębą. Przeklinasz i mówisz brzydkie wyrazy, chociaż nie powinnaś, i wygadujesz na swojego męża, i wyzywasz go brzydkimi słowami. Muszę cię ukarać”. Nigdy tego nie zapomnę, nigdy. Sny trwały dalej, coraz bardziej wciągające, aż do ostatniej nocy, kiedy obudziłam się tuż przedtem, zanim mnie zabił. Nie mam pojęcia, do jakiego stopnia profile psychologiczne wpłynęły na moją psychikę. Na kursach poznałam mnóstwo okropności, ale nie rozumiem, skąd się wziął ten sen.

- On tam jest, Lacey. Dobierzemy się do niego. Potrzebujemy tylko trochę czasu.
- Doktor Bowers ma rację. Wszystko gdzieś tam jest w twoim wspaniałym mózgu. Wyciągniemy to z ciebie, ale nie dzisiaj. - Pocałował ją w czubek głowy i zapytał spokojnym, swobodnym tonem: -Pamiętasz, czy to mówił Marlin Jones?

Wstrzymał oddech. Lacey siedziała w całkowitym bezruchu, w całkowitym milczeniu. Wreszcie odezwała się głosem stłumionym przez jego koszulę:

- Nie, nie mam pewności.

A może nie mogła znieść tego wspomnienia. Na razie wystarczy. Powiedział na głos:

- Chyba powinniśmy zrobić fajrant na dzisiaj. Co powiesz, Lauren? Dostyc będzie tej wyzymaczki?
- Tak myślę. Idźcie obejrzeć mecz Redskinów. Kupcie sobie prażoną kukurydzą. Zapomnijcie o wszystkim, przynajmniej na dzisiaj. Ona jeszcze nie całkiem wyzdrowiała. Potrzebuje wypoczynku. Wyciągniemy z niej resztę za kilka dni.

Rozdział 25

Zastępca dyrektora Jimmy Maitland przygryzł nie zapalone cygaro, zapisał dwa słowa w małym czarnym notesie i ponownie spojrzął na agentkę Sherlock, która siedziała na skraju sofy Savicha, blada jak śmierć. Savich siedział naprzeciwko w ulubionym skórzanym fotelu, z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Wpatrywał się, jeśli Maitland dobrze widział, w dłoń Sherlock. Nie powiedział ani słowa. Jimmy Maitland, który znał Savicha od ośmiu lat, odkąd ten został agentem specjalnym, odezwał się:

- To mi się wcale nie podoba, Savich. Dostałem telefon od kierownika sekcji Crammera, że obecna tu Sherlock została napadnięta i że Crammer pełnił straż przed jej pokojem w szpitalu. Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie pofatygowaleś się, by mnie zawiadomić.

Sherlock podniosła wzrok. Oczy miała bardzo jasne i bardzo zielone.

- Jest niedziela, sir, i chcieliśmy obejrzeć mecz Redskinów. Wolę 49 z San Francisco, ale ich pokazują tylko w poniedziałkowym wieczornym magazynie futbolu.

Zanim Jimmy Maitland rzucił się na nią, Savich pospiesznie wtrącił:

- Chciałem tylko, żeby dzisiaj odpoczęła, sir. Zamierzałem porozmawiać z panem jutro. Ale to miło, że przyjechał pan aż tutaj.
- Dlaczego ona tutaj jest, do cholery?
- Napadnięto ją w jej domu. Uważałem, że dla własnego bezpieczeństwa nie powinna tam zostać.

Maitland stęknął.

- Więc co się dzieje, do ciężkiej cholery? Chodzi o tego kutasa Marlina Jonesa?

Wiedziała, że gdyby odparła, że nie ma pojęcia, pewnie szlag by go trafił, więc odpowiedziała po prostu:

- Tak. Myślę, że nasze zadanie jeszcze nie jest skończone. Wracam do Bostonu, żeby znowu z nim porozmawiać. Zostały jeszcze pewne luki, drobiazgi, które po prostu nie pasują do siebie. Nie możemy sobie pozwolić na żadne niejasności. Pamięta pan Richarda Jewella i bombę na Olimpiadzie w Atlancie? W tej sprawie wyszliśmy na bandę głupków i asekurantów. Postąpiliśmy jak partacze, dopuściliśmy media do głosu, zanim zdobyliśmy jakiegokolwiek konkrety, a potem zostawiliśmy faceta na pastwę losu. Zniszczyliśmy jego reputację, jego dobre imię. Sir, zniszczyliśmy nawet jego trawnik. Pozwólcie mi zakończyć sprawę z Marlinem Jonesem jak należy. Tylko ten tydzień, sir. Potrzebny mi tylko ten jeden tydzień.

Wzmianka O kłesce z Richardem Jewellem sprawiła, że Jimmy Maitland niemal przegryzł swoje cygaro.

- To znaczy, że możemy się na tym sparzyć?
- Możliwe, sir. Jak mówiłam, pojedę tam we wtorek i wszystko załatwię. Może zostanę do końca tygodnia. Proszę, sir.
- Kto, do diabła, próbował panią wykończyć, agentko Sherlock? Powinna przewidzieć, że do tego zmierzał. Maitland był bardzo wytrwałym człowiekiem.
- Nie wierzę, że chciał mnie wykończyć, sir, raczej nastraszyć, ale to właśnie kolejna niejasność.
- Nie lubię, jak moi agenci dostają po głowie.
- Oczywiście, sir.

Osobiście też nie lubiła dostawać po głowie, lecz wątpiła, czy to rozbawi pana Maitlanda. Przesunęła się jeszcze bliżej do krawędzi kanapy. Głowa ją bolała. Ramię rwało. Czowała lekkie oszołomienie. Chciała, żeby Dillon ją pocałował. Zobaczyła go nagiego nad sobą i o mało nie zakrztusiła się wodą, którą właśnie popijała.

- Co ci jest, Sherlock?

Savich już się podnosił z fotela, ale pod jej spojrzeniem usiadł z powrotem. Zresztą, co mógł zrobić? Objąć ją? Tak, wtedy naprawdę zrobiłby wrażenie na Maitlandzie. Facet pewnie z miejsca dostałby zawału. Savich modlił się, żeby wicedyrektor nie pytał więcej o napastnika. Jeszcze nie wymyślił żadnych przekonujących odpowiedzi. Nie chciał w to mieszać jej rodziny, przynajmniej na razie.

- Nic mi nie jest, sir - odparła.

Zaczerwieniła się i unikała jego wzroku. Wpatrywała się w czarne chwaściki przy swoich mokasynach firmy Bally. Gdyby jego szef nie siedział obok,

przerzuciłby ją przez ramię i zaniósł na górę. Uśmiechnął się szeroko do Maitlanda.

- Pojadę z nią do Bostonu. Dopracujemy wszystkie szczegóły.
- Marlin Jones siedzi w pierdlu. Kto do diabła napadł na agentkę Sherlock?
- Jeszcze nie wiemy, sir, ale założę się, że Marlin Jones zna odpowiedź.
- Tego nie wiesz, Savich. Może jedno z drugim nie ma żadnego związku.

Nikt nie powiedział ani słowa. Jimmy Maitland westchnął i dźwignął się na nogi. Był zmęczony. Poprzedniego wieczoru wypił za dużo piwa na przyjęciu pożegnalnym Bucky'ego Hendricksa, nowojorskiego agenta odchodzącego na emeryturę, który w swoim czasie budził powszechny postrach. Nawet mafia przysłała mu złoty zegarek. Maitland chciał wrócić do domu i też obejrzeć Redskinów.

- Więc jedź do Bostonu - burknął. - Najwyraźniej nie chcesz się przyznać, że tak naprawdę nie masz pojęcia, czy Marlin Jones maczał palce w tym napadzie na Sherlock. Ale jest jeszcze jedno, Savich. Młody gliniarz, który nawalił i wypuścił dwoje staruszków w tym domu opieki na Florydzie... nic nie kojarzył. Mieliśmy rację: wszyscy starzy ludzie wyglądają dla niego tak samo. No i posypały się morderstwa w Południowej Dakocie, dokładnie w Elk Point, a potem facet przekroczył granicę Iowy. Paskudna historia. Szef policji w Sioux City szaleje.
- Zajmę się tym jutro, sir.
Savich wstał i odprowadził Jimmy'ego Maitlanda do frontowych drzwi.
- Ten dom - powiedział Maitland i rozejrzał się po raz ostatni. -Pamiętam jeden wieczór, kiedy twoja babka zeszła po tych schodach ubrana w cytrynowożółtą szyfonową suknię. Rany, miała wtedy najmniej siedemdziesiąt pięć lat, ale wyglądała jak królowa. Dobrze to załatwiłeś, Savich. Twój brat artysta ciągle jest wkurzony, że zostawiła dom tobie?
- Już nie tak bardzo. Jakoś to przeżył.

- Nie znoszę tego nowoczesnego chłamu. Powiedz Ryanowi, żeby przeszedł na impresjonizm, tego nie można zepsuć. Ten twój delfin, którego kupiłem, nadal mi się podoba. Ładna robota. Aha, opiekuj się Sherlock.

Zamilkł na chwilę, starannie owinął nie zapalone cygaro w chustkę do nosa i włożył do kieszeni marynarki, zanim ruszył do drzwi. Zniżył głos.

- Chyba wiesz, co robisz. - Kiwnął głową w stronę salonu, gdzie Sherlock wciąż siedziała sztywno jak drewno, wpatrzona we własne buty.
- Mam taką nadzieję, sir.
- Minęło już ile? Pięć lat od śmierci Claire?
- Tak, pięć lat.
- Sherlock zbiera wysokie oceny w Biurze.
- Zasługuje na nie. Cieszę się, że wykazałem dość rozumu, żeby ją złapać prosto po szkoleniu. Ona jest cennym nabytkiem dla Jednostki.
- Pewnie też czymś więcej dla ciebie, ale to nie moja sprawa. I dopilnuj, żeby tak zostało. Opiekuj się nią, dobrze, Savich? I uważaj na siebie. I zadzwoń, gdybyś potrzebował wsparcia.
- Tak sir, zadzwonię.

Savich milczał przez chwilę, potem uśmiechnął się, odwrócił i pogwizdując, pomaszerował z powrotem do salonu. Lacey natychmiast zapytała:

- O jakim delfinie mówił pan Maitland?
- Mówiłem ci, że rzeźbiłem w drewnie. Tego delfina wykradła stąd moja siostra i oddała w komis do Galerii Lamptona. Potem, kiedy rzeźba została sprzedana, suszyła mi głowę, żebym odszedł z FBI. Nie miałem serca jej powiedzieć, że kupił ją mój szef.
- Rozumiem - powiedziała powoli. - Przypadkiem nie masz tutaj innych wyrzeźbionych kawałków?
- Kilka.

Wyraźnie czuł się nieswojo. Uśmiechnęła się do niego.

- Rzeźbiłeś kiedyś w drewnie tekowym?
- O tak, ale moje ulubione to klonowe.
- Robisz to od dawna. Niektóre blizny na twoich rękach wydają się bardzo stare.
- Od dzieciństwa.

Nie powiedziała nic więcej.

W Bostonie panował przenikliwy ziąb, niebo było mętnozare, chmury brzemienne deszczem. Budynki wydawały się stare i zmęczone, gotowe złożyć się jak domki z kart. Lacey drżała w małym pokoju przesłuchań, czekając, aż przyprowadzą Marlina Jonesa. Dałaby wiele, żeby znaleźć się teraz w San Francisco, gdzie wszystko było co najmniej o dwieście lat młodsze i pewnie nawet świeciło słońce. Potem przypomniała sobie, dlaczego przyleciała do Bostonu, i potrząsnęła głową. Gdzie jest Marlin Jones? Naturalnie będzie z nim jego adwokat, Duży John Bullock. Miała nadzieję, że go przekona, by zostawił ją sam na sam z Marlinem. Pięć minut; tyle wystarczy. Dillon był obok, tuż za drzwiami, rozmawiał z dwoma detektywami z wydziału zabójstw prowadzącymi sprawę Marlina. Sporo ludzi za lustrem weneckim będzie patrzeć i słuchać.

Usłyszała głośny brzęk kajdan na nogach. Podniosła wzrok. Marlin stał w drzwiach. Wyglądał na twardego i zahartowanego, jakby pozbawiono go wszelkich łagodnych krawędzi. Patrzył na nią przez bardzo długą chwilę, bez ruchu, nie mówiąc ani słowa. Potem uśmiechnął się nagle, przerażająco. Uniósł rękę w kajdankach i pomachał do niej palcami.

- Hej, Marty, jak twoje ramię? Pamiętam, co czułem, kiedy rzuciłem w ciebie nożem i widziałem, jak cię trafił, jak przebił skórę. Wszedł tak łatwo. Wciąż cię boli rana po moim nożu, Marty?
- Nie, Marlin, czuję się doskonale. A jak twój brzuch? Możesz już stanąć prosto? Czy przechwalasz się wielką blizną po mojej kuli?

Zamarł w bezruchu. Złośliwy błysk w jego oczach zgasł, stały się ciemne i nieprzejrzyste.

- Ciagle jesteś wyszczekana, Marty. Wcale nie udawałaś przede mną. Potrzebujesz mężczyzny, żeby cię nauczył odpowiedniego zachowania.
- Cicho, Marlin - rzekł Duży John, lekko dotykając przedramienia więźnia. Marlin strząsnął jego dłoń.

Duży John ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Lacey.

- Nic z tego, agentko Sherlock. Nie ma mowy, żebym zostawił go z panią samego.

Usiadł.

- Ty też siadaj - powiedział sierżant, popychając Marlina na krzesło. - Nie ruszaj się, bo przykuję cię do oparcia. Stoję tuż za tobą, chłopcze. Trzymaj ręce na blacie stołu. Nawet nie mrugnij okiem, słyszysz?

Marlin nie wymówił ani słowa.

- On zrozumiał - odpowiedział za niego Duży John. - Proszę się nie martwić, panie władzo.
- Ty i ja sporo tańczyliśmy, kiedy byłem ostatnio w Bostonie, Marlin. Pamiętasz nasze ostatnie tango w twoim labiryncie?
- Myślałem, że jesteś taka ładna, miła, a potem zaczęłaś wygadywać te brzydkie rzeczy. Ale ty nawet nie masz męża, co?
- Nie, nie mam męża. - Trzymała długopis i lekko stukała nim o blat stołu. - Nigdy przedtem mnie nie widziałaś, zanim weszłam do tego składu drewna, prawda, Marlin?
- Ja? Widziałem cię? - Milczał przez chwilę, potem uśmiechnął się do niej. - Myślisz, że to możliwe?

Potem wzruszył ramionami i spuścił wzrok na brudne paznokcie.

- Myślę, że nigdy nie umówiłabym się z tobą, Marlin. Wiesz, dlaczego? Nawet jeśli wyglądasz całkiem interesująco na zewnątrz, jesteś martwy w środku, całkiem martwy, jakbyś nie żył już od dawna.
- Zadam pani to pytanie na miejscu dla świadków, agentko Sherlock - oświadczył Duży John, splatając palce na brzuchu. - Dobry materiał. Pomyśleć, że mało nie zabroniłem Marlinowi odzywać się do pani. Proszę mówić dalej. Żaden sędzia nie skaże tego nieszczęsnego człowieka. Nie ponosząc odpowiedzialności...

Zignorowała Dużego Johna. Pochyliła się do przodu, odłożyła długopis i chwyciła obiema dłońmi krawędź stołu. Laminatowy blat, poplamiony, porysowany. Zastanowiła się przelotnie, kiedy ostatnio go czyszczono.

- Czy widziałeś mnie już wcześniej, Marlin?

Wpatrywał się w nią. W tamtej chwili poczuła, że jego martwy wzrok przenika przez jej skórę aż do kości, widzi krew pulsującą w żyłach. Na mgnienie zobaczyła jego ręce zanurzone w jej krwi. Drgnęła, potem zmusiła się do spokoju. Wyglądał przerażająco z tymi oczami, ale to ona jeszcze bardziej go demonizowała. Był potworem, a ona zrobiła z niego diabła. Niech się gapi. Nic jej nie mógł zrobić. Już próbował, lecz go pokonała. Musiała o tym pamiętać.

- No więc, Marlin? Widziałeś mnie już przed Bostonem? Powoli pokręcił głową.
- Nieee. Może, ale co za różnica? Dalej cię nie lubię, chociaż jesteś ładna. Prawdziwa z ciebie suka, Marty.
- Chciałabym, żebyś mi coś powiedział, Marlin.
- Jeśli zechcę.
- Pamiętasz, kiedy byłeś w szpitalu, poprosiłam cię, żebyś wymienił kobiety, które zabiłeś w San Francisco.
- Pamiętam.

- Pomiñałeś kobietę nazwiskiem Belinda Madigan. Dlaczego? Dlaczego pomiñałeś jej nazwisko?
- Czy ona przeklinała?
- Nie. Ja teŝ nigdy nie przeklinałam, Marlin. Dlaczego pomiñałeś nazwisko Belindy Madigan?

Wzruszył ramionami, oczy mu się zwięziły i teraz go przejrzała. Wiedział, że miał nad nią przewagę, wiedział, że panował nad sytuacją, wiedział, że mógł ją doprowadzić aż do... aż do czego? Czy już wcześniej się spotkali? W San Francisco? Czy znał jej toŝsamość? Coś się okropnie nie zgadzało. Zdawała sobie sprawę, że grał na jej uczuciach, ale nie potrafiła tego przerwać.

Pokazał w uśmiechu wszystkie zęby, piękne, białe i proste.

- Czasami mam kłopoty z pamięcią, wiesz?
- Może mój ojciec cię skazał? Był zastępcą prokuratora okręgowego siedem lat temu w San Francisco. Nazywa się Corman Sherlock. O to chodziło, Marlin?
- Słyszałem o twoim tatusiu, że to wredny skurwysyn, że nigdy nikomu nie przepuścił, ale osobiście go nie znałem.
- Dlaczego zabiłeś Belindę Madigan?

Duży John zerwał się z rykiem, przewracając krzesło. Sierżant chwycił go za ramię i wydobył broń. Drzwi do pokoju przesłuchań rozwarły się gwałtownie i trzech uzbrojonych funkcjonariuszy wpadło do środka.

Lacey powoli wstała.

- W porządku, panowie. Pan Bullock tylko trochę wyszedł z siebie, prawda, sir?
- Pani nie ma prawa zadawać mu takich pytań, agentko Sherlock. Jeśli .znowu pani to zrobi, Marlin nie powie ani słowa i nie będzie więcej przesłuchań. Zrozumiano?
- Zrozumiano.

Zobaczyła Dillona stojącego w drzwiach z zaciętą miną, z twardym spojrzeniem. Kłócili się o to, ale w końcu ustąpił, pozwolił jej samej porozmawiać z Martinem. Wiedziała, że dostrzegł jej desperację. Teraz nic nie powiedział, tylko na nią patrzył. Uśmiechnęła się, nieznacznie kiwnęła mu głową i znowu usiadła prosto.

- Obiecuję uważniej formułować pytania, panie Bullock - odezwała się. - Proszę usiąść, sir. Jeśli znowu przyjdzie panu ochota do takich podskoków, proszę się powstrzymać. Nie chcę, żeby mnie przypadkowo postrzelono.
- Proszę się pilnować, mała damo.
- Jestem agentką specjalną Sherlock - odparła potulnie, podziwiając jego taktykę.

Nie był głupi. Wzruszył ramionami i usiadł na krześle, krzyżując ręce na piersi.

Odwróciła się do Marlina, który nie poruszył się ani nie odezwał podczas całego zamieszania.

- Czy zastawiłam na ciebie pułapkę, Marlin?
- Nie wiem, co to znaczy, Marty. Wiem tylko, że musiałem cię ukarać. Bóg mnie zesłał, żeby karał jego słabe naczynia, oczyścił je, uzdrowił.
- Czyli uśmiercił, Marlin?
- Nie odpowiadaj, Marlin. Niech pani uważa, agentko Sherlock.
- Dlaczego pominąłeś nazwisko Belindy Madigan? Ponownie obdarzył ją uśmiechem wyższości, lekceważąc pytanie.
- Belinda jaka? Nie znam żadnej Belindy. Ładne imię, takie staroświeckie. Kim ona jest dla ciebie, Marty?
- Myślisz, że jestem do niej podobna, Marlin?
- Nie, ale myślę, że jesteś ładniejsza, zawsze myślałem...

Duży John Bullock poruszał wargami. Nie wiedział, co się dzieje, ale wkrótce zgadnie. Nie był głupi.

Lacey odchyliła się na oparcie krzesła i odetchnęła bardzo, bardzo głęboko.

W końcu Duży John zapytał:

– Kto to jest Belinda?

– Jedna z kobiet z San Francisco, które Marlin musiał oczyścić. To było siedem lat temu. Oczyścił siedem kobiet w San Francisco. Siedem, prawda, Marlin?

Potrząsał głową.

– Nie, nie siedem. Nie lubię siódemki. Tato zawsze mi mówił, że siedem to zła liczba, gorsza nawet niż trzynaście. Zawsze śmiał się z hoteli, które nie mają trzynastego piętra, mówił, że durnie z czternastego piętra naprawdę mieszkają na trzynastym, tylko w swojej głupocie tego nie rozumieją. Nie, to nie było siedem, było sześć, jak mi mówił tato.

– No dobrze. Te sześć kobiet, które oczyściłeś w San Francisco, wszystkie przeklinały i wygadywały na mężów?

Przytaknął. Duży John nic nie powiedział, co Lacey uznała za dar niebios.

– Czy umawiałeś się z nimi wszystkimi, Marlin? Jesteś przystojnym facetem, na pewno kobiety chętnie się z tobą spotykają, prawda?

Znowu przytaknął.

– Panie mnie lubią - oświadczył, wpatrzony w paznokiec kciuka. - Mówią, że jestem wspaniałym kochankiem.

Mało się nie zakrztusiła.

– Umawiałeś się z Belindą?

– Mówiłem ci, Marty, ona nie była jedną z tych kobiet, które musiałem oczyścić. A w ogóle dlaczego tak się nią interesujesz?

– Podoba mi się jej imię. Jest niezwykle.

– Mnie nie podoba się jej imię, ale twoje, Marty. Prawie jak imię chłopca. Mało brakowało, wiesz? Kiedyś myślałem, że Bóg chce, żebym oczyszczał małych chłopców, poprawiał ich, jeśli źle zaczęli, sprowadzał na właściwą

drogę, ale potem zrozumiałem, że nie chodziło o chłopców, tylko o dziewczynki. O kobiety, które miały szansę się na-prostować. Kobiety, które poślubiły dobrych mężczyzn i zwróciły się przeciwko nim. Spałem z nimi, wiesz, chciałem się upewnić, czy słusznie wybrałem. Wszystkie zdradzały swoich mężów, wyśmiewały się z nich, więc wiedziałem, że muszą przejść próbę w moim labiryncie.

- Marlin - powiedział bardzo spokojnie Duży John - zamknij się.
- No dobrze, musiałem je oczyścić. Właśnie, oczyścić. Szkoda, że nie poszedłem na studia. Nauczyłbym się więcej takich ładnych słów, jak „oczyścić”.

Słuchała zafascynowana. Wyobrażała sobie, że wszyscy ludzie słuchający Marlina są zafascynowani. Zastanawiała się, co myśli Savich.

- Nie zaprosiłeś mnie na randkę, kiedy przyszedłam do składu drewna.
- Wiem. To było dziwne. Spałem z Hillary. Dobra była. Świetnie mi obciągała. Wiesz, że mówiła brzydkie słowa, kiedy ją rznąłem?
Natychmiast się zrewanżowała.
- Dlaczego nie próbowałeś mnie zerznąć, Marlin? Widziała, że aż podskoczył. Wcale nie udawał.
- Przestań, Marty. To brzmi tak dziwnie w twoich ustach. Nie mów takich słów, dobrze?
- Okay. Ale dlaczego nie chciałeś nawiązać ze mną intymnych stosunków?
Wzruszył ramionami.
- Przyszałaś taka silna, mówiłaś o swoim biednym mężu w ten sposób, no i tak okropnie przeklinałaś. Mówiłaś przy mnie te wszystkie brzydkie słowa. - Westchnął. - Ale wiesz, trochę się spieszyłem. Nie mogłem marnować czasu na randki, żeby zobaczyć, czy pójdziesz ze mną do łóżka.
- Skąd ten pośpiech, Marlin?

- Bo Bóg chciał, żebym pojechał do Toronto. Nie mogłem, dopóki nie załatwiłem sześciu kobiet tutaj, w Bostonie. Tak, spieszyło mi się. Przepraszam, Marty. Żałujesz, że nie kochałem się z tobą?
- Raczej nie, Marlin. Trudno mi uwierzyć w twoje historyjki. Nikt nie widział cię z żadną z tych kobiet w San Francisco. Nikt cię nie widział z Hillary tutaj w Bostonie. Jak myślisz, dlaczego?
- Wiedziałem, że muszę być ostrożny. Po Denver byłem naprawdę ostrożny, chociaż i tak nie zrobiłem tam wszystkiego, co chciałem. Tylko dwie kobiety, a potem zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Widziano mnie z obiema. Musiałem wyjechać. Bóg mnie wtedy ocalił, ale kazał mi postępować sprytniej i tak zrobiłem w San Francisco. One wszystkie uwielbiały tajemnice, nasze wspólne sekrety, spotkania w różnych ciemnych zakamarkach. Wszystkie uwielbiały mój zapach, wiesz, jak świeżo cięte drewno, naprawdę świeży. Wszystkie uważały, że jestem groźny i cudowny. Dwóch z nich nawet nie musiałem walić po głowie. Po prostu zapytałem, czy chcą pobawić się ze mną w labirynt, a one aż się do tego paliły. Były zachwycone. Do samego końca. Kiedy im powiedziałem, co muszę zrobić. Wtedy chyba zapomniały, że byłem dobrym kochankiem.
- Marlin, zamknij się, kurwa!

Rozdział 26

Zastanawiała się, co by było, gdyby zwymiotowała na laminowany blat. Czy ktoś by zauważył?

- Ale nie Belinda? Nie chciała z tobą spać, prawda, Marlin? Myślała, że jesteś chory. Myślała, że jesteś odrażający. Nie chciała mieć z tobą nic wspólnego. Chciała tylko swojego męża, nikogo innego, tylko swojego męża.

Zacisnął dłonie w pięści.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Sierżant natychmiast odkleił się od ściany i wyciągnął broń. Lacey potrząsnęła głową.

– Wiesz, o czym mówię. Bóg nie chce, żebyś kłamał. Po prostu powiedz prawdę. Belinda cię nie chciała. Pewnie cię wyśmiała, powiedziała, że jesteś żaloszny. Dlatego ją za... oczyściłeś, tak? Po prostu cię nie chciała. Nie przeklinała. Nie wygadywała na męża. Nie pasowała do tych innych kobiet. Wiesz, że nie pasowała. Dlaczego, Marlin, dlaczego ją zabiłeś?

– To koniec - oświadczył Duży John, powoli podnosząc się z krzesła, zjedną mięsistą dłonią na ramieniu więźnia. - Nie mów nic więcej, Marlin, ani słowa więcej.

– Czemu myślisz, że nie miałem Belindy? - zapytał Marlin szeptem, pochylając się do Lacey. - Naprawdę wierzysz, że jakaś kobieta mogła mnie wyśmiać? Odmówić mi? Niemożliwe, Marty. Taak, miałem Belinę. Nie chcę cię, Marty. Jesteś cyniczna. Pewnie nienawidzisz mężczyzn, pewnie nigdy...

– Marlin, daj spokój. Słuchaj, ty kretynie. Kazałem ci się zamknąć, do kurwy nędzy.

To trwało ułamek chwili, zaledwie jedno mgnienie. Marlin uniósł skute dłonie, splótł je w pięść i spuścił z całej siły na lewą skroń Johna Bullocka. Duży John jęknął cichutko z głębi gardła i osunął się bezwładnie w krzesło. Głowa poleciała mu do przodu i uderzyła o laminowany blat. Leżał nieprzytomny. Strumyczek krwi sączył się z jego prawego nozdrza.

Sierżant rzucił się na Marlina. Drzwi znowu się otwały i wpadło trzech gliniarzy. Lacey się zastanawiała, czemu go po prostu nie zastrzelili. Oszczędziliby podatnikom miliony dolarów. Jednakże nie zastrzelili. Chciała na nich wrzasnąć, że to śmieć, pewnie trafi do wariatkowa, wyjdzie za dwadzieścia lat i zacznie wszystko od początku. Ale powściągnęła wściekłość.

- Gdybym to zrobił, na pewno by mnie zamknęli - powiedział jej Dillon nad uchem. - Przepraszam, ale nie mogę, Sherlock.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wyszeptała swoje myśli na głos. Tylko Dillon ją usłyszał, dzięki Bogu. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy stłoczyli się wokół Marlina, wywlekali go z pokoju. Ktoś krzyczał: „Wezwijcie pogotowie, do cholery! Facet rozwalił łeb własnemu adwokatowi!”.

Marlin odwrócił się i obdarzył ją pożegnalnym uśmiechem.

- Ona była dobra, Marty, naprawdę dobra. To ten łajdak jej mąż był potworem, nie ja. Ja troszczyłem się o nie, o ich dusze. Ale on był zły. Ona mnie chciała, Marty, nie na odwrót, przysięgam. Wiesz co? Brakuje mi Belindy.

A potem zniknął w otoczeniu glin, szurając skutymi nogami. Kajdany brzęknęły o linoleum w korytarzu.

- Co tu się wyprawia, do cholery? - zapytał Savich, mocno ściskając jej nadgarstek.
- Nic nie ma sensu, nic.

Wyszli z posterunku. Lacey milczała przez trzy przecznice, potem zatrzymała się i powiedziała:

- On się ze mną bawił, Dillon. Rozpoczął swoją grę, jak tylko wymieniłam imię Belindy. Słyszałeś, jakie pytania zadawałam. Chciałam się jedynie dowiedzieć prawdy, tymczasem wszystko jeszcze bardziej się zmaćiło.
- Właśnie dlatego Duży John pozwolił ci gadać z Marlinem, bez swoich słynnych pogroźek. Chciał ci zmaćić w głowie.
- Udało mu się. Myślisz, że Marlin utrzymywał intymne stosunki z Belindą? Savich spojrzał na nią z irytacją i pokręcił głową.

Tego wieczoru na Newbury Street, wychodząc z restauracji Fien Nang Mandaryn, gdzie czerwone papierowe lampiony kołysały się na wietrze, Savich rozmawiał z Sherlock i machał ręką na taksówkę. Nie zobaczył samochodu,

który wyjechał z za rogu z piskiem opon i pomknął prosto na nich - dopóki nie było za późno.

Zdażył przewrócić ją na chodnik, zanim samochód potracił go i rzucił na maskę starego buicka riviery.

– Nie chcę żadnego lekarza, Sherlock, żadnego szpitala, żadnej karetki. Wykluczone. Nie mamy czasu do stracenia. Nie, nie chodzi jedynie o czas. Tylko sobie wyobraź raporty policyjne, śledztwo, pytania, to za długo potrwa. Nie, nie chcę lekarza.

Miał rację, ale martwiła się o niego. Podtrzymywał ramię i lekko kulał. Wiedziała, że każdy krok sprawia mu ból. Drzwi windy otwarły się na ich piętrze. Savich oparł się na niej ciężko.

– Nie, nic nie mów. Nic mi nie jest. Przez te trzydzieści cztery lata oberwałem tyle razy, że sam wiem najlepiej, kiedy to coś poważnego, a kiedy zwykłe stłuczenie. Na pewno nic ci nie jest? Popchnąłem cię dość mocno.

– Mam tylko trochę siniaków na lewym boku, nic więcej. Otworzyła kluczem drzwi hotelowego pokoju.

– Gdyby to mnie potracił samochód, co byś zrobił? Przystanął na środku pokoju i uśmiechnął się do niej bezczelnie.

– Leżałabyś przypięta do noszy w Izbie Przyjęć.

Zamknęła drzwi bardzo cichutko i przekreśliła klucz. Założyła łańcuch.

– Rozumiem. Ale ty, dzielny mężczyzna, zniesiesz wszystko bez zmrużenia oka.

– Aha, właśnie. Teraz muszę zadzwonić.

Wyjęła lód z zamrażalnika i owinęła w ręcznik. Rozmawiał przez telefon, kiedy podała mu zawiniątko. Podniósł koszulę i przycisnął okład do żeber. Więc potłukł sobie żebra, nie ramię.

- Quinlan? Potrzebuję pomocy. Tak, paskudne kłopoty tutaj w Bostonie. Czy Sherlock i ja możemy na parę dni pojechać do chaty twoich rodziców nad jeziorem Louise Lynn? Nie, w tej chwili nie czuję się najlepiej. Samochód mnie stuknął i potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do siebie. Nie, nic dla Maitlanda. Zresztą, on się niczego nie spodziewa. W ten sposób mam trochę luzu. Taak, dobra.

Odłożył słuchawkę i wyciągnął się na plecach, zamknąwszy oczy.

- Od razu lepiej. Dziękuję.
- Weź aspirynę. - Podała mu trzy tabletki i szklanek wody. Połknął lekarstwo.
- Co to za chata nad jeziorem Louise Lynn?
- To ładne jezioro w Marylandzie, gdzie rodzice Quinlana mają domek. Ty i ja pojedziemy tam jutro. Wynajmij dla nas duży, wygodny samochód, Sherlock. Chcę stąd wyjechać wcześniej rano.
- Ranny zwierz kryje się w norze?
- Właśnie. W norze Quinlana. Muszę sobie sprawić własną. Cholera, to boli, ale nic poważnego.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Stała obok łóżka na szeroko rozstawionych nogach, z rękami opartymi na biodrach. Nie miała zadowolonej miny.

- Wyglądasz fatalnie. Widziałam, że kulejesz. Skręciłeś kostkę? Próbowałeś się uśmiechnąć, ale to bolało.
- Lekkie zwichnięcie. Nic wielkiego. Hej, przecież nie oszpeciłem swojej pięknej buzi?
- Tylko trochę. Leż spokojnie, umyj cię. Wszystkie zęby na miejscu?
- Zęby są całe.

Patrzył, jak wyszła do łazienki. Poruszała się sztywno, panowała nad sobą. Był jej za to wdzięczny. Dostał już jeden ochrzan. Nie potrzebował następnego. Usłyszał szum odkręconej wody. Przyniesie mu zimny kompres na obolałą głowę. Lód przyjemnie chłodził zębra.

Dobrze to zniosła. Westchnął z ulgą i znowu zamknął oczy. Umyła mu twarz i owineła ręcznik z lodem wokół kostki, a potem tylko stała i patrzyła.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Bo jeśli nie, to cię zatłukę. Obdarzył ją szerokim uśmiechem. Spał aż do drugiej nad ranem.

Wtedy dała mu następne trzy aspiryny.

O szóstej rano wymeldowali się z hotelu i piętnaście minut później jechali po autostradzie przestronnym fordem. Savich odchylił swój fotel jak najdalej do tyłu. Oczy miał zamknięte. Był posiniaczony i wymięty. Lacey zmierzyła go długim spojrzeniem, zanim skręciła na szosę 1-95 South. Jazda do Marylandu zabierze im około ośmiu godzin, ale przynajmniej mieli pełną buteleczkę aspiryny i koce.

Jezioro Louise Lynn leżało w południowym Marylandzie. Dojechali na miejsce po dziewięciu godzinach. Lacey była tak pobudzona litrami wypitej kawy, że nie mogła spokojnie usiedzieć. Stukała stopą w pedał gazu, bębniła palcami po kierownicy. Za bardzo się denerwowała, żeby słuchać muzyki czy wiadomości.

– Dobrze się czujesz, Dillon? Na pewno?

– Tak. Przestań się martwić. Chcesz, żebym prowadził?

Tylko na niego popatrzyła. Zamknął oczy i odchylił się na oparcie fotela. Trzydzieści minut później szukał znaków orientacyjnych.

– Skręć tutaj - powiedział. - Tak, tutaj. Zaraz za zakrętem. Jesteśmy na miejscu. Dobrze się spisałaś, Sherlock. Ładne miejsce, co?

– Ktoś już tu jest - powiedziała. - Cholera, musimy jechać dalej. Nie chcę ryzykować, nie z tobą w takim stanie. Jeśli ich jest więcej niż dwóch, chyba nie dam rady cię obronić.

Uniósł czarną brew.

– Wezmę na siebie jednego, Sherlock, jeśli nie jest za duży.

– Nie, jedziemy dalej. Podrzucę cię do motelu, a potem wrócę i sprawdzę.

– Nie, czekaj, to Quinlan.

Zobaczyła, że James Quinlan podbiega do samochodu. Odkręciła szybę i posłała mu szeroki uśmiech.

– Dzięki Bogu, że to ty. Na razie mamy dosyć złych facetów.

– O nie, jestem bohaterem, spytaj mojej żony. Hej, Savich wygląda, jakbyś przegrał bójkę. Za śmiało sobie z tobą poczynał? Musiałś mu spuścić lanie?

– Nie, samochód go potracił. Stłukę go, kiedy poczuje się lepiej. Nie chciał lekarza. Głupek. Pomóż mi go wtaszczyć do środka.

Sally Quinlan przywitała ich w drzwiach. Za nią stał czarny mężczyzna, ubrany w kompletny strój od Calvina Kleina. Był ogromny, brzydki jak grzech i miał włosy ścięte na zapalną.

– Och, to jest Marvin, wykidajło z klubu Bonhomie od panny Lily. Uważał, że James nie poradzi sobie, jeśli będą kłopoty, i uparł się, żeby przyjechać. Marvin, to jest Lacey Sherlock.

– To miła lalunia?

– Chyba tak.

– Dziwacznie się nazywa.

– Lacey wcale nie jest dziwaczne.

– Hej, może z ciebie jednak niezła lalunia. O mój Boże. Wyglądasz jak nieświeży trup, Savich. Panna Lily miała wątpliwości, czy ty i Quinlan jesteście dość twardzi, żeby robić takie rzeczy.

W jednej chwili Marvin wyskoczył z za drzwi i zbiegł po stopniach ganku. Lacey zobaczyła, jak olbrzym pomaga Dillonowi wejść do podniszczonego domku.

– Marnie mi wyglądasz, chłopie - powiedział do Savicha, kładąc go na długiej sofie. - Nie ruszaj się teraz. Pozwól Marvinowi obejrzeć te twoje zebra. Dobrze, że miałem dziewięciu braci. Zabandażowałem sporo zeber w swoim czasie. Ale wiesz, już nie bandażuję. Dotrzymuję kroku postępowi

medycyny. Nie, teraz nic nie robię, tylko ci mówię, żebyś się nie martwił. Nie są złamane, lecz na pewno coś ci tam pękło. Mój trzeci brat, Tomalás, ten to miał połamane żebra. Opowiadaliśmy mu kawały, żeby zobaczyć, jak się śmieje i jęczy jednocześnie.

Savich miał zamknięte oczy. Nie powiedział ani słowa, tylko słuchał głębokiego, niskiego głosu Marvina przeciągającego słowa, jakby zdanie nigdy nie miało się skończyć. Marvin okazał się zadziwiająco delikatny, jego wielkie czarne dłonie poruszały się powoli i zręcznie nad klatką piersiową Savicha.

- Nie mam nic złamanego, Marvin. Tylko się potłukłem. Cieszę się, że przyjechałeś. Panna Lily czuje się dobrze?
- Panna Lily zawsze czuje się dobrze. Wczoraj wieczorem wygrała pięćset dolarów w pokera od tego czarnego cwaniaka z Cleveland. Tak, jest całkiem zadowolona. Wyglądasz tak, jakby panna Lily wkurzyła się na ciebie i spuściła ci łomot. Raz mnie walnęła i padłem tak jak ty teraz. Cholera, całe trzy dni zbierałem się do kupy.
- Panna Lily jest właścicielką klubu Bonhomie - powiedziała Sally do Lacey. - Mam dla niego środki przeciwbólowe, Marvin. Co o tym myślisz?

Savich powiedział, nie otwierając oczu:

- Sally, daj mi cokolwiek, to zabiję dla ciebie smoka.
- Mój bohater - powiedziała Sally Quinlan i zniknęła w małej kuchni.
- Nie pozwalaj sobie za bardzo - zawołał za nią Quinlan. -Ja jestem twoim głównym bohaterem, pamiętasz?

Lacey patrzyła, jak wielkie dłonie Marvina przesuwają się po ciele Savicha, lekko naciskają, ugniatają. Wreszcie olbrzym wstał, skrzyżował ramiona na piersi i oznajmił:

- Przeżyjesz, chłopie, ale wcale mi się to nie podoba. Ty i Quinlan, obaj nie nadajecie się do takiej niebezpiecznej pracy. Każdy z was jest za miękki, za ufny. Na świecie jest za dużo wrednych drani. Sam wiem najlepiej, bo codziennie wyrzucam ich z klubu.

– To był brązowy ford taurus, numer rejestracyjny 429JRD, chyba z 1994 roku. Savich otworzył oczy.

– Jesteś pewna, Sherlock? Ja zobaczyłem tylko RD. Hej, całkiem nieźle. Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

– Ty palancie, martwiłam się o ciebie.

– Zaraz to sprawdzę - rzekł Quinlan i podszedł do telefonu. Sally wróciła z pigułką i szklanką wody.

Dziesięć minut później Savich miał zamknięte oczy. Sally okryła go kocem. Marvin zdjął mu buty.

– Ma ładne stopy - zauważyła Sally.

– Ma duże stopy - sprzeciwił się Marvin. - Popatrz na te kajaki, lalka, jak nic rozmiar czterdzieści cztery.

Obie kobiety podniosły wzrok. Marvin popatrzył na jedną i na drugą.

– No, ale zabawa. Jeszcze nigdy nie miałem z tym kłopotu. Sally wytłumaczyła Lacey:

– Marvin nazywa lalkami wszystkie kobiety, oczywiście oprócz panny Lily. Co z twoją matką, Marvin?

– Ona jest Wielką Lalą. Nikt nie podskoczy Wielkiej Lali, nawet mój tata. Możesz do niej mówić Sally, ale to lalka.

– Mnie to nie przeszkadza.

– Lalka Savich - powiedział powoli Dillon, smakując te słowa. -To dopiero dziwnie. Nie wiem, czy to zniosę. Ale wiecie, to jest lepsze niż lalka Sherlock.

– Myśleliśmy, że śpisz. Jak się czujesz, Dillon? - Lacey pochyliła się nad nim, czubkami palców lekko przesunęła po ciemnych brwiach, dotknęła sińca na policzku.

– Żyję.

– To dobrze. Trochę odpłynąłeś, co, Dillon?

- Nie, wcale. Ciagle za bardzo mnie boli, zebym pozeglowal w eter.
- Nie wiesz, co przed chwila powiedziales, prawda?
- Owszem, wiem, co przed chwila powiedzialem. Dziwnie brzmi, nie zgadzasz sie?
- Myśle - odrzekla Lacey bardzo powoli, spoglądając na mężczyznę, który stał się dla niej najważniejszy w życiu - że jakoś się przyzwyczaję, zanim Marvin pozna mnie na tyle, żeby nazywać mnie Sherlock.
- To dobrze - powiedział Savich. -Właściwie nie zamierzałem tego wyciągać akurat teraz, w takiej chwili. Niezręczne i nie w porę. Po prostu mi się wymknęło. Może spróbuję jeszcze raz później, kiedy troje ludzi przestanie gapić się na nas?
- Tak, myślę, że to doskonały pomysł.

Głowa opadła mu na bok. Tym razem odpłynął na dobre.

- Lalka Sherlock Savich - powiedział powoli Marvin. - Taak, takie śmieszne, że Fuzzy dostanie zajadów.
- Wolę Sherlock Savich - oznajmiła Sally. - Nie do pobicia. Z takim nazwiskiem może kiedyś zrobią cię dyrektorem.

Dziesięć minut później Quinlan powiedział z drugiego końca pokoju, odkładając słuchawkę telefonu:

- Samochód wynajęto na nazwisko Marlin Jones. Gość zapłacił gotówką, ale pokazał im kartę kredytową ze swoim nazwiskiem i prawo jazdy.
 - To mi się nie podoba - oświadczyła Lacey z twarzą pozbawioną kolorów. - Wcale mi się nie podoba. Ale czekajcie, przecież zdjęcie musiało się różnić.
- Quinlan odparł:
- Facet mówił, że zdjęcie było bardzo niewyraźne, ale skoro nazwisko się zgadzało i wiek też z grubsza pasował, machnęli ręką. Więc nic nie wiadomo.

- Jones. Marlin Jones? Hej, to ten seryjny zabójca? - zapytał Marvin, odkładając stos starych numerów czasopisma „Economist” z powrotem na stolik do kawy. - Myślałem, że on siedzi w pudle w Bostonie.
- Siedzi - potwierdziła Lacey - Rozmawiałam z nim wczoraj. Pewnie trzymają go pod maksymalnym nadzorem. Rozbił głowę swojemu adwokatowi. Znokautował go. Jak tu jechaliśmy, usłyszałam w wiadomościach, że pierwsze, co powiedział Duży John po odzyskaniu przytomności, było: „Zamierzam wyciągnąć tego drania z pierdła, żeby go zabić”. Potem znowu zemdlął. Lekarze podejrzewają wstrząs mózgu.
- Ten facet to niezły zgrywus - rzekł Quinlan.
- Myślę, że Duży John mówił poważnie - mruknęła Lacey.
- A już miałam nadzieję, że będzie o jednego prawnika mniej - zawołała Sally z kuchni. - James, chodź, pomóż mi. Wszyscy muszą zjeść obiad. Już prawie piąta.
- Pójdę złapać parę okoni - oznajmił Marvin. - Gdzie są wędkę, James?
- Dlaczego ten facet uderzył adwokata? - zapytała Sally, spoglądając na Lacey sponad marchewki, którą na zmianę kroїła i pogryzała.
- Kazał mu się zamknąć do kurwy nędzy, bo Marlin przyznał mi się, że zabił te kobiety w San Francisco. Marlin dostał szału. Widocznie nie lubi wulgarnego języka również u mężczyzn. Żałowałam, że gliny nie zastrzeliły go na miejscu. - Westchnęła, splótłszy dłonie między kolanami. Wstała powoli. - Chyba lepiej zadzwonię do Jimmy'ego Maitlanda. Boję się, że naprawdę go zdenerwuję.

Savich czuł się lepiej. Musiał tylko leżeć spokojnie, nie oddychać zbyt głęboko, trzymać oczy zamknięte, albo patrzeć na Sherlock, i już następowała poprawa. Sherlock Savich. Rany, to dopiero brzmiało. Nie mógł się doczekać,

żeby zostać z nią sam na sam. Pocałuje ją i znowu poprosi o rękę, tym razem jak należy.

Ból w żebrach, kostce i biodrze przychodził falami, nie były to wielkie surfingowe fale, tylko drobne, uparte i nieustępliwe falki.

Poczuł jej dłoń na policzku.

- Mam dla ciebie następną tabletkę przeciwbólową. Otwórz usta. Otworzył. Wkrótce ból zmienił się w irytujące ćmienie, które ledwie zauważał.
- Dobry towar - pochwalił.
- Najlepszy - zapewnił Quinlan. - Od naszego ulubionego doktora.
- Ach, doktor Ned Breaker.
- Powiedział, żeby zadzwonić w razie potrzeby, to przyjedzie i cię zbada.
- Zadzwonimy do niego - zaproponowała Sally. - Savich, naprawdę nie wyglądasz za dobrze.
- Z każdą chwilą czuję się lepiej - odparł Savich. - Przecież nie jestem głupi. Wszystko w porządku.
- Chcesz coś zjeść? Marvin złapał trzy okonie, całkiem spore dranie. Wypatroszyłem rybki, a Sally je usmażyła.

Savich miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Sama myśl o smażonej rybie wywołała mdłości.

- Nie, raczej nie - odpowiedziała za niego Lacey, lekko gładząc go po policzku. - My zjemy rybki, a Dillon wypije trochę zupy. Masz rosół z makaronem, Sally?

Nie chciała zostawiać go samego. Spała obok sofy na trzech kocach, tak blisko, że słyszała jego oddech.

Następnego ranka Lacey weszła do domu i zobaczyła Dillona stojącego przy niewielkim barze, który oddzielał kuchnię od salonu. Popijał kawę z kubka. Powinien się ogolić.

- Więc nie umarłeś. Roześmiała się znad krawędzi kubka.

- Nie, ale doceniam, że czuwałaś nade mną przez całą noc. Wiesz co, mam pomysł na zabawę. Rozbierzemy się do naga i urządzimy konkurs siniaków. Chyba ci dorównałem. Jak tam lewy bok?
- Prawie bez siniaków. Dillon, w jaki sposób Marlin Jones wynajął samochód?
- Widocznie ktoś inny posłużył się jego nazwiskiem. Pojedziemy jutro do Kalifornii, okay?
- Nie, dopóki całkiem nie odzyskasz sił. Nie zamierzam więcej ryzykować.
- Co za troskliwość.

Podeszła do niego, lekko pocałowała go w usta i podciągnęła mu koszulę.

- Będę obiektywna. No więc moje żebra wyglądają bardziej jak włoska flaga niż twoje.

Poczuł jej palce na skórze, delikatne, wcale nie sprawiały bólu, muskały go lekko, lekko, i ku własnemu radosnemu zdumieniu dostał erekcji. Nie chciał tego powiedzieć, ale słowa same wyszły mu z ust:

- Możesz trochę niżej?

Jej palce zamarły. Potem parsknęła śmiechem.

- Dillon, polecimy pierwszą klasą, dobrze?
- Tak, doskonale. Do pojutra wyzdrowieję, przysięgam. Mamy cały dzień, żeby się naradzić z Quinlanem.

Wciągnął powietrze przez zęby i spojrzał na nią z góry. Wsunęła dłoń za pasek jego spodni, wplątała palce we włosy łonowe. Nie wiedział, czy się rozplacze, czy krzyknie, czy tylko jęknie, i to nie z bólu. Palce dotknęły go, potem objęły. Bał się, że umrze, zemdleje, przedwcześnie wytryśnie, wszystko naraz. Ale potem jego obawy stały się akademickie. Marvin wszedł do domu, śpiewając na całe gardło.

- Przepraszam - powiedziała Sherlock i pocałowała go w ucho. Westchnął głęboko.
- Myślisz, że zrobiłem coś bardzo złego w poprzednim wcieleniu?

- Strasznie ciężko dyszysz, Dillon.
- Hej, lalka, coś ty zrobiła naszemu chłopakowi?
- Tylko go zbadalam. Tak jak ty, Marvin.
- Wątpię, lalka, bardzo wątpię. Raczej torturowałaś biednego faceta.

Rozdział 27

Lacey przez długą chwilę wpatrywała się w dzwonek u drzwi, zanim go nacisnęła. Savich nie mówił ani słowa, spoglądał ponad dwupiętrowym budynkiem art deco na wspaniały widok Alcatraz, mostu Golden Gate i surowych Marin Headlands w oddali. Dzień był rześki i chłodny, barwy tak czyste, że aż kłuły w oczy. Na zatoce pływały żaglówki.

Czarna kobieta w średnim wieku, pulchna i bardzo ładna, z oczami błyszczącymi inteligencją, otworzyła drzwi, zachłysnęła się i chwyciła Lacey w ramiona.

- Moja dziecinko, to ty, naprawdę ty. Dzięki Bogu, że wróciłaś do domu. Od tygodni mi powtarzali, że przyjedziesz, i w końcu przyjechałaś. A już myślałam, że odwróciłaś się od nas.

Lacey oddała uścisk. Isabelle była dla niej matką bardziej niż kobieta w eleganckiej, sypialni na górze. Pracowała w tym domu jako gosposia i kucharka, zanim jeszcze Lacey przyszła na świat.

- Cieszę się, że cię widzę, Isabelle. Co u ciebie? Dzieciaki zdrowe?

Cofnęła się i spojrzała uważnie na pięknie wyrzeźbioną czarną twarz, ukochaną twarz promieniującą ciepłem i humorem.

- W mojej rodzinie wszystko w porządku, ale tutaj nie za dobrze się dzieje, Lacey, nie, nie za dobrze. Tata zamknął się w sobie, nie odzywa się do ludzi. Twoja mama wcale nie wychodzi ze swojego pokoju, siedzi tam i ogląda te

głupie talk-show, w najlepszym razie. Mówi, że chce napisać książkę i wysłać do Oprah, żeby Oprah ją zareklamowała, a wtedy się wzbogaci i odejdzie od twojego taty. Hej, kim jest ten facet z tobą?

– To Dillon Savich. On też pracuje w FBI. Dillon, poznaj Isabelle Tanner. To ona mnie ostrzegła, jacy źli są chłopcy, kiedy skończyłam szesnaście lat. To ona zabraniała mi wsiadać do jaguara Bobby'ego Wellmana.

– Powinnaś była jej posłuchać.

– O Jezuniu. Znaczy, że pozwoliłaś temu chłopakowi wleźć na siebie w tym małym jaguarze? O rany, myślałam, że wtedy wygrałam.

Savich uścisnął jej dłoń.

– Pani Isabelle, zapewniam, że Sherlock od czasu tamtego jaguara nie wsiadała do żadnych innych samochodów. Dobrzeją pani wychowała.

– Nazywają pan Sherlock. - Isabelle skrzyżowała ramiona na obfitym biuście. - Trochę zabawnie, ale ładnie. No, wchodźcie, dam wam dobrej herbaty i placuszki prosto z pieca.

– Kto to, Isabelle?

Twarz Isabelle zastygła. Odwróciła się powoli i zawołała:

– To pani córka, pani Sherlock.

– Nie, Belinda nie żyje. Nie rób mi tego, Isabelle. Jesteś okrutna.

– To panna Lacey, nie Belinda.

– Lacey? Och. Mówiła, że wraca, ale jej nie wierzyłam. Isabelle powiedziała szybko:

– Nie rób takiej miny, Lacey. Ma zły dzień. Poza tym długo cię tutaj nie było.

– Belindy też.

Isabelle odsunęła te słowa machnięciem ręki.

– Wejdz do salonu, skarbie. - Odwróciła się w stronę schodów prowadzących na podest pierwszego piętra. - Pani Sherlock, pszepani, zejdzie pani na dół?

– Naturalnie. Zaraz przyjdę. Muszę najpierw umyć zęby.

Ten dom przypomina muzeum, pomyślał Savich, rozglądając się po salonie. Wszędzie było nieskazitelnie czysto, zapewne dzięki Isabelle, ale sztywno, formalnie i zimniej niż nocą w Minnesocie.

– Nikt nigdy tutaj nie siedzi - poinformowała go Lacey. - Niezbyt przytulna atmosfera, co? I przytłaczająca. Zapomniałam, jak tu jest okropnie. Może raczej wejdziemy do gabinetu ojca. Zawsze tam spędzałam czas.

Gabinet sędziego Sherlocka stanowił męską twierdzę, ciepłą, pełną życia i zaśmieconą; sterty czasopism i książek w twardych i miękkich okładkach piętrzyły się na każdej dostępnej powierzchni. Surowość umeblowania - ciężka ciemnobrązowa skóra - łagodziły rozrzucone wszędzie pledy w ciepłych barwach. Mnóstwo paproci zieleniło się przy szerokim wykuszowym oknie, wychodzącym na zatokę. Stał tam teleskop wycelowany na Tiburon. Savich spodziewał się zupełnie czego innego. Sam dokładnie nie wiedział, czego oczekiwał, w każdym razie nie tego ciepłego, bardzo ludzkiego pokoju, w oczywisty sposób zamieszkanego, kochanego i pielęgnowanego. Odetchnął głęboko.

– Co za cudowny pokój.

– Tak, to prawda. - Lacey podeszła do wykuszowego okna. - To najpiękniejszy widok w całym San Francisco. - Uśmiechnęła się do Isabelle, która wniosła wypolerowaną srebrną tacę. - Och, Isabelle, te placuszki pysznie pachną. Już tyle czasu minęło.

Savich miał pełne usta placuszka z bitą śmietaną, kiedy drzwi otwały się i do pokoju weszła z gracją urodzonej księżniczki najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu. Po prostu zwałała z nóg, jak mawiał jego ojciec o takich oszałamiająco urodziwych paniach. W dodatku wcale nie wyglądała jak Sherlock. Sherlock miała śliczne kasztanowe włosy, natomiast jej matka miała włosy blond, miękkie, gęste i lśniące jak białe jedwab. Sherlock miała oczy barwy ciepłej zieleni; oczy jej matki były jasnoblękitne. Sherlock była wysoka, matka krucha i drobna. Sherlock ubrana była w ciemnoniebieski wełniany

kostium z kremowym golfem, bardzo oficjalny. Jej matka włożyła powłóczyłą brzoskwiniową jedwabną suknię, a wspaniałe włosy zaczesła do tyłu i spięła na karku złotą klamrą. Wyglądała na osobę dobrze urodzoną, bogatą i przywykłą do bogactwa. Na jej twarzy Savich dostrzegł niewiele zmarszczek. Na pewno była sporo po pięćdziesiątce, ale dałby jej czterdzieści pięć lat, jeśliby nie wiedział, że starsza córka dawno przekroczyła trzydziestkę, gdyby nie została zamordowana.

- Więc pan jest Savich Dillon - powiedziała pani Sherlock, stojąc w drzwiach.
 - To pan rozmawiał z ojcem Lacey przez telefon, kiedy jej powiedziałam, że próbował mnie przejechać swoim bmw.
- Tak, proszę pani. - Podszedł do niej i wyciągnął rękę. - Jestem Dillon Savich. Podobnie jak pani córka pracuję w FBI.

W końcu, po tak długiej chwili, że Lacey mało nie udusiła się, wstrzymując oddech, matka ujęła rękę Savicha.

- Pan jest zbyt przystojny - oświadczyła, wpatrując się w niego przeciągle. - Nigdy nie ufałam przystojnym mężczyznom. Jej ojciec jest przystojny i proszę zobaczyć, co z tego wyszło. Wyobrażam sobie, że jest pan też wspaniale zbudowany. Czy pan sypia z moją córką?

Savich powiedział swoim gładkim, aksamitnym głosem prezentera:

- Pani Sherlock, napije się pani herbaty? Jest aromatyczna, chyba indyjska. Z pewnością również placuszki będą pani smakować. Są przepyszne. Isabelle jest wspaniałą kucharką. Macie wielkie szczęście, że u was pracuje.
- Witaj, mamo.
- Szkoda że przyjechałaś, Lacey, ale twój ojciec się ucieszy.

W głosie brzmiała skarga i lekki wyrzut, lecz piękna twarz nie zmieniła wyrazu. Czy czasem okazywała gniew, radość? Czy cokolwiek mogło zmienić jej wygląd?

- Myślałam, że chcesz, bym wróciła do domu.

- Zmieniłam zdanie. Tutaj źle się dzieje, bardzo źle. Ale skoro już przyjechałaś, pewnie zechcesz zostać.
- Tylko na kilka dni, mamó. Zgodzisz się, żeby Dillon też został?
- Jest zbyt przystojny - oświadczyła pani Sherlock - jednak znowu chyba nie mam wyboru. Na górze są co najmniej cztery puste sypialnie. Może zająć jedną z nich. Mam nadzieję, że z nim nie śpisz, Lacey. Jest tyle chorób i wszystkie przenoszą mężczyźni, wiedziałaś o tym? Teraz to udowodniono, ale ja zawsze wiedziałam. Dlatego przestałam sypiać z twoim ojcem. Nie chciałam, żeby mnie zaraził tymi okropnymi chorobami.
- Filiżankę herbaty, proszę pani?

Pani Sherlock przyjęła od Savicha cienki porcelanowy spodeczek i usiadła na samym brzeżku jednego z brązowych skórzanych foteli męża. Rozejrzała się dookoła.

- Nienawidzę tego pokoju - oznajmiła i łyknęła herbaty. - Zawsze go nienawidziłam. Za to salon kocham. To ja umeblowałam salon, czy Lacey panu mówiła, panie Savich?

Savich miał wrażenie, że spada w króliczą norę, ale Sherlock wyglądała tylko na zmęczoną. Jakby do tego przywykła. Przyszło mu do głowy, że pani Sherlock zachowywała się całkiem podobnie jak jego cioteczna babka Mimi - skandalicznie, krótko mówiąc. Zawsze dawała do zrozumienia, że jest delikatna, cokolwiek to znaczyło, więc wszystko uchodziło jej na sucho, nawet jeśli wygadywała niestworzone rzeczy, żeby zwrócić na siebie uwagę. Savich nie wątpił, że pani Sherlock cierpi na jakąś chorobę psychiczną, lecz do jakiego stopnia rzeczywistą, a do jakiego wymyśloną?

- Zapomniałam mu powiedzieć, mamó - odparła Lacey. - Ale jak na pokój ten wygląda całkiem nieźle. Tyle tu książek.
- Nie cierpię bałaganu. To świadczy o chaotycznym umyśle. Twój ojciec zamierza sprzedać to swoje bmw. Przypuszczam, że chce kupić mercedesa. Nie wiem, jaki model. Jeśli duży, będę musiała bardzo uważać i nie

wychodzić z domu, kiedy on prowadzi. Ale wiesz, jak się stoi na podjeździe, to przez te wysokie krzaki nie widać, czy ktoś nadjeżdża. W ten sposób prawie mnie załatwił ostatnim razem.

- Mamo, kiedy tato próbował cię przejechać? Niedawno?
- O nie, to było zeszłej wiosny. - Przerwała, znowu łyknęła herbaty i ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na piękny dywan tabriz pod swoimi stopami. Przynajmniej sprawiała wrażenie, jakby zmarszczyła brwi, chociaż na jej idealnym czole nie pojawiła się ani jedna zmarszczka. Pomachała gładką białą dłonią. - Może to było zeszłego lata. Trudno mi zapamiętać. Ale kiedy już coś zapamiętam, nigdy nie zapominam.

- Tak, mamo, wiem.

Savich wtrącił:

- Może pani mąż kupi małego mercedesa.
- Tak, albo porsche - powiedziała pani Sherlock, spoglądając z namysłem na Savicha.
- Ja mam porsche. Bardzo ładne samochody. Nigdy nie próbowałem nikogo przejechać moim 911. Mogłem uszkodzić samochód. Złapałoby mnie. Nie, porsche to dobry wybór.
- Właściwie myślałem o porsche.

Savich poderwał się błyskawicznie i zobaczył bardzo przystojnego mężczyznę w średnim wieku, stojącego w drzwiach. Mężczyzna miał bujną czuprynę siwych włosów, miękkie zielone oczy Lacey, piękne, duże i świetliste, był wyższy od Savicha i szczupły jak biegacz. Patrzył na żonę, a jego wzrok wyrażał jednocześnie irytację i rozbawienie, mniej więcej w jednakowych proporcjach.

- Jestem sędzia Sherlock. Witaj, Lacey.

Ona również wstała i powoli podeszła do ojca. Wyciągnęła do niego rękę.

- Cześć, tato. Właśnie przyjechaliśmy. Pozwolisz, że zostaniemy tu na trochę?

- Proszę bardzo. Mamy mnóstwo miejsca. Przyjemnie będzie słyszeć nowe głosy. Kochanie - ciągnął, podchodząc do pięknej kobiety, która siedziała bez ruchu i wpatrywała się w niego czujnie rozszerzonymi oczami -jak ci minął dzień?
- Pytałam ją, czy z nim sypia, Corman, ale nie chciała mi powiedzieć. On jest za przystojny, a wiesz, co o tym myślę. Popatrz tylko, co zrobił Douglas, dlatego że jest mężczyzną i nie ma odrobiny rozumu. Ledwo pochował Belinę i już się ożenił z tą przybłądą.
- Belinda nie żyje od siedmiu lat, Evelyn. Najwyższy czas, żeby Douglas ożenił się powtórnie.
Rzucił Savichowi szybkie spojrzenie spod oka, spojrzenie, które mówiło: Widzisz, jaka ona jest głupia? Savich cofnął się nieznacznie.
- Słusznie - przytaknęła Evelyn Sherlock, odwracając od męża piękną twarz bez wyrazu. - Ale nie powinni się pobrać. Nie możesz namówić Douglasa, żeby się z nią rozwiódł, Corman?
- Nie, nie robię takich rzeczy, sama wiesz. A może nie pamiętasz?
- Jeśli coś zapamiętam, to nigdy nie zapominam. Właśnie to mówiłam Lacey i panu Savichowi, zanim wszedłeś. Czy kupisz porsche, żebym była bezpieczna?
- Może kupię, Evelyn, może kupię. Pan Savich wspomniał o klasycznym 911. Podoba mi się ten samochód. Lacey, poczęstujesz mnie filiżanką herbaty? Panie Savich, cieszę się, że wreszcie pana poznałem. Rozumiem, że jest pan szefem mojej córki w FBI.
- Tak, sir. Kieruję nową Jednostką Badań Kryminalnych.
- Myślę, że pana podejście to doskonały pomysł. Dlaczego nie zastosować technologii do przewidywania zachowań psychopatów? Po co przyjechał pan z nią do San Francisco?
- Pracujemy nad sprawą Marlina Jonesa.

- Dlaczego tutaj? Marlin Jones jest w Bostonie.
- To prawda, ale są jeszcze luki w sprawie. Musimy sprawdzić pewne szczegóły.
- Rozumiem.

Sędzia Corman usiadł w pięknym fotelu z drewna różanego za takim samym biurkiem. Na biurku piętrzyły się książki i magazyny. Co najmniej dwa tuziny długopisów leżały rozrzucone bezładnie po całym blacie. Telefon i faks stały na segregatorze obok biurka. To jego miejsce pracy, uświadomił sobie Dillon. Pracował tutaj przez długie godziny.

- Słyszałem w wiadomościach, że Marlin Jones uderzył własnego adwokata, znokautował go. Wszędzie to powtarzali, wszyscy w sądzie o tym mówią. Byłaś przy tym, prawda, Lacey?

Kiwnęła głową.

- Tak, oboje byliśmy. Wszyscy wiwatowali, że o jednego prawnika mniej... - Urwała i uśmiechnęła się do ojca. - Wybacz, ale nigdy nie uważałam cię za prawnika, ponieważ jesteś sędzią i byłym prokuratorem. Nie bronisz przestępców, tylko wsadzasz ich za kratki.
- To prawda. Duży John Bullock ma niezłą renomę. Twój Marlin miał szansę uniknąć kary. Duży John potrafi zaczarować ławę przysięgłych. Jeśli ten typek Marlin nie miał tragicznego, żalostnego dzieciństwa, Duży John sfabrykuje mu takie i przysięgli uwierzą w każde jego słowo.
- Ludzie nie są głupi, tato. Popatrzą na Marlina Jonesa i zobaczą, że to psychopata. Jest szalony, ale nie jest wariatem. Dokładnie wie, co robi, i nie ma żadnych wyrzutów sumienia, najmniejszego poczucia winy. Przyznał się do wszystkich zabójstw. Zresztą nawet jeśli go uniewinnią w Bostonie, odeślą go tutaj na proces. Przyznał się też, że zamordował dwie kobiety w Denver. Skażą go. W jednym z tych miejsc muszą go skazać.

- Ach, Lacey, ludzi można przekonać, ludźmi można manipulować, ludzie widzą szare tam, gdzie jest tylko czarne. Ciągłe się z tym spotykam. Przysięgli zobaczą to, co zechcą... jeśli zechcą uwolnić podsądnego, zrobią to bez względu na dowody. To takie proste i często tragiczne.
- Mam nadzieję, że Marlin Jones stanie przed sądem w Kalifornii. Przynajmniej mamy tutaj karę śmierci.
- Jeśli dostanie karę śmierci, moim zdaniem krzesło elektryczne jest za szybkie i za łatwe. Myślę, że wszystkie rodziny tych zamordowanych kobiet powinny go zabijać po kolei.
- To bardzo nieliberalna postawa, Lacey.
- Dlaczego? Przecież to słuszne. Sprawiedliwe.
- To zemsta.
- Owszem, zemsta. Co w tym złego?
- Ależ nic. No, moje drogie dziecko, pan Savich pewnie się zastanawia, czy my tak zawsze rozmawiamy. Zróbmy krótką przerwę. Opowiedz mi o tych lukach, które przyjechaliście wypełnić.

Evelyn Sherlock uśmiechnęła się, ale Savich znowu miał wrażenie, że jej twarz nie zmieniła wyrazu. Zupełnie jakby została wytrenowana tak, żeby nie poruszać żadnym mięśniem, nie zepsuć doskonałej maski.

- Oni pewnie myślą, że to ty zamordowałaś Belinę, Corman -powiedziała pani Sherlock. - Prawda, panie Savich?

No, wystrzeliła z grubej rury. Teraz na Savicha przyszła kolej zachować pokerową twarz. Odpowiedział z całą kurtuazją:

- Bynajmniej, proszę pani.
- Więc popełniacie błąd. Widzę, że nie jest pan równie bystry jak przystojny. On próbował mnie przejechać. Dlaczego nie miałby zabić Belindy? Nie lubił jej, wręcz nienawidził, odkąd jej ojciec siedzi w San Quentin. Mówił, że

Belinda zwariuje jak ja i jej ojciec. To okropne tak mówić, prawda, panie Savich?

- Ja z pewnością tego bym nie powiedział, pani Sherlock, ale ludzie są różni. Więc - ciągnął, zwracając się do sędziego - zechce mi pan powiedzieć, sir, czy sądził pan kiedyś Marlina Jonesa?
- Nie.
- Ma pan całkowitą pewność?
- Tak, naturalnie. Pamiętam każdego mężczyznę i każdą kobietę, którzy stanęli przede mną w sądzie. Marlina Jonesa nie było wśród nich.
- Może pan go kiedyś oskarżał, zanim został pan sędzią?
- Zapamiętałbym, panie Savich. Odpowiedź nadal brzmi: „nie”. Savich otworzył teczkę i wyjął czarno-białą fotografię rozmiaru dwanaście na siedemnaście centymetrów.
- Nigdy pan nie widział tego człowieka?

Podał sędziemu fotografię Marlina, zrobioną zaledwie w zeszłym tygodniu.

- Nie, nigdy go nie widziałem w mojej sali sądowej. Lacey, masz rację. On naprawdę wygląda jak klasyczny psychopata, czyli absolutnie normalnie.

Savich podał mu następne zdjęcie.

- A niech mnie. To Marlin Jones, ale wyretuszowaliście fotografię, tak?
- W FBI mamy najlepsze laboratoria. Poprosiłem, żeby wykonali dla mnie zdjęcia w różnych przebraniach, jakie mógł zastosować.
- To tylko wąsy, dłuższe baki, włosy zaczesane do góry, jakby facet chciał ukryć łysinę... zdumiewające. Przykro mi, lecz tego człowieka też nigdy nie widziałem.

Savich podał mu trzecie zdjęcie.

Sędzia Sherlock wciągnął powietrze przez zęby.

- Nie do wiary. Oskarżałem tego człowieka wiele lat temu, ale pamiętam go. Taki hipis, zatrzymany za marihuanę. Spójrzcie na tę krzaczastą brodę i

okulary z grubymi szklami. Zgarbione ramiona, a jednak wciąż był wysoki, równie wysoki jak ja. Pamiętam, że patrzył na mnie, jakby chciał mnie opluć. Jak on się nazywał?

Zamilkł i wpatrywał się w fotografię, bębniąc palcami po poręczy skórzanego fotela. Potem westchnął i powiedział:

- Muszę poszukać w papierach. Chyba się starzeję. Nie, zaraz. Miał dziwaczne imię. Erasmus. Tak, właśnie. Erasmus jakiś tam, nie pamiętam nazwiska, ale było pospolite. Oskarżałem go dziesięć lat temu. Udało mi się go wsadzić na trzy lata, chociaż to było jego pierwsze przestępstwo. Zachowywał się tak agresywnie, że bez żadnych skrępowań naciskałem obrońcę z urzędu. Nie okazywał szacunku. Tak, dostał trzy lata. To jest Marlin Jones?

Lacey wzięła fotografię od ojca. Dillon nie powiedział jej o tym. Popatrzyła na zdjęcie, potem na ojca.

- Więc możliwe, że chciał się zemścić, bo go wsadziłeś na trzy lata. Możliwe, że kiedy wyszedł, zabił Belinę, żeby się zemścić na tobie.
- Jest pewien problem - powiedział Savich.

Oboje, ojciec i córka, spojrzeli na niego, unosząc lewą brew w identyczny sposób.

- Proszę jeszcze raz spojrzeć na fotografię, panie sędzio.
- Dobrze, i co?
- Dziesięć lat temu Marlin Jones miałby dwadzieścia osiem lat. Ten mężczyzna jest starszy, około sześćdziesiątki, może pięćdziesiąt pięć.
- No tak, racja, jest starszy. Trudno określić wiek przez te włosy i okulary. Och, rozumiem, o co panu chodzi. To nie jest Marlin, tak?
- To jego ojciec - powoli powiedziała Lacey. - Ten człowiek, Erasmus, którego tata oskarżał, jest ojcem Marlina. A to jest jego stare zdjęcie, tak?

- Tak. FBI w Phoenix uzyskało tę fotografię ze starego prawa jazdy. Nasi ludzie popracowali nad nią w laboratorium. Nie mówiłem ci o tym, Sherlock, bo uważałem, że to do niczego nie doprowadzi.
- Czy ten człowiek jeszcze żyje?
- Chyba tak. Nie wracał do Yumy od wielu lat. Tam wychował syna. Marlin wyjechał w wieku osiemnastu lat. Erasmus kręcił się w okolicy przez kilka lat, aż wreszcie znikł na dobre. Teraz miałby jakieś sześćdziesiąt cztery lata. Gdzie jest? Nikt nie wie.
- Dajcie mi go obejrzyć - odezwała się pani Sherlock. Lacey podała matce fotografię.
- Niechlujny typ. Pamiętam, że w latach sześćdziesiątych w San Francisco pełno było takich obszarpańców. Ale on stał przed sądem w latach osiemdziesiątych, Corman?
- Tak, jakieś dziesięć lat temu.
- Myślę, że byłby przystojny bez tych okularów, włosów i brody.
- Jego syn jest przystojny, mamó, bardzo przystojny. To jego zdjęcie. Lecz zobacz, on ma martwe oczy.

Pani Sherlock spojrzała na zdjęcie Marlina Jonesa, przeniosła wzrok na męża i zemdlała. Osunęła się z krzesła na dywan, zanim ktoś zdążył ją złapać.

Rozdział 28

- Czego chcesz?

Douglas zmierzył wzrokiem Dillona Savicha. Odłożył papiery, które czytał, i wstał powoli, opierając rozłożone palce o blat biurka.

- W porządku, Marge. Wpuść go. On jest z FBI. Ach, i ty tu jesteś, Lacey. Dlaczego on przyszedł z tobą? Wiesz, że go nie lubię. On cię zmienił, zepsuł.
- On jest moim szefem. Musi być ze mną.
- Madigan - powiedział Savich i nieznacznie skinął głową. Douglas nic nie powiedział. Usiadł z powrotem w fotelu i skrzyżował ręce na brzuchu.
- Co u ciebie, Douglas?
- W tej chwili jestem wściekły, ale ciebie to nie obchodzi. Dlaczego z nim przyszedł?

Savich powiedział swobodnie, siadając w jednym z pluszowych foteli naprzeciwko wielkiego, nowoczesnego, chromowo-szklanego biurka Douglasa Madigana:

- Wygląda na to, że Belinda miała romans z Marlinem Jonesem. Wiedział pan o tym?
- Nie. Nie lubię takich żartów, agencie Savich.
- To nie żart, adwokacie Madigan. Jest wielce prawdopodobne, że Belinda sypiała z Marlinem Jonesem siedem lat temu.

Lacey obserwowała jego twarz. Nie widziała żadnych oznak bólu, gniewu, żalu. Nic.

- Więc mówicie, że wiadomo, dlaczego ją zabił?
- Nie, nic takiego nie mówimy. Przykro mi, Douglas. - Lacey wychyliła się do przodu, wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego przedramienia. - Zdaje się, że nikt z nas nie wiedział pewnych rzeczy o Belindzie. Przyjechaliśmy prosto z domu. Matka zobaczyła zdjęcie Marlina Jonesa. Zemdląła. Podobno go widziała, jak całował Belinę na podjeździe. Przynajmniej tak nam powiedziała. Znasz matkę. Nigdy nie ma pewności, co się dzieje w jej głowie.
- Ta stuknięta stara dama pewnie ma rację. Belinda była niewierną dziwką pierwszej klasy.

Wszyscy obejrżeli się na Candice Addams Madigan stojącą w drzwiach. Za nią zaaferowana Marge wymachiwała rękami. Douglas uśmiechnął się i rzekł:

- W porządku, Marge. Coś ci powiem, jeśli jeszcze ktoś przyjdzie, po prostu machnij na niego, żeby wszedł. Cześć, Candice.

Candice Addams Madigan weszła do gabinetu z wysoko uniesioną głową, ubrana w piękny bladoniebieski wełniany kostium i szalik od Hermesa.

- Była dziwką i zdradzała cię.
- Ale czy z Marlinem Jonesem? Wątpię. Gdzie mogła go poznać? Candice rzuciła mężowi pogardliwe spojrzenie.
- Belinda miała prostackie gusta. Słyszałam, że szlajała się po knajpach, po różnych nędznych mordowniach. Tam mogła poznać tego mordercę. Tak, założę się, że z nim spała. Sypiała z każdym. Dlaczego jej nie zapytasz? - Odwróciła się i zmierzyła Lacey zjadliwym wzrokiem. - Tak, zapytaj tę swoją małą księżniczkę. Pewnie włączyła się razem z siostrą. Cholera, może nawet też z nim spała.

Lacey zrobiło się czerwono przed oczami. Serce jej waliło, czuła żądzę mordu. Savich złapał ją za rękę i zatrzymał na miejscu.

- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedział cicho. - Jest żałosna przez swoją zazdrość. Zostaw ją. Niech sobie gada. Traktuj to jak kiepską sztukę. Zobaczymy, czy odgadniemy temat sztuki.

Próbowała się wyrwać. Nie zamierzała znosić zachowania tej koszarnej baby.

- Okay, agentko Sherlock, w takim razie to rozkaz przełożonego. Nie ruszaj się i nie odzywaj.

Z trudem zmusiła się, żeby oddychać spokojnie.

- Niech będzie, mimo to wciąż chcę jej przyłożyć.
- Wiem, ale później. Teraz posłuchajmy.
- O czym tam szepczecie?

Savich uśmiechnął się do Candice Madigan.

- Właśnie mówiłem Sherlock, że pani chyba jest w ciąży. Upierała się, że nie, że pani wygląda zbyt szczupło. Lecz przecież widzę, że brzuch pani sterczy. Kto ma rację?

Candice natychmiast wciągnęła brzuch i odsunęła się dwa kroki od Savicha. Potem zorientowała się, co jej zrobił. Opuściła ręce po bokach, wyprostowała się na całą wysokość i zerknęła w stronę męża. Uśmiechnął się do niej.

- Śmiało, Candice. W końcu następnego klienta mam dopiero za dwadzieścia minut. Zdażysz się wypowiedzieć na każdy temat.

Candice Madigan podeszła do męża, pocałowała go w usta i odwróciła się do Lacey.

- Nie jestem w ciąży, ale wkrótce będę. Trzymaj się z daleka od mojego męża, słyszysz? Jeszcze nie wiesz, co potrafię.
- Tak, słyszę - odparła Lacey i uśmiechnęła się. - Więc planujecie z Douglasem dziecko?
- Już niedługo. To nie twoja sprawa. Jesteś małą interesowną dziwką, tak jak twoja siostra. Trzymaj się z daleka od Douglasa.
- Nie ma sprawy - zapewnił ją Savich. - Ale, Candice, skąd pani tyle wie o Belindzie? Zginęła siedem lat temu. Wtedy pani tu nie było.
- Jestem reporterem dochodzeniowym. Sprawdziłam wszystko. Rozmawiałam z ludźmi, którzy ją znali. Ciągłe zdradzała Douglasa. Wszystkie twoje znajome o tym wiedziały. Z tym typem Marlinem Jonesem? Czemu nie? Bez trudu mogła go poznać w jakiejś obskurnej knajpie.

Savich wyciągnął mały czarny notesik i długopis.

- Zechce pani podać nazwiska? Zesztywniała jak żona Lota.
- Robiłam to w zeszłym roku. Nie pamiętam.
- Podaj panu Savichowi dwa nazwiska, Candice. Chociaż dwa.

– No dobrze. Lancing Corruthers i Dorthea McDowell. Obie są bogate, nie pracują i wiedzą wszystko o wszystkich. Mieszkają tutaj, w tym mieście.

Savich zapisał nazwiska.

– Dziękuję. Cieszę się, że pani sobie przypomniała. Jestem pod wrażeniem.

– Ja też - powiedział Douglas.

– O niej też wszystko wiedziały - dodała Candice pod adresem Lacey.

– To może być interesujące - rzekł Savich, znowu ściskając nadgarstek Lacey.

- Widzi pani, mam nadzieję, że ona za mnie wyjdzie, kiedy się oświadczę jak należy. - Przerwał na chwilę i zrobił bardzo zmartwioną minę. - Chyba nie powiedzą mi niczego takiego, żebym zmienił zdanie co do naszego małżeństwa. Czy byłaś puszczalską nastolatką, Lacey? Czy zepsujesz mnie, jeśli się z tobą ożenię?

– Wątpię, czy jeden Bobby Wellman liczy się za puszczanie.

– Kto to jest Bobby Wellman? - zapytał Douglas. Savich tylko pokręcił głową.

– Nikt nie powie złego słowa o Lacey - oświadczył Douglas. - Słuchaj, Candice, Lacey miała dopiero dziewiętnaście lat, kiedy zginęła Belinda. Była nawet trochę opóźniona jak na swój wiek. Nic, tylko grała na fortepianie. Myślę, że nawet nie widziała innych ludzi. Widziała jedynie swoją muzykę. Powiedz mi, że to żart z tym małżeństwem, Lacey.

– No cóż, musi się oświadczyć jak należy.

– Nie! - Douglas wstał, pochylił się w stronę Lacey i powiedział niskim, szorstkim głosem: - Posłuchaj mnie, Lacey. Znam cię od bardzo dawna. Uważam, że nie powinnaś wychodzić za tego człowieka. To bardzo zły pomysł.

– Dlaczego, Douglas?

– Właśnie, Douglas, dlaczego? - zapytała Candice.

– Znam takich jak on. Jemu na tobie nie zależy, Lacey. Potraktuje cię jak kolejną zdobycz.

Savich zaczął gwizdać.

Wszyscy obejrzeli się na niego. Lacey stłumiła śmiech.

- Sherlock Savich - powiedział Savich powoli, wznosząc oczy do sufitu, smakując na języku te słowa. - Całkiem nieźle brzmi, prawda?
- Cholera, nie, nie możesz za niego wyjść, Lacey. Nie możesz. Tylko popatrz na niego, to jeden z tych durnych kulturystów, których się widuje w salach gimnastycznych, jak ciągle przeglądają się w lustrach. Mają napompowane bicepsy i klatki piersiowe, ale mózgi wielkości groszka.

Lacey odezwała się łagodnie:

- Douglas, wróć do rzeczywistości. Opamiętaj się.
- No dobrze. Więc on potrafi stukać w komputer, wielkie rzeczy. Świr z wielkimi bicepsami. Nie możesz za niego wyjść.
- No, za ciebie na pewno nie może wyjść, bo ożeniłeś się ze mną. - Candice zrobiła jeden krok w stronę Lacey, ale zatrzymała się, kiedy zobaczyła wyraz twarzy Savicha.
- Gratulacje - powiedziała i zrobiła krok do tyłu. - Mówię poważnie. Wyjdź za niego.
- To do niczego nie prowadzi - rzekł Savich. - No więc, Candice, Sherlock i ja przyszliśmy porozmawiać z Douglasem o Belindzie. Woli pani wyjść czy zostać?
- Po co? Belinda nie żyje od siedmiu lat. Jej zabójca siedzi w więzieniu w Bostonie. Nawet podałam panu dwa nazwiska kobiet, które ją znały i wiedziały, jaka była. Po co rozmawiać z Douglasem? On nic nie wie.
- Istnieją liczne luki, proszę pani - odparł Savich. -Wiecie co, może wrócimy później, kiedy już się dogadacie, pozabijacie albo zjecie lunch.

Wstał i wyciągnął rękę do Lacey. Spojrzała na tę dużą, silną dłoń i uśmiechnęła się. Ciągle miała ochotę sprać Candice.

- Co teraz? - zapytała, kiedy wychodzili z gabinetu Douglasa.

- Schowajmy się na chwilę za rogiem. Drzwi ciągle są otwarte. Kto wie? Może podслуchamy coś ciekawego.

Przysunęli się jak najbliżej otwartych drzwi i przywarli do ściany.

- Ciągle na nią lecisz, Douglas. Widziałeś, jak była ubrana? Boże, ona nawet obgryza paznokcie!

Lacey spojrzała na swoje dłonie. Rzeczywiście, jeden paznokieć kciuka był obgryziony prawie do żywego mięsa. Jak to się stało?

- Wystarczy, Candice - uciął Douglas. W jego głosie brzmiało ogromne zmęczenie. - Naprawdę wystarczy. Ona nie powinna za niego wychodzić. Muszę o tym pomyśleć, spisać wszystkie rozsądne, prawdziwe argumenty przeciwko temu małżeństwu. Nie mogę do tego dopuścić.
- Nie, nie możesz ciągle napalać się na nią. Ślepy jesteś? Co ty w niej widzisz? Skończ z tym, Douglas. Kup sobie okulary.

Douglas jakby nie usłyszał - albo po prostu zignorował.

- Wrócili tutaj z powodu Belindy - powiedział. - Widocznie coś się dzieje z Marlinem Jonesem. Savich mówił, że zostały luki, ale nie wierzę temu draniowi. Bóg jeden wie. Pani Sherlock twierdzi, że widziała, jak Marlin Jones całował Belinę na podjeździe. Ty się upierasz, że Belinda na pewno spała z Marlinem, ale ty jesteś po prostu zazdrosna, Candice. Nie znałaś Belindy. Cholera, to obłąd. Niczego już nie rozumiem, ale podejrzewam, że oni mają wątpliwości, czy Marlin Jones naprawdę zabił Belinę. Może myślą, że ją zabiłem, dlatego tutaj przyjechali.
- To wariactwo, Douglas. Nie mają żadnych śladów. Po prostu węszą dookoła. Ty tylko trzymaj język za zębami. A teraz zabierz mnie na lunch. Muszę wrócić do stacji na drugą.
- Wynosimy się stąd - szepnął Savich.

Po minucie zjeżdżali windą z dwudziestego piętra Malcolm Building.

Obiad minął w ciszy; to znaczy nikt nie miał wiele, do powiedzenia, co Savich przyjął z ulgą. Evelyn Sherlock jadła delikatnie, spoglądała na Savicha z dezaprobatą i powtarzała, że jest za przystojny, żeby mu zaufać. W ogóle nie odzywała się do męża, dopiero przy deserze powiedziała, nie patrząc na niego, tylko na swoją porcję szarlotki:

- Rozmawiałam z jednym z twoich aplikantów... Danny Elbright. Chciał z tobą pomówić, ale powiedziałam, że pojechałeś na stację benzynową. Zapytałam, czy mogę pomóc, a on odparł, że nie, to poufna kwestia. Nawet twoja żona nie może wiedzieć.
- Pewnie chodziło o bieżącą sprawę - rzekł sędzia Sherlock i wziął kolejną porcję szarlotki. Na chwilę przymknął oczy. - Pyszna. Muszę dać Isabelle następną podwyżkę.
- Nie, już i tak za dużo zarabia - sprzeciwiła się Evelyn Sherlock. - Myślę, że kupiła tę szarlotkę. Rzadko jest w domu, najwyżej wtedy, kiedy ty tu jesteś. Nie lubię jej, Corman. Nigdy jej nie lubiłam.
- Jak twoja towarzyszka, mamó? - zagadnęła Lacey. - Nazywa się pani Arch, tak?
- Jest w porządku. Nigdy nic nie mówi, tylko kiwa albo kręci głową. Bardzo nudna, ale nieszkodliwa. Młodsza ode mnie, lecz wygląda jak moja matka, gdyby jeszcze żyła. Przynajmniej nie próbuje uwieść twojego ojca.
- Pani Arch - powiedział sędzia - nie jest młodsza od ciebie, Evelyn. Skończyła sześćdziesiąt pięć lat. Ma niebieskie włosy i nosi rozmiar szesnaście. Uwierz mi, twoja matka nigdy nie wyglądała jak pani Arch.
- No więc? Jeszcze nie umarła - odrzekła pani Sherlock. - Spałeś z kobietami w każdym wieku i rozmiarze. Myślałeś, że nie wiem? Pamiętam wszystko, jak mi przypomną.
- Tak, kochanie.

Godzinę później w bibliotece sędziego Savich spytał:

– Sherlock dopiero niedawno się dowiedziała, że Belinda miała poronienie. Dlaczego to nie wyszło na jaw?

Sędzia Sherlock nabijał fajkę. Ten gatunek tytoniu pachniał cudownie - ciemny, esencjonalny i aromatyczny. Nie odpowiedział, dopóki nie zapalił fajki i nie pociągnął kilka razy. Zapach kojarzył się z lasem, a Savich przyłapał się na tym, że wdycha go głęboko. Wreszcie sędzia powiedział:

– Nie chciałem więcej rozgłosu. Co za różnica? Jak mam rozumieć to, że Lacey nie pamiętała?

– Widocznie zablokowała to wspomnienie z powodów, których żadne z nas się nie domyśla. Przypomniała sobie pod hipnozą. Czy pan wie, dlaczego to zablokowała, sir?

– Nie, moim zdaniem nie miała żadnych powodów. To było siedem lat temu. Teraz już nie ma znaczenia - oświadczył i pyknął z fajki. Bibliotekę wypełniał wspaniały, esencjonalny zapach. Savich łyknął kawy, nie mniej doskonałej i aromatycznej. Lacey odetchnęła głęboko.

– Czy wiesz, że Douglas był ojcem?

– Słuchajcie, Lacey, panie Savich, Belinda w ogóle nie powinna zachodzić w ciążę. Mówiłem ci, Lacey, Douglas był świadom, że nie powinni mieć dzieci z powodu jej wadliwych genów. Popatrz na jej matkę. Ojciec jest jeszcze gorszy. Tak, mam go na oku. W tych dniach wyjdzie na wolność, pomimo moich starań. Nie chcę, żeby ten wariat tutaj przychodził.

– Ona jednak była w ciąży. - Savich nie ustępował.

– Tak, widocznie była, lecz w niezbyt zaawansowanej, najwyżej sześć czy siedem tygodni. Tak powiedział lekarz. Po autopsji naturalnie wiedzieli, że niedawno poroniła, ale ponieważ to nie miało żadnego związku ze sprawą, nie wspominali o tym. Prasa nigdy tego nie wywęszyła, dzięki Bogu. To mogło tylko spotęgować ból. Czy Douglas był ojcem? Nigdy nie miałem powodu, by podejrzewać coś innego.

- To również mogło spotęgować wściekłość - zauważyła Lacey.
- Nie, chyba żeby zasugerowano ludziom, że poronienie miało związek z morderstwem, a nie miało.

Lacey jednak nie była tego pewna. Jak powiedziała Dillonowi, kiedy odprowadzała go do gościnnego pokoju:

- W tej sprawie jest coś więcej niż luki. Tych luk nie można niczym wypełnić.

Westchnęła, spoglądając na swoje granatowe pantofle. Candice miała rację. Lacey ubierała się nieciekawie i bez gustu. Więc jak mogła jednocześnie być dziwką?

Savich przyciągnął ją do siebie i lekko przycisnął jej twarz do swojego ramienia.

- Wiem, o co ci chodzi. Wściec się można. Twoja matka wygaduje takie rzeczy, przy których Alicja w Krainie Czarów to jak wykład na politechnice. Jak długo jest w takim stanie, Sherlock?
- Odkąd pamiętam. Teraz chyba bardziej. Ale nie widuję jej tak często.
- Myślisz, że przynajmniej częściowo robiła to, by przyciągnąć uwagę ojca?
- O, tak. Ale co z tego jest prawdą, a co jej wymysłem? Nie wiem.
- Ja też.
- A mój ojciec?
- Nie wiem - powiedział powoli, nachylił się i pocałował ją w lewe ucho. - Po prostu nie wiem. Jest śliski, trudno go rozszyfrować. Ale wiesz, Sherlock, on się daje lubić.
- Ja też go lubię, na ogół - przyznała i podniosła wzrok na jego usta. - Ciagle chcesz się ze mną ożenić, kiedy już poznałeś moich rodziców?
- To niesprawiedliwe. Jeszcze nie poznałeś mojej rodziny. Niezła banda czubków. Zresztą, tak się ucieszą, że mnie zechciałaś, że pewnie będą się bardzo starali panować nad sobą w twojej obecności, przynajmniej aż do ślubu. Potem niczego nie gwarantuję. A właśnie, Sherlock, jesteśmy całkiem

sami na tym korytarzu. Chyba nadeszła odpowiednia chwila. Czy wyjdiesz za mnie?

– Tak, wyjdę.

Pocałował ją. Poczłł słodkie ciepłł i wszystkimi siłami próbował opanować pożądanie, które narastałł w nim gwałtownie. Ale ona pchnęła go na ścianę i przywarła mocno do niego.

– Cudownie pachniesz - tchnęła mu w usta ciepłym, przesyconym kawą oddechem. - Smakujesz jeszcze lepiej. Dillon, na pewno chcesz się ze mną ożenić? Nie znamy się zbyt długo. Odkąd się poznaliśmy, żyjemy w wielkim stresie, nic nie jest normalne ani naturalne.

– Nieprawda. Skopałem ci tyłek w Alei Hogana i w sali gimnastycznej. Co jest bardziej naturalne? Ugotowałem dla ciebie makaron, nakarmiłem cię pizzą u Dizzy Dana. Spałaś w moim domu. Uważam, że połączyły nas wspólne bogate doświadczenia. Zresztą, seks też nie jest najgorszy, chociaż minęło już tyle czasu, że nie pamiętam wszystkich szczegółów, właściwie żadnych szczegółów.

Pocałowała go w szczękę, w podbródek, lekko ugryzła w płatek ucha.

– Nie rozumiem, jak ci się udało zostać na swobodzie przez pięć lat.

– Szybko biegam i trudno mnie złapać. Chyba czekałem na ciebie. Na nikogo innego, tylko na ciebie. Bardziej mnie dziwi, że ciebie nikt nie porwał.

– Ciągle żyłam przeszłością, nastawiona tylko na jedno, skupiona wyłącznie na Belindzie. Co teraz zrobimy?

Powoli przesuwiał dłonią po guzikach jej bluzki.

– Mam nieodparte wrażenie, że wszystko kręci się wokół Belindy, nie Marlina, nie Douglasa ani nikogo innego, tylko Belindy. Myślę, że właściwie nikt nie wiedział, kim była naprawdę. Chciałbym zobaczyć jej zdjęcia z okresu, kiedy została zamordowana. Masz jakieś albumy?

– Tak. Mam nadzieję, że matka ich nie wyrzuciła. Chcesz je teraz obejrzeć?

- Nie. Ciągłe funkcjonuję według czasu wschodniego wybrzeża, więc wydaje mi się, że jest trzy godziny później niż naprawdę. Chcę się przespać. Właściwie chcę się przespać z tobą, ale to nie wypada, nie w domu twoich rodziców. Poza tym twoja matka tak się martwi o naszą cnotę, że gotowa urządzić nocny nalot, by sprawdzić, czy śpimy oddzielnie.

Lacey się roześmiała.

- Mama jest odjazdowa, co? Nigdy nie wiadomo, co jej strzeli do głowy. Ale ostatnio jeszcze bardziej jej odbiło. Kto wie, czy ona nie udaje? Zresztą i tak się nie zmieni. Najbardziej jednak przeraża mnie to, że przynajmniej częściowo mówi prawdę. Czy mój ojciec naprawdę próbował ją zabić? Przejechać ją swoim bmw?
- Bóg jeden wie, nie ja. Jeśli zrobił to celowo, przynajmniej wie, że nam o tym powiedziała. Twój ojciec nie jest głupi. Jeśli zrobił to rozmyślnie, więcej tego nie powtórzy.
- Nie chcę, żeby moja matka umarła, Dillon. Przygarnął ją blisko.
- Nie umrze. Wszystko będzie dobrze. Nawet pogadam z twoim ojcem, by się upewnić, czy zrozumiał.

Dużo później, na granicy snu, Lacey zapytała w myślach: Kim byłaś, Belindo?

Rozdział 29

Wstawał świt, wypełniając sypialnię zimnym, mętnym, szarawym światłem. Budziła się powoli. Ktoś potrząsał ją za ramię, ktoś mówił do niej:

- Sherlock, mamy problem. No, obudź się.

Lekko głaskał ramiona, potem poklepał po twarzy. Zamrugowała.

– Dillon? Tak się cieszę, że to ty. Myślałam, że to ktoś inny, że to następny koszmar. Co się stało? Czyżby mama próbowała wyrzucić cię z domu?

Usiadł obok niej, a ona wyciągnęła do niego ręce. Ujął jej dłonie i ścisnął.

– Nie, z tym sam bym sobie poradził. Posłuchaj mnie, Sherlock. Chodzi o Marlina Jonesa. Trzymaj się mocno: on uciekł.

Wytrzeszczyła na niego oczy i powoli pokręciła głową.

– Nie, to niemożliwe. W naszych czasach więźniowie nie uciekają, chyba że na filmach. Marlin nie mógł się wymknąć. Policjanci pilnowali go bez przerwy. Nawet do łazienki szedł pomiędzy dwoma gliniarzami. Poza tym nosił więcej kajdanek niż oddział czarnych skazańców z Alabamy. To jakiś poranny kawał, Dillon?

– Przykro mi, Sherlock, ale on zwiął. Sąd zarządził przeniesienie go do Stanowego Instytutu Massachusetts na dalsze badania psychiatryczne. Tamtejsi lekarze dostali szału, kiedy zobaczyli strażników i wszystkie ograniczenia... nosił kajdany na nogach. Narzekali, że nigdy nie wyciągną z niego nic istotnego, nigdy nie uzyskają prawdziwych i dokładnych wyników, dopóki Marlin im nie zaufa, tym lekarzom. Gliniarze naturalnie odmówili. Wtedy lekarze zadzwonili do sędziego, który zalecił więcej badań. I sędzia polecił glinom zdjąć kajdany, nawet kajdanki z rąk. Potem gliniarzom kazano czekać za drzwiami. Krótko mówiąc: Marlin walnął po łbie dwóch lekarzy, złamał szczękę sanitariuszowi, znokautował go i uciekł przez okno łazienki sąsiadującej z gabinetem. Jeszcze go nie złapali. Nawet nie wiedzieli, że uciekł, dopóki sanitariusz nie odzyskał przytomności i nie dowlóknął się do drzwi.

Lacey, już całkowicie rozbudzona, usiadła, rozcierając ramiona rękami.

– Skąd się dowiedziałeś?

– Jimmy Maitland zadzwonił do mnie jakieś pół godziny temu. Powiedział, że gliny go zawiadomiły, ale podano to w telewizji, zanim jeszcze pofatygowali

się zadzwonić. Zaalarmował FBI w Bostonie i skierował ich do akcji. Dawał do zrozumienia, że wszędzie panuje kompletny bałagan.

- Myślisz, że ten sędzia, który kazał rozkuć Marlina Jonesa, pójdzie teraz na zieloną trawkę?
- Zapowiada się niezła rozróżba. Miejmy nadzieję, że ten kretyn sędzia albo pokaja się publicznie, albo go wykopią, na co w pełni zasłużył. Włóż szlafrok i chodźmy na dół. Isabelle zrobiła nam kawy i podgrzała bułeczki.

Dziesięć minut później siedzieli w jaskini sędziego Sherlocka i oglądali telewizję. Ledwie włączyli wielki odbiornik, pokazano ostatnie wiadomości. Duże czarno-białe zdjęcie Marlina Jonesa wypełniło ekran. Głos prezenterki powiedział:

- ...obława rozprzestrzeniła się we wszystkich kierunkach. FBI, lokalna i stanowa policja próbują znaleźć domniemanego zabójcę ośmiu kobiet.

Następnie obraz przeniósł się do wnętrza stacji telewizyjnej. Piękna blondynka, najwyżej dwudziestoosmioletnia, uśmiechała się promiennie do kamery, mówiąc radosnym, doskonałym głosem:

- Właśnie się dowiedzieliśmy, że agentka FBI, Lacey Sherlock, która przyczyniła się do schwytania Marlina Jonesa w Bostonie, była siostrą jednej z kobiet, które podobno zamordował w San Francisco siedem lat temu. Nie wiadomo jeszcze dokładnie, co to znaczy, ale John Bullock, adwokat Marlina Jonesa, twierdzi, że jego klient został wciągnięty w pułapkę przez FBI.
- Wydało się - mruknął Savich i westchnął. - Ciekawe, kto im powiedział.
- O nie -jęknęła. Jej fotografia pojawiła się na ekranie. Prezenterka ciągnęła:
- Panna Sherlock pracuje w FBI dopiero od pięciu miesięcy. Podobno zgłosiła się do tej pracy, żeby złapać mordercę siostry. - Prezenterka obdarzyła widzów olśniewającym uśmiechem. -Wygląda na to, że jej się udało, lecz teraz nie wiadomo, co będzie, kiedy Marlin Jones ponownie zostanie pojmany. Połączymy się z Nedom Bramlockiem, naszym współpracownikiem w Bostonie. Ned?

Patrzyli, jak gliniarze z bostońskiego departamentu policji stoją sztywno w gniewnym milczeniu. Miejscowy przedstawiciel FBI stał za małą grupką, nie mówiąc ani słowa.

Ned Bramlock, który nosił włoskie mokasyny z frędzelkami i pysznił się szopą pięknych kasztanowych włosów, powiedział, siląc się na zatroskany wyraz twarzy:

– Próbowaliśmy porozmawiać z sędzią Sedgewickiem, który rozkazał funkcjonariuszom policji rozkucie Marlina Jonesa, ale sędzia odmawia komentarzy.

Przełączyli na prawnika z ACLU*, który upierał się, że sędzia postąpił słusznie, ponieważ odmówienie domniemanemu zabójcy prywatności podczas badań oznaczałoby pogwałcenie jego praw obywatelskich. Przełączyli na innego sędziego, tym razem emerytowanego, który oświadczył bez ogródek, że sędzia Sedgewick jest idiotą bez odrobiny rozsądku.

Savich wyłączył telewizor. Przeciągnął się.

– Chodźmy gdzieś poćwiczyć. Wstała.
– Tak, chodźmy. Dwie przecznice stąd na Union Street jest siłownia World Gym, otwarta od szóstej rano. Już prawie wpół do ósmej.

Zanim skończyli, Lacey była tak wyczerpana, że nawet jej gniew przygasł, przynajmniej dopóki nie odzyskała oddechu. Wrócili do domu piechotą, trzymając się za ręce.

– Zapowiada się piękny dzień.
– Zawsze tak jest w San Francisco - odparła. - Nawet kiedy mgła napływa przez Golden Gate, widok jest cudowny. Mgła jeszcze dodaje mu urody.

Zamilkła.

– Złapią go. Nie ma pieniędzy, nie ma żadnego środka transportu. Wszyscy go szukają. W telewizji pokazują jego zdjęcie. Ktoś go zobaczy i wezwie gliny. Nie martw się, Sherlock.

* ACLU (American Civil Liberties Union) - Amerykańska Unia Obrony Wolności Obywatelskiej (przyp. tłum.)

W drodze do domu rodziców Lacey myślała o sędzim Sedgewicku i co chciałaby mu zrobić. Kiedy skręcili na Broadway, zauważyła zaparkowane przed domem trzy furgonetki miejscowych stacji telewizyjnych i co najmniej tuzin reporterów uzbrojonych w kamery i mikrofony. Usłyszała krzyk Isabelle:

- Wynoście się stąd, wy sępy! Won, wynocha!
- Niech pani powie agentce Sherlock, że przyszedliśmy. Chcemy tylko z nią porozmawiać przez chwilę.
- Właśnie, społeczeństwo ma prawo wiedzieć.
- Czy pani знаła jej siostrę, Belinę Madigan? Czy to prawda, że Lacey tylko dlatego wstąpiła do FBI, żeby przymknąć Marlina Jonesa?
- Czy to prawda, że wciągnęła Jonesa w pułapkę?

Isabelle miała mord w oczach. Uniosła ręce, rozłożyła dłonie. Ku zdumieniu Lacey niesforna grupka ucichła natychmiast. Isabelle powiedziała donośnym głosem:

- Idźcie porozmawiać z tym durnym sędzią, który kazał policjantom zdjąć kajdanki Marlinowi Jonesowi. Może on zajmie miejsce mordercy, dopóki go nie złapią.
- Dobrze im powiedziała - mruknął Savich.

Lacey zadzwoniła do domu rodziców z publicznego telefonu dwie przecznice dalej.

- Rezydencja państwa Sherlock.
- Isabelle? Mówi Lacey. Zobaczyliśmy ich w samą porę. Dobrze zrobiłaś, że wygarnęłaś prawdę tym reporterom. Czy jest tata?
- Tak, chwileczkę, Lacey. Cieszę się, że wyszłaś z domu. Oni chyba zamierzają tu biwakować. Skąd wiedzieli, że przyjechałaś?

Hannah, pomyślała Lacey w nagłym przeblysku intuicji. Hannah nienawidziła jej z całego serca. Zrobiłaby wszystko, żeby jej zaszkodzić.

- Dowiemy się, Isabelle. Daj mi tatę.

Dwadzieścia minut później zabrał ich Danny Elbright, jeden z aplikantów sędziego Sherlocka. Miał ich walizki w bagażniku.

- Isabelle wyniosła wszystko od tyłu, a ja podjechałem po bagaż. Sędzia Sherlock zadzwonił do linii lotniczych i zarezerwował wam miejsca na lot o dziesiątej rano. W porządku?
- Doskonale - mruknął Savich. Przeciągnął się, odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. - Co za dzień, a dopiero dziewiąta. Mam nadzieję, że media nie będą takie sprytnie, żeby zadzwonić na lotnisko.
- Nie obawiaj się, Lacey - powiedział Danny Elbright, zerkając we wsteczne lustro. -Wiem, że gdybym coś wypaplał, twój tata wysłałby mnie na galery. Nie pisnę ani słowa. Chce tylko, żebyś złapała tego drania. Ale Isabelle im przygadała, co? Na pewno będzie we wszystkich dziennikach.
- Dziękuję, Danny. A może już złapali Marlina.
- Zobaczymy. - Danny włączył radio i zaczął skakać po stacjach. Kiedy ich samolot startował z lotniska San Francisco International, Marlin Jones wciąż był na wolności. Od jego ucieczki minęło już pięć godzin i dwadzieścia minut. Sędzia Sherlock załatwił im dwa ostatnie wolne miejsca w pierwszej klasie. Odetchnęli z ulgą, kiedy nikt ich nie rozpoznał na lotnisku.
- Zamieszkaś u mnie - oświadczył Savich, biorąc szklanekę soku pomarańczowego od stewardesy.— Nie będziemy ryzykować.
- Dobrze - przytaknęła i spojrzała tam, gdzie powinni zobaczyć Yosemite, gdyby siedzieli nie po lewej, a po prawej stronie samolotu.
- Wiem, że się boisz. Niepotrzebnie.
- Prawdę mówiąc, nie boję się, tylko wściekam. Nie ma powodu, żeby Marlin mnie prześladował. Wiesz, że nie jest głupi. Musiałby całkiem zwariować, gdyby próbował odegrać się na mnie. Natomiast nie mogę uwierzyć, że sędzia... osoba, która powinna posiadać szczyptę rozsądku... zechce słuchać tych konowalów i ich kretyńskich żądań.

- No, założę się, że żaden sędzia nie wykręci takiego numeru przez długi czas. To było odchylenie, Sherlock, fatalny zgrzyt. Wszyscy podniosą wrzask i ACLU wyjdzie na idiotów, broniąc decyzji sędziego.
- W dodatku okazało się, że jeden z lekarzy chyba nie przeżyje, a drugi doznał wstrząsu mózgu, jak podają wiadomości. Co do pielęgniarki, ma złamaną szczękę i nad lewym uchem guz wielkości arbuza. Stawiam tygodniową pensję, że w przyszłości nikt nie zdejmie więźniom kajdanków. Jeśli ten lekarz umrze, Marlin wpadł w gówno po same uszy.

Savich wziął ją za rękę.

- Zobaczymy. Ciągłe się zastanawiam, gdzie jest tata Marlina. Mam przeczucie, że kręci się gdzieś niedaleko. Ciekawe, co on robi? Czy Marlin wie, gdzie on jest? Czy się z nim spotka? Czy to Erasmus napadł na ciebie w Waszyngtonie? Czy to Erasmus potracił mnie w Bostonie? Czy Marlin kontaktuje się z ojcem, a może nawet działają wspólnie?

Lacey wciągnęła powietrze przez zęby.

- Też o tym myślałam. I nie wiem, czy ten pomysł z duetem ojciec-syn to pozornie przypadkowy fragment układanki, czy główny wiążący element.
- Chyba najlepiej świadczy o naszym dopasowaniu fakt, że dokładnie zrozumiałem, co powiedziałaś.

Podniósł jej dłoń do ust i pocałował palce. Spojrzał głęboko w oczy. Wsunął kosmyk włosów za ucho. Leciutko pogładził płatek ucha.

- Hej, ślicznotko, co zamówisz na lunch z tego wytwornego menu?

Marlin Jones wciąż przebywał na wolności, kiedy dotarli do domu Savicha o siódmej trzydziści wieczorem. Pod domem nie było żadnych reporterów.

- Jeśli gdzieś są, to pod twoim domem. Następny znakomity powód, żeby zostać tutaj ze mną.

- Tak - przyznała, wchodząc za nim do środka. - Mam nadzieję, że Hannah im nie powie, gdzie mogę być.
- Zadzwoń do Jimmy'ego Maitlanda i zawiadom go, że wróciliśmy. I do Olliego. Tak, chyba przekreślę też do Hannah. Podejrzewam, że masz rację. Przeciek to jej sprawa. Zaczynam myśleć, że najwyższy czas przenieść ją do innej sekcji. Odtąd lepiej niech trzyma buzię na kłódkę, bo wyleci z Biura.
- Może to nie ona wygadała.
- Zobaczymy. Rozpakuj się i odpocznij, Sherlock. Zjemy obiad w domu. Mam w zamrażarce pyszną *lasagne* ze szpinakiem, niedawno ją zrobiłem. Będzie ci smakować.
- Wolałabym raczej pizzę od Dizzy Dana. Czy oni dostarczają do domu?
- Dla mnie dostarczą. - Zmierzył ją krytycznym wzrokiem, potem podszedł, chwycił ją i mocno przycisnął do siebie. -Wszystko będzie dobrze. Przeżyjemy. Do jutra Marlin wróci do więzienia, zobaczysz. Całe FBI na niego poluje. Chyba nigdy nie widziałem Jimmy'ego Maitlanda tak wkurzonego. Nie, Marlin nie ma szans.

Jakoś nie bardzo mu wierzyła. Marlin Jones był na wolności. Ale kiwnęła głową bez słowa i oparła policzek na jego ramieniu.

Powiesiła ubrania w szafie, pantofle ustawiła na podłodze obok jego półbutów rozmiar dwunasty i sportowych butów. Bieliznę schowała do drugiej szuflady komody. Ale kiedy przesunął ustami w dół po jej ciele, potem objął jej biodra i mocno przycisnął wargi, zapomniała o wszystkim oprócz niego i przyjemności, jaką jej dawał. Głęboka, rozdzierająca rozkosz wygięła ją w łuk i wyrwała krzyk z jej gardła.

- Kocham cię, Dillon - wyszeptała bez tchu. - Na wypadek, gdybyś mnie nie usłyszał za pierwszym razem, wyjdę za ciebie. Jesteś najlepszy.

– To dobrze. Nie zapomnij - powiedział, patrząc na nią z góry i wszedł w nią.

Wstawał świt, kiedy Savich obudził się powoli ze świadomością, że dzieje się coś dziwnego, coś chyba lepszego od pasty pesto jego wyrobu, lepszego nawet niż wygrany zakład z jednym z krewnych. Dziwne uczucie nagle spotęźniało i Savich poderwał się, łapiąc oddech. Pochyliła się nad nim, jej splątane włosy zakrywały jego brzuch, wargi obejmowały go.

Mógł tylko jęknąć, wczepić palce w jej włosy, dygotać i podzucać biodrami. A kiedy pocałował ją w usta, powiedziała:

– Jeśli mi to robisz, na pewno sam też to lubisz. To logiczne, prawda? Jeszcze nigdy tego nie robiłam. Dobrze mi wyszło?

– Dobrze - odpowiedział. - Tak, myślę, że całkiem dobrze. Nieźle jak na pierwszy raz.

Znowu zsunęła się w dół po jego piersi. Potem wszystko się skończyło.

Ollie powiedział:

– Jimmy Maitland wysłał przedstawiciela, żeby porozmawiał na dole z mediami, sir. Nie martw się, Sherlock, oni odpuszczą, taki układ zawarł z nimi Maitland.

– To dobrze - mruknął Savich.

– Ale powstało mnóstwo plotek, mnóstwo insynuacji - odezwała się Hannah, stukając długopisem w stół konferencyjny. - Adwokat Marlina Jonesa robi dużo szumu, ponieważ Sherlock była siostrą jednej z zamordowanych kobiet.

– To prawda - przyznał Savich. - Czy ktoś wie, skąd media dowiedziały się o tym?

Nikt się nie odezwał.

– Hannah? - zapytał Savich, patrząc na nią. Spojrzała prosto na Lacey

- Nie, nie mam pojęcia. Ale chyba nic się nie stało, że media dowiedziały się, co zrobiła. Możliwe, że sprawa przeciwko Jonesowi zostanie odrzucona jako pułapka. -Wzruszyła ramionami. -Wiedzieliście, że kiedyś to wyjdzie na jaw. Teraz przynajmniej mamy czas, żeby media przewąłkowały tę sprawę, zanim znowu złapią Marlina Jonesa.

Kłamała, ale jak mógł to udowodnić? Uśmiechnął się do niej uśmiechem dostatecznie lodowatym, żeby zamrozić wodę. Powiedział głosem tak łagodnym, że Lacey włosy się zjeżyły na karku:

- Ciekawe, czy temu, kto zawiadomił prasę, nie przyszło do głowy, że to nie Lacey podjęła decyzję? Ze miejscowe gliny i Biuro przedyskutowali jej kandydaturę jako przynętę i wyrazili zgodę?
- Na pewno ich namówiłaś - powiedziała Hannah do Lacey. Pozostali agenci wierzili się, odwracali wzrok i wyraźnie żalowali, że akurat teraz znaleźli się w sali konferencyjnej. Savich podniósł rękę.
- No dobrze, wystarczy. Jak większości z was wiadomo, Sherlock mieszka u mnie. Ani słowa o tym do nikogo poza tym pokojem. Okay, jutro zebranie robocze o zwykłej porze. Chciałem tylko, żebyśmy jak najszybciej naprawili tę katastrofę. Hannah, przyjdź do mojego gabinetu.

Lacey zamierzała pójść za Savichem i Hannah. Hannah odwróciła się i spojrzała na nią. Lacey zmieniła zdanie. Woląca nie zbliżać się do niej na długość ramienia.

W gabinecie Savich wskazał krzesło stojące naprzeciwko biurka.

- Siadaj, Hannah.

Usiadła. Savich milczał przez bardzo długą chwilę i tylko patrzył na nią, przechyliwszy głowę w lewo.

- Chciałeś ze mną rozmawiać, Savich?
- A tak. Wiem, że to ty zawiadomiłaś media o powiązaniach Sherlock z jednym z morderstw w San Francisco. Chciałbym, żebyś mi powiedziała, dlaczego to zrobiłaś.

Rozdział 30

Hannah odpowiedziała zniżonym głosem, twardym jak stal:

- Już ci mówiłam, że nie zrobiłam tego.
- Kłamiesz. Zrozum jedno, Hannah. To nie była decyzja Sherlock. Jasne, sama tego chciała, i to bardzo, lecz nie ona podjęła decyzję. Kto jak kto, ale ty powinnaś trzymać język za zębami. Rzecz w tym, że rozmawiałaś z prasą tylko po to, żeby narobić kłopotów. Takie zachowanie u agenta specjalnego jest nieprofesjonalne i nie do przyjęcia.
- Nie zrobiłam tego. Nic mi nie udowodnisz. Nie zapominaj, że to sędzia kazał rozkuć Marlina Jonesa. Dlaczego sędzia nie mógł się wygadać?
- Ze względu na cholerne dowody, dlatego. Słuchaj, Hannah, nie chcę cię w tej jednostce. Myślę, że przeniesienie będzie słuszne. Jesteś dobrą agentką, ale nie tutaj, nie w mojej jednostce.
- Ta nadęta pedantka jest taka dobra w łóżku?
- Specjalni agenci nie mówią tak o innych specjalnych agentach. To seksizm. To niedopuszczalne. Nie pozwolę na to.

Hannah wstała powoli, pochyliła się w stronę Savicha, oparła dłonie na biurku i powiedziała zniżonym głosem:

- Powiedz mi, co ty w niej widzisz, tylko mi powiedz, żebym zrozumiała. Zarzekałeś się, że nigdy nie pozwolisz sobie na bliższy związek z żadnym pracownikiem swojej jednostki, ale jak tylko zobaczyłeś tę małą pozerkę, straciłeś głowę.

Wstał, żeby stawić jej czoło.

- Posłuchaj mnie. Sherlock nigdy nic ci nie zrobiła. Jeśli szukasz chłopca do bicia, stoję przed tobą w całej okazałości. Wyładuj się na mnie. Zostaw Sherlock w spokoju. Ach tak, wiem jeszcze, że zadzwoniłaś do mediów w

San Francisco i powiedziałaś im, gdzie mieszka Sherlock. Wystawiłaś całą sprawę, Hannah, namieszałaś z powodu swojej głupiej zazdrości. Jeśli chcesz zostać w Biurze, od tej chwili powinnaś bardzo uważać. Zadzwońię do Colina Petty'ego w dziale personalnym. Możesz od razu pogadać z nim o możliwościach przeniesienia.

– Powiedz mi, dlaczego. Dlaczego ona?

Twarz Sherlock wyraźnie stanęła mu przed oczami. Wydawał się lekko ubawiony, kiedy odpowiedział powoli:

– Wiesz, naprawdę nie potrafię wyjaśnić. Chyba z wielu powodów. Miłego dnia, agentko. Zaraz zadzwonię do personalnego.

Nazwała go gnojkiem, ale po cichu, więc puścił to mimo uszu. Przynajmniej miał nadzieję, że to on zasługuje na wyzwiska, nie Sherlock. Nigdy nie chciał skrzywdzić Hannah, nigdy jej nie zachęcał. Zadzwoił do Colina Petty'ego, potem nacisnął brzęczyk i wypuścił Hannah.

Westchnął, włączył MAXINE i wkrótce znalazł się w innym świecie, nad którym panował, który nigdy go nie zawiódł. Przejrzał ponownie wszystko na temat Marlina Jonesa.

Gdzie on jest? Ukrywa się? Ucieka? Czy jest sam?

MAXINE wyświetliła fotografię z prawa jazdy ojca Marlina, Erasmusa Jonesa. Czy byli razem? Czy Erasmus odegrał jakąś rolę w morderstwach z Denver, San Francisco albo Bostonu? Czy to rzeczywiście on wynajął forda taurusa, nie jego syn? Jeśli tak, prawdopodobnie byli razem.

Przeglądał raporty, całkowicie pogrążony w pracy, dopóki Jimmy Maitland nie powiedział, stojąc w otwartych drzwiach:

– Maitland do Savicha i MAXINE. Czy wy dwoje jesteście blisko celu?

Savich zamrugał i zmusił się, żeby podnieść wzrok. Wstał.

– Witam, sir. Czym mogę służyć? Złapali Marlina Jonesa? Jimmy Maitland ponuro pokręcił głową.

- Nie, jeszcze nie, ale już niedługo. Wszystkie główne drogi wylotowe z Bostonu są obstawione agentami i miejscowymi glinami. Aha, Duży John Bullock ciągle nachodzi oddział Biura w Bostonie. Chce mówić z agentką Sherlock. Żąda czegoś, co nazywa przed-zeznaniem. Chce wykorzystać okazję, zanim gliny znowu przymkną Marlina Jonesa. Co twoim zdaniem mamy robić?

Savich odchylił się do tyłu. Jimmy Maitland usiadł w jednym z foteli naprzeciwko biurka Savicha.

- To nie takie proste. Ten oportunistyczny palant, szkoda, że Mar-lin nie walnął go mocniej.
- Za późno. Daj spokój, Savich, myślisz, że Duży John przejedzie się po Sherlock?
- Nie. Poza tym będziemy mieli ze sobą kogoś z Departamentu Sprawiedliwości. Myślę, że osoba Sherlock nie ma znaczenia. On chce, żeby media ją zaszczuły, żeby przedstawiły ją jako winną, a tym samym oczyściły Marlina Jonesa, co jest niemożliwe. Facet walczy z wiatrakami.
- A jeśli ten lekarz umrze, to jest bardziej niż niemożliwe. Może po prostu wystrzelą go w kosmos. Ostatnio słyszałem, że mało mu brakuje.
- Jeśli lekarz umrze, już widzę, jak Duży John zgłosi spowodowanie śmierci albo morderstwo drugiego stopnia. Brak premedytacji, czyn popełniony w afekcie przez szaleńca, nie panującego nad sobą, przerażonego tym, co go czeka. - Nagle Savich wyprostował się i splótł ręce przed sobą. - Zróbmy to. Myślę, że Sherlock poradzi sobie śpiewająco. Spotkajmy się z tym draniem. Kto wie? Może coś na tym skorzystamy.

Jimmy Maitland powiedział bardzo powoli:

- Myślisz, że Marlin dowie się o jej wizycie w Bostonie? Ze spróbuje ją załatwić?

Savich siedział całkiem nieruchomo.

- Tak, musimy to zrobić.
- To bardzo trudne. Prawie niemożliwe.
- Ale jeśli istnieje chociaż minimalna szansa, warto spróbować. Zresztą, decyzja nie zależy ode mnie. Porozmawiam z Sherlock. I wie pan co? Wątpię, czy Marlin w ogóle się dowie o jej wyjeździe do Bostonu... chyba że damy cynk do mediów. A nawet jeśli się dowie, musiałby kompletnie zwariować, żeby na nią napadać.
- Może... sam nie wiem. Duży John doniesie mediom, jestem tego pewien. Ty też. Ale masz rację, decyzja należy do Sherlock. Tylko że ty już znasz odpowiedź, prawda?
- Jasne.

- Media urządziły inwazję, reporterów jest więcej niż pcheł na jednouchym portowym szczurze - zauważył Jimmy Maitland.

Wydymuchał nos i wepchnął chusteczkę z powrotem do kieszeni. Odsunął się od okna w biurze Dużego Johna Bullocka na dwudziestym drugim piętrze. Wcale mu się to nie podobało, ale wiedział, że na skutek tego przecieku Marlin Jones musiał się dowiedzieć o wizycie Sherlock w Bostonie. Nie zdziwiłby się, gdyby ona sama zadzwoniła do mediów. Naprawdę chciała dostać Marlina Jonesa.

Buzz O'Farrell z bostońskiego oddziału Biura tylko kręcił głową.

- Zdumiewa mnie, dlaczego nigdy nie wysyłają jednego reportera, nie, zawsze co najmniej czterdziestu, dla każdego po dwa mikrofony i tyle kamer, że można by sfilmować drugą wojnę światową, i wszyscy wrzeszczą. Chciałem zastrzelić tego cholernego sędziego, ale media? Na nich potrzebny jest jakiś zabójczy wirus.

- Brakuje im manier, to pewne - przyznał Savich i uśmiechnął się do Sherlock, która zrobiła minę jednocześnie obojętną i wściekłą -interesująca kombinacja, chciałby ją zbadać na osobności. Niestety, dzisiejszego ranka nie miał szans.
- Duży John dał cynk- oświadczył Jimmy Maitland - nie my. Postanowiliśmy zachować czyste ręce. Owszem, wiemy, że to on wygadał. Ciągłe liczy, że wyjdzie z tej sprawy pachnący jak róża, i dlatego to zrobił.
- Gdyby nie on, sama bym to zrobiła - powiedziała Lacey. - Przepraszam, sir, ale tak jest. Wszystko, byle tylko dopaść Marlina Jonesa.
- No, witam wszystkich szanownych przedstawicieli prawa - powiedział Duży John Bullock, wchodząc do wyłożonej orzechową boazerią, olbrzymiej sali konferencyjnej w swoim biurze. Natychmiast skierował się w stronę Sherlock. - Miło panią znowu widzieć.
Uśmiechnęła się do niego.
- Muszę przyznać, że wygląda pan trochę lepiej niż ostatnio, kiedy pana widziałam. Marlin porządnie panu przyłożył, prawda?
- Biedny chłopak, rozpaczliwie chciał się wydostać z tej izby tortur. A więc przejdziemy do rzeczy?
- To nam odpowiada — powiedział Savich chłodno i spokojnie.
- Proszę nam wyjaśnić, czego dokładnie pan chce - zaproponowała Georgina Simms, prokurator z Departamentu Sprawiedliwości, wychylając się do przodu. - To jest trochę niezwykle, ale oczywiście zgadzamy się na pełną współpracę.
- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co agentka Sherlock ma do powiedzenia na temat swojego nieetycznego zachowania w tej sprawie.
Savich wstał. Powoli podszedł do Dużego Johna i wycedził z odległości kilku centymetrów od jego twarzy:

- Agentka Sherlock nie ma nic do powiedzenia. Więc jeśli pan zamierza tylko marnować nasz czas, wychodzimy. Słyszał pan panią Simms. Musimy złapać mordercę. Może według pana to zabawne, że osiem kobiet zostało zamordowanych, a lekarz walczy o życie, ale nas to nie bawi.

Duży John natychmiast się opamiętał, kiwnął na stenografkę, żeby zaczynała, usiadł i otworzył grubą teczkę.

- No więc dobrze. Agentko Sherlock, stworzyła pani dla stanowego wymiaru sprawiedliwości następujący problem. Pani siostra była jedną z kobiet w domniemaniu zabitych przez mojego klienta. Zgadza się?
- Tak.
- Więc wstąpiła pani do FBI po to, żeby uzyskać szansę schwytania tego człowieka?
- Tak, początkowo.
- Czy to był pani pomysł, pani plan, w wyniku którego aresztowano Marlina Jonesa?
- To był plan opracowany przez Bostoński Departament Policji oraz FBI. Ja tylko odegrałam rolę przynęty.
- Dlaczego?
- Ponieważ bardzo dobrze znałam jego profil psychologiczny. Lepiej niż wszystkie inne policjantki czy agentki wiedziałam, jak to rozegrać, jak go sprowokować. Byłam tylko przynętą, panie Bullock. Wystarczyło, żeby mnie zignorował. Nie zastawiłam żadnej pułapki.
- O tym zadecyduje sąd, prawda?

Georgina Simms powiedziała spokojnie i powoli:

- To strata czasu, panie Bullock. Jeśli ma pan jakieś istotne pytanie, proszę je teraz zadać albo wychodzimy.
- Moje pytanie brzmi: Skąd pani tak dobrze wiedziała, jak sprowokować Marlina Jonesa, agentko Sherlock?

Ani przez chwilę nie wahała się nad odpowiedzią. Widziała, jak Dillon spina się, a potem rozluźnia. Był zdenerwowany. W przeciwieństwie do niej. Sporo o tym myślała.

– Przez ostatnie siedem lat studiowałam wszystkie materiały o tym mordercy, panie Bullock. Czułam, że go znam. Wycinał kobietom języki, dlatego przyjął założenie, że wybierał do swojego labiryntu kobiety, które jego zdaniem zasłużyły na karę. Pierwszym sygnałem było dla niego przeklinanie. Jeśli usłyszał kobietę używającą języka, jaki nie przystoi kobiecie... oczywiście sam osądzał, co komu przystoi... to już w połowie podjął decyzję. O drugiej połowie decydowało to, czy wymyśla mężowi. Tutaj miałam więcej wątpliwości, ale ponownie czułam, że znam Marlina Jonesa, zbadalam go tak dokładnie przez siedem lat, podczas studiów magisterskich i podyplomowych. Jak pan wie, ostatnio oświadczył, że spał z większością zamordowanych kobiet, chociaż nie uzyskaliśmy potwierdzenia tego faktu. To naprawdę bardzo proste. To wszystko, panie Bullock.

– Więc pani siostra przeklinała i wymyślała mężowi. Czy pani siostra również spała ze swoim zabójcą, agentko Sherlock?

– Ponieważ moja siostra nie żyje od siedmiu lat, otrzymała liczne rany kłute i wycięto jej język, mamy raczej niewielkie szanse na uzyskanie odpowiedzi.

Savich chciał ją ucałować. To pytanie zadano, żeby rozzłościć przeciwnika, wyprowadzić go z równowagi i w ten sposób uzyskać nieprzemyślaną odpowiedź. Lacey trzymała się twardo. Zauważył, że na Jimmym Maitlandzie również zrobiła wrażenie.

– To wszystko brzmi jak wyuczone, agentko Sherlock. Tylko wzruszyła ramionami.

Duży John nie dawał za wygraną.

– Pani wyraźnie cierpi na obsesję, mała damo, przepraszam, mała agentko specjalna. Uważam, że psychologowie i ankieterzy powinni wyłapać takie rzeczy i nie dopuścić pani do głosu. To straszne.

- Nie, sir, straszny jest sędzia, który stwarza idealną szansę ucieczki Marlinowi Jonesowi, okrutnemu mordercy. - Pochyliła się do przodu. - I pan jest straszny, panie Bullock. Robi pan to wszystko dla kariery... innymi słowy, dla zysku i rozgłosu. Jeśli cierpię lub cierpiałam kiedyś na obsesję, sir, to pan postępuje nieetycznie, innymi słowy jak zwykła gnida.

Duży John z rykiem zerwał się na nogi.

- Nie może pani tak do mnie mówić, agentko Sherlock.

- Dlaczego nie, sir?

Georgina Simms tylko się uśmiechnęła.

- To dobre pytanie, nawet bardzo dobre, ale zostawmy to. Chciał pan coś jeszcze wiedzieć, panie Bullock?

- Żaden sędzia nie uzna jej za zwykłą dobrze wyszkoloną agentkę, wykonującą swoje zadanie. Ona kompromituje tę sprawę. Nie jest obiektywnym przedstawicielem prawa, tylko zainteresowanym uczestnikiem.

- Idziemy - oznajmił Sasach i skinął na Lacey. - Do zobaczenia w sądzie, panie Bullock, jeśli policjanci zdołają aresztować Marlina Jonesa. Pan wie, że on będzie stawiał opór.

Lacey uśmiechnęła się do niego przez ramię.

- Chyba nie powinien pan poświęcać tyle czasu Marlinowi Jonesowi, panie Bullock. Wie pan, że agent Savich ma rację. Marlin będzie stawiał opór przy aresztowaniu. Wątpię, czy za pomocą swojej taktyki potrafi pan nagiąć prawo. Uważam, że pan marnuje swój czas, który jest wart dużo pieniędzy, prawda?

Poczuła pod łokciem dłoń Savicha. Szepnął jej do ucha:

- Wychodzimy stąd. Dobrze sobie poradziłaś.

- Wyjdziemy od tyłu - powiedział Jimmy Maitland w windzie. -Już zbadalem teren.

- To było interesujące, agentko Sherlock - odezwała się Georgina Simms. -Ja też nie rozumiałam, jak pani w ogóle trafiła do FBI.
- Właściwie sama się dziwię. Proszę mnie źle nie zrozumieć, schwytanie Marlina Jonesa stanowiło dużą część mojej motywacji, ale potem zdałam sobie sprawę, że właśnie to chcę robić w życiu. Wie pani, zanim pan Savich przyjął mnie do swojej nowej jednostki, mogłam wylądować w Los Angeles i łapać bandytów napadających na banki. I to była ostateczność. Złapałabym ich jak najwięcej.
- Przypuszczam, że sędzia w to uwierzy - mruknęła Georgina Simms. - Ale zastanawiam się, czy pani środowisko zaakceptowało taką pracę.
- Chyba nikt nie robił z tego wielkiej afery.
- Chyba nie.

Zanim rozstali się na podziemnym parkingu, Jimmy Maitland powiedział do Savicha:

- Simms to kupiła, bo dobrze brzmi i na ogół jest zgodne z prawdą. Natomiast ona nie wie, że lecisz na Sherlock. Co masz zamiar zrobić? Pobierzecie się czy jak?
- Owszem, lecz jak mówią, wszystko w swoim czasie.
- Ale chodzi o to, dlaczego w ogóle wzięłaś ją do Jednostki Badań Kryminalnych?

Savich odpowiedział bez wahania:

- Bo była cholernie dobra w Alei Hogana. Nie, wtedy jeszcze na nią nie leciałem, sir. Pomyślałem tylko, że należy do najlepszych, jakie mogę znaleźć. Dowiedziałem się, że odrzuciła profile, bo nie wytrzymała psychicznie, ale zdobyła gruntowne wykształcenie z kryminologii. Nie, sir, wtedy nie zaślepiła mnie żądza.

Jimmy Maitland stęknął.

- W swoim czasie - powtórzył. - Masz rację. To wszystko trzeba bardzo ściśle kontrolować. Zająłeś się przeciekami w swojej jednostce?
- Załatwione - odparł Savich.
- Podejrzewam, że nie chcesz mi o tym opowiedzieć?
- Wolałbym, żeby pan nie pytał, sir, bo nie mam niezbitych dowodów.

Rozdział 31

Spędzili resztę dnia w miejscowym oddziale Biura i na policji, dokładnie sprawdzając przebieg obławy.

- Zdaje się, że wszystko jest robione jak należy - powiedział Savich do jednego z gliniarzy z nowo utworzonych sił specjalnych. -I nie ma żadnych poszlak, że Marlin Jones spotkał się z kimś?
- Ani słowa - potwierdził funkcjonariusz Drummond. - Cholera, nogi mnie bołą. Chyba z dziesięć razy obszedłem cały rewir. Rozmawiałem z każdym informatorem, który wyemigrował do Bostonu albo tutaj się urodził.

O ósmej wieczorem Marlin Jones wciąż przebywał na wolności. Postanowili zjeść w chińskiej restauracji na Newbury i poszli tam piechotą.

- Wątpię, czy on się pokaże, Sherlock.
- Wiem. Przynajmniej dajemy mu całkowitą swobodę ruchów.
- Okay. W dalszym ciągu wszędzie chodzimy piechotą, a kiedy media nas dopadną, uśmiechamy się szeroko i machamy do mamusi. Skoro o tym mowa, czy twoja matka naprawdę widziała Marlina całującego Belinę na podjeździe?

- Nie. Zresztą nie mam pojęcia, co ona widziała, a czego nie widziała. Myślę, że słusznie oceniłeś jej intencje. Chciała zwrócić na siebie uwagę ojca. Znalazła doskonały sposób.
- Więc nie wierzysz, że twój ojciec kiedyś próbował ją przejechać?
- Nie wiem. Ale myślę, że ona go kocha. Mogę się mylić. To wariactwo, prawda? Może naprawdę widziała kogoś rozmawiającego z Belindą na podjeździe, ale akurat Marlina?
- Myślisz, że twój ojciec oskarżał Erasmusa Jonesa dziesięć lat temu?
- O tak. Ojciec mocno stoi na ziemi, nie ucieka od rzeczywistości, nawet nieprzyjemnej. On nie ma zwyczaju zmyślać. Jeśli powiedział, że Erasmus Jones stawał przed jego sądem, to tak było. Pytanie tylko, czy... czy Erasmus Jones miał z tym coś wspólnego?

Savich powiedział powoli:

- Istnieje ogromne podobieństwo pomiędzy ojcem a synem. Czy to możliwe, że twoja matka widziała z Belindą Erasmusa, nie Marlina?
- Nie mam pojęcia. Ale nie zareagowała na fotografię Erasmusa Jonesa.
- Nie, wcale.

Nad naleśnikami z jajkiem i smażonym wonton, w połowie mięsny, w połowie wegetariańskim, Savich powiedział, puściwszy jej rękę:

- Masz zimne palce.
- Cała jestem zmarznięta.
- W lecie pojedziemy nad jezioro Louise Lynn z Quinlanem i Sally. Chcę cię zobaczyć w bikini. Niebieskim. Chcę ci je kupić. Chcę ci je nałożyć i zdjąć.

W lecie, pomyślała; szmat czasu od chińskiej restauracji w Bostonie, gdzie oby czaił się Marlin Jones, czekając na jej wyjście. Wszędzie wokół restauracji pełnili wartę gliniarze rozstawieni blisko siebie.

Obdarzyła Dillona szerokim uśmiechem.

– Dziękuję ci - powiedziała, stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Potem znowu usiadła, nabrała pełny widelec wieprzowiny z czosnkiem i przeżuwała, podczas gdy Savich patrzył na nią ubawiony.

Przyniesiono krewetki princess i oberżyny z czosnkiem. Nakładając ryż na talerz, Savich zagadnął:

– Co myślisz o Douglasie?

– Naprawdę nie chcę o nim teraz myśleć. Chcę tylko jeść. -Westchnęła i nabiła krewetkę na widelec. -Wszyscy oskarżają wszystkich o zabicie Belindy. Wchodzimy w jeden korytarz, potem w drugi. - Pomachała widelcem, rozsypując ryż. -Jednego tylko jestem pewna: że Isabelle tego nie zrobiła. Moje pieniądze dostałaby Candice, gdyby pojawiła się na scenie siedem lat wcześniej.

– Ciągle wracam w myślach do twojego koszmaru, kiedy doświadczyłaś dokładnie tego, co spotkało Belindę.

– Ja nie chcę do tego wracać. To zbyt straszne. Ręce mi się poca. Jak myślisz, pójdziemy poćwiczyć po obiedzie?

Parsknął śmiechem nad pełnym widelcem smakowicie przyrządzonej oberżyny.

– Moja bratnia dusza - powiedział. - Powinnaś popracować nad mięśniami trójgłowymi. Za to uda masz naprawdę ładne. Od tych twoich tricepsów dostaję wzvodu.

– Uwielbiam, kiedy gadasz jak sportowiec.

Polecieli do Waszyngtonu dopiero następnego popołudnia. Ani śladu Marlina Jonesa. Wciąż przebywał na wolności.

Po drodze na lotnisko Logana wpadli na posterunek, żeby zobaczyć się z kapitanem Doughertym.

- Wydaje mi się, że ktoś mu pomaga - powiedział Savich.
- Tak - przyznał kapitan Dougherty. -Wszyscy teraz dochodzą do tego wniosku. Sprawdzono każde morderstwo i rabunek. Skoro Mar-lin nie miał pieniędzy, musiał je zdobyć, jeśli pozostał sam. Na razie nikogo nie obrabował, o ile wiemy. Więc ktoś mu pomaga. Ktoś go ukrywa, ktoś na tyle zamożny, żeby go trzymać u siebie. Ale kto? Sprawdziliśmy ludzi ze składu drewna, gdzie pracował. Nie miał żadnych bliskich przyjaciół, o jakich wiemy, przynajmniej nikogo na tyle bliskiego, żeby nadstawiał za niego karku.

Lacey podała kapitanowi Dougherty'emu zdjęcie Erasmusa Jonesa formatu osiem na dziesięć.

- To jest jego ojciec. Może zechce pan rozesłać tę fotografię.
- Rzeczywiście są podobni. Myślicie, że jego stary naprawdę maczał w tym palce? Myślicie, że to on pomaga Marlinowi?
- Nie mamy pojęcia. Nie wiemy nawet, czy jeszcze żyje, czy umarł. To tylko pomysł, żeby o coś się zaczepić. -Wstali. -Wracamy do domu, kapitanie. Proszę nas informować i powodzenia.

- Douglas powiedział mi, że jest śledzony. Niech was szlag, to się musi skończyć - gniewnie powiedziała Candice Madigan za ich plecami, kiedy Savich otwierał kluczem frontowe drzwi.

Lacey trzymała już w ręku colta, Savich ugiął kolana. Odetchnął głęboko.

- Radzę nigdy więcej tego nie robić, proszę pani. Sherlock mogła pani zastrzelić, a ja mogłem złamać pani kark. Mogę wiedzieć, co u diabła pani tutaj robi?
- Czekam na was.

– Skąd pani wiedziała, że tu będę? - zapytała Lacey, wchodząc prosto pod lampę na ganku.

Savich przekręcił klucz i otworzył drzwi.

– Wszyscy możemy wejść do środka. Pani pierwsza, pani Madigan. Wolę nie mieć pani za plecami. Chyba pani ma zniżkę linii lotniczych? Który to lot do Waszyngtonu? Drugi czy trzeci?

– Oczywiście, że mam zniżkę - odparła. - Myśli pan, że jestem głupia?

Jeśli wewnątrz domu Savicha zrobiło wrażenie na Candice, nie okazała tego. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od Lacey.

– Słyszałaś mnie, Lacey? Wiem, że to nie gliny z San Francisco. Sędzia Sherlock zadzwonił i dowiedział się tego dla mnie. Więc to FBI go śledzi. To twoja sprawka, tak? Nie, nie masz tyle władzy. -Odwróciła się do Savicha. - Zrobiłbyś wszystko dla swojej słodkiej panienki, prawda? Nawet kazał śledzić mojego męża. Próbujesz oskarżyć Douglasa o zamordowanie Belindy? Przestań, on zwariuje. Nie pozwolę na to.

– Wiecie - powiedział swobodnie Savich, gestem zapraszając Candice do salonu - jak się nad tym zastanowić, Douglas miał bardzo dobry motyw, żeby zabić Belinę. Chciał zerwać to małżeństwo, ale ona nie dałaby mu rozwodu. Wiedział, że gdyby próbował się rozwieść, sędzia Sherlock zrujnowałby mu karierę. Był w pułapce. Więc wykorzystał modus operandi Sznurobójcy, żeby ją zabić. Jak uważasz, to logiczne?

Candice rzuciła się na niego.

Chwył jej nadgarstki i przytrzymał ją z daleka. Kopnęła go. Uchylił się zwinnie. Potem zaczął nią potrząsać, mówiąc niskim, spokojnym głosem:

– Wystarczy, pani Madigan. Jak na kobietę z pewnym wyrafinowaniem, wypada pani z roli.

– Oddaj ją mnie - zażądała Lacey. - Mdli mnie na twój widok, Candice. Chcesz się bić, to chodź tutaj. Z rozkoszą wytrę tobą podłogę.

- Zniszczycie mi salon - zaprotestował Savich, spoglądając z uśmiechem na zarumienioną Sherlock. - Zechce pani panować nad sobą, pani Madigan? Obronię panią przed Sherlock, jeśli pani będzie grzeczna. W porządku?

Powoli skinęła głową. Puścił ją. Stała przed nim, rozcierając nadgarstki. Potem powoli odwróciła się do Lacey, ale powiedziała przez ramię do Savicha:

- Nigdy nie przyszło panu do głowy, że to ona zabiła Belindę? Co tu gadać o szaleństwie, wystarczy spojrzeć na jej rodzinę. Każdy gen w jej ciele to obłąd, czysty obłąd.

Zapadła martwa cisza, przerywana tylko ciężkim dyszeniem Candice.

- No? Co wy na to?

Lacey uśmiechnęła się, co było iście bohaterskim wyczynem z jej strony.

- Candice, dlaczego tak naprawdę tutaj przyjechałaś?
- Mówiłam wam, ktoś śledzi Douglasa. To na pewno FBI. Chcę z tym skończyć. Przerwać. Dlatego przyjechałam, żebyście to przerwali.
- Dlaczego po prostu nie zadzwoniłaś? Na pewno wyszłoby taniej. Milczysz? A może znowu chciałaś wynająć tego bandziora, żeby mnie sterroryzował? Albo znowu zamierzałaś mnie przejechać?
- Nie wiem, o czym ty mówisz. Co do pana - ciągnęła, zwracając się do Savicha - pan jest ślepy. Douglas też był ślepy, ale krótko. Teraz zdał sobie sprawę, kim ona jest. - Candice rzuciła im triumfalny uśmiech i usiadła na pięknej sofie. - No więc?
- No więc co, pani Madigan?
- Czy FBI przestanie śledzić mojego męża? Savich westchnął.
- Jasne, pani Madigan. Rzecz w tym, że nasz agent pilnował go dla jego bezpieczeństwa. Marlin Jones wciąż jest na wolności. Możliwe, że planuje wrócić do Kalifornii. Możliwe, że zechce spotkać się z Douglasem, może nawet go zabić. Dlatego kazaliśmy agentowi go pilnować, żeby go chronić.

- To wariactwo - powiedziała powoli Candice. - Nie ma żadnego powodu, żeby Marlin Jones zagrażał mojemu mężowi.
- Och? Jest pani całkiem pewna? Czy Douglas nie powiedział pani, że pani Sherlock widziała Marlina całującego Belindę przed ich domem? Kto wie, co się teraz dzieje w głowie Marlina. Ale kogo to obchodzi, kiedy wszystko zostanie powiedziane i zrobione? Jasne, odwołam FBI. Douglas może sam troszczyć się o siebie, żaden problem.

Savich spokojnie podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

- Naprawdę pan uważa, że grozi mu niebezpieczeństwo? Savich zignorował ją. Czekał, potem powiedział:
- Mówi Dillon Savich. Proszę mnie połączyć z Jamesem Maitlandem. Dziękuję.
- A jeśli ten świr go ściga? Jeśli jakoś dotrze do San Francisco? Douglas naprawdę potrzebuje pomocy. Nie możecie tak go zostawić. To nieludzkie.
- Sir, mówi Savich. Tak, musimy odwołać ochronę Douglasa Madigana w San Francisco. Tak, na pewno. Nie ma więcej potrzeby.
- Nie, niech pan nie odwołuje! A jeśli ten Marlin Jones napadnie na Douglasa? Nie!
- Tak, zgadza się. Nie ma już takiej potrzeby, Dziękuję.

Savich odłożył słuchawkę w samą porę, żeby powstrzymać Candice, by nie wepchnęła go do kominka.

- Tego już za wiele - parsknęła Lacey.

Doskoczyła do Candice, chwyciła ją za ramię i szarpnęła. Jej pięść wylądowała na szczęce Candice.

- Au! To boli, ty wredna mała suko!

Sherlock rąbnęła ją jeszcze raz i skrzywiła się z bólu w kłykciach. Candice spojrzała na nią ze zdumieniem wyraźnie wypisanym na twarzy, po czym osunęła się na podłogę.

– Nic ci nie jest, Dillon?

Stała rozcierając kłykcie i pytała, czy nic mu nie jest. Mógł tylko pokręcić głową.

– Dziękuję, że mnie obroniłaś - powiedział ze śmiechem.

Pospieszyła mu na pomoc. Życie z Sherlock nigdy nie będzie nudne. Miał nadzieję, że nie uszkodziła sobie ręki.

– Możesz podejść i mnie pocałować, Sherlock? Jestem trochę roztrzęsiony.

– Jasne - zapewniła ze słodkim uśmiechem. Pocałowała go w brodę, przesunęła czubkami palców po brwiach, pocałowała w nos. - Lepiej się czujesz?

– Coraz lepiej - przyznał i dalej ją całował.

Przestali dopiero, kiedy Candice odezwała się z podłogi:

– Jeśli zrobicie to przy mnie, wezwę policję. Aresztują was oboje. Lacey zaczęła się śmiać; nie mogła się powstrzymać. Savich powiedział:

– Chce pani napić się kawy przed wyjściem, pani Madigan?

– Chcę, żeby FBI chroniło mojego męża.

– Ale przyleciała pani aż tutaj, żeby to odwołać.

– Słuchaj pan, wiem, że nie byłam miła dla was obojga, ale Douglas to co innego. On mnie potrzebuje. Proszę, jeśli pan naprawdę uważa, że coś mu grozi, dajcie mu ochronę.

Savich podszedł do telefonu, wystukał numer i powiedział:

– Przywrócić inwigilację Douglasa Madigana. Tak, zgadza się. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Candice.

– Załatwione.

– Dziękuję panu - powiedziała. - Naprawdę bardzo dziękuję. -Potem odwróciła-się do Lacey. - A ty tylko sprawiasz kłopoty. Narobisz kłopotów temu bardzo miłemu człowiekowi, który wcale cię nie zna. Trzymaj się z daleka od Douglasa!

Po tych słowach wyszła.

Savich odprowadził ją wzrokiem.

- Dziwna z niej kobieta - rzekł. - Chyba nie chciała kawy.
- Naprawdę kazałeś śledzić Douglasa?
- O tak.
- I odwołałeś inwigilację, a potem przywróciłeś?
- Skąd. Douglas jest podejrzanym. Chcę mieć na niego oko. A jeśli w ten sposób go chronię, niech mu będzie.
- Ona go kocha - oznajmiła Lacey - Ona naprawdę go kocha.
- Pasują do siebie. Niech odtąd żyją długo i szczęśliwie. A teraz ścigajmy się, kto pierwszy będzie w łóżku.

Była taka przygnębiona, potem chciała zastrzelić Candice, ale teraz, patrząc na Dillona Savicha, poczuła ogromną falę ulgi.

- Ścigajmy się.

Rozdział 32

W czwartek po południu Marlin Jones wciąż przebywał na wolności. W specjalnych biuletynach telewizji pokazywano jego fotografię przez cały dzień i wieczór. Setki doniesień napływały z obszaru od Boca Raton po Anchorage.

Savich próbował pracować, skupić się na zabójstwach w Południowej Dakocie i Iowa, ale ciężko mu szło. W czwartek po południu zebrał wszystkich i ogłosił, że Hannah Paisley została przeniesiona. O miejscu przeniesienia zawiadomi ich, kiedy zapadnie decyzja. Nikt szczególnie nie żałował, że Hannah odchodzi.

Co do Lacey, poczuła się tak, jakby zdjęto z niej ogromny ciężar.

Godzinę później rozwiązano zagadkę morderstw w domu opieki na Florydzie. Savich, Ollie i Sherlock wiwatowali, wchodząc do sali konferencyjnej i przybijali piątki ze wszystkimi.

Savich, uśmiechnięty od ucha do ucha, zacierał ręce.

- Dobre nowiny. Wspaniałe nowiny. Okazuje się, że nasz morderca jest starym człowiekiem: Benjamin Potter z Cincinnati, który był magikiem przez trzydzieści lat. To mistrz kamuflażu, jak wszyscy wiecie. Poza tym nigdy w życiu nie zrobił nic złego. Łatwo dostawał się do tych domów jako jeszcze jeden staruszek wymagający opieki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czasami przebierał się za starą kobietę. Ponieważ cieszył się stosunkowo dobrym zdrowiem, żadna pielęgniarka nigdy nie widziała go bez ubrania, co jest ważne, jeśli chciał uchodzić za starą kobietę. Ucieczka z miejsca zbrodni nie sprawiała mu kłopotu, ponieważ nie musiał uciekać. Nie, zawsze zostawał, dopóki nie przyjechał „krewny”, żeby zabrać go do domu, do rodziny. Płacił „krewnemu” pięćdziesiąt dolarów za tę usługę.

Savich odwrócił się do Olliego. Ollie podjął:

- Gliny znalazły „krewnego” w Alabamie. Zaprzeczył, jakoby wiedział coś o morderstwach. Powiedział tylko, że stary był kopnięty i łatwo dawał zarobić. Kiwnął na Lacey.
- Benjamin Potter nie zostałby złapany po szóstym morderstwie, gdyby wychodząc z pokoju ofiary nie potknął się o używaną strzykawkę. Dostał ataku serca i zmarł, zanim zdążył komuś powiedzieć, dlaczego zabił sześć staruszek.

Ollie powiedział:

- Tak, „krewny” to moja działka. Zeznał, że nie ma pojęcia. Stary zawsze wydawał się zadowolony i dobrze przystosowany. Więc sami zgadnijcie.

Wszyscy próbowali zgadnąć, ale nikt nie wymyślił przekonującego powodu. Savich zdradził, że MAKINE uważa, iż stary zawsze chciał być kobietą i likwidował konkurencję.

– Prawdziwy wielki sukces - oznajmił Savich. - Wszyscy do sali gimnastycznej, zęby to uczyć.

Odpowiedziały mu jęki.

Lacey wciąż była podkręcona, kiedy wczesnym popołudniem weszła do damskiej toalety, przerobionej z męskiej, co było widać. Robotnicy, którzy zdjęli pisuary, niezbyt dokładnie załatali kafelki na ścianie. Wielkie pomieszczenie zawsze wypełniała wilgoć i zapach sosnowego dezodorantu.

Lacey myła ręce, kiedy w lustrze zobaczyła Hannah stojącą za jej plecami. Nie odezwała się, tylko patrzyła na jej odbicie.

– Twój kochanek nie chciał ryzykować, że oskarżę go o napastowanie seksualne, bo wtedy nie mógłby mnie zwolnić.

– Podobno zaprzeczyłaś, że doniosłaś prasie o moim pokrewieństwie z ofiarą morderstwa.

– Owszem, zaprzeczyłam.

– Więc jak Savich mógł cię zwolnić bez dowodów? Och, dosyć, Hannah. Mów, co masz do powiedzenia, i wracaj do swoich spraw.

– Jesteś naprawdę ładna, wiesz? Powiedz mi, Sherlock, czy upatrzyłaś sobie Savicha, kiedy jeszcze byłaś w Quantico?

– Nie.

– Przerznie cię na wylot, ale nie ożeni się z tobą. Robiliście to pod prysznicem? On to uwielbia.

– Nie twój interes, co robiliśmy. Proszę, zostaw nas w spokoju. Zapomnij o nim. Wiesz, że to nie moja wina. Nawet gdyby mnie nie było, Savich nie spotykałby się z tobą.

– Może tak, może nie.

– Żegnaj, Hannah.

Ollie czekał na nią za drzwiami. Powiedział tylko:

– Nie chciałem, żeby cię zastrzeliła.

- Więc czekałeś, czy nie usłyszysz wystrzału?
- Coś w tym rodzaju.
- Nic mi nie jest, Ollie. Mamy coś o Marlinie Jonesie?
- Nie, ani słowa. Aha, dzwonił twój ojciec, prosił, żebyś oddzwoniła. Mówił, że to bardzo ważne.

Nie chciała tego telefonu. Nie chciała, ale zadzwoniła. Ogarnął ją niepokój, jakiego nie czuła nigdy przedtem. Już wystukując numer do domu rodziców, umierała ze strachu.

- Isabelle? Mówi Lacey
- O Boże, Lacey, chodzi o twoją mamę. Dam ci ojca do telefonu. Złapałaś go w ostatniej chwili. Właśnie wychodził do szpitala.
- Do szpitala? Co się stało z mamą? - Ale Isabelle nacisnęła już przełącznik. - Tato?
- Lacey? Wracaj do domu, kochanie. Twoja matka miała wypadek. Jest w szpitalu. To nie wygląda dobrze, Lacey. Możesz wziąć zwolnienie?
- Jaki wypadek? Co jej się stało?
- Wycofywałem się z podjazdu. Wskoczyła z krzaków, które rosną wzdłuż ulicy. Potrafiłem ją. To był wypadek. Przysięgam, że to był wypadek. Nawet jeden przechodzień widział całe zajście. Ona żyje, Lacey, ale ma pękniętą śledzionę i właśnie ją operują, kiedy rozmawiamy. Okropnie się czuję. Nie wiem, co się stanie. Chyba powinnaś przyjechać do domu.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odłożył słuchawkę. Patrzyła na telefon, słuchając głośniego sygnału centrali. Co jeszcze mogło się stać?

O dziewiątej następnego ranka leciała do San Francisco. Dillon pojechał z nią wahadłowym autobusem linii lotniczych na terminal lotniska Dulles, skąd miała samolot. Użył swojej plakietki FBI, żeby przejść przez bramkę.

– Zadzwoń do mnie - powiedział, całując jej włosy i mocno trzymając przy sobie. -Wszystko będzie dobrze. Wytrzymamy. Pamiętasz, jak w Biblii Bóg ciągle wystawiał Hioba na próby? No, teraz nasza kolej. Zadzwoń, okay?

I znowu ją pocałował. Patrzył przez wielkie okno, dopóki jej samolot nie odleciał.

Nie chciał, żeby wyjechała sama, ale po prostu nie mógł urwać się z pracy, nie teraz. Wiedział, że wszystko zbliżało się do punktu kulminacyjnego. Co ważniejsze, ona też o tym wiedziała. To była tylko kwestia czasu. Właściwie nawet poczuł ulgę, że Lacey znajdzie się prawie sześć tysięcy kilometrów stąd, chociaż nigdy by jej tego nie wyznał. Wpadłaby w szal, ponieważ chciał ją chronić, a ona była profesjonalistką i sama potrafiła zatroszczyć się o siebie.

Wszedł z powrotem do wahadłowca i patrząc niewidzącym wzrokiem na biznesmena z grubo wypchaną teczką, uświadomił sobie, że miałyby prawo porządnie go walnąć, gdyby jej to wyznał. Musiał pamiętać, że została dobrze wyszkolona. Była profesjonalistką. Nawet jeśli go skręcało za każdym razem, kiedy wyobrażał ją sobie w akcji, musiał przecież przywyknąć.

Pokręcił głową, idąc do swojego porsche. Czyjej ojciec umyślnie potracił samochodem matkę?

Po raz pierwszy, odkąd Lacey pamiętała, matka wyglądała na swoje sześćdziesiąt jeden lat. Ciało jej obwisło, policzki się zapadły. Skóra biała i woskowa, wszędzie rurki. Pani Arch, towarzysząca matki od dziesięciu lat, stała obok łóżka razem z ojcem.

– Nie martw się - powiedział ojciec. - Operacja się udała. Wyjęli jej śledzionę i zatamowali wewnętrzny krwotok. Jest mocno posiniaczona i ma kilka stłuczonych żeber, ale wyjdzie z tego. Obejrzała się na ojca.

– Wiem. Rozmawiałam z pielęgniarką. Gdzie pani była, pani Arch, kiedy to się stało?

- Twoja matka wymknęła mi się, Lacey. W jednej chwili siedziała i oglądała teleturniej, a w następnej chwili zniknęła. Zeszłam tylko do kuchni na filiżankę herbaty.

Lacey spojrzała na ojca. Wydawał się daleki, wpatrzony w kobietę, która była jego żoną prawie przez trzydzieści lat. Co myślał? Czy spodziewał się oskarżeń z jej strony, kiedy odzyska przytomność?

- Ojcze, powiedz mi, co się stało.
- Wycofywałem się z podjazdu, żeby pojechać do sądu. Usłyszałem głośne łupnięcie. Potrafiłem twoją matkę. Wcale jej nie widziałem. Przede wszystkim zawiozłem ją do szpitala, potem zawiadomiłem policję. To sierżant Dollan znalazł świadka, który wszystko widział. Nazywa się Murdock.
- Co zeznał?
- Ze wybiegła na podjazd. Powiedział, że nie rozumie, dlaczego zrobiła taką głupią rzecz.

Musiała osobiście porozmawiać z tym panem Murdockiem.

- Chyba nie wierzysz w tę zwariowaną bajeczkę twojej matki, że próbowałem ją przejechać?
- Nie. Nie jesteś głupi.

Przedtem wyczuwała w nim napięcie, ale teraz się rozluźnił. Nawet zdobył się na uśmiech.

- Nie. Nie jestem głupi. Dlaczego to zrobiła?
- Pewnie żeby zwrócić na siebie uwagę.
- To kompletne wariactwo, Lacey.
- Chyba nie zaszkodziłoby, gdybyś poświęcał jej więcej uwagi.

Popatrzyła na matkę. Taka spokojna. Leżała w szpitalnym łóżku z uszkodzonym mózgiem i bez śledziona.

- Pomyślę o tym, co powiedziałaś. Dokąd idziesz?

- Porozmawiać z panem Murdockiem. Nie, tato, nie wątpię w twoje słowa. Chcę tylko usłyszeć to od niego. Może dzięki temu oboje lepiej ją zrozumiemy.

Lacey wyszła z pokoju i znowu zajrzała do dyżurki pielęgniarek.

- Pani Sherlock wyzdrowieje - powtórzyła pielęgniarka Blackburn. - Naprawdę. Będzie spała jeszcze przez trzy albo cztery godziny. Proszę ją odwiedzić później, w porze obiadowej.

Lacey zadzwoniła na posterunek. Dziesięć minut później jechała do domu pana Murdocka, trzy domy od rezydencji jej rodziców na Broadway. Popołudnie było mgliste i bardzo zimne. Czuła, że chłód przenikają do szpiku kości.

Jeszcze nie zapadał zmierzch, ale we frontowych oknach domu błyszczało światło. Zaszuszonego staruszek, zgięty niemal we dwoje, otworzył drzwi, kiedy już miała zrezygnować. Obok niego stał potężny buldog. Pan Murdock kiwnął na psa.

- Wyprowadzam go co najmniej sześć razy dziennie - oznajmił na wstępie. - Słaby pęcherz - dodał, poklepując psa po łbie. - Potrzebuje więcej czasu niż ja, żeby się wysikać.

Nie zaprosił Lacey do środka, chociaż wcale nie miała ochoty wchodzić do ciemnego holu, który cuchnął psem i brudnymi skarpetkami.

- Pan widział wypadek, panie Murdock? Mężczyzna w samochodzie potracił kobietę?
- Hę? Ach, to. Tak, widziałem wszystko. To było wczoraj po południu. Ta bardzo ładna kobieta, którą znałem z widzenia od lat, stała tak jakoś pochylona w gęstych oleandrach. Zacząłem do niej wołać, wie pani, myślałem, że coś się jej stało, kiedy ona nagle wyszła prosto na podjazd. Usłyszałem, jak samochód ją stuknął. Dziwne. To wszystko było jakieś dziwne. Mój siostrzeniec też tak powiedział, kiedy do niego zadzwoniłem. Czego chcesz, Rzeźnik? Znowu pełny pęcherz? No dobrze. Przynies smycz.

Przykro mi, panienko, ale nic więcej nie wiem. Albo ta kobieta naumyślnie wybiegła przed samochód, albo nie, a wtedy mamy zwykły wypadek.

Lacey powoli wróciła do wynajętego samochodu. Dlaczego jej matka popełniła takie głupstwo? Czy naprawdę chciała zwrócić na siebie uwagę męża? To było o wiele za proste, ale można od tego zacząć. Prawie przez całe życie Lacey nie rozumiała matki. Dlaczego teraz miałaby ją zrozumieć?

Ojciec wrócił do szpitala o siódmej wieczorem.

- Nic się nie zmieniło w jej stanie - poinformowała Lacey.
Nie odpowiedział, tylko podszedł do łóżka i popatrzył na żonę.
- Czy ten stary ci powiedział, że nie próbowałem przejechać matki? - zapytał.
- Tak, powiedział. Słuchaj, tato, musiałam z nim porozmawiać, usłyszeć tojego własnymi słowami.
- Jesteś moim dzieckiem. Rozumiem cię. Zadzwoiłem do nowego psychiatry, żeby przyszła jutro porozmawiać z twoją matką. Powiedziałem jej, co się stało, co sobie pomyślałaś. Zobaczmy. Cieszę się, że nie uważasz mnie za takiego głupca, który próbowałby to zrobić.
- O, nie.
- Wiesz, sam się zastanawiałem, czy mógłbym to zrobić. Może ciemną nocą gdzieś w Andach, bez żadnych świadków znających angielski.
- Żartujesz.
- Tak, żartuję. - Spojrzał na zegarek. -Jutro wczesnie muszę być w sądzie.
Zobaczmy się na lunchu, Lacey
Zatrzymał się w drzwiach.
- Wiesz, łatwo wpaść w pewien sposób myślenia, zachowania. Zdajesz sobie sprawę, że twoja matka potrafiłaby zdenerwować świętego.

Lacey spędziła noc w szpitalnym pokoju matki na leżance, którą przyniosła jej salowa. Leżała, słuchając oddechu matki, myśląc o Dillonie i ciągle, ciągle zastanawiając się, gdzie jest Marlin.

Odebrała telefon od Dillona tuż przed siódmą, czyli o czternastej waszyngtońskiego czasu. Dzwoniła do niego wcześniej i nagrała się na sekretarkę.

- Chciałem ci dać spokój, przynajmniej na tę jedną noc, ale nie mogłem. Jak twoja mama?
- Wyjdzie z tego. Osobiście przesłuchałam świadka, który powiedział, że mama jakby chowała się w krzakach, a potem wyskoczyła, kiedy ojciec cofał się z podjazdu. Pogadaliśmy sobie z ojcem. Zamówił dla niej na jutro nowego psychiatrę. Wspomniałam, że może próbowała zwrócić jego uwagę. Nie powinnam zabierać głosu? Co myślisz?
- Ciągle myślę, że twoja matka chyba naprawdę potrzebuje czegoś, czego ojciec jej nie daje. Jesteś jej córką. Oczywiście powinnaś powiedzieć, co myślisz. Wiesz, może ona naprawdę jest tylko niezrównoważona psychicznie.
- Jak powiedział mój ojciec, „zobaczymy”.
- Zostajesz tam?
- Tak, nie martw się o mnie. Coś nowego w sprawie Marlina Jonesa?
- Nie. To doprowadza wszystkich do szału. Zupełnie jakby się zapadł pod ziemię. Aha, Hannah dzwoniła do mnie jakąś godzinę temu. Chciała przyjść i porozmawiać. Kiedy odmówiłem, opowiedziała, jak napadła na nią wczoraj po popołudniu w damskiej toalecie. Podobno zarzuciła jej, że mnie szantażuje, żebym nie mógł jej zwolnić. Podobno byłaś wściekła, że z nią spałem.

Tylko Hannah jej brakowało w tym całym galimatiasie.

– Raczej nie, Dillon. Ale to jest myśl. Niech się zastanowię. Sama nie wiem, ona jest dość silna. Mogłaby mnie pokonać.

Savich chrząknął.

– Tak, pewnie mogłaby. Zadzwoń do mnie jutro do Biura z bieżącymi wiadomościami. Sherlock?

– Tak?

– Strasznie za tobą tęsknię. Musiałem sam pójść do siłowni. Dawniej to mi nie przeszkadzało... właściwie dawniej lubiłem chodzić sam... ale teraz zrobię jedną marną pompkę i już rozglądam się za tobą.

Przynajmniej miała na twarzy uśmiech, kiedy delikatnie odkładała słuchawkę.

Lacey zbudziła się natychmiast, kiedy smuga światła ze szpitalnego korytarza padła jej na twarz. Zastygła w absolutnym bezruchu, czujna i gotowa. To mogła być pielęgniarka, ale nie była. Lacey poczuła wyraźnie zapach wody kolońskiej Douglasa, głęboki, piżmowy i seksowny jak cholera. Zapamiętała ten zapach już jako piętnastolatka, kiedy Douglas po raz pierwszy wkroczył w ich życie.

Leżała całkiem nieruchomo. Patrzyła, jak powoli podszedł do łóżka matki. Stał tam przez nieskończenie długą chwilę w mdłym świetle płynącym z okna i patrzył na nią.

Zobaczyła, że pochylił się i pocałował nieprzytomną kobietę. Usłyszała jego cichy głos:

– Evelyn, dlaczego tak głupio postąpiłaś? Przecież wiesz, że to drań, że zawsze zostanie draniem. Co chciałaś udowodnić, kiedy wybiegłaś przed jego samochód?

Matka nie wydała żadnego dźwięku.

Douglas lekko pogłaskał jej twarz dłonią złożoną w miseczkę. Potem wyprostował się i odwrócił. Stał jak wryty na widok Lacey.

- Mój Boże, Lacey. Co ty tu robisz?
- Chciałam zostać przy matce - odparła i bardzo powoli uniosła się na kolana, opierając się plecami o ścianę. Miała na sobie flanelową koszulę nocną od Lanza, jedną ze swoich ulubionych, która zakrywała szyję i sięgała aż do stóp. - Ojciec ci nie mówił, że tutaj nocuję? Nie, chyba nie. Co ty tu robisz, Douglas?

Wzruszył ramionami.

- Naturalnie martwiłem się o nią. Chciałem się upewnić, że nic jej nie grozi. Chciałem ją zobaczyć, kiedy twojego ojca nie ma w pobliżu.
- Godziny odwiedzin dawno minęły. Jak tu wszedłeś?
- Bez trudu. Znam jedną pielęgniarkę, Lorette. Wpuściła mnie. Zdziwiłem się na twój widok. Nie wiedziałem, że przyjechałaś. Ten świr Marlin Jones wciąż jest na wolności. Myślałem, że nie opuścisz polowania.
- Dlaczego całowałeś moją matkę?
- Znam twoją matkę od wielu lat, Lacey. To dobra kobieta, była dla mnie prawie jak matka.
- Ten pocałunek wcale nie wyglądał jak synowski. Zignorował tę uwagę i powiedział:
- Nie chcę, żeby spotkało ją coś złego, jeszcze coś gorszego.
- Doprawdy, Douglas? Całowałeś ją jak kochankę. -Nie, Lacey, mylisz się. Dlaczego zerkasz w stronę drzwi?
- Czekam, że Candice tu wpadnie. Zawsze się zjawia, kiedy jesteś ze mną.
- Zostawiłem ją, jak spała. Nie przyjdzie tutaj. - Potem parsknął śmiechem. - Ale będzie wściekła na siebie, że straciła taką okazję. Ty w koszuli nocnej, w jednym pokoju ze mną. Taak, dostałaby szału.
- Dzisiaj w nocy nie mam ochoty na żadne szaleństwa. Na pewno została w domu i śpi?
- Boże, mam nadzieję.

Lacey wstała, a koszula nocna otoczyła ją jak namiot w czerwony wzorek. Przy nadgarstkach i wokół szyi miała śliczną koronkę.

- Powinieneś już wyjść, Douglas. Nie chcę, żebyś jej przeszkadzał. Muszę się wyspać. Aha, mój ojciec nie chciał jej skrzywdzić. Ona umyślnie wbiegła mu przed samochód.
- To nie ma sensu.

Musiła uśmiechnąć się na te słowa. Ostatnio wszyscy powtarzali je jak litanie.

Zamknęła drzwi po wyjściu Douglasa. Odetchnęła głęboko, kiedy znowu znalazła się w błogosławionej ciemności. Słyszała równy oddech matki. Zakopała się pod trzema szpitalnymi kocami, ale minęło dużo czasu, zanim się rozgrzała.

Dlaczego Douglas mówił do jej nieprzytomnej matki, jakby była jego kochanką? Czy tylko jej się zdawało?

W głowie zaczęło ją łupać. Niczego bardziej nie pragnęła w tamtej chwili, niż wrócić do domu, do Dillona.

Rozdział 33

- Nie wybiegłam na podjazd. Twój ojciec zobaczył, że przycinam krzaki oleandrów. Zawołał mnie, powiedział, że chce o czymś porozmawiać. Kiedy wyszłam na podjazd, dodał gazu i umyślnie na mnie najechał.

Lacey powiedziała bardzo spokojnie:

- Mamo, jest świadek. To staruszek, który mieszka przy następnej przecznicy. Mówi, że się chowałam, a potem wybiegłam, żeby ojciec na ciebie najechał.
- Stary Murdock - rzuciła matka głosem wibrującym złością. Potem skrzywiła się z bólu. - Ten stary łgarz. Chciał ze mną romansować dawno temu, kiedy

jego biedna żona zmarła na raka piersi. Powiedziałam mu, gdzie go mam. Więc teraz się zemścił. Wredny stary kretyn.

- W porządku, mam. Uspokój się. Już lepiej. Oddychaj głęboko. Naciśnij ten guzik, jeśli chcesz środek przeciwbólowy.
- Skąd wiesz, co trzeba zrobić?
- Tak mi powiedzieli, kiedy byłam ranna. Pomogło. Mam, proszę, pomóż mi zrozumieć, o co tutaj chodzi. Dlaczego tato chciał cię zabić?
- Dla moich pieniędzy oczywiście, żeby się ożenić z tą swoją puszczałką aplikantką.
- Jakie pieniądze? Jaka aplikantką? Danny Elbright jest jego aplikantem.
- Nie znam jej nazwiska. Jest nowa, pracuje razem z Dannym. Zresztą to nieważne.

Sędzia Sherlock wszedł do pokoju.

- Ach - powiedział od drzwi - obudziłaś się, Evelyn. Jak się czujesz?
- Evelyn Sherlock powiedziała drżącym głosem starej kobiety:
- Co ty tu robisz? Zawsze rano o tej porze jesteś w sądzie. Czego chcesz, Corman?
 - Dzisiaj nie jest najlepszy dzień, żeby zajmować się zwykłymi sprawami. Przyszedłem zobaczyć, jak się czujesz.
 - Przeżyję, nie dzięki tobie. Wniosę skargę, możesz na to liczyć. Ojej, mam mięką głowę. Co jest w telewizji, Lacey? Zawsze oglądam Oprah. Już się zaczęła?
 - Oprah jest po południu - powiedział sędzia Sherlock. - Opamiętaj się, Evelyn.
 - To w takim razie *Zgadnij cenę*. Świetny turniej. Potrafię odgadnąć sumę pieniędzy lepiej od tych głupich zawodników. Włącz telewizor, Lacey.

Znowu spadanie w głąb króliczej nory, pomyślała Lacey, włączając odbiornik i podając matce pilota.

- Możesz już iść, Lacey. Nie umrę. Twój ojciec nie stuknął mnie aż tak mocno. Pewnie nie mógł się dostatecznie rozpędzić, żeby załatwić sprawę raz na zawsze.
- Dobrze - powiedziała Lacey. Pochyliła się i ucałowała błądy policzek matki.
 - Nie przejmuj się, okay?
- Co? A tak, oczywiście. Założę się, że ta motorówka z całym sprzętem kosztuje dokładnie trzydzieści trzy tysiące pięćset dolarów.

Wychodząc z pokoju, usłyszała, jak Bob Barker wykrzykuje: „Cena wynosi trzydzieści cztery tysiące!”.

Nie zdawała sobie sprawy z obecności ojca, dopóki nie wszedł za nią do windy.

- Dopilnuję, żeby miała dobrą opiekę. Doszedłem do wniosku, że pani Arch nie panuje nad nią dostatecznie. Nie powinna była stracić jej z oczu. Po wizycie tej nowej terapeutki dzisiaj po południu zadzwonię do ciebie i przekażę ci jej opinię. Ale jedno powiem ci od razu. W tej chwili ona wcale nie zachowuje się tak, jakby brakowało jej mojej uwagi. Raczej zachowuje się tak, jakby chciała mnie powiesić za jaja.
- Jak sam powiedziałaś, zobaczymy. - Podniosła wzrok na jego przystojną twarz, zobaczyła niepewność i zmieszanie w oczach, zaciśniętą szczękę. Lekko położyła mu dłoń na ramieniu. - Uważaj na siebie, tato. Chyba nie myślisz, że ona naprawdę wniesie oskarżenie?
- Raczej nie. Do wieczora zapomni o wszystkim. Jeśli nie, gliny potraktują ją łagodnie i poproszą, żebym jej zapewnił lepszą opiekę.
- Tato, czy mama ma własne pieniądze?
- Tak, coś około czterystu tysięcy dolarów. Są bezpiecznie zainwestowane od lat. Nigdy nie musiała z nich korzystać. Dlaczego pytasz? Och, wiem. Matka znowu twierdzi, że ożeniłem się z nią dla pieniędzy. Niezbyt wiarygodne.

Pod wpływem przecucia zadzwoniła z lotniska do San Quentin. Ojciec Belindy, pierwszy mąż jej matki, Conal-Francis, wyszedł z więzienia w zeszły poniedziałek. Przycisnęła czoło do ściany budki telefonicznej. Gdzie jest ojciec Belindy? Czy jest tak szalony, jak twierdził jej ojciec?

Zadzwoniła do Dillona z samolotu i połączyła się z automatyczną sekretarką. Pewnie poszedł do siłowni. Zrobi mu niespodziankę. Niemal widziała, jak wychodzi frontowymi drzwiami spocony i taki piękny, że natychmiast chciała dotknąć go całego, co było niemożliwe. Nagle wyobraziła go sobie z Hannah pod prysznicem. Wściekła zazdrość zdumiała ją samą. Dyszała ciężko, chciała wrzeszczeć, ale mogła najwyżej przestraszyć osobę siedzącą obok niej w samolocie. To przeszłość. Każda kobieta, z którą kiedykolwiek uprawiał seks, należała do przeszłości, podobnie jak Bobby Wellman i jego żółty jaguar. Uśmiechnęła się na tę myśl.

W Waszyngtonie lało jak z cebra, temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni, ziąb przenikał do kości. Lacey nie mogła się doczekać powrotu do domu. Dom, pomyślała. Nie jej miejski domek, tylko cudowny dom Dillona ze świetlikami pełnymi nieba. Wsiadła do pierwszej taksówki w kolejce i podała adres czarnemu kierowcy w średnim wieku.

- Brzydki wieczór - zauważył taksjarsz, błyskając do niej białymi zębami we wstecznym lusterku.
- Mam nadzieję, że wieczór będzie dużo lepszy niż dzień - odparła.
- Taka ładna panienska pewnie wybiera się na gorącą randkę?
- Właśnie - przyznała i odwzajemniła jego uśmiech. - Nawet zamierzam za niego wyjść.
- Ten facet ma szczęście.
- No pewnie.

Odchyliła się na oparcie i zamknęła oczy. Spała, kiedy taksówka zajęchała przed dom z czerwonej cegły. Kierowca wysiadł i zadzwonił do drzwi. Kiedy Savich otworzył, taksjarsz uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Mam dla pana ładny prezencik, ale ona zasnęła na tylnym siedzeniu. Pewnie to z panem ma randkę? Pan jest ten facet, za którego zamierza wyjść?

– Powiedziała to panu? No, to naprawdę dobry znak.

– Kobiety zawsze mówią mi wszystko - oświadczył kierowca, wracając do taksówki.

Savich nie mógł się doczekać, żeby wnieść ją do domu.

– Dillon?

– Tak, to ja. Spij dalej, Sherlock. Jesteś już w domu. Ale nie pozwolę ci spać za długo. Zgadzasz się? - zapytał i pocałował ją w nos.

– Okay - mruknęła i ugryzła go w płatek ucha. Zachichotała. Pomyślał, że to najśłodszy dźwięk, jaki słyszał w życiu.

Telefon zadzwonił, kiedy kładł ją na łóżku.

– Cholera - warknął i podniósł słuchawkę.

Lacey leżała na plecach i tylko patrzyła na niego, słuchała jego głębokiego głosu, bardzo krótkich odpowiedzi. Kiedy odłożył słuchawkę, zapytała:

– Złapali go? Savich pokręcił głową.

– Nie, ale chyba niedługo złapią. Dzwonił Jimmy Maitland. Jakaś kobieta w południowym Ohio zgłosiła, że widziała ich obu, Marlina i Erasmusa, w restauracji przy zjeździe z autostrady. Wydaje się całkiem prawdopodobne. Sprawdź. Zadzwoń do nas, kiedy będą coś wiedzieli. Teraz nie mamy nic do roboty oprócz czekania.

– Czy to pierwszy raz, kiedy widziano razem Erasmusa i Marlina? Przytaknął, ściągając przez głowę granatowy sweter. Uśmiechnął się do niej i rozpiął dzinsy.

Trochę później wyszeptala mu prosto w usta:

– Zaśpiewaj dla mnie.

Jego aksamitny baryton wypełnił pokój:

Jesteś moją bramą do nieba, zamkniętą na cztery spusty.

Pozwól mi otworzyć zamek, kluczem będą moje usta.

Telefon znowu zadzwonił. Savich przygarnął ją mocniej i przeturlał się na bok.

- Tu Savich.
- To chyba byli Erasmus i Marlin - oznajmił Jimmy Maitland; takiego podniecenia Savich nie słyszał w jego głosie od trzech miesięcy - Więc wygląda na to, że są w Ohio. Zawiadomię cię, kiedy dowiem się czegoś więcej.
- Całe szczęście. - Savich powoli odłożył słuchawkę. Odwrócił się do Sherlock i zobaczył, że wyraz leniwej sytości znikł z jej twarzy, zastąpiony przez strach, nagi strach. - Nie, nie, Sherlock, Maitland myśli, że to byli Erasmus i Marlin. Są gdzieś w Ohio, daleko stąd. Już dobrze. Złapią ich.

Ale strach nie odpłynął z jej oczu. Savich nie mówił już nic więcej, tylko znowu nakrył ją własnym ciałem. Zadrżał czując, jak zeszywniała pod nim.

Trzymał ją mocno, dopóki nie zasnęła. Pocałował jej skroń. Zastanawiał się, co zaszło w San Francisco.

Lacey, oparta o lodówkę, w pogodnym nastroju popijała słynną aromatyczną czarną kawę Dillona. Poranne słońce wpadało przez okno kuchni.

Dillon zabrał jej kubek i zaczął ją całować. Potem oddał jej kawę. Dopiero po trzech długich łykach, kiedy odsunął się na trzy stopy. Pozbierała się do kupy i opowiedziała mu o rodzicach, o Douglasie.

- Douglas traktował moją matkę jak kochankę. Całował ją, głaskał po twarzy, mówił do niej po imieniu. Nie mylę się, chociaż on zaprzeczał, i to całkiem przekonująco.

Savich o mało nie upuścił łyżeczki.

– Nabierasz mnie. Nie? No, chyba nie powinienem się dziwić. Jeśli chodzi o twoją rodzinę, gotów jestem uwierzyć we wszystko. Czy to możliwe, że Douglas sypiał nie tylko z żoną, ale również z matką żony?

Lacey ugryzła grzanekę, potem dodała następną porcję dżemu truskawkowego.

– Nie mam pojęcia. Może chciał zaliczyć wszystkie kobiety z rodziny Sherlock. Przecież ze mną też próbował się przespać. - Westchnęła i pomasowała sobie żołądek, myśląc, że dostanie wrzodów, jeśli nie przestanie się przejmować. - Przecież ich znałam, czasami mam wrażenie, jakby to byli obcy ludzie. Dowiedziałam się, że ojciec Belindy, pierwszy mąż mojej matki... nazywa się Conal Francis... całkiem niedawno wyszedł z więzienia San Quentin.

– Interesujące. Czy to on próbował zabić twojego ojca? Podobno to świr?

– Tak. Ojciec mi powiedział, że dlatego Belinda nie powinna była mieć dzieci. Za dużo wariackich genów. I mówił, że Belinda zaczynała już wariować tak jak jej ojciec. Chyba zadzwonię do psychiatrów z San Quentin i zobaczę, co mają do powiedzenia na ten temat.

Savich wstał.

– No więc dzwoń do San Quentin, to dobry pomysł. Chcesz pojechać ze mną do miasta?

Ollie uściskał ją na powitanie i natychmiast zaczął opowiadać o serii porwań i morderstw w Missouri.

– Ci sami sprawcy, to już ustalone. Porywają dzieciaka bogatych ludzi, zgarniają wielki okup i zabijają dziecko. Zresztą bardzo możliwe, że zabijają dzieciaka natychmiast, a potem naciągają rodziców. Trzy takie przypadki, ostatni w Hannibal, no wiecie, tam się urodził Mark Twain. Ci bandyci to

prawdziwe potwory, Sherlock. Topią dzieciaka w wannie, a jak już dostaną okup, dzwonią do rodziców i mówią, gdzie odebrać dziecko.

Poczuła wzbierającą w mej wściekłość. Odetchnęła głęboko. W końcu potwory to jej zawód. Rozumiała to, akceptowała i chciała posłać tych bandytów do więzienia albo na krzesło elektryczne. Ale dzieci. To gorzej niż potworne. Jak już złapią Marlina i Erasmusa, zamierzała się skoncentrować na tych porywaczach. Nie, to byli mordercy, porwanie przy tym się nie liczyło.

Wróciła do biurka i włączyła komputer. Dillon wgrał jej na ekran lwa, który ryknął na nią z głośniczków po obu stronach konsoli. Usłyszała dwóch agentów krzyczących na siebie, śmiech kobiety, zobaczyła puszkę coli przelatującą obok jej biurka, agent podziękował głośno. Szumiała kopiarka, ktoś pomstował na faks, jakiś agent rozmawiał przez telefon głębokim, aksamitnym, oficjalnym głosem. Wszystko powróciło do normalnego chaosu. Tylko nie dla niej, jeszcze nie.

Marlin Jones wciąż był na wolności. Zabójca Belindy, kimkolwiek był, wciąż przebywał na wolności. Modliła się tylko, by Marlin i Erasmus znajdowali się w Ohio i żeby stanowa policja ich dopadła. Miała nadzieję, że policjanci zastrzelą ich obu.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Ollie się przeciąga.

– Coś nowego z Missouri?

Ollie pokręcił głową.

– Nic, zero, *nada*. Ale wiesz, mam dziwne przeczucie. Po prostu wiem, że dorwiemy tych przestępców. Chociaż MAXINE utknęła w martwym punkcie, ja wiem, że to już niedługo się skończy.

– Mam nadzieję - westchnęła.

Ale myślała tylko o grze pozorów. Całe jej życie to jakby gra pozorów. Wszyscy mieli nieprawdziwe twarze i podejrzewała, że wcale jej nie widzą, widzą tylko swoje wyobrażenie o niej. Każdy, kogo znała, wydawał się nierzeczywisty. Każdy oprócz Dillona.

- Nie zadzwoniłaś do Chico w sprawie lekcji karate - powiedział Dillon, grzejąc silnik swojego porsche w parkingowym garażu tuż po osiemnastej.
- Jutro. Przysięgam, że jutro zadzwonię do tego twojego wariata.
- Polubisz Chico. Jest chudy jak patyk i rozkłada facetów dwa razy większych od siebie. To będzie dla ciebie dobry trening.
- Hej, ciebie też rozłożył?
- Odbiło ci? Jeszcze czego. - Obdarzył ją szerokim uśmiechem. -Chico i ja szanujemy się nawzajem.
- Dzisiaj też zamierzasz wdeptać mnie w ziemię?
- Jasne. Z przyjemnością. Wpadniemy do ciebie i spakujemy trochę więcej twoich rzeczy.

Prawdę mówiąc, chciał, żeby przeniosła wszystkie rzeczy do niego i już nie wracała do własnego domu, ale trzymał język za zębami. Jeszcze za wcześnie.

W końcu jednak Lacey sama pojechała do siebie. Dillon odebrał wezwanie przez telefon komórkowy. Podrzucił ją pod swój dom, bo tam zastawiła samochód, a sam zawrócił do centrali.

- Godzina, nie więcej. Jeden senator chce wetknąć nos w sprawę kidnapingów w Missouri. Muszę przedstawić raport.
- A Ollie?
- Maitland nie mógł go złapać. Nie szkodzi. Spotkamy się w sali gimnastycznej najdalej za półtorej godziny. Uważaj na siebie.

Pocałował ją, poklepał po policzku i patrzył, jak odchodzi do samochodu. Odczekał, aż zamknęła drzwi i pomachała do niego.

Noc była czarna jak smoła, bezgwiezdna, tylko cieniutki sierp księżycyca. Było zimno. Lacey włączyła ogrzewanie w samochodzie i nastawiła radio na rozgłośnie country. Przyłapała się, że nuci melodię piosenki *Mamo, nie pozwól swoim dzieciom wyrosnąć na kowbojów*.

Postanowiła poprosić Dillona, żeby zaśpiewał jej ten kawałek. W jej domu było ciemno. Zmarszczyła brwi. Pamiętała wyraźnie, że zostawiła zapalone światło w korytarzu, by oświetlało drzwi wejściowe. No, widocznie jednak nie zostawiła. Miała wrażenie, jakby nie wyjeżdżała na tydzień, tylko na znacznie dłużej. Pomyślała, że równie dobrze mogłaby wynająć dom razem z umeblowaniem. Powinna zadzwonić do kilku pośredników nieruchomości, żeby się zorientować, jakiej ceny mogła zażądać. Dlaczego Douglas pochylał się nad matką, całował ją, rozmawiał z nią jak z kochanką?

Wiedziała, że nigdy nie zdobędzie się na odwagę, żeby zapytać o to matkę. A Douglas zaprzeczył. Zastanawiała się, czy inne rodziny są równie dziwaczne. Nie, to niemożliwe. Nie we wszystkich rodzinach mordowano dzieci.

Już nie nuciła, kiedy wkładała klucz do zamka zasuwki i przekreślała. Marzyła, że jest w siłowni. Marzyła, że Savich rzuca ją na matę, kiedy otwierała frontowe drzwi, "wymacała przełącznik światła, nacisnęła. Bez skutku.

Nic dziwnego. Pewnie marna żarówka się przepaliła. Dają siedem lat gwarancji na te buble. Trzymała zapasowe żarówki w kuchni. Przeszła pod łukiem drzwi do salonu i znalazła kontakt.

Nic.

Oddech uwiązał jej w gardle. Nie, to śmieszne. Pewnie wysiadł bezpiecznik, które trzymała w szafce kuchennej razem z żarówkami z siedmioletnią gwarancją. Powoli ruszyła w stronę kuchni, minęła jadalnię, wpadła na krzesło, o którym zapomniała, wreszcie poczuła pod stopami zimne kafelki. Machinalnie sięgnęła do kontaktu.

Nic. Oczywiście.

Odrobina światła wpadała przez duże kuchenne okno. Za oknem czarna noc. Rzadko bywało tak ciemno.

- Technologia - mruknęła, ostrożnie posuwając się przez kuchnię. - Nędzna, zawodna technologia.
- Aha, cholerna technologia.

Na ułamek sekundy skamieniała ze strachu, zanim przypomniała sobie, że uczono ją nie kamienieć, że nieruchomość oznacza śmierć, więc okręciła się gwałtownie, celując pięścią w gardło intruza. Ale przywykła do wyższych mężczyzn. Pięść prześliznęła się po jego policzku. Stęknął i uderzył ją z bekhendu, aż zatoczyła się na kuchenny kontuar. Poczowała ból wzbierający w piersi. Sięgnęła po siga, zanim jeszcze wylądowała na podłodze.

– Nawet nie myśl o takich głupotach - ostrzegł mężczyzna. - Tutaj jest ciemno dla ciebie, ale nie dla mnie. Od dawna przyzwyczajam oczy do ciemności. Leż spokojnie na podłodze i nie ruszaj się, bo będę musiał rozwalić ci główkę i twój mózg ochłapie te piękne rude włosy.

Kopniakiem wytrącił jej siga z ręki. Zręczny kopniak, celny kopniak, wyćwiczony kopniak. Wciąż miała colta przypiętego do kostki nogi. Położyła się powoli, bardzo powoli. Złodziej, włamywacz, może gwałciciel. Przynajmniej jeszcze jej nie zabił.

– Chłopcze, zapal światło.

Po chwili cały dom zajaśniał. Lacey spojrzała na starszego mężczyznę, który stał blisko niej, z rzeźnickim nożem w prawej dłoni. Był dobrze ubrany, ogolony, czysty. Niski i chudy, cienki jak ostrze noża.

Erasmus Jones.

Chłopiec pojawił się w jej polu widzenia. Marlin.

Nie byli w Ohio. Obaj byli tutaj, w jej kuchni.

Rozdział 34

– Hej, Marty, jak tam twoje sztuczki?

Dillon spodziewał się jej dopiero za czterdzieści minut, może trzydzieści pięć. Potem zacznie się niepokoić. Nic konkretnego, po prostu zaniepokoi go jej

nieobecność. Zaczeka jeszcze z pięć minut i przyjedzie tutaj. Przeniosła wzrok z ojca na syna. Uśmiechnęła się do nich, modląc się, żeby nie dostrzegli przerażenia ukrytego pod tym uśmiechem.

- Doskonale, Marlin. Od jak dawna mieszkasz z tatą na dziko w moim domu? Erasmus Jones przykucnął, żeby patrzeć jej w oczy.
- Już trzy dni - odpowiedział. - Tyle nam zabrał przyjazd tutaj z Bostonu. Musieliśmy być bardzo ostrożni, wiesz?
- Wyobrażam sobie. Na szczęście mnie nie było.
- O nie - zaprzeczył Marlin. - Chciałem, żebyś była w domu. Chciałem ciebie, Marty, ale wyjechałaś. Z tym gliniarzem? Nazywa się Savich, tak? Sypiasz z nim? To kawał chłopca, same mięśnie, i każdemu potrafi dołożyć - dodał pod adresem ojca.
- Całkiem jak twoja mama - rzekł Erasmus i dźgnął czubkiem noża w podeszwę buta Lacey. Nóż był tak ostry, że przebił podeszwę i drasnął stopę. Lacey skrzywiła się, ale milczała.
- Mama była wredną dziwką, tatku. Pamiętam ją. Dzwinka, zawsze ci wymyślała i odpyskiwała, i nie rozstawała się z flaszką ani na chwilę, nawet kiedy mnie biła po twarzy.
- Taa, Lucille była wredna. Już nie żyje, mówiłem ci?
Kolejna królicza nora, pomyślała Lacey. Czterdzieści minut. Dillon zjawi się najpóźniej za czterdzieści minut. I co wtedy? Nie spodziewał się kłopotów; nie miał powodu. Erasmus i Marlin mieli być w Ohio. Więc pomyśli, że Lacey potrzebuje pomocy przy pakowaniu. Będzie bezbronny. Nie pozwoli im go skrzywdzić. Nie, miała jeszcze swojego colta. Musiała coś zrobić. Nie pozwoli, nie dopuści, żeby cokolwiek się stało Dillonowi.
- Mama nie żyje? - zapytał Marlin, siadając na kuchennym krześle.
- Aha.

Ojciec dopiero teraz mu to mówi?

- Nie mówiłeś mi, tatku. Co się stało?
- Nic takiego. Tylko pokroiłem ją jak tego indyka na Święto Dziękczynienia, którego mi nie upiekła.
- No, to w porządku. Zasłużyła sobie. Nigdy nie była dobrą żoną ani matką.
- Taa, była jak te kobity, co im kazałeś przejść próbę. W tym twoim labiryncie, to mi się podoba. Wziąłeś go z tej gry, w którą graliśmy na pustyni.
- Tak, tatku.
- No, teraz mamy tę lasencję. Załatwimy ją i zjeżdżamy stąd. I tak nie zostało już nic dojedzenia.
- Nie - sprzeciwił się Marlin i nagle jego głos zabrzmiał zupełnie inaczej, silny i zdecydowany; zniknął ton szacunku, jakiego używał przez cały czas w rozmowie z ojcem. - Marty musi przejść próbę. Musi ponieść karę. Postrzeliła mnie w brzuch. Okropnie bolało. Ciągle boli. Została mi paskudna blizna, czerwona i pomarszczona. Teraz jej kolej.
- Wolę ją zabić od razu - zaprotestował Erasmus. - To nie jest mądre, żeby tutaj siedzieć.
- Wiem. Już przyszykowałem dla niej labirynt. Spodoba się jej. Zna zasady. Tylko tym razem, kiedy dojdzie do środka, będzie miała wielką niespodziankę.
Trzydzieści minut, nie więcej.
- Przygotowałeś następny magazyn, Marlin?
- Wyszukowałem go na cacy, mówię ci, Marty. Spodoba ci się. Miałem dużo czasu, więc odwalilem pierwszorzędną robotę.
- Dlaczego mam przejść próbę, kiedy mnie tam zawieszysz? Przecież wiem, że będziesz czekał w środku, by mnie zabić. Głupio bym zrobiła, gdybym weszła do labiryntu.

- Nie, Marty, zrobisz wszystko, co ci każe. Przygotowałem sobie mały argument.

Dillon. Nie, nie Dillon. Kto?

- Pójdę po mojego cukiereczka - oznajmił Erasmus i podniósł się powoli. Wyprostował chude ciało. Nogi miał trochę pałakowate. Nosił kowbojskie buty. Bez butów miał najwyżej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. - Pilnuj jej dobrze, chłopcze. To podstępna dziwka. Spójrz na jej oczy... ona zna kupę sztuczek. Założę się, że FBI nauczyło ją wszystkiego, co można zrobić mężczyźnie.

Marlin spokojnie wyciągnął zza pasa magnum 44.

- Wolę to od twojego rewolweru z FBI, Marty, chociaż zabiorę go sobie na pamiątkę. To maleństwo wywali ci w plecach dziurę na pół metra, jeśli trafię z przodu. Wątpię, czy wtedy przeżyjesz. - Przybrał minę serio i potarł dłonią szczękę. - Twarda z ciebie sztuka, ale tego nie przeżyjesz, co?
- Nie - przyznała, studiując jego twarz, szukając jakiegoś wyjścia. Czy powinna teraz go rozbroić?

Akademickie pytanie. W drzwiach stał Erasmus. Paskudnie uśmiechnięty.

- Miałem z nią troszkę kłopotów, więc musiałem dać jej po głowie. Wciągnął do kuchni za włosy Hannah Paisley. Miała na sobie grafitowy dres i buty do biegania. Była nieprzytomna.
- Znasz ją, co, mała? Tylko nie kłam, widzę to wypisane na twojej twarzy.
- Tak, to agentka specjalna. Jak ją złapaliście?
- Łatwe jak oskórować skunksa. Wyszła pobiegać. Ukradłem jej saszetkę, zobaczyłem, że jest z FBI, więc jej przyłożyłem. Nawet nie pisnęła. Bardzo się cieszę, że ją znasz, znaczy osobiście. To duża różnica. Chyba nie chcesz, żebym ją zabił?

Spośród dziesięciu tysięcy agentów FBI wybrał akurat Hannah Paisley? Nie, to nie był zbieg okoliczności.

- Skąd wiedziałaś, że ją znam?
- Och, patrzyłem, jak wychodziłaś z tego wielkiego brzydkiego budynku Hoovera. Ta baba tam stała i machała do ciebie, ale ty jej nie dostrzegłaś, szłaś dalej. Wtedy już wiedziałem, że znalazłem kogo trzeba. Taa, ona cię zna.

Hannah jęknęła. Lacey zobaczyła, że ma ręce związane za plecami i nogi ciasno skrepowane w kostkach.

- Nie rób jej krzywdy. Ona wam nic nie zrobiła. Marlin się zaśmiał.
- Nie, ale wiedziałem, że nie zechcesz współpracować, dopóki kogoś nie złapiemy. Tatko ją śledził. Wykombinował, że ona jest z FBI, i miał rację. A więc, Marty, pojedziesz ze mną do magazynu i przejdziesz próbę?

Dwadzieścia minut, najwyżej dwadzieścia cholernych minut. Dillon w żaden sposób jej nie znajdzie, jeśli teraz wyjdą, w żaden sposób. Rozejrzała się dookoła. Dzicy lokatorzy zaśmiecili kuchnię i salon. Dillon wejdzie i domysli się, że ją porwano, ale nie zgadnie dokąd. Dopiero teraz poczuła smród zepsutego jedzenia, zobaczyła brudne naczynia na stole i na kuchennych blatach. Puszki po piwie, co najmniej tuzin, walały się wszędzie, nawet na podłodze.

- Gdzie jest ten magazyn, Marlin?
- Co cię to obchodzi? Co za różnica dla ciebie, gdzie wykitujesz?
- Pewnie, że to różnica. Powiedz mi. Aha, mam na imię Lacey, nie Marty. Belinda Madigan była moją siostrą. Masz kłopoty z pamięcią, Marlin?

Zaczął szybciej oddychać, ręka poderwała się do góry. Lacey nie odwróciła wzroku od jego twarzy.

- Nie wkurzaj mnie, Marty. Chcesz wiedzieć, dokąd jedziemy? Do tej zapyziałej dzielnicy Waszyngtonu pomiędzy Calvert i Williams Street. Jak tam przyjeżdżałem, nikt nawet na mnie nie spojrział. Same ćpuny i pijaki. Nie, nikogo nie obchodziło, co robię. I wiesz co? Kiedy cię znajdą, też nie będą się przejmować. Co wieczór, kiedy tam przyjeżdżałem, musiałem

wyrzucać narkomanów. Jeszcze jeden raz będę musiał ich wykopać. Ciekawe, czy zawiadomią policję o twoich zwłokach, czy po prostu zaczekają na jakiegoś gliniarza. Taak, wyrzucę tych wszystkich ćpunów na zbity pysk. Ciągłe tam włożą, brudne gnojki.

- Mój chłopak nigdy nie brał prochów - oświadczył Erasmus, spoglądając na Lacey. Mało nie zwymiotowała, kiedy zobaczyła, że głaskał sękatą dłonią pierś Hannah, z drugą ręką wciąż wczepioną w jej włosy. - Marlin nie jest głupi. No i lubi tylko panienki, i naprawdę umie z nich korzystać. Nauczyłem go. Za każdym razem, jak znalazł drogę do środka tego labiryntu, co go zbudowałem, zabierałem go na kurwy do Yumy.

Piętnaście minut.

- Muszę iść do łazienki, Marlin.
- Naprawdę musisz siku, mała? Nie wciskasz kitu Marlinowi?
- Naprawdę muszę. Mogę wstać? Bardzo powoli?

Kiwnął głową. Wyprostował się, celując z broni prosto w jej serce.

- Pójdę z tobą, Marty. Nie, nie będę podglądał, jak sikasz, ale stanę zaraz za drzwiami. Jak zrobisz coś głupiego, tatko pokroi ci tę śliczną buzię.
- Nie, Marlin, pokroję śliczną buzię tej panienki. Najpierw obetnę jej wszystkie włosy, oskrobie czaszkę nożem, żeby wyglądała jak kula bilardowa. Potem wytnę obrazek na jej twarzy. Kapujesz, mała?
- Kapuję.

Dziesięć minut. Calvert Street i Williams Street. Nie znała tej okolicy, ale Dillon powinien znać.

Łazienka na dole wyglądała obrzydliwie. Cuchnęła moczem, brudnymi ręcznikami, brudną bielizną. Lustro było poplamione.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś świnia, Marlin?

Pożałowała, że nie trzymała języka za zębami. Rąbnął ją mocno w nerki. Ból powalił ją na kolana.

– Może jestem świnia, Marty, ale ty umrzesz. Już niedługo umrzesz i zgnijesz, a my z tatkiem pojedziemy do Wirginii. Tam są bardzo ładne góry i łatwo znaleźć kryjówkę. Załatwiał się. Musimy stąd pryskać. Hej, musisz się odlać, bo strach cię obleciał, mam rację?

– Masz rację.

Zamknęła drzwi przed jego uśmiechniętą twarzą, usłyszała, jak opiera się o skrzydło drzwi, wiedziała, że nadśłuchuje. Miała mało czasu. Załomotał do drzwi, jak tylko spuściła wodę.

– Wychodź już, Marty.

Kiedy wyszła, wepchnął ją z powrotem. Rozejrzał się.

– To nie ja jestem świnia. To mój tatko. Nigdy się nie nauczył porządku, bo jego mama niczego go nie nauczyła. Zostawiała go leżącego we własnym gównie, jak był niemowlakiem, a jak podrósł, kazała mu leżeć we własnym gównie za karę. Moja babcia nie była miłą osobą.

– Nie wygląda na miłą - przyznała Lacey. - Dlaczego tutaj przyjechałeś, Marlin? Dlaczego chcesz mnie zabić? Podejmujesz wielkie ryzyko. Dlaczego?

Zamyślił się na chwilę, ale lufą broni wciąż celował w sam środek jej pleców.

– Po prostu czułem, że muszę cię sprzątnąć - powiedział wreszcie. - Nikt nie może mnie pokonać bezkarnie. W kółko myślałem, jak się wydostać z tej klatki w Bostonie, a potem ten sędzia sam mi wręczył złoty klucz. Tych idiotów lekarzy załatwiłem z palcem w nosie. Udawałem strach, nawet trochę popłakałem. Tak, to była bułka z masłem. Tatko przysłał mi wiadomość do więzienia i wiedziałem, że będzie czekał. Musiałem tylko dojechać do motelu Glover na zachodnim krańcu miasta. On tam czekał i miał dla mnie ubranie, wszystko, samochód z pełnym bakiem benzyny. Wtedy zrozumiałem, że mogę cię załatwić, a potem będę wolny. Właściwie to tatko stuknął tego gościa z FBI w Bostonie. Mało nie posłał go do piekła, gdzie jego miejsce.

– Wiem. Twój tatko użył twojego prawa jazdy. Mamy tablicę rejestracyjną.

Tego się nie spodziewał.

- A ostrzegałem tatka, żeby był ostrożny. Myślał, że załatwił tego gościa na dobre, ale się pomylił. Facet naprawdę widział tablicę rejestracyjną? Nie szkodzi. Teraz wszystko naprawię. Żałuję tylko, że ten gość z FBI nie dostał za swoje.

Hannah jęknęła w kuchni.

- No, a teraz zobaczymy, czy nie zostawiłaś żadnej wiadomości temu mięśniakowi, z którym sypiasz.

Lacey zamarła, wstrzymała oddech. Czekwała. Marlin poszperał po kątach i wyprostował się po chwili.

- Sprytna jesteś, Marty. Niczego nie próbowałaś. To dobrze. Hannah znowu jęknęła. Usłyszeli, że Erasmus mówi coś do niej.

Rozległ się ostry krzyk. Ten drań znowu ją uderzył.

- Przyjdiesz do mnie, prawda, Marty? Przyjdiesz do środka labiryntu? Tatko zabije ją powoli, jeśli odmówisz. Zresztą chyba już zaczął. Więc teraz masz jasność, prawda?

Umrzeć za Hannah Paisley, czy to aby nie ironia losu?... Poważnie wątpiła, czy Hannah przeżyje. Ale nie miała wyboru, żadnego wyboru.

- Przyjdę. Dziesięć minut.
- Pozwól mi sprawdzić, co z Hannah.
- Prawdziwa psiapsiółka, co? Doskonale. Więc nie próbuj żadnych pierduł, Marty, bo tatko dobierze się do niej. A potem ja dobiore się do ciebie.
- Żadnych pierduł, Marlin.
- Dama nie powinna używać takich słów, Marty.

Mało nie parsknęła śmiechem, ale zorientowała się, że to histeria wzbierająca w gardle, więc zacisnęła zęby. Kiedy weszła do kuchni, Hannah siedziała na podłodze, oparta plecami o ścianę.

- Przykro mi, Hannah. Nic ci nie jest?

Hannah nie mogła skupić wzroku na jednym punkcie, chociaż próbowała. Pewnie miała wstrząs mózgu.

- Sherlock, to ty?
- Tak.
- Co to za miejsce? Kim są ci bandyci?

Erasmus ją kopnął.

Hannah nie wydała żadnego dźwięku, ale jej ciało jakby zafalowało od wstrząsu wywołanego bólem.

- To moje mieszkanie. Ci ludzie to Marlin Jones i jego ojciec Erasmus.

Spostrzegła, że Hannah w mgnieniu oka zrozumiała, co to znaczy. Zrozumiała również, że zginie. Obie zginą. Lacey zauważyła, że Hannah próbuje rozluźnić więzy na nadgarstkach.

- Panowie - powiedziała, przenosząc wzrok z jednego na drugiego - czy mogę dostać szklankę wody?
- Potem pewnie będziesz musiała się wysikać, tak jak Marty -burknął Marlin,,
- Marty? Ona nazywa się Sherlock.

Marlin kopnął Hannah tak samo, jak wcześniej jego ojciec.

- Zamknij gębę. Nie cierpię kobiet, które nie mają dość rozumu, żeby trzymać gębę na kłódkę. Pewnego dnia wezmę i pozaszywam im te kłapaczki. Sprawię sobie mały przyborek do szycia. Każdą kobietę zaszyję nitką w innym kolorze. Nie ma wody. Wynosimy się stąd. Nie wiadomo, kto się tutaj zwali.

Pięć minut, ale to już bez znaczenia. Lacey, związana i zakneblowana, leżała na boku na tylnym siedzeniu własnego samochodu, nakryta kocem. Hannah wpakowali do bagażnika.

Jeden z nich prowadził kradziony samochód, który przelotnie zobaczyła, szarą hondę civic. Potem usłyszała, że silnik jej samochodu ożył, ale nie widziała, kto prowadzi.

Lacey zamknęła oczy i modliła się ze wszystkich sił. Jeśli Marlin nie odwiąże jej rąk, to za nic nie zdoła dosięgnąć do colta przypiętego do kostki nogi.

Savich rozciągnął plecy, potem ścięgnął udowe. Usłyszał kobiecy głos przy wejściu do sali gimnastycznej.

Ale to nie była Sherlock.

Upłynęła godzina i dwadzieścia minut. W jednej chwili zrozumiał, że coś się stało. Zadzwoił do niej do domu. Nikt nie odbierał. Obaj z Quinlanem miewali przeczucia. Żaden z nich nigdy nie ignorował tych przeczuć. Dlatego natychmiast zadzwonił do Jimmy'ego Maitlanda.

- Jem obiad, Savich. Mam nadzieję, że to coś ważnego.
- Nie ma żadnych doniesień o Marlinie Jonesie, prawda?
- Nie, jeszcze nie. Dlaczego?
- Nie widziałem Sherlock od półtorej godziny. Umówiła się ze mną w sali gimnastycznej. Nie przyszła. Dzwoniłem do niej do domu. Nikt nie odbiera. Wiem, że Marlin i jego ojciec są tutaj. Wiem na pewno. Wiem, że mają Sherlock.
- Skąd wiesz? Co się dzieje, Savich?
- Przeczucie. Nigdy pan nie lekceważył moich przeczuć, sir. Teraz też proszę ich nie lekceważyć. Wychodzę stąd i jadę do niej do domu. Zamierzała tam wpaść po rzeczy. Umówiliśmy się na konkretną godzinę. Nie przyszła. Sherlock nigdy się nie spóźnia. Coś się stało i po prostu wiem, że to Marlin i Erasmus. Niech pan ogłosi poszukiwanie jej samochodu, mazda navajo, numer rejestracyjny SHER 123. Może pan zarządzić poszukiwania?
- Załatwione.

Savich dotarł do jej domu po dziesięciu minutach. W oknach było ciemno. Na podjeździe nie było jej samochodu. Jezu, tak strasznie chciał się mylić. Może

pojechała do niego, może chciała rozpakować swoje rzeczy przed treningiem. Nie, nie zrobiłaby tego.

Podszedł do frontowych drzwi i nacisnął klamkę.

Ustąpiła.

Wyciągnął siga i pchnął drzwi.

Zapalił światło. Zobaczył zaśmiecony salon. Poprzewracane meble, lampy rozbite o ściany, piękne ryciny pocięte, na podłodze puszki po piwie, kartony po chińszczyźnie i pudełka po pizzy. Jeden kawałek spleśniałej pizzy serowej wysunął się z pudełka na cenny dywan.

Kuchnia wyglądała jak pobojuwisko. Dziwne, ale wyczuwał zapach Sherlock ponad smrodem odpadków. Była tutaj. Niedawno. Potem zobaczył saszetkę na podłodze pod stołem. Otworzył ją i zobaczył, że nie należała do Sherlock, tylko do Hannah Paisley. Mieli obie kobiety. Jakim cudem złapali Hannah? Skąd wiedzieli, że opłaci im się złapać Hannah?

I dlaczego ją złapali?

Oczywiście znał odpowiedź. Marlin wiedział, że potrzebuje argumentu, by zmusić Sherlock do wypełniania jego rozkazów. Czyli do czego? Zęby przeszła przez labirynt i dotarła do środka, gdzie ją zabije z zemsty za to, że go wykiwała, postrzeliła i pokonała.

Więc syn i ojciec zabiorą obie kobiety do jakiegoś pobliskiego magazynu. Ale dokąd? W Waszyngtonie było mnóstwo odpowiednich miejsc. Był pewny, że Sherlock wiedziała, iż on odgadnie, co się stało. Na pewno coś dla niego zostawiła, jeśli tylko znalazła okazję. Rozejrzał się po kuchni, ale niczego nie zobaczył.

Rozmawiał z glinami przez telefon komórkowy, kiedy wszedł do małej łazienki na dole. Aż go cofnęło od smrodu. Wyciągnął szuflady z ręcznikami w szafce pod umywalką. Nic. Odsunął na bok zasłonę prysznicza. Na podłodze kabiny leżała torebka Sherlock, otwarta.

– Dajcie mi porucznika Jacobsa. Pewnie poszedł do domu. Jaki ma numer telefonu? Proszę posłuchać, mówi Dillon Savich z FBI. Mamy tutaj poważny kłopot i potrzebuję pomocy jak najszybciej.

Savich nie odkładał telefonu ani na chwilę, nawet kiedy się pochylał, żeby podnieść torebkę. Była to duża czarna skórzana torba na ramię. Żartował z Lacey, że nosi tam zmiany bielizny na cały tydzień i buty do biegania.

– Czy mogę prosić porucznika Jacobsa?

Ostrożnie wyjmował każdy przedmiot po kolei. Dopiero kiedy dotarł do małej kosmetyczki, zwolnił tempo. Odsuwał zamek błyskawiczny po kawałeczku, trzymając kosmetyczkę w górze.

– To ty, Lewis? Mówi Savich. Mam cholerny kłopot. Wiesz o Marlinie i Erasmusie Jonesach? No więc obaj są tutaj, w Waszyngtonie, i mają dwie moje agentki: agentkę Sherlock i agentkę Paisley. Zaczekaj chwilę.

Savich powoli wywrócił kosmetyczkę na lewą stronę. Zobaczył napis ołówkiem do brwi: „Calvert & Williams, magaz”. Cholera, dobra była.

– Lewis, ona zostawiła mi wiadomość. Magazyn na rogu Calvert i Williams. Marlin i jego tatuś mają agentkę Sherlock i agentkę Paisley. On chce ją zmusić do przejścia przez labirynt, a sam będzie czekał w środku. Zabije ją. Podejdźcie po cichu, dobra? Spotkamy się tam za dziesięć minut.

Nie mógł uwierzyć. Jego porsche nie chciał zapalić. Spróbował jeszcze raz, potem podniósł maskę. Nie dostrzegł nic oczywistego, ale też był samochodowym geniuszem. Zaklął i kopnął prawe przednie koło. Potem wybiegł na jezdnię. Jakiś motocyklista prawie wpadł na niego, nadepnął na hamulce i wyminął go zygzakiem. Savich znowu zaklął, stanął na środku i zaczął machać.

Podjechała taksówka. Uśmiechnięta czarna twarz wyjrzała zza kierownicy.

– No, przecież to pan szczęściarz, który się żeni z tą ładną panią.

Rozdział 35

Nie było czasu. W ogóle nie było czasu.

Nie chciała umierać, nie chciała zginąć z ręki tego stukniętego drania, który szczyrzył do niej zęby jak wariat. Nie, nie był wariatem, doskonale wiedział, co robi, wiedział też, że robi coś złego, i rozkoszował się tym. Skrucha była mu obca. Wszystko, co naprawdę ludzkie w całej swojej złożoności i prostocie, było mu obce.

Spojrzała na Hannah, która stała oparta plecami o jeden z rekwizytów Marlina, ze spuszczoną głową. Początkowo sądziła, że Hannah zdrętwiała ze strachu, ale szybko się zorientowała, że wcale nie umierała ze strachu, jak pewnie myśleli Marlin i Erasmus. Nie, ona tylko udawała. Grała na zwłokę, próbowała rozpoznać sytuację, obliczała szanse.

Dobrze. Niech myślą, że się załamała. Lacey zawołała głosem pełnym fałszywej troski, którą Hannah na pewno przejrzała:

- Hannah, trzymasz się?
- Tak, ale nie wiem, jak długo wytrzymam - Hannah nie podniosła na nią wzroku, tylko dalej oddychała głęboko, wpatrując się w brudną drewnianą podłogę. - Chyba nie ma szans, żeby Savich tutaj dotarł?
- Nie wiem.
- Zamknijcie się, pizdy!
- Ładnie się wyraża twój tatuś, Marlin.
- On może mówić, co tylko zechce, Marty. Sama wiesz. Jest mężczyzną.
- On? Mężczyzna? - Hannah mówiła ochrypłym głosem, ponieważ Erasmus przydusił ją, kiedy próbowała mu uciec. - On jest robakiem, tchórzliwym padalcem, który wychował cię na zboczonego mordercę.

Hannah nie zdążyła nawet się przygotować, gdy Erasmus walnął ją w głowę kolbą siga. Lacey wiedziała, że Hannah przegrała. Inaczej zmusiłaby się do milczenia.

– Z przyjemnością poderżnę jej gardło - oznajmił Erasmus, stojąc nad nieprzytomną Hannah, skuloną w pozycji płodowej. Strumyczek krwi sączył się z jej nosa.

– Więc ją zabijesz. - Lacey uśmiechnęła się do Marlina. - Nie wejdę do twojego labiryntu. Nie mam powodu. Straciłeś argument. I tak ją zabijesz. Słyszałeś, co powiedział twój uroczy tatuś.

Erasmus podniósł rękę, żeby ją uderzyć, ale Marlin chwycił go za nadgarstek.

– Marty jest moja. Poradzę sobie z nią. Popatrz no, tatku, mała ćpunka. Chcesz się nią zająć?

Młoda czarna dziewczyna, ubrana w wyświechtane džinsy i starą bluzę Washington Redskins z dziurami na łokciach, kuliła się przy drzwiach magazynu, szeroko otwierając oczy; wiedziała, że znalazła się w niewłaściwym miejscu, i wiedziała również, że nic na to nie może poradzić. Erasmus podszedł do niej, chwycił ją za kark i potrząsnął jak kurczakiem. Lacey usłyszała trzask kręgosłupa dziewczyny. Nie mogła tego znieść. Zamknęła oczy, ale zdążyła jeszcze zobaczyć, że Erasmus odrzucił dziewczynę na bok jak szmatę.

– Zobaczę, czy nie ma tutaj więcej śmieci - powiedział i wśliznął się przez wąski otwór do ogromnego zrujnowanego budynku. Cała ta ponura, zapomniana przez Boga okolica tchnęła atmosferą beznadziejnego przygnębienia. Wszystkie budynki zostały opuszczone przez ludzi, którzy po prostu się poddali. Wszystkie były zniszczone w mniejszym lub większym stopniu. Wokół leżały stare opony samochodowe i kartonowe pudła starannie ułożone w sterty, dające schronienie bezdomnym. I choć miejsce to znajdowało się w stolicy państwa, wyglądało jak ruiny bośniackich miast, które Lacey widziała w telewizji.

Marlin wsunął jej dłoń pod brodę tak, że musiała unieść głowę.

- Wiesz co, Marty?
- Mam na imię Lacey.
- Nie, dla mnie jesteś Marty. Przyszedłeś do mnie w Bostonie jako Marty i jako Marty odejdziesz. Wiesz, co znalazłem?

Popatrzyła na niego bez słowa. Wyjął z kieszeni jej colta.

- Zapamiętałem ten numer. Z tej broni postrzeliłeś mnie w Bostonie. Miałaś nadzieję, że zapomniałem, co? Chciałaś mnie znowu załatwić? No więc teraz nic mi nie zrobisz. Wygrałem, Marty. Wygrałem z tobą.
- Nie wygrałbyś ze zdychającym psem, ty śmieciu. Nie wejść do twojego labiryntu.
- A jeśli obiecuję, że ją wypuszczę?

Roześmiała się.

- Twój tatuś ją zabije, Marlin, nie ty.
- No więc dobrze. Mam inny pomysł. - Ścisnął boleśnie jej podbródek i trzepnął ją po twarzy. - Chodź, Marty. Czas na przedstawienie.

Erasmus wyszedł z magazynu, wlokąc obdartego staruszka za kołnierz brudnej marynarki.

- Tylko jeden, Marlin... ten biedny stary pierdziel. Dostał za swoje. Gdyby mógł, pewnie by mi podziękował, że skróciłem mu cierpienia.

Opuścił trupa na przegniłe deski leżące przed magazynem i kopnął go w stronę sterty opon.

- Bierz swoją panienkę, Marlin, i każ jej przejść próbę. Chcę się wynieść z tego przeklętego miasta. Jest nieżyczliwe, wiesz? Tylko rozejrzyj się dookoła. Ludzie tutaj nie mają żadnej dumy. Nic, tylko zniszczenie. Czy nasz rząd wcale nie jest dumny ze swojej stolicy?

Marlin uśmiechnął się do Lacey, podniósł swój rewolwer i uderzył ją w głowę. Osunęła się w ciemność, zanim jeszcze jej ciało uderzyło o ziemię.

- Teraz muszę to zrobić właśnie tak - powiedział do ojca, pochylając się nad Hannah. - Tak, właśnie tak. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jej twarz, kiedy wreszcie dojdzie do środka labiryntu, kiedy przyjdzie do mnie.

Cztery wozy miejscowej policji nadjechały w ciszy i zaparkowały w sporej odległości od magazynu. Mężczyźni i kobiety w milczeniu wysiedli z samochodów. Lewis Jacobs zaprowadził ich do Savicha, który właśnie przyjechał taksówką, prowadzoną przez wysokiego czarnego mężczyznę w średnim wieku.

- Jimmy Maitland zaraz tutaj będzie z piętnastoma agentami specjalnymi - powiedział cicho Savich. - Więc zrobimy tak.

Lacey budziła się powoli, mdłości podchodziły do gardła, w głowie łupało. Próbowwała unieść głowę, chociaż troszkę, ale zrobiło jej się słabo. Zamknęła oczy. Marlin uderzył ją kolbą za lewym uchem, drań. Tym razem mocniej niż w Bostonie. Pewnie się śmiał, kiedy nieprzytomna padła mu do stóp. Leżała w milczeniu, z trudem przełykając ślinę. Modliła się, żeby Dillon znalazł jej wiadomość, ale w głębi duszy wiedziała, że musi polegać na sobie. Gdzie jest Hannah?

W ogromnym, mrocznym magazynie panowała grobowa cisza, tylko od czasu do czasu szczury chrobotwały o podłogę. Gęste powietrze cuchnęło zgnilizną, jakby gdzieś tutaj leżała padlina w stanie zaawansowanego rozkładu. Mdłości narastały. Lacey przełknęła ślinę, powstrzymując się od wymiotów. Przed sobą zobaczyła mały krąg światła.

Zobaczyła również kłębek sznurka.

Myśl, do cholery, myśl. On miał jej pistolet i rewolwer. Rozejrzała się bardzo powoli w obawie, że Marlin lub Erasmus ją obserwują. Nie dostrzegła niczego, co mogło posłużyć za broń.

Oprócz sznurka. Powoli podniosła się na kolana. Wciąż kręciło jej się w głowie, ale mdłości trochę ustąpiły. Jeszcze chwila. Przynajmniej rozwiązał jej ręce i nogi.

Usłyszała upiorny głos Marlina dochodzący z ciemności:

– Hej, obudziłaś się. Dobrze. Długo to trwało, ale tatko powiedział, że za bardzo się podniecam, i muszę czekać cierpliwie. Marty, posłuchaj.

Wrzask Hannah rozdarł ciszę.

– Mam ją tutaj, Marty, w środku labiryntu. To była mała demonstracja. Nie wpadaj w panikę. Widocznie ona ma bardzo niski próg bólu, bo wrzeszczy, kiedy tylko wykręciłem jej ramię. A więc jeśli tutaj nie przyjdiesz, wkrótce będzie miała prawdziwy powód do wrzasku. Rusz się, bo zacznę obcinać jej palce, najpierw u rąk, potem u nóg, potem obetnę nos. Zaraz wezmę się do niej, Marty, a ty usłyszysz ten wrzask za każdym razem, kiedy wsadzę jej nóż. Dopiero na samym końcu wytnę język. Usłyszysz wszystko. Miałbym mniejszą zabawę, gdyby tylko bełkotała, kiedy ją kroję.

Wstała ze sznurkiem w dłoni.

– Idę, Marlin. Nie rób jej krzywdy. Obiecujesz?

Milczenie. Wiedziała, że rozmawiał z Erasmusem. Dobrze, byli razem. Nie musiała się martwić, że Erasmus obserwuje ją z innego miejsca.

– Nic jej nie będzie, dopóki się nie zatrzymasz. Ruszaj, Marty. Właśnie tak. Teraz cię widzę.

Ale nie widział, przynajmniej nie przez cały czas, tylko na tych odcinkach, gdzie ustawił lustra. Zaczęła owijać sznurek wokół dłoni. Nie, to na nic. Musiała złożyć sznurek podwójnie i zawiązać węzły co kilka cali. Zrobiła to w marszu, początkowo niezdarne, potem nabierając wprawy i szybkości przy kolejnych węzłach. Dopiero weszła do labiryntu, modliła się, żeby wystarczyło sznurka.

- Idę, Marlin. Nie dotykaj Hannah.
- Nie robię jej nic złego, Marty. Idź dalej w kierunku mojego głosu. Tak, dobrze. Korzystasz ze sznurka, Marty? To część gry, musisz wykorzystać sznurek.
- Używam sznurka.
- Dobrze. Sprytna z ciebie mała dziwka, co?

Głęboko zaczerpnęła tchu i zawołała:

- O tak, Marlin, ty pieprzony mały skurwysynu, jestem tak Sprytna, że cię zabiję. Możesz na to liczyć. I nikt nie będzie po tobie płakał. Wszyscy się ucieszą, że poszedłeś do piekła, gdzie twoje miejsce.

Weszła do labiryntu.

- Nie mów tak do mojego chłopaka, panienko, bo sam ci przyłożę, jak on już z tobą skończy.

Usłyszała ich głosy, ale nie mogła rozróżnić słów. Potem odezwał się Marlin:

- Właśnie powiedziałem tacie, że miałem rację. Tak, przez cały czas miałem rację. Masz niewyparzoną gębę. Sam słyszał, jak mówisz brzydkie słowa. Zaslługujesz na karę.

Zaśmiał się donośnie i głęboko, ale w tym śmiechu dźwięczało coś jeszcze, co niejasno przypominało strach. Czy naprawdę wyczuła strach? Raz go zraniła, na pewno tego nie zapomniał, ale nie miała pojęcia, czego miałby się bać teraz. Przecież była sama. Bez broni. Mimo to postanowiła nacisnąć.

- Pamiętasz, jak się czuleś z kulą w bebechach, Marlin? Pamiętasz te wszystkie rurki i igły, które ci wetknęli w szpitalu? Jedną miałeś nawet w kutasie. Pamiętasz? Pamiętasz, jak leżałeś i skamlałeś, zielony na twarzy? Wyglądałeś tak żałośnie. Jak pobity mały chłopczyk. Patrzyłam na ciebie i bardzo się cieszyłam, że cię postrzeliłam. Miałam nadzieję, że umrzesz, niestety nie umarłeś. Ale tym razem umrzesz, Marlin. Jesteś pierdolonym świrem, wiesz o tym?

- Zapłacisz mi za to, Marty.
- Ty nędzny gnojku, nic mi nie zrobisz. Jesteś tchórzem i boisz się . mnie. Prawda? Słyszę strach w twoim głosie. Głos ci drży. Jesteś zerem, Marlin, zwykłym zasranym nieudacznikiem.
- Nie! - Teraz słyszała, że sapał z wściekłości. - Zabiję cię, Marty, zabiję cię z wielką przyjemnością. Zasłużyłaś na śmierć jeszcze bardziej od innych.
- Jaja sprzątnę, chłopcze.
- Nie! Ona jest moja i ta druga też. Chcę je obie. Wiesz, że ta druga ciągle pyskuje. Tak, chcę je obie. Tylko poczekaj, to zobaczysz, jak pięknieje pokroję. Będziesz ze mnie dumny, tatku.

Wrzeszczał na ojca i błagał go jednocześnie. Niewiele brakowało, żeby się załamał.

- Ja jestem najlepszym rzeźnikiem na świecie, nie ty! Ja jestem najlepszy!
- Lacey szła bardzo cicho, owinąwszy wokół dłoni sznur powiązany w węzły. Marlin zbudował labirynt bardzo dobrze. Dwa razy weszła w ślepy zaułek i musiała się cofać po własnych śladach.
- Marlin - zawołała - chyba w końcu się nauczyłeś, jak zbudować naprawdę dobry labirynt. Właśnie trafiłam na drugi ślepy zaułek. Szkoda, że jesteś tak kurewsko głupi, tatuś nie zdołał cię nauczyć, jak się buduje porządne labirynty. Długo trwało, zanim się nauczyłeś, co, ty żalosny wypierdku?
 - Do cholery, zamknij się, dziwko! Nie mów tak! Wiem, że robisz to specjalnie, bo chcesz mnie rozzłościć, żebym przestał panować nad sobą, ale ja się nie dam. Wiem, że normalnie wcale nie bluźnisz. Prawda? Odpowiadaj, przekłeta dziwko.
 - Racja, ty głupi kutasie. Mówię tak specjalnie dla ciebie, dupku.
 - Cholera, zamknij się!

Głos mu drżał. Wyobrażała sobie, jaki jest wściekły. Dobrze. Zapytała zimno i spokojnie:

- A niby czemu, kurwa?
- Bo zaraz cię zabiję, Marty. Mam tutaj swój rewolwer, gotowy do strzału. Idź szybciej albo Hannah straci jeden różowy paluszek.
- Idę, Marlin. Mówiłam ci, że przyjdę. W przeciwieństwie do ciebie dotrzymuję słowa. Tylko tchórz zrobiłby krzywdę Hannah, a ty mnie zapewniałeś, że nie jesteś tchórzem, tak?

Teraz sapał jak zapaśnik. Zbliżyła się już wystarczająco, żeby słyszeć jego gniew, prawie go smakować. Był słodkawy i miedziany, jak ludzka krew.

- Nie, nie skrzywdzę jej. Przynajmniej na razie. Ty masz pierwszeństwo, Marty, tylko ty. Chcę ciebie i może to mi wystarczy.

Weszła w wąską smugę światła. Ostrożnie trzymała sznurek przy boku.

- Gdzie jest twój tatuś, Marlin? Czyha gdzieś w kącie labiryntu? On też jest tchórzem. Odziedziczyłeś to po swoim tchórzliwym tatusiu, prawda?
- Nie czyham w żadnym kącie, dziewczuszko - krzyknął Erasmus. - Pozwalam mojemu chłopcu robić to, co go uszczęśliwia. Rób wszystko, co ci każe, bo obedrę cię ze skóry.
- Obdarłeś ze skóry swoją żonę, Erasmus? Kiedy, przedtem czy potem, jak jej poderznąłeś gardło?
- Nie twój interes, dziewczuszko. Ty tylko się pospiesz, słyszałaś? Nie chcę tutaj siedzieć, tu jest niewygodnie. Aż ciarki po mnie chodzą.
- Tak, słyszałam.

Znajdował się po lewej stronie, w odległości mniej więcej metra. Marlin był niewiele dalej. Trudno sobie wyobrazić coś, co przyprawia Erasmusa o ciarki.

Owinęła wokół ręki sześć długości sznurka. Sznurek, pomyślała. Miała tylko kawałek sznurka, żeby pokonać dwóch morderców z trzema sztukami broni. Rozluźniła sznurek, zrobiła pętlę dostatecznie szeroką, żeby zarzucić ją Marlinowi na głowę. Nie, powinna być większa. To wymagało czasu.

Poczuła w gardle goręcy strach i przełknęła. Nie mogła, nie chciała się poddać, dopóki żyje. Pomyślała o Dillonie. On zwariuje, jeśli Marlin ją zabije.

Stracił już jedną kobietę, którą kochał.

Nie pozwoli, żeby Marlin ją zabił.

Rozdział 36

Światło było teraz jasne, nabierało mocy z każdym krokiem. Padało z wąskiej świetlówki, którą Marlin zawiesił w górze. Zbliżała się już do środka labiryntu. Słyszała jęki Hannah. Oddech Marlina. Hannah jęknęła głośniejsze. Nie z bólu. Dawała jej wskazówki. Tak, oboje z Marlinem znajdowali się na godzinie dziesiątej. Niemal widziała, jak stoi nad Hannah z magnum w ręku i szerokim uśmiechem na twarzy. Czekał na nią. Nie mógł się doczekać. Gdzie jest Erasmus? Czy w ogóle się poruszył?

– Hannah? Słyszysz mnie? Nic ci nie jest?

– Nic mi nie jest, Sherlock. - Potem znowu jęknęła, cudownie zmysłowo. - Ten drań właśnie mnie kopnął.

– Trzymaj się, proszę, trzymaj się.

Wiedziała, że Hannah myśli gorączkowo. Wiedziała, że czegokolwiek spróbuje, Hannah jej pomoże, jeśli tylko zdoła.

Teraz słyszała tylko głęboki, nierówny oddech Marlina.

Czy Dillon znalazł jej wiadomość? Czy w ogóle pojechał do jej domu? Oczywiście, że tak. Przełknęła. Prawie dotarła na miejsce. Do Marlina.

Weszła w jaskrawe światło, dwa reflektory świeciły jej prosto w twarz. Osloniła oczy prawą ręką. W lewej dłoni trzymała sznurek, którego użyje, jeśli tylko Marlin go nie zauważy, jeśli tylko trafi się okazja.

– Witaj, Marty - powiedział, prawie sapiąc z rozkoszy. - Przyszłaś.

Stał obok Hannah, z wypiętą piersią, i wydawał się bardzo dumny z siebie. Wręcz szczęśliwy. Oczy miał dzikie i błyszczące. Szczyrzył do niej zęby.

Odwzajemniła uśmiech.

– Cześć, ty mały gnojku. Jak tam twoje sztuczki? Zabiłeś jeszcze jakieś kobiety, odkąd zwałeś z domu wariatów w Bostonie?

Zgiął się wpół, jakby walnęła go w żołądek.

– To nie był dom wariatów!

– Ależ tak. Stanowy dom wariatów.

– Zawieźli mnie tam na rozmowę z lekarzami, nic więcej. Tylko na krótką wizytę.

– Gdyby ten sędzia nie był takim idiotą, siedziałbyś teraz w wyścielanej celi. I wiesz, co jeszcze? Skuliby ci nogi i wyprowadzili z wyścielanej celi prosto na krzesło elektryczne. Zęby cię usmażyć. Jeszcze nic straconego, Marlin. Wyobrażasz sobie ten ból?

– Zamknij się, cholera! Cicho! Okaż mi trochę szacunku. Wygrałem, niech cię szlag, wygrałem! Nie ty. Stoisz przede mną i tym razem nic ci nie pomoże. To ja wygrałem. A ty przegrałaś, Marty, i jesteś niczym.

– Zgadza się, Marlin, wygrałeś. Przecież od czasu ucieczki zdołałeś pozabijać bardzo niebezpiecznych, uzbrojonych po zęby bezdomnych i nastolatków. Wielkie osiągnięcie, Marlin. Prawdziwie po męsku. Rzygać się chce.

– Nie, to tatko!

– Co za różnica. Jesteś taki sam jak on.

Teraz dyszał, próbował się opanować, a ona naciskała mocniej.

– Wiesz co, Marlin? Myślałam kiedyś, że jesteś całkiem przystojny. A wiesz, jak teraz wyglądasz? Jakbyś się zaraz miał zaślinić po pas. Nigdy w życiu nie widziałam nędzniejszej namiastki mężczyzny.

Pękł. Rzucił się na nią z uniesionym nożem. Hannah przetoczyła się na prawy bok, wyciągnęła związane stopy i podcięła mu nogi. Runął jak długi i

przejechał brzuchem prawie do stóp Lacey. Błyskawicznie skoczyła na niego i zarzuciła mu gruby węzłasty sznur na szyję. Wbiła mu kolano w nerki i szarpnęła za sznur, unosząc jego twarz z drewnianej podłogi. Wiedziała, że węzły głęboko werżnęły mu się w gardło.

– Hannah, gdzie jest broń?

– Hannah jej nie ma, Marty.

Odwróciła się powoli i zobaczyła, że Erasmus odchyła głowę Hannah do tyłu pod niemożliwym kątem. Owinął sobie jej włosy wokół lewej ręki. W prawej trzymał trzydziestocentymetrowy nóż myśliwski, który przyłożył do jej gardła.

– Puść mojego chłopca, Marty.

– Dobrze, jeśli puścisz Hannah. Natychmiast, Erasmus.

Powoli pokręcił głową. Czubek noża nakłuł skórę Hannah. Kropla krwi wezbrała, stoczyła się i wsiąkła w sportową koszulkę. Lacey nie zobaczyła strachu na jej twarzy, tylko oczy chciały przekazać jakąś wiadomość. Jaką?

– Puść go bardzo powoli, Marty, bo wsadzę jej ten nóż.

– Wsadzisz jej ten nóż, Erasmus, i twój chłopczyk nie żyje. Mocniej skręciła sznur. Marlin zarzęził. Twarz mu pociemniała.

Walił wokoło rękami i nogami, ale nie mógł jej zrzucić. Szarpnęła jego głowę do tyłu, żeby tatuś dobrze widział. Erasmus wrzasnął:

– Ty dziwko! Poluzuj pętlę! Zadusisz go, on sinieje! Nagle Hannah z całej siły wbiła łokieć w żołądek Erasmusa.

Wrzasnął i odrobinę rozluźnił chwyt, wystarczająco, żeby Hannah wywinęła się spod noża.

Rozległ się pojedynczy strzał, donośny i ostry w gęstym powietrzu. Kula trafiła Erasmusa w środek czoła. Zagapił się na Lacey oczami rozszerzonymi ze zdumienia. Powoli, bardzo powoli pochylił się do przodu. Hannah odtoczyła się na bok, żeby jej nie przygniótł. Upadł na twarz. W ciszy Lacey usłyszała, jak pękł mu nos z obrzydliwie głośnym trzaskiem.

– Tatku! Cholera, zabiłaś mojego tatka!

Marlin szarpnął się do tyłu, chwycił Lacey za nadgarstki i przerzucił ją przez głowę. Wylądowała na plecach, bez tchu. Wskoczył na nią, usiadł na piersiach, pochylił się nad jej twarzą, podsunął nóż pod sam nos.

– Teraz cię mam, dziwko. Zabiłaś mojego tatka, więc teraz wykończę ciebie, a potem tę drugą dziwkę.

– Nic z tego, Marlin. Już za późno. Gliny tu są. Jeden z nich zastrzelił twojego tatka.

Marlin poderwał się i wznosił nóż.

– Sherlock, płasko!

Z całej siły wcisnęła się w podłogę, donośny huk wystrzału rozdarł jej uszy. To był bardzo trudny strzał. Marlin znajdował się tak blisko, że policjanci musieli celować bardzo dokładnie, żeby nie trafić w nią. Poczuli, że Marlin opadł na nią całym ciężarem. Zrzuciła go z siebie. Kula trafiła go w kark.

Przekreśliła się i uniosła na łokciach. Marlin patrzył na nią.

– Powiedz, jak to zrobiłaś.

– Zostawiłam mu wiadomość. W mojej torebce, na podłodze prysznic. Napisałam ją ołówkiem do brwi po wewnętrznej stronie kosmetyczki. - Podniosła wzrok. - Dillon, trzymaj wszystkich z daleka. Muszę z nim porozmawiać. Tylko przez chwilę.

Nachyliła się tuż nad twarzą Marlina.

– Czy zabiłaś Belinę?

Wyszczerzył do niej zęby. Krew płynęła mu z nosa i z ust. Ale chyba nie czuł bólu.

– Zabiłaś ją, Marlin? Zabiłaś Belinę?

– Dlaczego mam ci powiedzieć?

– Żebym mogła osądzić, który z was jest lepszym człowiekiem, ty czy twój tatuś. Naprawdę nie wiem, dopóki mi nie powiesz o Belindzie. Zabiłaś ją?

Odwrócił wzrok, spojrzał w górę, ale sufit okrywała nieprzenikniona ciemność. Na co patrzył?

– Chcesz wiedzieć, co zrobiła?

– Co zrobiła?

– Zabiła moje dziecko. Próbowала mi wmówić, że to było poronienie, ale ja wiedziałem, że zabiła dziecko ze strachu, że urodzi się nienormalne. Opowiedziała mi o swoim stukniętym ojcu. I dodała, że sama też chyba zwariowała, żeby mieć dziecko ze mną. Dlatego je zabiła. Moje dziecko. Powiedziała, że chciała mieć dziecko, nawet nienormalne, ale potem poszła i je zabiła.

Oczy miał wytrzeszczone i szkliste. Nachyliła się bliżej.

– Posłuchaj mnie, Marlin. Belinda nie wyskrobała twojego dziecka. Mąż ją uderzył i poronił. To nie była jej wina. To była wina Douglasa. Pewnie się dowiedział, że dziecko nie jest jego, i pobił ją.

– O Boże, wiedziałem, że trzeba było zabić tego drania. Nie mógł spłodzić dziecka, w każdym razie nie z nią. Belinda mówiła mi, że miał za mało plemników w spermie.

– Wiedziałeś, że jestem siostrą Belindy, prawda, Marlin?

– Nie od początku. Rozpoznałem cię, kiedy przyszłaś do szpitala. Wtedy już wiedziałem, kim jesteś.

– Ale skąd?

– Byłaś wtedy nastolatką, ale mieliśmy z tobą niezłą zabawę. Zabrałem Belinę, żeby jej pokazać mój labirynt, kazałem jej krzyczeć, jęczeć i tak dalej, specjalnie dla ciebie, żeby cię ukarać za to, że schowałaś się w bagażniku i nas szpiegowałaś. Naprawdę wkurzyłaś Belinę.

Zamknął oczy i wessał powietrze. Krew pociekła mu z ust, kiedy wyszeptał:

– Pojechaliśmy do magazynu, Belinda wyciągnęła cię z bagażnika i powiedziała, że zostałeś schwytna i musisz przejść próbę razem z nią.

Powiedziała, że umrze, umrze przez ciebie, ale modli się, żebyś ty przeżyła. Płakałaś i błagałaś mnie, lecz Belinda zaciągnęła cię do magazynu i trzymała przy sobie. Wrzeszczała naprawdę przekonująco na twój użytek, potem nawet kazała mi udawać, że ją dźgnąłem nożem, kiedy doszłaś do środka labiryntu i wszystko zobaczyłaś. Wtedy zemdlałaś. Nikt cię nie tknął. Po prostu upadłaś. Belinda się przestraszyła, ale powiedziałem jej, że jesteś zwykłą wścibską nastolatką i wytrzymasz. Gdy wróciliśmy do domu Belindy, nadal byłaś nieprzytomna. Belinda powiedziała mi później, że nic nie pamiętałaś. Miała wyrzuty sumienia, że tak cię potraktowała. Kochała cię, chociaż ją podglądałaś. Podziwiałaś Douglasa i bałaś się, że rzuci go dla mnie. Ale potem zabiła moje dziecko. Dlatego musiałem ją zabić. Nie miałem wyboru. Musiała umrzeć. Zdradziła mnie.

- To było poronienie. Zabiłaś ją, chociaż na to nie zasłużyła. Popełniłeś wielki błąd, Marlin.
- Wierzyłem, że mnie zdradziła. Musiałem ją zabić, chociaż wcale nie chciałem.
- Ona cię nie zdradziła.

Ponownie otworzył usta i trysnęła fontanna krwi. Krew poleciała mu z nosa. Lacey ułożyła jego głowę na podłodze i pochyliła się nisko nad jego twarzą.

- Skończone, Marlin. Dostyc już zniszczyłeś. Teraz możesz umrzeć. Próbował unieść rękę, lecz nie dał rady. Szepnął głosem bulgotliwym od krwi:
- Naprawdę jesteś ładna, Marty. Nie taka ładna jak Belinda, ale jednak ładna.

Głowa opadła mu na bok, powieki znieruchomiały nad otwartymi oczami, lekki uśmiech zastygł na ustach.

Podniosła wzrok i zobaczyła Dillona stojącego niecały metr dalej. Co najmniej dwudziestu funkcjonariuszy policji i agentów specjalnych stało kręgiem wokół środka labiryntu. Nikt się nie ruszył. Nikt nie powiedział ani słowa.

Uśmiechnęła się do niego.

– Koniec z pytaniami. I tajemnicami. On zabił Belinę. Powiedział mi dlaczego.

Przez tyle czasu - siedem lat - harowała jak niewolnica, dręczona wyrzutami sumienia. I przez cały czas nie pamiętała, że Belinda wciągnęła ją do labiryntu Marlina.

Nie potrafiła odgrzebać w pamięci ani jednego szczegółu tamtej nocy, chociaż Marlin powiedział, jak to było. Zastanawiała się, czy kiedyś sobie przypomni. No, nieważne. Belinda nie żyła od siedmiu lat. Jej morderca zginął. Ona odzyskała swoje życie. I miała Dillona. Miała przed sobą przyszłość.

– Tak - powiedział Dillon. - "wszyscy słyszeliśmy jego wyznanie. Skończone, Sherlock.

– Kto zastrzelił Marlina? Niedźwiedziowaty stary gliniarz podniósł rękę.

– Przepraszam, że kazałem tak długo czekać, ale musiałem mieć czysty strzał.

– Świetnie się pan spisał. - Spojrzała na Hannah. - Nic ci nie jest?

– Teraz już mi lepiej. - Stała obok Dillona, opierając się na nim.

– Dziękuję, że podcięłaś nogi Marlinowi. Naprawdę dobra robota. Nie miałam pomysłu, w jaki sposób zarzucić mu pętlę na szyję. Wiedziałam, że będziesz gotowa. Lepiej stań prosto, Hannah. Nie życzę sobie, żebyś opierała się o Dillona. Zrozumiano?

Hannah zaśmiała się ochryłym śmiechem, który pięknie zadźwięczał w ciszy.

– Słyszałam cię, Sherlock. Słyszałam cię bardzo dobrze. Widzę, że potrafisz być wredna, jeśli masz powód. Dobra robota.

Lacey wstała powoli. Ociekała krwią Marlina. Rozejrzała się po kręgu twarzy. Żyła. Obdarowała ich szerokim uśmiechem.

– Dziękuję wam wszystkim za uratowanie życia. Panie Maitland, wreszcie go mamy.

- Nie chrzań, Sherlock - powiedział Jimmy Maitland, szturchnął w bok Lewisa Jacoba, i parsknął śmiechem. Wkrótce wszyscy się śmiali, chociaż jeszcze trzymali broń w rękach, ryczeli ze śmiechu pod wpływem ulgi i poczucia triumfu.

Jimmy Maitland zawołał:

- Chciałem to powiedzieć, odkąd pierwszy raz zobaczyłem twoje nazwisko na liście kursantów. Czy ktoś wie, skąd jest ten cytat?

Rozdział 37

Doktor Lauren Bowers powiedziała bardzo cicho:

- Lacey, czy pamiętasz, jak schowałaś się w bagażniku samochodu Marlina? Lacey jęknęła, tocząc głowę na boki.
- W porządku. Jestem tutaj. Dillon jest tutaj. Jesteś bezpieczna. To było dawno temu. Marlin nie żyje. Nie zrobi ci krzywdy. Zrób to dla siebie. Otwórz się. Czy weszłaś do bagażnika?
- Tak. Chciałam się upewnić, że Belinda zdradza Douglasa. Podśluchałam, jak rozmawiała z tym facetem godzinę wcześniej. Słyszałam, że umawiają się na randkę. Śledziłam ich. Nie sądziłam, że ona wiedziała o mojej obecności. Słyszałam, jak rozmawiała z Marlinem, ale nie rozumiałam, co mówią. Kiedy przyjechaliśmy do magazynu, wyciągnęli mnie z bagażnika. Nigdy w życiu nie byłam taka przerażona. Potem Marlin kazał mi dojść do środka labiryntu razem z Belinda. Myślałam, że była równie przerażona jak ja, ale ona się nie bała, przynajmniej tamtej nocy. Szłam za nią krok w krok. Raz nawet podała mi sznurek. Co kilka kroków Marlin wołał do nas, groził Belindzie, że ją ukarze, jeśli nie dojdzie do środka labiryntu. Och, Boże, pamiętam, jak się bałam, czułam się taka bezradna.

- Nic dziwnego, Lacey. Miałaś dopiero dziewiętnaście lat. Co było potem?
 - Kiedy wreszcie doszliśmy do środka, Marlin tam był i uśmiechał się do nas. Uśmiechał się, nawet kiedy myślałam, że zadźgał Belindę. Czekałam, kiedy mnie zabije. Pamiętam, że krzyczałam i biegłam do leżącej Belindy. Z tego strachu po prostu mnie zamroczyło. Nic więcej nie pamiętam.
 - I później nie chciałaś tego sobie przypomnieć. - Doktor Lauren Bowers odwróciła się do Savicha. - Coś jeszcze?
 - Czy Marlin powiedział Belindzie, że musi ją ukarać, ponieważ przeklinała i wymyślała mężowi?
 - Chyba tak. Czekał, tak, powiedział.
 - Chyba już wiemy wszystko, czego Lacey potrzebuje, żeby uwolnić się od przeszłości. - Dillon milczał przez chwilę, potem rzekł cicho:
 - Zanim ją obudzisz, zapytaj, co chciała zrobić ze swoim życiem przed zamordowaniem Belindy. Aha, i żeby tego nie pamiętała.
- Kiedy Lacey obudziła się z transu, spojrzała na Dillona i powiedziała:
- Przez cały ten czas odpowiedź była tak blisko, zamknięta w moim umyśle. Pewnie dlatego po śmierci Belindy miałam okropne koszmary, dlatego umierałam ze strachu, że ktoś mnie napadnie i zamorduje. Stąd ten koszmarny sen w twoim domu, Dillon. Za bardzo się zbliżyłam do prawdy. Sen pomagał mi ją ukrywać.
 - Masz rację. Ale to już minęło.
- Zapytał ją później, kiedy szli do samochodu:
- Czy powiesz Douglasowi, że Belinda rzeczywiście miała romans z Marlinem i nosiła jego dziecko?
 - Myślę, że wiedział. Może nie przypuszczał, że to Marlin, ale na pewno musiał wiedzieć, że to nie jego dziecko. Belinda nigdy nie zrobiłaby skrobanki. Chciała tego dziecka. Tak, Douglas musiał wiedzieć o tych swoich plemnikach. I dlatego ją uderzył, bo był wściekły.

- A jednak ożenił się z Candice, kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży. Pewnie chciał uwierzyć, że mu się udało. Kto wie? Jeśli on nie może spłodzić dziecka, a ona nie chce go mieć, to mają problem z głowy.
- Teraz, kiedy sobie przypominam, to widzę wyraźnie, że Belinda nie panowała nad swoim życiem. Nie myślę, że była trudna jak nasza matka, co powtarzał ojciec, ale przekroczyła granicę. Aja byłam smarkatą nastolatką, która ją podsłuchiwała i szpiegowała.
- Tak, pewnie masz rację. I to wyjaśnia różnice, jakie znalazł Dzikie Ralph York, porównując rekwizyty z miejsc zbrodni. Marlin zabił Belindę z innych powodów, co zmieniło jego sposób budowania dekoracji. I wiesz, co jeszcze, Sherlock?

Przechyliła głowę na bok w ten swój niepowtarzalny sposób. Poklepał ją po policzku.

- Wszystko się skończyło. Każdy strzępek, każda odrobina. Teraz dopadną cię media, ale poradysz sobie. Jimmy Maitland postara się chronić cię przed sępami. Aha, jeszcze jeden szczegół. - Zamilkł na chwilę i chmurnie spojrzął na swoje buty. - To Hannah wynajęła bandziora, jednego ze swoich informatorów, żeby cię potrafił samochodem, ten sam facet włamał się do twojego domu. Mówiła, że nie stosował się do rozkazów. Nie chciała, żeby cię zgwałcił, tylko porządnie nastraszył. Mówi, że bardzo przeprasza, nie chciała wyrządzić ci krzywdy. Poproszono ją, żeby odeszła z Biura. Od ciebie zależy, czy ją zaskarżysz.
 - Czy powiedziała ci, dlaczego to zrobiła?
 - Twierdzi, że straciła głowę. Oszalała z zazdrości. Myślała, że cię odstraszy, spakujesz manatki i wrócisz do Kalifornii.
 - Jeśli złapiemy faceta, którego wynajęła, to ona też wpadnie, prawda?
- Kiwnął głową.
- Tak. Jeśli złapią tego faceta, ona zostanie oskarżona.

- Pozwól mi się zastanowić.

Pomógł jej wsiąść do porsche, obszedł samochód i mocno kopnął lewą przednią oponę, zanim usiadł za kierownicą.

- Cholerny grat. Trudno mi uwierzyć, że nie chciał zapalić tamtego wieczoru. Gdyby Lukę się nie zjawił, miałbym poważny kłopot.
- Lukę przychodzi na wesele?
- O tak. - Przechylił się i pocałował ją. - Zapnij pas. Dzisiaj jestem dziki i szalony.
- Ja też czuję się dzika i szalona. Mam propozycję. Pojedziemy do domu, będziemy oglądać stare filmy i jeść popcorn.
- Mam lepszą propozycję. Pojedziemy do domu i nakręcimy własny film. Popcorn niekonieczny.
- Ale nie masz kamery filmowej?
- Powiedzmy, że to będzie próba kostiumowa. Obdarzyła go powolnym, słodkim uśmiechem.
- Obiecujesz, że zrobisz ze mnie gwiazdę?

EPILOG

- Nie wierzę w to - oświadczyła Lacey, biorąc kieliszek chardonnay od barmana Fuzza.
- Nic ci nie mówił, nigdy się nie wygadał? - zagadnęła Sally Quinlan, wznosząc toast.
- Ani słowem. Jasne, śpiewał mi piosenki country. Ale to? Nie miałam pojęcia. Czy on nie wygląda cudownie w tych butach i w pasie ze srebrną klamrą?

Panna Lily, udrapowana w biały jedwab, majestatyczna jak Kleopatra, wygłosiła z małej kwadratowej sceny:

- A teraz posłuchajcie, bracia i siostry, i nawet wy, zwierzaki, które jesteście tu dzisiaj z nami. Mam dla was wyjątkowy prezent. Wreszcie wrócił nasz Savich. On i Quinlan zgodzili się zagrać dla nas. Do roboty, chłopcy.
- Powinno być wspaniale - powiedział wykidajło Marvin nad ramieniem Lacey. - Patrz i baw się dobrze, lalka.

Piękny baryton Dillona wypełnił zadymiony bar, jego gitara grała miękki podkład, saksofon Quinlana zawodził. Głęboki, aksamitny, seksowny głos docierał wyraźnie do wszystkich ciemnych kątów klubowej sali.

Czym jest mężczyzna bez miłości?

Czym jego noc bez namiętności?

Czym jego ranek bez ciepła jej dłoni?

Czym jego dzień bez myśli o niej?

Niech jej miłość wypełni moje noce.

Niech jej uśmiech wypełni moje dni,

Bo wciąż myślę o niej z tęsknotą

I tylko ona mi się śni.

Czym jest mężczyzna bez kobiety?

Bez jej czułości, bez jej uśmiechu

Biedak samotny jest, niestety.

Czym jest mężczyzna bez kobiety?

Niech jej miłość wypełni moje noce,

Niech jej uśmiech wypełni moje dni,

Bo wciąż myślę o niej z tęsknotą

I tylko ona mi się śni.

Sherlock płakała. Nie chciała tego, nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze. Łzy bezgłośnie spływały jej po policzkach. Kiedy saksofon i gitara umilkły, w klubie Bonhomie zapanowała absolutna cisza. Jakaś kobieta westchnęła. Jakiś mężczyzna powiedział: „O, cholera”.

Potem zerwały się oklaski, początkowo lekkie i ciche, stopniowo nabierające mocy. Kobiety klaskały głośniejsze od mężczyzn.

- To przez jego ładny tyłek, Sally - powiedziała panna Lily, nachyliła się i poklepała Lacey. - Właściwie to obaj mają ładne tyłki. No więc, panienko, kiedy zamierzacie się pobrać z moim Savichem? Nie pozwalam z nim jedynie baraszkować. On jest niewinny. Nie chcę, żeby któraś go wykorzystowała, jasne?
- W przyszłym tygodniu dostanie pani zaproszenie, panno Lily.
- Dobrze. Więc może Fuzz przyniesie drugą butelkę chardonnay, taką z prawdziwym korkiem, jak dla Sally i Quinlana. Twój Dillon ma prawdziwy talent, złotko. Pozwól mu śpiewać dla ciebie i przyprowadź go tutaj raz w tygodniu. Dobrze mi robi na duszy, jak posłucham jego zawodzenia. No i żadne męty nie ośmielą się zbliżyć do klubu, kiedy tutaj grają ci dwaj supergliniarze. Teraz patrzy na ciebie i ma na twarzy ten niegodziwy uśmiech. Wyobraź sobie agenta FBI, który potrafi tak się uśmiechać do kobiety. Popisuje się przed tobą, tak? No, idę wygrać trochę kasy w pokerka. Nie mów chłopcom, dobra? Jeszcze się w nich odezwą gliniarskie geny, a przecież nie chcemy przyprawiać ich o rozterki moralne.

Quinlan powiedział ze sceny:

- Obecny tu Savich chce się ożenić, tak jak ja. Najwyższy czas. No więc mamy dla was piosenkę, która upamiętnia jego krótką kawalerską przeszłość. Nosi tytuł *Miłosny surfing*.

*Wyruszyłem na błękitne morze,
Wiedziałem, że odmiana mi pomoże.
Zarobiłem dosyć, ciężko harowałem,
Lecz musiałem zwolnić tempo, bo nie wytrzymałem.
Teraz leżę sobie na gorącej plaży,
Patrzę na dziewczęce opalone twarze.
Tyle dziewczyn - sam nie wiem, co robić,
Mam ochotę na wszystkie, więc surfuję po nich.*

*Miłosny surfing,
Wszystkie je pokocham,
Miłosny surfing,
Każdą chociaż trochę.
Miłosny surfing,
Wyciągam do nich ręce,
Miłosny surfing,
Zagarniam jak najwięcej.*

Lacey śmiała się tak serdecznie, że kiedy rzuciła w Dillona torebką, zamiast w niego trafiła w Quinlana.

Panna Lily, która stała przed otwartymi drzwiami swojego biura, zawołała:

- Ryzykujesz życie, Savich, skoro twoja lalka jest agentką FBI. Savich uśmiechał się promiennie do Lacey. Powiedział do mikrofonu:
- Moja siostra napisała ten kawałek. Ja tylko skomponowałem melodię.
- Porozmawiam sobie z twoją siostrą - obiecała Lacey.
- Słyszałem, że dostałaś ofertę na swój dom.
- Tak. Bardzo dobrą ofertę. Przyjmę ją. I teraz muszę zostać już tu, Dillon.
- Świetnie. Pobierzmy się w piątek.

- Fajnie by było, ale wątpię, czy zdążymy z przygotowaniami. Może w przyszłym miesiącu? Obiecałam pannie Lily, że wyślę jej zaproszenie. I mój przyjaciel MacDougal z Akademii właśnie wrócił z pustyni. Chcę go zaprosić.
- Więc urządzamy wielkie wesele? Cała moja rodzina? Cała twoja rodzina? Nawet Douglas i Candice? Mój Boże, nawet twoja matka, twój ojciec i bmw? Tłum ludzi? Z pełnymi garściami ryżu?
- Chyba musimy. Kiedyś mi powiedziałaś, że rodzina to rodzina, i nic się na to nie poradzi. Człowiek po prostu zaciska zęby i robi swoje. Miejmy nadzieję, że mama i tata spróbują zachowywać się normalnie tego dnia, Douglas nie zacznie wrzeszczeć na Candice, a potem nie rzuci się na moją matkę. Aha, jest jeszcze Conal Francis, , ojciec Belindy, pierwszy mąż mojej matki. Dzwonił do niej. Ojca szlag trafia.
- Rodzina to wspaniała rzecz. Jak myślisz, co z tego wyniknie?
- Nie mam pojęcia, ale chętnie popatrzę, jak to rozegrają. Chociaż chyba nie zaproszę Conala. Mój wkład w utrzymanie pokoju. Wiesz, Sally Quinlan mówi, że wielkie wesele to świetna zabawa. Nie chcesz?
- Co tam, cholera, idziemy na całość. - Pocałował ją w nos, potem w podbródek.
- Nie musimy się martwić o bmw. Tata właśnie kupił porsche 911, strażacka czerwień. Powiedział, że nawet mama w swoich najgorszych dniach nie będzie podejrzewać, że chce ją potraścić tym cackiem. I wybuchnął śmiechem. Powiedział, że jej nowa terapeutka jest dobra. Nawet odbył z nią kilka sesji. I mama dostaje nowe lekarstwa.
- Rodzina. Coś wspaniałego.
Pocałowała go w ramię.
- Aha, mam dla ciebie jeszcze jedną dobrą nowinę. Złapali facetów, którzy mordowali te porwane dzieci w Missouri. Ollie miał dobre przeczucie. Poszło

bardzo szybko. Okazało się, że to trzech młodych chłopaków, po dwadzieścia jeden lat, na których doniosła do miejscowego agenta FBI dziewczyna jednego z nich, wściekła, bo jej chłopak rzucił ją dla innej laski. - Zaśmiał się. - Słyszałem, że właśnie złapali tę dziewczynę. Olała kaucję - i prysnęła do Meksyku z całą kasą.

Lacey też się roześmiała.

- Ollie na pewno jest zadowolony.
- Tak, ale sam chciał dokonać aresztowania. Jeszcze jedno - dodał, pochylając się nad jej twarzą - twój ślubny prezent ode mnie przyjdzie jutro. Wzięłaś wolny dzień, żeby pójść do lekarza, więc umówiłem dostawę. Chwycała go za ramiona, uścisnęła, a potem potrząsnęła.
- Co to jest? Powiedz, Dillon, co mi kupiłeś?
- Nic nie powiem, skarbie. Możesz trochę poczekać, ale na pewno chcę coś od ciebie usłyszeć, kiedy go dostarczą jutro wieczorem.
- Nawet żadnej podpowiedzi?
- Ani słowa. Chcę, żebyś skrecała się z niecierpliwości, "westchnęła i uszczypnęła go w ramię.
- No dobrze, ale z tej niecierpliwości pewnie nie zasnę przez całą noc. Zaśpiewasz mi piosenkę?

Zamrugął, potem podniósł głowę i zaśpiewał:

- *Nie znam nic lepszego niż ostroga, co ma swój but.*
- To nie wystarczy. Jeszcze.
Pocałował ją w ucho, potem w szyję.
- *Nie znam nic lepszego niż kolec, co ma swój drut.*
Roześmiała się i przylgnęła do niego.
- Jeszcze.
- *Nie znam nic lepszego niż szklaneczka pełna whisky.*
- Jeszcze.

- *Nie znam nic lepszego niż przyjaciel sercu bliski.*
- I ostatnia linijka?
- *Nie, nie znam nic lepszego niż mężczyzna, co ma swoją kobietę.*
- Och, Dillon, to jest najlepsze.
- No, no, nie jesteś wybredna. - Pocałował ją w usta. - Nie, moja siostra tego nie napisała, tylko ja. Podoba ci się? Nie nabierasz mnie, co? Doceniasz co bardziej subtelne aspekty mojej muzyki?
- O tak - zapewniła. - O tak.
- Napisałem to dla ciebie. Obdarzyła go promiennym uśmiechem.
- Właśnie wymyśliłam jeszcze jedną linijkę.

Uniósł brew.

Zaśpiewała przeciągle, w stylu country:

- *Nie znam nic lepszego niż kantar, co ma swoją chabetę.*
- Zespół - oświadczył. - Tworzymy świetny zespół. A tak w ogóle, co to jest kantar?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Poglądził palcami jej miękką skórę. Zaczął ją całować i nie przestawał przez bardzo długi czas. Wreszcie, już na granicy snu, spróbował odgadnąć, co Lacey zagra dla niego na swoim nowym fortepianie Steinwaya, który dostarczą jutro.